



fabryka słów



KOCHAŁI SIĘ, ŻE STRACH

GREPS · GROCHOWAŁSKI · JANUSZ · KISTEL · MAJCHER · MAKAWCZYK · ORKAN
RADUCHOWSKA · ROMAŃCZYK · SAWICKI · SEMRAŃ · SKOLIM · ZIELIŃSKA

Spis treści

Karta tytułowa

Motto

Nie–Wstęp

Aleksandra Janusz IMPONDERABILIA

Daniel Greps GŁÓG

Andrzej Sawicki NA KOŃCU ŚWIATA

Rafał W. Orkan MIÓD Z MOICH ŻYŁ

1. Gebneh

2. Gebneh

3. Tane–tani

4. Gebneh

5. Gebneh

6. Tane–tani

7. Gebneh

8. Gebneh

9. Tane–tani

10. Gebneh

11. Tane–tani

12. Gebneh

13. Tane–tani

14. Gebneh

15. Gebneh

Martyna Raduchowska CAŁA PRAWDA O PPM

Aleksandra Zielińska A IMIĘ JEJ GRACE

Karol Makawczyk DETOX

Paweł Grochowalski SERCE NA DŁONI

Krzysztof Skolim WIELBŁĄDY ZA ANNĘ

Karolina Majcher FANTASTYCZNA MIŁOŚĆ

Marta Kisiel DOŻYWOCIE

Konrad Romańczuk WIELKIE, MAGICZNE... HM...

Wiktoria Semrau TYLKO MNIE KOCHAJ

Andrzej W. Sawicki, Daniel Greps, Rafał W. Orkan, Aleksandra Janusz, Martyna Raduchowska, Aleksandra Zielińska, Karol Makawczyk, Paweł Grochowalski, Krzysztof Skolim, Karolina Majcher, Marta Kisiel, Konrad Romańczuk, Wiktoria Semrau

Kochali się, że strach

Opowiadania
z warsztatów Fahrenheita



2007

*Wystarczyło, że pewien mężczyzna zakochał się w kobiecie, aby świat stał się taki,
jaki jest.*

Voltaire

Nie–Wstęp

Ponieważ żywimy głębokie przekonanie, że wstępów i tak nikt nie czyta, postanowiłyśmy wykorzystać przyznane nam miejsce, by zamieścić podziękowania dla osób, bez których nie byłoby tej antologii: EuGeniuszowi Dębskiemu, Ojcu Założycielowi Pierwszego Polskiego Periodyku Sieciowego „ Fahrenheit ” , za ideę, która przyświeca nam nieustannie, by „ Fahrenheit ” stał się szkółką dla młodych początkujących autorów i stanowił otwarte drzwi do publikacji między okładkami.

Tomkowi Pacyńskiemu, który zawsze i nieodmiennie wierzył, że damy radę i za to, że to za jego sprawą „ Fahrenheit ” stał się tym, czym jest dzisiaj.

Agnieszce i Jackowi Falejczykowi, niekwestionowanym dobrym duchem Zakużonych Warsztatów „ Fahrenheita ” , którzy poświęcili i poświęcają niezliczoną ilość godzin na tłumaczenia, dlaczego „ tak się nie pisze ” . Jak i wszystkim niez mordowanym komentatorom warsztatów.

Autorom, ze szczególnym uwzględnieniem tych, którzy, nie bacząc na status weteranów, zechcieli przyłączyć się do naszej pracy nad tą antologią.

Forumowiczom, którzy dopingowali, podtrzymywali na duchu debiutantów, niewierzących do końca, że im się uda i że warto.

Końcowy efekt naszych wspólnych wysiłków chcemy zaś zadedykować osobie ze wszech miar wyjątkowej, nieocenionej przyjaciółce, niestrudzonej redaktorce i postrachowi Zakużonych warsztatów – Małgosi Koczańskiej.

Dominika Repeczko i Dorota Pacyńska

Aleksandra Janusz Urodziłam się 24 maja 1980 roku, tuż przed kolejnym odcinkiem serialu Pogoda dla bogaczy. W związku z tym przez całe życie żywię nadzieję, że kiedyś będę sławna i bogata, choć tak naprawdę do szczęścia wystarczy mi dobra herbata i ciekawa książka.

Nałogowo czytam wszystko, co ma literki i wpadnie mi w ręce – czy to będzie beletrystyka, książka popularnonaukowa czy też podręcznik szydełkowania. W przypadku komiksów satysfakcja jest niejako podwójna, ponieważ oprócz literek mają one jeszcze obrazki.

Z wykształcenia jestem biologiem molekularnym, co znaczy, że nie potrafię rozróżniać gatunków roślin i zwierząt, ale za to umiem wyizolować z ich komórek DNA. Obecnie pracuję w Zakładzie Immunologii w Centrum Onkologii im. Marii Curie—Sklodowskiej. W czasie wolnym od badania mechanizmów naprawy DNA zajmuję się pisaniem opowiadań, artykułów i nie tylko.

W 2002 roku zadebiutowałam w Science Fiction opowiadaniem *Z akt miasta Farewell*.

W latach 1998—2004 współpracowałam z magazynem „Kawaii”.

Mój pierwszy tekst, jaki pojawił się w *Fahrenheicie*, nosił tytuł *Zadanie dla Rosenkhata*, od tamtej pory stale współpracuję z magazynem i jestem niezmiennie obecna na *Forum Fahrenheita*.

Niedawno w druku ukazała się moja debiutancka książka pt. *Dom Wschodzącego Słońca*.

Aleksandra Janusz IMPONDERABILIA

Wraz z nadejściem wiosny mistrz Serpentinus zaczął zachowywać się co najmniej niepokojąco. Z początku nie przywiązywałam większej wagi do tego, że nie dosypiał, albo że

coraz częściej zdarzało mu się zostawić nietknięty obiad. Sądziłem, że znowu dokucza mu reumatyzm, którego nabawił się w początkach kariery nekromanckiej. Te wszystkie miejsca, gdzie zdobywa się okazy – cmentarzyska, chłodne katakumby, starożytne grobowce – są przecież bardzo niezdrowe dla kości. A dopiero od niedawna mój pan mógł pozwolić sobie na wynajem zawodowych hien cmentarnych.

Mistrz pogardził jednak termoforem i okładami z leczniczego błota. Kiedy wreszcie pewnego wieczoru zastałem go dumającego nad talerzem całkowicie już zakrzepłego bulionu z elfich mózdzków, uznałem, że sprawa jest poważna. Zaniedbał się ostatnio – schudł, zmarniał, przestał czernić zęby. Nie zadawał sobie nawet trudu, aby używać po goleniu eau de Cadavre. Już prawie nie roztaczał charakterystycznego trupiego zapachu, do którego tak przywykłem.

Krótko mówiąc, Serpentinusa wyraźnie trawiła me lancholia. I marny byłby ze mnie chowaniec, gdybym to zlekceważył.

Rozpostarłem skrzydła i podfrunąłem do okna, aby szerzej rozsunąć ciężkie, atlasowe kotary. Światło księżycy nieco rozjaśniło panujący w pomieszczeniu półmrok. Mamy kuchnię w stylu postgotyckim, nowoczesną i miłą dla oka – sam wybierałem gargulce na kominek. Mistrz twierdzi, że małe demony wyrzeźbione na drzwiczkach szafek są podobne do mnie. Osobiście sędzę, że bardziej przypominają wujka F' thalghana.

— Panie? – zaskrzeczałem najbardziej usłużnym tonem, na jaki potrafiłem się zdobyć.

Serpentinus ani drgnął. Teraz, z góry, dostrzegłem, że czytał przy jedzeniu, oświetlając książkę słabym blaskiem kaganka. Świetnie, po prostu świetnie. Potem narzeka, że karty ksiąg zaklęć skleją się w kluczowych momentach podczas rytuałów.

Czyściliście kiedyś starożytny pergamin z dżemu śliwkowego?

Wylądowałem na stole.

— Mój panie?

Machnął dłonią, jakby odganiał natrętną muchę. Zgarnąłem mu książkę sprzed nosa. Rzucił mi gniewne spojrzenie i wyciągnął rękę po swoją własność. Natychmiast wzbiłem się w powietrze. Tomik był niewielki, w formacie quatro , mogłem unieść go bez trudu.

— Oddawaj!

— Ani mi się śni. – Dokładnie przyjrzałem się okładce. – Sonety , tom pierwszy. Petrarca? Nie znam takiego czarnoksiężnika.

— To poezje – burknął Serpentinus. – Hark, uprzejmie proszę, nie przeciągaj struny.

Poezje? Nowa dziedzina magii? Zaintrygował mnie, słowo daję.

— To znaczy? – Przycupnąłem na kominku i na chybił trafił zajrzałem do środka. – „ Jeśli to nie miłość – cóż ja czuję? A jeśli miłość – co to jest takiego? Jeśli rzecz dobra – skąd gorycz, co truże? ” . Hmm. Na mój rozum, brzmi jak ludzkie pieśni godowe. Szukasz samicy?

Mistrz gwałtownie poderwał się z krzesła.

— Hark ... ! Piekła i demony! Daj mi to! Już!

— Tak, panie – odparłem słodko, po czym cisnąłem książką w Serpentinusa. Złapał w samą porę zanim papier wszedł w bliski kontakt z talerzem pełnym tłustej zupy. A potem, nauczony doświadczeniem, wyfrunąłem z kuchni, nie czekając, aż mistrz zdąży przygotować zakłęcie ofensywne. Nie mogłem się powstrzymać od diabelskiego chichotu.

A więc tak się sprawy miały! Dlaczego nie domyśliłem się wcześniej? Mój pan najzwyczajniej w świecie potrzebował

partnerki. Niewiele wiedziałem o ludzkich zalotach, ale podejrzewałem, że raczej nie będzie skory do udzielania szczegółowych informacji. Śmiertelnicy poświęcali mnóstwo energii na komplikowanie sobie życia. Udało im się zmienić w rytuał nawet prozaiczną czynność pozywiania się, nie wspominając nawet o tym, jak daleko odeszły od pierwotnej funkcji okrycia chroniące ich przed zimnem. Przez wiele lat współpracy z mistrzem uczyłoczyłem się aż nadto, ale obyczaje godowe śmiertelnych były mi obce – Serpentinus pędził żywot samotnika. Kilka zdań przeczytanych tu i ówdzie w związku ze starożytnym, dawno zarzuconym zwyczajem składania dziewic w ofierze sugerowało, że seks u ludzi stanowił tabu.

Jeżeli więc chciałem pomóc mistrzowi, musiałem najpierw ostrożnie wybadać teren.

Na początek należało przejrzeć bibliotekę. Na szczęście, lub niestety, nie dysponowaliśmy zbyt obszernym księgozbiorem. Czarnoksiężnik na dorobku wydaje zwykle bająnskie sumy na literaturę, a woluminy potrzebne nekromantom bywają jeszcze droższe. Do tej pory Serpentinusowi udało się zapełnić zaledwie półtorej szafy, przy czym wciąż spłacał raty za dwa czy trzy zakazane, rzadkie, tomy. Przy ostatniej wizycie w mieście odwiedziliśmy jednak księgarza i chociaż mistrz nie wyniósł stamtąd kolejnego foliału (od czego ledwie go odwiodłem) , zapewne potajemnie kupił tego Petrarke. Słowo daję, nawet na chwilę nie można go spuścić z oka.

Znałem na pamięć układ ksiąg więc drugi nadprogramowy tomik znalazłem prawie natychmiast. Uczepiłem się pazurami krokwi, wygodnie zawisłem głową w dół i zacząłem czytać.

Po kwadransie zrezygnowałem z dalszej lektury. Nie

dowiedziałem się niczego konkretnego poza tym, że zabiegi o względy ludzkiej samiczki – kobiety, niewiasty, białogłowy, jak zwał tak zwał – wiążą się z cierpieniem. Odruchowo podrapałem się po starej bliźnie na skrzydle. Też mi rewelacja. Sam bym się domyślił, dziękuję. Szczegóły, potrzebowałem szczegółów! Jak należy śpiewać pieśni godowe? Jak zwrócić się do samiczki, żeby przypadkiem nie zagryzła, czy co tam ludzie sobie robią w takich wypadkach (w dziedzinie wyrządzania krzywdy bliźniemu są w końcu bardzo pomysłowi) ? Czy w grę wchodzi jakieś podarki, jak u niektórych gatunków ptaków? A co potem? Miałem wrażenie, że trwała monogamia, ale nie byłem tego do końca pewny. Kiedyś plądrowaliśmy grobowiec starożytnego króla, znaleźliśmy tam całe mnóstwo kobiecych szkieletów. Mistrz wyjaśnił, że to wszystkie partnerki władcy, czyli zdarzały się wyjątki. Jak często – nie miałem pojęcia.

Pewnie w grę wchodziły jakieś skomplikowane detale relacji międzyludzkich. Na Abathura, to przecież gatunek, który wymyślił wymianę monetarną! Ważniejsze diabły robiły niesłychane interesy związane z grzechami dotyczącymi pieniędzy, a mnie od samego myślenia o kontraktach sygnowanych krwią bolała głowa.

Nie ma rady, pomyślałem, trzeba wziąć na spytki śmiertelnika, najlepiej starego, doświadczonego i odpowiednio zblazowanego.

Chyba nawet znałem właściwego kandydata.



KAŻDY Z NAS POTRZEBUJE CICHEJ PRZYSTANI Gdy nadejdzie czas ostatniej przysługi, pamiętaj o zakładzie pogrzebowym „Eternite”. Tylko u nas sen wieczny jest komfortowy i bezpieczny. Wszystkie obrządki w dogodnej cenie, szeroki

wybór trumien i nagrobków. „Eternite” – odpoczywaj w pokoju, my zajmiemy się resztą!



Szybowałem nad miastem, swobodnie unosząc się na prądach powietrznych. Samowolnie oddaliłem się od leśnej samotni mistrza, ale wyrzuty sumienia czułem tylko przez krótką chwilę. Posprzątałem już kuchnię, zamiotłem podłogi i zostawiłem karteczkę w pracowni. Nie planowałem na dzisiaj żadnych rytuałów, a gdyby nagle wpadł na jakiś pomysł, to trudno. Nawet demonowi czasem należy się wychodne.

Nocka była jeszcze młoda. W oknach nadal paliły się światła. Na przedmieściach znano mnie aż za dobrze – chyba na każdych drzwiach wisiały krzyże, podkowy albo wiązki czosnku, a okiennice jak zwykle po zachodzie słońca szczelnie zaryglowano. Miałem wielką ochotę trochę podrażnić miejscowych, postraszyć koty albo przekąsić jakiegoś gawrona, ale bardziej ciekawiło mnie, czego dowiem się od Basilé.

Mieszkał nieopodal cmentarza. To bardzo praktyczne, kiedy ktoś zawodowo zajmuje się grzebaniem zwłok. Czułem się tutaj odrobinę nieswojo. Cmentarna kaplica znajdowała się wystarczająco blisko, żeby ciarki chodziły mi po grzbiecie. I chociaż przez lata pobytu na ziemskim globie oswoiłem się trochę z poświęconymi miejscami, dźwięk kościelnych dzwonów nadal przyprawiał mnie o dotkliwą migrenę.

Dłuższą chwilę kołowałem nad podwórzem, upewniając się, że trafiłem właściwie. Rzadko oglądałem domostwo Basilé z góry. Zazwyczaj przychodziliśmy tu razem z Serpentinusem, a wtedy zwykle krążyłem w pobliżu mistrza, wysilając talent aktorski i

pracowicie tworząc nastrój grozy. Grabarz mieszkał skromnie w niedużym białym domku z czerwonym daszkiem, niczym nieróżniącym się od innych siedzib na przedmieściach. W ogródku hodował anemony, peonie i trochę winorośli, która we wrześniu dawała skąpy plon kwaskowatych, czerwonych owoców. Lubiłem je podskubywać. Zasadniczo nie jestem jaroszem, ale małe urozmaicenia w diecie zawsze się przydają.

W oddali dzwony zaczęły wybijać godzinę ósmą. Powoli zaczynała mnie boleć głowa, na dobitkę z podwórza naprzeciwko od jakiegoś czasu dobiegało piskliwe, wściekłe ujadanie. Wylądowałem na parapecie i zapukałem do okna z nadzieją, że grabarz otworzy zanim zwyczajnie szlag mnie trafi.

Po dłuższej chwili skobelek odskoczył, a okiennice rozchyliły się z cichym skrzypieniem. Ujrzałem dobrze znane mi oblicze. Ludzie zasadniczo wyglądają podobnie, zwłaszcza kiedy zaczną już siwieć i nie można ich rozróżnić po kolorze włosów. Zawsze wpędzało mnie to w pewną konfuzję. Basilé wyróżniał się spośród innych interesującą asymetryczną fizjonomią i bulwiastym nosem, dzięki czemu nigdy nie miałem problemów z zapamiętaniem jego twarzy. Darzyłem go przez to wielką sympatią, którą zresztą zdawał się w pełni odwzajemniać.

— Zmiataj! – warknął na mój widok. – Powiedz mistrzowi, że dzisiaj nie ma nic świeżego.

Droczył się jak zwykle.

— Ach, Basilé! – zawołałem, wciskając się między zapraszająco uchylone okiennice. – Stary druhu! Jakże miło mi ciebie widzieć! I czyż to nie upojny zapach burgunda przesycy wieczorne powietrze? Doprawdy, czytasz mi w myślach!

Zeskoczyłem z parapetu na podłogę, a z niej podfrunąłem na okrągły stolik, gdzie dostrzegłem odszpuntowaną butelkę z

zielonego szkła.

— Mon Dieu – jęknął grabarz i usiadł ciężko na łóżku. – Diabli mnie kiedyś za to wszystko wezmą.

— Masz u nas honorowe miejsce – zapewniłem.

Jęknął ponownie. Nalałem wina do kamionkowego kubka stojącego obok. Pachniało przewybornie. Skosztowałem. Słodkie, krągłe, o bogatym owocowym bukacie. Mmm. Zawsze twierdziłem, że wynalazek fermentacji alkoholowej to jedno z największych osiągnięć ludzkości.

Basilé zerknął na mnie spod oka.

— No dobrze, Hark. Przyleciałeś, ugościłeś się po pańsku, więc mów, co cię tutaj sprowadza. Biada mi, jeżeli poznałeś czarnoksięską metodę przewidywania, kiedy mam zamiar otworzyć butelkę.

— Ach, to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności, drogi Basilé. – Szczodrze gołnałem sobie winka. Stanowczo pomagało na ból głowy. – Potrzebuję twojej pomocy. Ścisłej mówiąc, mam pewne pytanie dotyczące ludzkich obyczajów.

— Mistrz nie odpowie?

— Normalnych, a nie nekromanckich.

— Jezusie w niebiesiech. Chyba nie chcę wiedzieć, o co chodzi.

— Nie bluźnij, to brzydko – upomniałem go. – Burgunda?

Zanim przefrunąłem na łóżko z butelką i kubkiem w rękach, Basilé skwapliwie zakrył prześcieradła kocem.

— Zachowaj sobie kubek – mruknął. – Napiję się z gwinta.

Poczułem się nieco urażony. Codziennie się myję, czyszczę zęby i poza delikatnym aromatem siarki nie wydzielam żadnych zapachów, czego nie można powiedzieć o znakomitej większości śmiertelnych. Zresztą, mniejsza z tym, nie zamierzałem sprzeczać się o drobiazgi.

— Powiedźże, kumie – zacząłem – obity mi się o uszy takie terminy, jak mąż i żona. Wyjaśnij małemu, głupiemu demonowi, co to dokładnie znaczy.

Grabarz, który właśnie pociągnął łyk wina, zakrztusił się gwałtownie.

— Nie do wiary. Żebym musiał na starość opowiadać diabłom o bocianach i kapuście. Jesteś pewien, że nie możesz zapytać o to swoich pobratymców?

— Jakie znowu bociany ... , a rozumiem, tabu. – Machnąłem ręką. – Basilé, wiem, jak się ludzie rozmnażają. Zwyczajnie, tak samo, jak czworonogi. Mnie nie chodzi o fiku – miku, tylko o tę całą waszą kulturę. No wiesz, remizy budują gniazda z roślinnego puchu, a wy macie alkohol, odzież, grę w kości, nocniki ... Zdobyłem pewne doświadczenie w humanologii, ale trochę gubię się w szczegółach.

— Myślałem, że diabły o takich rzeczach wiedzą wszystko.

— Zależy od specjalności, oraz innych drobiazgów. – Przechyliłem kubek i wytrząsnąłem na język ostatnie krople burgunda. – Ja na przykład jestem tylko impem. W hierarchii piekielnej zajmuję miejsce gdzieś pomiędzy przekąską a ścierką do podłogi. Nie zamierzam rozmawiać z ważniakami, bo mogą urwać mi głowę dla zabawy, rozumiesz?

— Biedactwo.

— Czy mnie się zdaje, czy słyszę sarkazm? – prychnąłem. – Opowiadaj, zacny Basilé. I polej jeszcze tego cudownego nektaru. Czy już wspominałem, że jesteś najlepszym, najmilszym i najbardziej gościnnym z grabarzy?

Basilé zadumał się nieco. Zakręcił płynem w butelce, wstał z łóżka, zaczął przechadzać się wokół izby. Widać było, że wspomina dawne czasy.

— Mąż i żona – powiedział wreszcie. – Szkoda, że nie ma już tutaj mojej starej, ona dopiero potrafiła gadać. O tak, potrafiła. Chociaż możliwe, że z tobą wcale by nie chciała gawędzić. Zawsze miała na podorędziu ciężki wałek i miotłę, nie bała się żadnych szkodników. Wyfrunąłbyś kominem, nie zdążywszy mrugnąć.

— Taka była potężna? – zdumiałem się. Słowa starego grabarza przeczyły moim dotychczasowym wyobrażeniom. Serpentinus używał czasem określenia „słaba płeć niewieścia”. Chociaż, z drugiej strony, mógł się po prostu nie znać.

— Ano, nie brakowało jej niczego ani z tyłu ani z przodu – roześmiał się Basilé. – Zresztą świetnie gotowała. Ale nie daj Boże wrócić do domu ululanym! Wałek w robocie. O, potężna to bardzo dobre słowo. A jaka gospodarna! Diable, przy niej nic się w domostwie nie zmarnowało, niczego nie zbrakło. I czyściutko było, po księżęcemu. Żaden chłop tak gospodarstwa nie poprowadzi, jak baba.

Poczułem ukłucie lęku.

— Gotowała, sprzątała, dbała o zaopatrzenie? – upewniłem się.

— I to jak. – Łyknął burgunda.

— Znaczy – żona hoduje męża?

Basilé nagle wzdął policzki, a potem obryzgał alkoholem pół izby. Spróbował coś odpowiedzieć, ale nie mógł – nadal się krztusił. Dwie ciemne strużki popłynęły mu z nosa.

— Każda żona gotuje? – Z niepokoju skakałem po sienniku. Jeśli mistrz znajdzie sobie kobietę, to co stanie się ze mną? Czyba mnie nie wyrzucą? Nie odeślą z powrotem do piekła?

Grabarz złapał jakąś szmatkę z kąta i wysmarkał się w nią solidnie.

— Niektóre ... khe ... są na to zbyt leniwe. No i rzecz jasna,

żadna księżna ani hrabina nie zniży się do prac domowych. Od tego mają służące.

A więc postanowione. Serpentinus dostanie księżniczkę albo hrabiankę, już moja w tym głowa.

— Powiedz, Basilé, jak się zdobywa żonę?

— Słuchaj no, jak tobie tam, impie. – Mój rozmówca usuwał szmatką ślady katastrofy. Plamy szczególnie chciały schodzić z desek podłogowych i odniosłem bliżej niesprecyzowane wrażenie, że nie jestem już mile widziany w tym domu. – Zapytaj kogo innego, co? Ot, choćby szeptuchy z za rzeki. Sprzedaje eliksiry miłosne, to się zna, zresztą towarzystwo w sam raz dla ciebie. No, sio stąd! Wynocha! Bo zaraz zacznę odmawiać zdrowaśki.

Dla poparcia swoich słów sięgnął po stojącą obok szafy wielką miotłę. Może nawet tę samą, której używała jego nieboszczka żona. Natychmiast zrozumiałem subtelną aluzję i czym prędzej wyniosłem się przez okno.

Na zewnątrz właśnie zaczynała siąpić mżawka. Dzwony już umilkły, ale piesek wciąż ujadał z godną podziwu wytrwałością i na ten dźwięk mój żołądek odpowiedział donośnym burczeniem. Cóż. Wyglądało na to, że śledztwo jeszcze się nie skończyło, a ja już byłem głodny.



Nieprzyjemności w pracy? Mleko znowu skwaśniało? córka rybaka nie chce cię znać?

Odwiedź Marianne strażniczkę tradycyjnej wiedzy przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Bądź roztropniejszy niż twoi sąsiedzi! Zaufaj mądrości naszych prababek!

U Marianne – napoje miłosne, odczytywanie uroków, klątwy na zamówienie. Niskie

ceny. Pełna dyskrecja.



Ogryzając resztki psiego udka, frunąłem beztrosko w kierunku wiedźmiego domostwa. Szeptucha ulokowała się bardzo dogodnie – na skraju miasta, ale wystarczająco blisko dla ewentualnych klientów. Dbała o wizerunek. Już pierwszego roku, kiedy zamieszkała w starym młynie, kazała odmalować go na czarno z czerwonymi esami – floresami wokół okien i drzwi. W każdym innym wypadku taka ostentacja mogłaby źle się skończyć dla adeptki sztuk tajemnych. Wiedźma szczyciła się jednak szlacheckim pochodzeniem, a nasz książę bez żenady nazywał ją drogą kuzynką. W tych warunkach domorośli inkwizytorzy, jeżeli naprawdę cknęło im się do stosów, mogli co najwyżej palić kupy śmieci na własnych podwórkach.

Wiedźma miała na imię Marianne i pilnowała, żeby jej goście o tym pamiętali. Kilka lat temu trafił się jeden taki, który nie chcąc stosować się do wymogów uprzejmości, uparł się nazywać Marianne jędzą. O ile nie zjadła go żadna czapla, pewnie nadal polował na muchy w nadrzecznych zaroślach. Ten incydent znacznie podniósł i tak dość wysoką reputację szeptuchy, od tej pory pławiła się więc w luksusach, budząc nieukrywaną zazdrość mistrza. „ Tak, dobrze zarabia ” , powiadał , „ ale w gruncie rzeczy jej wiedźmiarstwo jest tylko przyziemnym rzemiosłem dla pospólstwa. Natomiast nekromancja, tajemnice życia i śmierci – to dopiero prawdziwa sztuka! ” .

Może i miał rację. To w niczym nie zmieniało faktu, że my byliśmy zadłużeni u księgarza, a tymczasem na podwórzu Marianny stała sześciokonna czarna karoca, najnowszy model z

funkcją transformacji w dynię.

Wylądowałem przed wejściem dla klienteli, otrząsnąłem się z deszczu i już miałem zamiar podskoczyć do kołatki, kiedy drzwi uchyliły się z niepokojącym skrzypieniem. Oczekiwałem, że wychyli się zza nich gospodyni, ale nie zobaczyłem nikogo. Tylko wiatr świszczwał ponuro w ciemnej sieni.

— Pretensjonalne tanie sztuczki dla mieszczan – mruknąłem niechętnie.

— Możliwe. – Kobięcy głos docierał do mnie z głębi korytarza. – Ale działają bez zarzutu. Nie waż się ruszyć z miejsca, Hark. Nie fruważ. Nie skacz. Staraj się niczego nie zjeść ani nie rozbić. Doskonale wiem, jak trudno cię od tego powstrzymać.

Marianne zbliżyła się powoli, niosąc kaganek. Jak na wiedźmę, była jeszcze całkiem młoda – nie przekroczyła nawet czterdziestki. Do tej pory nie zdołała wyhodować ani jednej porządnej brodawki, toteż, jak to się zwykle robi w takich wypadkach, przyklejała do nosa i policzków małe cieliste kuleczki utoczone z bliżej nieokreślonej substancji. Wyglądały dostatecznie wiarygodnie dla laików.

Nosiła także siwą, zmierzwioną perukę. Wiedziałem, że ukrywała pod nią gęstą czuprynę długich złocistych włosów dla wygody zwiniętych w kok. Nikt nie uwierzyłby jasnowłosej wiedźmie, zwłaszcza ładnej. Prosty lud pielęgnował trudne do wytrzebienia przesady dotyczące blondynek.

— Zobaczyłam cię w szklanej kuli – rzekła szeptucha. – I pomyślałam sobie, że należy cię mieć na oku. Co to za szczątki?

Zerknąłem na kość udową, którą nadal trzymałem w rękę.

— Nic takiego, to tylko psina – rzuciłem kość za siebie. – Zresztą nie twoja.

— Nie śmieć mi tutaj – poleciała surowo. – Posprzątaj. Po co

przyleciałeś?

Podniosłem kość, wetknąłem do wielkiego wazonu z kwiatami i ukloniłem się w pas.

— Madame , potrzebuję wiedzy dotyczącej obyczajów śmiertelników. Jesteś taka potężna i mądra, pomyślałem, że na pewno poradzisz dobrze ...

Prychnęła z rozbawieniem, ale widać było, że jej próżność została mile polechtana.

— Droga Marianne, chcę wiedzieć, jak należy zalecać się do ludzkich kobiet.

Uniosła brwi.

— Odnoszę wrażenie, Hark, że się za bardzo uczłowieczyłeś.

— To nie dla mnie – oburzyłem się. – No wiesz co! Fuj! Chodzi o mistrza Serpentinusa. Potrzebuje żony, więc pomyślałem, że jakoś mu pomogę.

Na twarzy Marianne odmalował się wyraz zaciekawienia.

— Żony? Z czego to wywnioskowałeś?

— Całymi dniami chodzi i wzdycha. Czyta pieśni godowe jakiegoś Petrarke. Mnie się wydaje, że chciałby, ale się boi. Czy ludzkie samiczki gryzą?

— Ach. – Wiedźma rozpromieniła się z całkowicie niezrozumiałych względów. – Harkusiu, mój drogi, chodźże do gabinetu. Opowiedz mi o tym dokładniej. Mam doskonałą nalewkę, wiesz?

Nie wiedziałem, co spowodowało nagłą zmianę nastroju czarownicy, ale darowanej nalewce w korek się nie zagląda. A Marianne przyrządzała wyborne wódki ziołowe według starych wiedźmich receptur i zazwyczaj nie była chętna, aby częstować nimi byle impa. Perspektywa skosztowania napitku znęciła mnie tak dalece, że zupełnie zapomniałem o pewnym drobnym fakcie.

Otóż więdźmy knują. To pierwsza rzecz, której uczą się kandydatki na czarownice, chociaż można przypuszczać, że do terminu przyjmowane są tylko niewiasty, które już wcześniej wykazują niejakię zdolności do intryg. Do tego stopnia mają we krwi knowanie, że jeśli przez dłuższy czas obracają się w towarzystwie ludzi prostych i szczerych, popadają w depresję i zaczynają tracić moc. Istnieją szeptuchy, które spiskują tylko w szczytnych celach – wiadomo, kim tak naprawdę są dobre chrestne wróżki. Jednak większość z nich traktuje intrygę jako sposób na życie i praktyczny środek do jak najłatwiejszego osiągnięcia pożądaných celów. Od razu powinienem się zorientować, że Marianne właśnie obmyśla jakiś nowy plan. Ale w gruncie rzeczy impy mają bardzo prostą konstrukcję psychiczną. Jeżeli ktoś podetknie mi pod nos, dajmy na to, świeżą polędwicę, zrobię dla niego wszystko. Z wyjątkiem działań na szkodę mistrza, rzecz jasna.

Nie zwlekając ani chwili, podążyłem więc za Marianne. Zgodnie z poleceniem powstrzymywałem się nawet od fruwania, chociaż nie znoszę oglądać świata z żabiej perspektywy.

Gabinet więdźmy był oczywiście więdźmowaty. Krzywe, sękate mebelki w stylu rustykalnym, pęczki ziół i sznury czosnku zawieszane pod sufitem, przyćmione światło na wpół roztopionych świec w mosiężnych lichtarzach i wielki, osmalony kocioł. Ten tutaj, ma się rozumieć, stanowił tylko element wystroju. Marianne przygotowywała dekokty w pracowni, do której postronni mieli zakaz wstępu.

— Usiądź sobie wygodnie – zachęciła mnie, wskazując skrzypiące wiklinowe krzesło. Skwapliwie skorzystałem z zaproszenia. Więdźma otworzyła szafkę, wydobyła z niej butelkę i dwa złocone kieliszki.

— Czy wiesz może, o jakiej młodej damie mowa?

— Krwi szlacheckiej, to pewne. – Wodziłem wzrokiem za butelką i kieliszkami. – Nie będzie gotować i sprzątać, bo ja się tym zajmę.

Uśmiechnęła się z uznaniem, hojnie polewając trunku.

— Też uważam, że to znakomity pomysł – powiedziała. – Jeżeli czyta Petrarke, to zapewne ma na myśli kogoś bystrego? Piśmiennego? Kogoś, z kim mógłby znaleźć ... wspólne zainteresowania?

— Ma się rozumieć, że tak. – Mistrz wielokrotnie narzekał na ciemnotę współczesnych, którzy nie potrafią docenić jego sztuki.

— Wiedziałam, że ktoś taki jak on nie zwróciłby uwagi na zwykłą mieszczkę. – Marianne postawiła kieliszki na okrągłym stoliku. – Między nami mówiąc, uważam Serpentinusa za niezwykle zdolnego czarnoksiężnika. Moim zdaniem to profesjonalista, a tacy nie trafiają się często, zwłaszcza wśród mężczyzn. Powinieneś czuć się zaszczycony, że z nim współpracujesz.

Pęczniałem z dumy. Pierwszy raz usłyszałem od kogokolwiek tyle dobrego o moim mistrzu. Kiedy wrócę do samotni, na pewno mu o tym opowiem.

— Tylko schudł ostatnio, nieboraczek – zauważyłem. – Martwię się o niego.

— Ja również, drogi demonie, ja również – westchnęła. – Przy okazji, czy wiesz, że w teatrze miejskim wkrótce odbędzie się premiera nowego Danse Macabre ? Tak się składa, że dostałam po znajomości dwa bilety. Sama nie pójdę, więc naprawdę nie wiem, co powinnam z nimi zrobić ...

Siorbnąłem nalewki. Dokładnie czegoś tak doskonałego się spodziewałem. Mlaszcząc z rozkoszą, zastanawiałem nad

składnikami kordiału. Na pewno smakował piołunem, goździkami, miętą oraz innymi przyprawami, których nie potrafiłem rozpoznać.

— Nie mam pojęcia. Możesz oddać dwojgu ludziom, którzy lubią teatr. To rozsądniejsze, niż używanie ich w charakterze zakładki. Wracając do tematu, powiedz, droga Marianne, jak należy zdobywać księżniczki?

Wiedźma zastygła w bezruchu.

— Co?

— Księżniczki – powtórzyłem głośniej. Coraz mniej obchodziła mnie ta rozmowa. Zawartość kieliszka wymieszała się w moim żołądku z burgundem i chociaż tak jak inne demony szczytę się wybitną odpornością na odurzające właściwości alkoholu, poczułem się przyjemnie odprężony. Wyciągnąłem rękę po dolewkę. – Księżniczka, to znaczy córka księcia. Dla Serpentinusa, za żonę.

— Czy twój mistrz – głos szeptuchy zabrzmiał wręcz nienaturalnie słodko – zakochał się przypadkiem w córce naszego księcia?

Instynkt podpowiadał mi, że niewinne pytanie mieści w sobie głębię znaczeń, których nawet się nie domyślałem. Wzmogłem czujność.

— Skąd miałbym wiedzieć? Czy to w ogóle sprawia komukolwiek jakąś różnicę? – Wzruszyłem ramionami. – Księżniczka to księżniczka i basta.

— Nie rozmawiałeś z nim o tym, prawda?

— Nie. Przecież mówię. Siedzi, czyta, wzdycha. Idzie wiosna, więc łatwo dodać dwa do dwóch – wyjaśniłem, nieco już zniecierpliwiony. – Pomyślałem, że najlepiej nada się księżniczka. Trzeba mu pomóc, bo widocznie sam sobie nie radzi.

Powiesz mi, jak się do tego zabrać, czy nie?

W zwykłych warunkach nie zdobyłbym się na taki tupet wobec Marianne. Miała nie gorszy temperament od Serpentinusa i równie dobrze potrafiła ciskać klątwami. Ale jak już wspomniałem, spożyte napoje wpłynęły dodatnio na moją pewność siebie. Nawet się nie zdziwiłem, kiedy wiedźma, zamiast poczęstować mnie dobrze wymierzonym zaklęciem, dołała wódki do kieliszka i zaczęła konspiracyjnie: – Z największą przyjemnością. Zrobię wszystko, aby pomóc drogiemu koledze po fachu. Posłuchaj, demonie. Istnieje kilka niezawodnych sposobów na to, by wkraść się w łaski szlachetnie urodzonej damy ...



Pomarańczowa ciecz wesoło bulgotała w kociołku. Mieszałem miksturę szklaną różdżką, jednocześnie obserwując drugi palnik, na którym podgrzewał się nieduży mosiężny alembik. Płyn, który buzował w pękatym naczyniu, parował i skraplał się na długiej, wygiętej szyjce aparatu, skąd – już jako klarowny destylat – ściekał powoli do zlewki umieszczonej w zimnej wodzie.

Uzyskany w ten sposób składnik co jakiś czas dolewałem do kociołka, na zmianę podstawiając pod rurkę drugą zlewkę. Czuję się jak wirtuoz popisujący się przed publicznością odgrywaniem niezwykle skomplikowanej partytury. Do takiej wprawy technicznej, która pozwala na jednoczesną destylację komponentu i przygotowywanie eliksiru, nie dochodziło się od razu. Zazwyczaj obydwie procedury wykonuje się po kolei. Ale najlepsze efekty przynosi dodawanie destylatu na świeżo, nie wspominając nawet o zaoszczędzonym w ten sposób czasie.

Mistrz siedział obok przy stole zarzuconym stertą papierów. Gryzł ołówek, szkicował coś na kartce i mamrotał. Staralem się nie wchodzić mu w paradę. Gdyby nie moja wczorajsza nieobecność, nowa mikstura już dawno byłaby gotowa. To, że doświadczenie nie zostało wcześniej zaplanowane, w niczym mnie nie tłumaczyło. Dostaliśmy zlecenie od bogatego kupca, który pragnął postawić na straży w rodzinnym grobowcu prawdziwą ożywioną mumię. Serpentinus oczywiście nie znał egipskich sekretów mumifikacji, które dawno zaginęły w pomroce dziejów. Współczesne metody miały mniej więcej tyle wspólnego ze starożytnymi, co kości sprzedawane przez wędrownych handlarzy z prawdziwymi szczątkami świętych. Odkryliśmy kiedyś zesuszone ciało świętego Innocentego i zapewniam, nieboszczyk miał wszystkie kończyny w komplecie. Brakowało mu tylko ... no, mniejsza z tym. W każdym razie moda na zabandażowane truposze mogła nieźle podratować nasz budżet (oraz, o ile znałem Serpentinusa – budżet księgarza) .

Między jedną a drugą porcją destylatu myślałem o właściwym podarunku dla księżniczki. Według wyjaśnień Marianne, ludzie nie byli szczególnie oryginalnym gatunkiem pod względem pierwszej fazy zalotów. Samczyk, który pragnie zaskarbić uwagę samiczki powinien jej przynosić cenne przedmioty. Najlepiej, podkreślała wiedźma, świadczące o mistrzostwie w rzemiośle, które uprawiał. Logiczne, prawda?

Wpadłem na kilka pomysłów, a niektóre z nich wyjątkowo spodobały się czarownicy. Wypreparowana małpia główka byłaby podobno zachwycająca, tak samo jak połączony miedzianymi drucikami żywy szkielet siedmiopalczastej dłoni. Zakonserwowana w alkoholu łapa niedźwiedzia polarnego również mogła wzbudzić w księżniczce fascynację. Szeptucha

sugerowała mózg w słoiku, ale wbrew obiegowym opiniom mieliśmy na stanie zaledwie dwa, z czego tylko jeden trzymaliśmy w balsamie życia. Drugi pływał w zwykłej formalinie i jako taki nadawał się wyłącznie do badań anatomicznych. Świeże, nienaruszone mózgi to rarytas, trudno je dostać i zawsze kosztują majątek.

Po dłuższym zastanowieniu doszedłem jednak do wniosku, że rozmaite części ciała, choć bez wątpienia interesujące dla fachowców, raczej nie przykują uwagi laika. Skąd księżniczka miała wiedzieć, jakiego kunsztu wymaga zabalsamowanie kruchej główki makaka? Nie, prezent musiał być przede wszystkim ucieszny i pomysłowy.

Z uwagą podmieniłem zlewki pod szyjką alembiku. No jasne! Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej? Nowy koncept był niezwykle prosty do wykonania nawet przy moich ograniczonych zdolnościach magicznych, a przy tym dość widowiskowy. Jego przygotowywanie mogło mi jednak zająć sporą część wieczoru, toteż musiałem jak najszybciej skończyć miksturę i namówić Serpentinusa na odpoczynek. W końcu mumia nie ucieknie, a mistrz wyraźnie potrzebował relaksu.



OŻYWIENIE MOTORYCZNE SZKIELETU ZWIERZĘCEGO

Składniki: dobrze oczyszczony, suchy szkielet, balsam życia, krew kozia, kadzidło żywiczne (sosna lub świerk), świece woskowe, szare mydło.

Procedura: 1. Przygotować standardowy balsam życia w ilości trzech uncji na kilogram kości (światło księżyca 10%, ślina nietoperza 0,02%, bulion wołowy 15%, kamień winny – ćwierć łuta/uncję). Dokładnie namaścić szkielet przy pomocy

pędzelka.

- 2. Przygotować świeżo utoczoną lub odzyskaną z pijawek krew kozią. Wyrysować pentagram o promieniu 1 łokcia.*
- 3. Umieścić szkielet w pentagramie. Uwaga: nie przerwać linii!*
- 4. Zapalić świeczkę w każdym rogu pentagramu. Dodać po grudce kadzidła.*
- 5. Wyrecytować inkantację nr 16892 z mocą o natężeniu 2,5 diabliska na minutę.*
- 6. Ożywiony szkielet wyprowadzić z pentagramu. Procedurę powtórzyć do dziesięciu razy z nowym szkieletem, w razie potrzeby poprawiając rysunek.*
- 7. Rozpuścić mydło w wiadrze wody. Pozmywać.*



Skończyłem pracę dopiero dobrze po północy. Staralem się jak mogłem, ale uspienie czujności mistrza po wczorajszej eskapadzie stanowiło jednak dosyć trudne zadanie. W końcu zdołałem wytłumaczyć Serpentinusowi, że muszę przygotować kilka doświadczeń wstępnych w ramach projektu z mumią. Jak do tej pory nie wskrzeszaliśmy niczego, co miało na sobie bandażę i wyliczenia techniczne nie zostały jeszcze przetestowane w praktyce. Od czasu tragicznego wypadku przy pionierskich eksperymentach ze szkieletami smoków, w sztuce nekromantycznej istnieje dobry zwyczaj wykonywania pierwszych prób na mysich szczątkach.

Serpentinus trochę oponował. W pewnych kręgach mumie stały się już standardem. Nic trudnego dla zdolnego czarnoksiężnika, którym niewątpliwie był mój pan. Ale przecież nie w każdej pracowni wszystko działa jednakowo; na procedurę mogą wpływać choćby temperatura i wilgotność powietrza, nie wspominając o naturalnym tle magicznym. Wreszcie mistrz machnął ręką i zostawił mnie samego w pracowni.

Dwie godziny później wszystko było gotowe. Starannie wypucowałem stół, a potem umyłem kociołki, usuwając wszelkie ślady doświadczeń. Spakowałem niewielki płócienny plecak i przewiesiłem szelki przez ramiona, umieszczając bagaż na brzuchu, żeby nie przeszkadzał w lataniu. Na szczęście nie ważył zbyt wiele. Zamierzałem lądować na zamkowym dachu, a przy porywistym wietrze i sporym obciążeniu taki manewr mógł sprawiać niejake trudności.

Dyskretnie wymknąłem się przez okno i nie zwlekając, wzbiłem się w powietrze.

Księżyc wciąż stał wysoko na niebie. Wielki, jasny i otoczony lisią czapą zwiastował zmianę pogody. Leciałem nad pogrążonym we śnie miastem. Po całym dniu spędzonym w laboratoryjnym zaduchu chłodne, czyste powietrze przyprawiało mnie o zawrót głowy. Gdyby nie plecak i szelki wpijające się w ramiona, natychmiast zrezygnowałbym z mojego kunsztownego planu i zanurkowałem w ciemne zaułki, aby straszyć koty i nietoperze. Ciężar pakunku przypominał mi jednak, że na swój sposób uczestniczę w wielkiej przygodzie (nadmiar świeżego powietrza zawsze sprawiał, że czułem się bardzo bohatersko).

Z tej wysokości domy przywodziły na myśl klocki. Ani impy, ani inne latające stworzenia nie potrzebują map. Kiedy można patrzeć na świat z góry, dowolnie zmieniając przy tym skalę, kartografia okazuje się tylko skomplikowaną protezą dla biednych, pozbawionych skrzydeł stworzeń, jakimi są ludzie.

Miasto zostało kiedyś założone w pewnej odległości od zamku, który jeszcze wtedy spełniał głównie rolę warowni. Z czasem jednak rozrosło się do tego stopnia, że zabudowania podeszły pod same mury. Niewielki nadrzeczny zamek również nie przypominał już surowej średniowiecznej twierdzy. Kilkakrotnie

przebudowywany, ozdobiony nowoczesnymi łukami, arkadami i wieżyczkami prezentował się nad wyraz przyjemnie. Nasi władcy mogliby się wiele nauczyć od ludzi w kwestii architektury. Skończyłoby się budowanie kiczowatych, posępnych czerepów. Czaszka, zarówno ludzka, jak i zwierzęca, to małe arcydzieło natury. Sztuka nie znosi jednak przesady i tego właśnie nie rozumiała większa część moich pobratymców.

Westchnąłem ciężko. Wychodziło na jaw, jak bardzo się uczłowieczyłem przez lata pobytu na ziemi. Jeszcze trochę, a zacznę sypiać w czapce, albo, co gorsza, nosić majtki.

Lądowanie przebiegło bez problemów. Spadzisty dach zamku był pokryty łupkiem z pobliskich kamieniołomów, a na takiej chropowatej powierzchni nie sposób się poślizgnąć, zwłaszcza jeżeli dysponuje się kompletem dobrze utrzymanych pazurów. Kłopotów mogło dostarczyć jedynie odnalezienie komina prowadzącego do komnat księżniczki, ale tę przeszkodę rozwiązałem już wcześniej, wykorzystując magiczne lustro Serpentinusa (swoją drogą zbyt długo leżało odłogiem – mistrz najczęściej używał go przy goleniu).

Przespacerowałem się po dachu w nadziei, że dobrze zapamiętałem odpowiedź lustra. Wkrótce odnalazłem właściwe miejsce i podfrunąwszy odrobinę, przysiadłem na krawędzi komina.

Kto inny zapewne obawiałby się takiego manewru. Wchodząc do komina bez ostrzeżenia, można przecież trafić na rozżarzone węgielki. Ale ja akurat pochodziłem z piekła, a tam bywa znacznie goręcej i nikomu to jakoś nie przeszkadza. Musiałem jedynie ochronić bagaż, ale przecież nikt mi nie kazał kłaść go bezpośrednio na palenisku.

Skrupulatnie poprawiłem więc szelki, a potem, zapierając się o

ściany komina rękami i nogami, zacząłem ostrożnie schodzić w dół.

Powiem szczerze – nigdy więcej nie chciałbym powtarzać tego doświadczenia. Wiedziałem, że w środku będzie sporo sadzy, ale chyba nie do końca przemyślałem definicję słowa „ sporo ” oraz samą definicję sadzy. Wyobrażałem sobie mgliście, że trochę się pobrudzę. Nie sądziłem, że przyjdzie mi zagłębiać pazury w śliskiej, tłustej w dotyku czarnej mazi i krztusić się od cuchnącego pyłu, który wzbijał się w powietrze przy każdym ruchu. Piekło nie potrzebuje dodatkowego ogrzewania, nie mamy tam kominów. Przyszło mi do głowy, że właśnie wynalazłem nowy sposób dręczenia grzeszników i jeżeli kiedykolwiek spotkam kogoś od nas, bez wątpienia zapoznam go z tym patentem. Pomyśleć tylko, że istnieli ludzie, którzy zarabiali na życie, pakując się do środka!

Wylądowałem wreszcie na palenisku, w wielkiej chmurze popiołu. Nie mogłem powstrzymać się od kichania i kaszlu. W dodatku – przykra niespodzianka! Stałem wprost na tłących się jeszcze węglach. Mój prezent, pomyślałem przerażony. Jeszcze się zapali!

Gwałtownie wyskoczyłem z kominka. Zostawiałem plamy sadzy na kosztownym perskim dywanie, ale nie to mnie akurat martwiło. Spojrzałem przed siebie.

Księżniczka stała obok łoża, wpatrując się we mnie z mieszaniną osłupienia i grozy. W prawej ręce dzierżyła pogrzebacz.

Już kiedyś miałem okazję widzieć pannę Beatrice, bo tak właśnie nazywała się córka księcia. W okolicy powszechnie chwalono jej urodę – długie złote włosy, mleczną cerę, smukłą kibić i tak dalej. Gdyby nie lekki zez i odrobinę kaczkowaty chód,

księżniczka byłaby skończoną pięknnością. Nie miałem żadnych wątpliwości – nie pomyliłem komina. Ale o dyskretnym podkładaniu prezentu mogłem już raczej zapomnieć.

— Witaj, o piękna pani! – zaskrzeczałem i odkaszlnąłem solidnie. Nadal miałem płuca pełne sadzy. – Spójrz, jakie misterne cuda przynoszę ci w darze!

Beatrice przełożyła pogrzebacz do lewej ręki, a prawą zgarnęła kapę z łóżka. Nie zaczęła krzyczeć, co uznałem za swego rodzaju zaproszenie do prezentacji. Rozsznurowałem plecak i nie dotykając zawartości usmolonymi rękami, pozwoliłem moim dziełom samodzielnie wyjść na dywan.

Pomalowany na zielono szkielet wielkiego szczura postąpił kilka kroków naprzód. Kręcił pyszczkiem na wszystkie strony, prezentując wszem i wobec pomarańczową bibułę imitującą płomienie. Dwa mysie kościotrupki ustrojone w ciekawą złoconą blaszkę dźwignęły się na tylne łapki i trzymając w przednich po jednej szpili do robienia na drutach, ostrożnie zbliżyły się do szczura.

Z plecaka wypełzła trzecia myszka. Z tego elementu przedstawienia byłem szczególnie dumny. Miała na czaszce czapkę z dzwoneczkiem, a do łapek przymocowałem jej drewnianą imitację lutni. Kiedy tylko zaczęła nią poruszać, uruchomiło się zakłęcie muzyczne ustawione na krótki fragment Ballady o siedmiu awanturnikach .

Nie miałem co prawda czasu, aby ożywić aż siedem kościotrupków, ale liczyłem na wyrozumiałość. W końcu istnieje coś takiego, jak licentia poetica.

Ostatnią mysz ubrałem oczywiście w szatę czarnoksiężką i dałem jej do łapki pomalowany na złoto patyczek. Wymachiwała nim energicznie, imitując rzucanie zaklęć.

— O, cholera – powiedziała księżniczka ze zgrozą.

A potem zarzuciła na mnie kapę i przyłożyła pogrzebaczem.

Zamroczyło mnie. Przed moimi oczami zamigotały egzotyczne konstelacje. Głowa pękała mi z bólu – a może rzeczywiście była pęknięta? Kiedy tylko o tym pomyślałem, przeraziłem się nie na żarty. A jeżeli zostałem śmiertelnie ranny, tyle że jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy? Cóż to za żalosny koniec, zginąć w alkwie z ręki księżniczki!

— Jeżeli umrę, utnij mi głowę! – wymamrotałem nieprzytomnie. – Utnij mi głowę i dostarcz mistrzowi w jak najlepszym stanie!

Błagalna prośba pozostała bez odpowiedzi. Poczulem natomiast, że materiał krępuje mnie jeszcze ciaśniej. Zostałem podniesiony z podłogi. Wkrótce rozpoznałem po wstrząsach, że jestem gdzieś taszczony, jak bagaż albo worek kartofli, bez najmniejszego poszanowania dla mojej godności. Szamotałem się bez większego przekonania, ból głowy odbierał chęć do jakichkolwiek zdecydowanych działań. Co zamierzano ze mną zrobić? Poniewczasie przypomniałem sobie, że w zamku utrzymywano kaplicę prowadzoną przez kilku braci zakonnych. Zakiełkowało we mnie straszliwe podejrzenie. A jeżeli zostanę wyegzorcyzmowany? Jeżeli będę musiał wrócić do piekła i znów po tylu latach pieczołowicie wygryzać sobie miejsce wśród pozostałych impów? Ja nie chcę! Stanowczo wolę zostać tutaj!

— Ratunku! – pisałem w rozpaczliwej nadziei, że mistrz jakimś cudem właśnie spogląda w magiczne zwierciadło. – Pomocy! Porwała mnie księżniczka!

Materiał rozwinął się nagle i bezceremonialnie wytrząsnęto mnie na drewnianą podłogę. Pomieszczenie woniało ptasimi odchodami, a w niedalekim sąsiedztwie rozlegał się chór

panicznych popiskiwań.

Rozejrzałem się dookoła. Znajdowałem się w woliery z przepiórkami. Tłuste, dropiate ptaki szamotały się ze strachu w przeciwległym kącie klatki. Od patrzenia na jedzenie zrobiło mi się niedobrze, więc wbiłem wzrok w podłogę. Niestety, w dużym stopniu była pokryta guanem; ten widok również uznałem za nieapetyczny. Dokładnie zlustrowałem wzrokiem pomieszczenie, w jakim Beatrice była łaskawa mnie umieścić i poczucie upokorzenia ścisnęło mnie w gardle.

Dookoła widziałem inne klatki, w których trzymano przepiórki, tuczne kapłony oraz wielkie, spasione króliki. Zauważyłem nawet kilka gronostajów. Krótko mówiąc, potraktowano mnie jak część menażerii, jak pospolite zwierzę hodowlane!

Beatrice stała w pewnej odległości od woliery, ostrożnie wyciągając w moim kierunku kij od szczotki. Zezowała ku mnie z lękiem, ale także z pewnym zaciekawieniem.

— Kopyt nie ma – mruknęła do siebie. – Ale skrzydła i rogi owszem, w dodatku cały jest upaprany sadzą. Założę się, że gryzie.

— Ludzi? – prychnąłem wzgardliwie. – Tylko wtedy, gdy nie dadzą mi innego wyboru. A co do sadzy, mości panno, spróbuj sama wejść kominem do zamku. Phi!

— Dziękuję, ale używam drzwi – odparła rzeczowo. – Zakładam, że jesteś diabłem?

— Konkretnie impem.

Pochyliła się nad klatką, opierając dłonie na kolanach i dłuższą chwilę przyglądała mi się z uwagą.

— Hmm, tak. Ciocia ostrzegła, że będziesz przynosił jakieś paskudztwa.

Zatkało mnie z oburzenia. Nikczemną zdradę Marianne mogłem przewidzieć wcześniej; przykre, lecz w ostatecznym rozrachunku niezbyt zaskakujące. Poczułem się jednak do głębi urażony, słysząc, że Beatrice nazywa paskudztwami moje maleńkie arcydzieła.

— Wiedz, impie, że od urodzenia jestem całkowicie odporna na większość klątw i uroków – kontynuowała księżniczka. – Tato zadbał o pełnowartościowy zestaw dwunastu dobrych wróżek i jednej czarownicy, więc jeśli myślisz o zatrutych jabłkach, wrzecionach albo czymkolwiek w tym stylu, to zapomnij. Nie mam żadnych słabych punktów.

Westchnąłem z rozpaczą.

— Szlachetna pani, sądzę, że oboje padliśmy ofiarą pewnego nieporozumienia. Nie chciałem nikogo straszyć ani rzucać uroków. Przyniosłem pani w darze dzieła sztuki ...

Księżniczka uniosła brew.

— Sztuki? Mysie kościotrupki?!

— Powinienem domyślić się, że szlachetna pani uzna takie wykonanie za zbyt pospolite. – Poczułem się nieco zakłopotany. – Mogłem poświęcić więcej czasu i wypreparować kilka krasnoludków.

— Krasnoludków?! – W głosie Beatrice dźwięczało oburzenie.

— Och, mam tego dość! – jęknąłem. – Przychodzę bez złych zamiarów, przynoszę hojne dary, staram się, przeciskam przez ten durny komin i co? Zostaję sponiewierany, porwany i potraktowany jak przepiórka! Mogłem zginąć! Mogłem nabawić się nerwicy! I na pewno będę miał przez to koszmary!

Stuliłem skrzydła, a nieproszone łzy napłynęły mi do oczu.

— Och. – Księżniczka przybliżyła twarz do prętów klatki. – Nie płacz, malutki. Ojej. Nie chciałam.

O tak, zasługiwałem na litość. W tej chwili czułem się najnędnniejszą istotą na ziemskim padole. Wszystkie moje wysiłki poszły na marne. Zniszczyłem godowe perspektywy mistrza Serpentinusa. I w dodatku nadal nie rozumiałem ludzi.

— Uspokój się, proszę, przecież nic się nie stało. – Wyciągnęła do mnie rękę, ale zaraz ją cofnęła. – Powiedz, czym się żywią impy?

— Niczym! – siąknąłem nosem. – Ogłaszam strajk głodowy.

— To wielka szkoda – westchnęła Beatrice. – Bo zostało trochę pieczeni cielęcej z kolacji i myślę, że znalazłoby się też jakieś Cabernet Sauvignon. Czy diabły lubią wino?

Zastrzygłem uszami. Czyżbym się przesłyszał?

— Wino? – wypaliłem odruchowo. – Który rocznik?



Słowo daję, nie znam lepszego zakończenia ciężkiego dnia pełnego pracy i przygód, niż dobry posiłek i przyjemna rozmowa. Beatrice okazała się najtroskliwszą z księżniczek. Dostałem miednicę z ciepłą wodą i zimny kompres na głowę, chociaż z bliżej nieznanymi powodami moja gospodyni zawiązała mi różową kokardę na ogonie i kazała założyć małą wełnianą czapkę. Wzorem starożytnych Rzymian wylegiwałem się na szezlongu wsparty o atlasowe poduszki, spożywając pieczeń i popijając wino. Przez ostatnie pół godziny perorowałem o sztuce nekromancji. Niestety, księżniczka była całkowicie pozbawiona gustu. Uznała moje kościotrupki za obrzydliwe i nie dawała się przekonać do ich wartości artystycznej.

— Jednego nie rozumiem – spytała. – Po co właściwie wyciąłeś mi taki numer?

Zadumałem się. Nie mogłem udawać, że to był pomysł Serpentinusa. Zresztą, skoro prezent nie spodobał się Beatrice, tylko pogrążyłbym w ten sposób mojego pana. Wyraźnie brakowało mi talentu w dziedzinie intrygowania.

— Chodzi o to, że mój mistrz potrzebuje partnerki – skapitulowałem wreszcie. – No wiesz, wiosna. Pomyślałem, że znajdę mu księżniczkę na żonę ...

Beatrice zamrugła.

— Co takiego?

— Bo Serpentinus – wyjaśniłem – nie może przecież wziąć sobie byle kogo. Skoro już czyta jakieś sonety, nie je, nie śpi po nocach i myli się przy procedurach, to niech przynajmniej pozna kogoś na poziomie. Twoja ciocia twierdziła, że ... Szlachetna pani, czyżbym powiedział coś zabawnego?

— Nie – pisnęła księżniczka, ocierając oczy chusteczką. – Ani trochę ...

— Och, mam tego dosyć – nadałem się oburzony. – Tak się staram, żeby poznać śmiertelników! Polubiłem waszą kuchnię, nauczyłem się nawet cerować skarpetki! Chciałbym wiedzieć, gdzie właściwie popełniłem błąd.

Księżniczka czule pogładziła mnie po głowie.

— Oj, Harkusiu. Posłuchaj mnie tylko przez chwilę. Nie wszystko zrozumiałeś źle. Wygląda na to, że twój mistrz się zakochał. To się czasami ludziom zdarza. Ale wtedy nie jest nam wszystko jedno. Nie jesteśmy zajęcami ani myszami. Potrafimy pokochać jedną osobę naraz ... – Beatrice zastanowiła się. – No, przeważnie. W każdym razie, jeśli Serpentinus znalazł damę swego serca, raczej nie dasz rady go wyswatać. Możesz tylko czekać, co z tego wyniknie.

— A skąd mam wiedzieć, o jakiej damie myśli mistrz?

— Patrz, kogo najczęściej odwiedza. Z kim rozmawia. O kim najchętniej opowiada. Tylko nie spiesz się zaraz do pomocy.

— Och, nie ma obaw – prychnąłem. – Mądry diabeł po szkodzie.

Nie pozostawało mi nic innego, jak pójść za radą księżniczki i zająć się uważną obserwacją poczyznań Serpentinusa. Skoro, jak twierdziła Beatrice, niewiele mogłem poradzić na wybór jego partnerki, postanowiłem przynajmniej dyskretnie go zniechęcić, gdyby dama okazała się nieodpowiednia. Śledziłem mistrza krok w krok i zaglądałem we wszystkie zakamarki domu w poszukiwaniu podarków, listów i poezji. W rezultacie częściej musiałem unikać ofensywnych zakłęb, nie wspominając nawet o miotle. Czułem się jednak w pełni usprawiedliwiony. Chociaż bez wątpienia nadużywałem cierpliwości mojego pana, warto było narazić się na niejedną klątwę dla jego dobra.

Niemniej jednak nie potrafiłem odgadnąć, w kim zakochał się Serpentinus. W uczonej Marianne, uroczej Beatrice, czy może w innej szlachetnej pannie, której nie znałem? Czy mistrz bardziej cenił sobie u niewiast spryt i zaradność, czy piękno, troskliwość i dobre maniery? Jeszcze raz przeczytałem księgi Petrarcki. Odwiedziłem nawet przedmieścia, aby dokładnie przyjrzeć się kilku ludzkim stadłom, ale nadal nie rozumiałem prawideł, wedle których śmiertelnicy dobierają się w pary.

Kilka dni później skończyliśmy mumię i zgarnęliśmy za nią okrągłą sumkę. Mistrz mógł wreszcie spłacić długi, a nawet wyposażyć pracownię w nowy piec.

Wkrótce potem zaczął starać się o rękę Giselle, chudej jak szkielet córki księgarza.

Daniel Greps Siedzę na balkonie z notesem w jednej, i ołówkiem w drugiej dłoni, zastanawiając się, co czytelnik powinien o mnie wiedzieć, bądź też co chciałby wiedzieć, i... nic nie przychodzi mi do głowy. Kogo obchodzi kiedy urodził się Daniel Greps, albo czym (poza pisaniem) zajmuje się w wolnych chwilach? To Daniela Grepsa mogłoby obchodzić, czy King lubi rock and rolla, bądź też czy Tolkien pił piwo. Ale czy osoba autora poniższego opowiadania godna jest choćby wzmianki? Czy ktoś zada sobie trud, by tę wzmiankę przeczytać?

Niemniej, skoro już dostałem głos, nie zawaham się go użyć. Winien jestem ogromne wyrazy wdzięczności ludziom z redakcji Fahrenheita za to, że jako jedyni wyciągnęli w swoim czasie pomocną dłoń do początkującego autora, który coś tam sobie skrobał w pocie czoła i nie za bardzo wiedział, co uczynić z płodami swej wyobraźni, więc błąkał się po Sieci zagubiony jak dziecię we mgle. Wszyscy oni mają moją dozgonną wdzięczność i nie mogę o tym nie wspomnieć przy tej okazji.

Dla formalności jednak kilka słów o mnie: urodziłem się, hmmm... w marcu. W połowie marca. Konkretnie, osiemnastego. Grywam na gitarze, rysuję, ponadto kręcę amatorskie filmy o owadach i komponuję do nich muzykę. Czasem wymyślam gry planszowe, w które nikt nie gra, albo rzeźbię w drewnie. I piszę. Bo tak mi w duszy hula. Cokolwiek robię, robię najlepiej jak potrafię. I to jest chyba wszystko, co chciałbym o sobie napisać.

Daniel Greps GŁÓG

Wszystko zaczęło się od telefonu. Jakiś mężczyzna zadzwonił do mojego gabinetu, aby umówić się na wizytę. Zaznaczył jednak, że musi się ona odbyć po zmierzchu.

— To pilna sprawa – powiedział. – A żaden z pańskich kolegów po fachu nie chce słyszeć o nocnej robocie. Kłopot w tym, że ja

nie mogę się z panem spotkać w dzień ...

Przemyślałem to sobie błyskawicznie: prywatny gabinet stomatologiczny otworzyłem trzy miesiące temu. Mam dwadzieścia dziewięć lat i jestem najmłodszym spośród sześciu dentystów w naszej miejscinie. Nie mam wyrobionej marki i nie mogę sobie pozwolić, by okazje przechodziły mi koło nosa.

Dlatego się zgodziłem. Nawet nie wypytywałem o powody tak niezwyklej zachcianki. Może jest bardzo zapracowanym człowiekiem – myślałem; a może to jakiś dziwak stroniący od ludzi. Dla mnie było to bez znaczenia. Umówiliśmy się, że przyjdzie jeszcze tego samego dnia o godzinie dwudziestej drugiej – tak, jak sobie zażyczył.

Zjawił się punktualnie. Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną o bladym jak brzoza kora obliczu pooranym głębokimi bruzdami – śladami czasu; pociągła twarz i długie do ramion, czarne włosy nadawały mu wygląd posępnego kruka. Uderzyło mnie jego spojrzenie; miał niezwykle oczy barwy czystego szmaragdu. Patrząc w nie, miałeś wrażenie, że coś żyje w nich i tańczy, jak liście targane wiatrem.

— Możemy zaczynać? – spytał tonem łagodnej nagany, widząc, że przyglądam mu się cokolwiek zbyt natarczywie. Zmieszałem się.

— Tak, oczywiście. – Wskazałem mu fotel. – Proszę usiąść.

Obejrzałem jego uzębienie i wydałem werdykt: – Pańska prawa górna szóstka jest w fatalnym stanie. Musimy leczyć kanałowo.

Mimo iż ząb pobolewał go od kilku tygodni, na wizytę u dentysty zdecydował się dopiero, kiedy ból osiągnął apogeum. Typowy przypadek.

— Najpierw go zatrujemy, potem usuniemy miazgę i zrobimy

ładną plombę. Ząb będzie jak nowy – zawyrokowałem.

— Doskonale – odparł. – Jest jednak coś, o czym muszę panu powiedzieć. Nie mam pieniędzy, więc chciałbym zapłacić panu w inny sposób.

Skrzywiłem się. Dostrzegłszy to, nieznajomy ostrzegawczo uniósł palec w górę, jakby chciał zapobiec wypowiedzeniu słów, które cisnęły mi się na usta.

— Niech pan wysłucha mojej propozycji, zanim powie pan „nie” – powiedział.

Cóż, nie byłem zachwycony, ale jestem tolerancyjny. Wiem, że czasem człowieka przycisnie, a pieniędzy ani widu.

— Więc jak chce mi pan zapłacić? – spytałem.

Uśmiechnął się. Uśmiech na moment przemienił go z kruka w wilka.

— Dam panu kobietę. Piękną jak wiosna, mądrą i wierną. Zatrzyma ją pan tak długo, jak będzie chciał.

Oślupiałem. W następnej chwili krew uderzyła mi do głowy. Pomyślałem, że żartuje sobie ze mnie albo jest kompletnym wariatem, jedno z dwojga. Udało mi się jednak zapanować nad sobą, w przeciwnym razie po prostu z miejsca wykopałbym go za drzwi.

— Jak to „kobietę” ? – Narzuciłem sobie dosyć spokojny ton, choć wewnątrz wrzałem i kipiałem. – To nie książka czy parasol.

— Zapewniam pana, że moja propozycja jest zupełnie poważna. Dziewczyna siedzi w poczekalni, może ją pan zobaczyć.

— To jakiś żart? – spytałem. – Bawi się pan w handlarza niewolników?

Rozłożył ręce.

— Decyzja należy do pana. Albo otworzy pan drzwi i obejrzy

dziewczynę, albo ja zamknę je za sobą, wychodząc z pańskiego gabinetu.

Ktoś kiedyś powiedział: „ Jeśli chce się trafić do umysłu kogoś, trzeba przemawiać językiem jego zainteresowań ” . Niezwykły pacjent trafił w mój czuły punkt. Nigdy nie miałem szczęścia do kobiet, a to dlatego, że mój wygląd zupełnie nie idzie w parze z charakterem. Wśród płci pięknej uchodzę za „ zabójczo przystojnego ” , a spotykałem się też z opiniami, że mam „ łotrowski uśmiech ” , nic więc dziwnego, że kobiety zawsze oczekiwały ode mnie wigoru i pewności siebie. Liczyły na powszechnie znany spektakl – stroszenie samczych piór mające sprawić, że będą rzeć ze śmiechu, sączyć postawionego drinka i czuć się niezłymi laskami. Tymczasem ja ... Cóż, przyznaję – byłem offermą. O ile nigdy nie miałem większych problemów z umówieniem się na randkę, tak później, im dalej w las, tym gorzej – że się tak wyrażę. Im bardziej dziewczyna mi się podobała, tym bardziej jąkałem się i czerwieniłem, plotłem trzy po trzy. Zawsze przytrafiały mi się jakieś gafy – a to wylałem dziewczynie piwo na sukienkę, a to otwierając przed ukochaną drzwi uderzyłem ją w nos, w tańcu deptałem po palcach – i tak dalej, na okrągło. Słowem, robiłem wszystko to, czego nie powinienem był robić. W dodatku błyskawicznie się zadurzałem i zupełnie traciłem głowę, co było o tyleż niefortunne, że z jakiegoś powodu kobiety interesowały się mną wyłącznie do momentu, kiedy zaczynało mi na nich naprawdę zależeć – najwyraźniej, trafiony strzałą Amora, rozsiewałem jakieś odstrasające feromony. Ogólnie, przy bliższym poznaniu sprawiałem wrażenie kretyna. Nie wiem, skąd się to wzięło, nigdy nie potrafiłem z tym walczyć. Żadna nie wytrzymała ze mną dłużej niż miesiąc. „ Szczęściarą ” , z którą spotykałem się

przez cały długi miesiąc, była córka samego burmistrza – niewiasta tak nieprzeciętnej urody, że ilekroć ją widziałem, dławilo mnie w gardle. Nasz związek zakończył się w mało romantyczny sposób: – Dlaczego jesteś takim idiotą? – spytała, wykrzywiając usta w grymasie zniechęcenia. – Taki przystojniak, a jeszcze większy kretyn. Co za pech.

Patrząc w zielone oczy nieznajomego, który cierpliwie czekał na moją decyzję, przez kilka chwil toczyłem ze sobą wewnętrzną walkę; wreszcie ciekawość wzięła górę. Otwarłem drzwi do poczekalni i poprosiłem siedzącą tam dziewczynę, by weszła.

Była wysoka i wiotka, delikatna jak płatek róży. Ciemne włosy spływały po plecach kaskadą aż do bioder, stanowiąc cudną oprawę dla boskiej, wspaniałej figury; twarz – pełne usta, wielkie orzechowe oczy, subtelne rysy – była kompozycją idealną jak symfonia Mozarta. Kiedy się uśmiechnęła, usłyszałem odległe tony skrzypiec.

— Na imię ma Głóg – powiedział mężczyzna.

Nie mogłem uwierzyć, że ta dziewczyna może być moja. Coraz bardziej skrupowany poprosiłem, by zostawiła nas na moment samych.

— Ona nie będzie miała nic przeciwko temu? – Uniosłem pytająco brwi.

— Chodzi o to, czy zechce z panem zamieszkać? Oczywiście, że tak. Jeśli będzie pan dla niej miły, będzie dobrze traktował – dlaczego miałyby mieć coś przeciwko? To dobra dziewczyna.

Przekonał mnie. Nie musiał specjalnie się starać, bardzo pragnąłem uwierzyć w jego słowa.

— Głóg? – spytałem. – To jakiś pseudonim?

— To imię, jedyne jakie ma – uciął nieznajomy. – Proszę nie pytać o nic więcej, jeśli nie chce jej pan sprawić przykrości i na

dobrze utracić jej serca, zanim jeszcze pan je zdobył.

Nie pytałem o nic więcej.

Leczenie zęba trwało dwa tygodnie. Wszystkie wizyty odbywały się, podobnie jak pierwsza – późnym wieczorem.

Później zabrałem Głóg do siebie i zamieszkaliśmy razem w domu, który zostawili mi moi świętej pamięci rodzice. Rzeczywiście, to była dobra dziewczyna. Nadzwyczaj miła, taktowna i delikatna, radosna jak wiosenny poranek, pracowita, mądra i pełna ciepła. Nie oczekiwała, że będę supersamcem, nie chciała być obsypywana prezentami. Dla niej liczył się uśmiech i przyjazne słowo. Długo mógłbym opisywać jej zalety.

Oczywiście, początkowo w jej obecności zachowywałem się jak bałwan, czyli – innymi słowy, byłem sobą. Jej jednak to nie przeszkadzało. Nic więc dziwnego, że szybko się z nią oswoiłem, a jeszcze szybciej zakochałem.

Rankiem wychodziłem do pracy, a kiedy wracałem, czekała na mnie z podwieczorkiem. Jedliśmy razem, a potem szliśmy na spacer, trzymając się za ręce, albo przytuleni oglądaliśmy filmy. Zimą toczyliśmy długie rozmowy przy ogniu trzaskającym na kominku, snuliśmy wspólnie plany na przyszłość. Kochaliśmy się namiętnie i zasypialiśmy objęci.

Czasami jednak budziłem się w nocy, a Głóg nie było obok mnie. Znikała gdzieś niepostrzeżenie, by powrócić przed świtem. Kiedyś wstałem i zacząłem jej szukać. Odnalazłem ją na werandzie – siedziała w wiklinowym fotelu zapatrzona w pogrążony w nocnej ciszy ogród. Spytałem, dlaczego nie śpi.

— Muszę pomyśleć, kochanie – odparła. — Tutaj jest tak cicho i spokojnie. Tylko ja i gwiazdy. Dobrze mi się myśli.

— A o czym tak rozmyślasz nocami? To nie może poczekać do jutra?

— O przeszłości i przyszłości – odparła. – Twojej, mojej. Naszej.

— Nie możesz powiedzieć mi więcej? – spytałem. – Martwię się o ciebie. Jesteś jakaś przybita. To nie jest normalne, żeby ...

— Nie chcę o tym rozmawiać – ucięła. – Zostaw mnie, proszę. Jutro wszystko będzie w porządku.

Poczułem się trochę urażony sposobem, w jaki dała mi do zrozumienia, że nie chce ze mną rozmawiać; tym nieznoszącym sprzeciwu tonem – ale spełniłem jej życzenie. Od dłuższego czasu domyślałem się, że dziewczyna musi chować w sercu jakąś mroczną tajemnicę. Przypuszczałem, iż ma to związek z enigmatycznym mężczyzną, który mi ją podarował, a raczej – który mi nią zapłacił. Ilekroć próbowałem wyciągnąć z niej coś na temat przeszłości, zamykała się w sobie. Nie wiedziałem nic o jej krewnych, znajomych. Podejrzywałem, że jest sierotą, a mój niezwykle pacjent kimś w rodzaju przybranego ojca. Nie chciała o tym rozmawiać, więc nie naciskałem; starałem się omijać ten temat szerokim łukiem, bo widziałem, że sprawiam jej przykrość, ale ciekawość drążyła mnie z biegiem dni coraz mocniej.

Rankiem Głóg była radosna jak zawsze, zupełnie jakby nocna rozmowa nie miała miejsca. Mnie jednak gnębiła ta sprawa. W pracy nie mogłem się skupić, wciąż myślałem o jej słowach. „ Myślę o przyszłości ”, powiedziała. „ Twojej, mojej. Naszej ” . Czy mogło jej chodzić o ...

Wracając z pracy, wstąpiłem do jubilera i kupiłem pierścionek. Może dziewczyna źle się czuje, żyjąc tyle miesięcy na kocią łapę, może boi się, że ją porzucę – spekulowałem. Ślub da jej poczucie bezpieczeństwa, stabilizacji – może tego właśnie pragnie i zamartwia się, dlaczego zwlekam.

Wróciwszy do domu, ukląknłem przed nią i powiedziałem: – Głóg, kocham cię ponad wszystko i chcę prosić cię o rękę. Pragnę

spędzić resztę życia u twego boku, mieć z tobą dzieci i zestarzeć się z tobą. Proszę, wyjdź za mnie.

Jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast uśmiechu szczęścia ujrzałem łzy płynące po jej policzkach.

— Nie mogę – powiedziała ze spuszczoną głową. – Wybacz. – Ominęła mnie i wybiegła z domu. Poczułem się, jakbym dostał w twarz.

— Zaczekaj! – krzyknąłem, ale nie odwróciła się. Pobiegnęła alejką przez ogród do furtki prowadzącej na ulicę i zniknęła mi z oczu.

Kilka kolejnych godzin spędziłem na ponurych rozmyślaniach nad szklaneczką whisky. Powróciły moje dawne kompleksy. Głóg mnie nie kocha – mówiłem sobie. Pewnie już się jej znudziłem, lecz jest zbyt delikatna, by mi to powiedzieć. Albo, co gorsza – zbyt lojalna wobec tajemniczego mężczyzny, który był jej właścicielem zanim podarował dziewczynę mnie. Nie była nigdy moją partnerką, lecz tylko prezentem, zapłatą. Zastanawiałem się, ile razy w przeszłości zielonooki mężczyzna płacił w ten sposób za rozmaite usługi, ile męskich serc zranił cierń głogu.

Z drugiej strony – czy mogłem być aż tak głupi i ślepy, aż tak się pomylić? Byliśmy razem prawie rok i nigdy się nie skarżyła. Wprost przeciwnie – sprawiała wrażenie szczęśliwej. Mówiła, że mnie kocha. Poza tymi rzadkimi nocami, kiedy przesiadywała w ogrodzie, rozmyślając, nie bywała smutna, przynajmniej tak mi się zdawało. Łzy, które popłynęły jej z oczu, gdy się oświadczyłem, także dowodziły, że dziewczyna nie ma serca z kamienia. A jeśli Głóg nie może mieć dzieci i dlatego płakała, kiedy o tym wspomniałem? Kto wie, czy to nie jest przyczyną jej nawrotów przygnębienia. Boi się, że mnie zawiedzie? Przecież doskonale wiedziała, jak bardzo pragnę mieć z nią dzieci.

Tak się pocieszałem i w końcu uznałem, że muszę z nią spokojnie porozmawiać, kiedy wróci. Nie mogę jej skreślić. Jeszcze nie wszystko stracone. Modliłem się, by wróciła.

Tymczasem alkohol robił swoje i po jakimś czasie zasnąłem skulony w fotelu. Kiedy się zbudziłem, wokół było ciemno, a fosforyzujące wskazówki zegara na ścianie wskazywały kwadrans po północy.

Usłyszałem, a może raczej poczułem, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Wstałem z fotela, krzywiąc się z bólu, gdyż cały zdrętwiałem, śpiąc w niewygodnej pozycji.

— Głóg, to ty? – rzuciłem w ciemność. – Kochanie, wróciłaś?

Pokuśtykałem do stolika obok sofy i włączyłem nocną lampkę.

Tak, to była ona. Poznałem ją po sukience.

Skórę miała ciemnobrązowej barwy, pobrużdżoną jak kora. Jej włosy były wiechciem cienkich gałązek pokrytych drobnymi zielonymi listkami. Zamiast oczu spoglądały na mnie pąki białych róż; patykowate palce zakończone były szponiastymi cierniami. Chciała chyba coś powiedzieć i ujrzałem, że również jej usta najeżone są długimi kolcami. Wydawało mi się, że pomiędzy nimi dostrzegłem piórko jakiegoś niedużego ptaka – skowronka albo wróbla.

Pociemniało mi przed oczyma. Zemdlałem.

Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny – może godzinę, a może pięć minut. Ocknąłem się, kiedy poczułem na policzku dotyk dłoni. Zerwałem się natychmiast przerażony, że może to być ona.

Zamiast niej ujrzałem jednak mężczyznę, tego samego, który podarował mi Głóg. To on cucił mnie, delikatnie klepiąc po policzku. Leżałem na sofie, a on siedział obok.

— Gdzie ona jest? – spytałem. – I czym ona jest?

— Jest głogiem – odparł. – I nie pytaj o więcej. Sam widziałeś, kim jest.

Potarłem skronie, próbując zebrać myśli, jednak w głowie miałem mętlik.

— Uznała, że musisz poznać prawdę – powiedział mężczyzna. – Ponieważ cię kocha i nie chce oszukiwać ani ranić.

— Nie wiem, kim jest – powiedziałem głucho.

— Teraz już wiesz. Żyliście razem wystarczająco długo, byś ją dobrze poznał. Teraz Głóg nie ma już nic do ukrycia.

Milczeliśmy przez chwilę.

— Ja też ją Kocham – powiedziałem. – Kocham nad życie. Ale ...

— Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałem ci, że możesz zatrzymać ją tak długo, jak będziesz chciał. To nadal jest aktualne.

— Nie mogę. – Spojrzałem mu w oczy. Były zielone jak szmaragdy i miałem wrażenie, że płoną wewnętrznym blaskiem. – Pragnę jej, ale ... nie mogę. Po tym, co zobaczyłem ...

— Rozumiem – odparł. Wydawało mi się, że usłyszałem w jego głosie współczucie. – Rozumiem cię, jak mało kto mógłby zrozumieć. Słyszę rozpacz w twoich słowach i znam ból, który toczy teraz twoje serce. Ale decyzję musisz podjąć sam.

Długo biłem się z myślami, a on czekał, nie ponaglając mnie. Miałbym nie zobaczyć już nigdy jej orzechowych oczu i tego figlarnego błysku, kiedy się uśmiechała? Nie usłyszeć radosnego, nieskrępowanego śmiechu? Nie poczuć jej słodkiego zapachu, nie dotknąć delikatnej skóry? Nie przytulić w nocy pod ciepłą kołdrą, gdy za oknem mróz i śnieg? Zrezygnować z jedynej kobiety, z którą byłem szczęśliwy, która mnie nie odrzuciła? Jak żyć bez jej głosu? Bez marzeń, snucia planów przy kominku w zimowe wieczory, bez wspomnienia wspólnie spędzonych chwil, coraz to

nowych i nowych wraz z biegiem dni?

Z drugiej strony, nieustannie miałem przed oczyma tę ciemną, chropawą skórę i piórko sterczące spomiędzy cierniowych kłków. Białe kwiaty w miejscu oczu, ich płatki poruszające się jak powieki. Nigdy nie mógłbym wyrzucić tego widoku z duszy. Pieszcząc jej nagie ramię, miałbym przed oczyma pokrytą bruzdami korę.

— Nie mogę – wyszeptałem. Rozłożyłem bezradnie ręce. – Nie mogę.

Skinął głową. Wstał i w milczeniu ruszył do wyjścia – wysoki, czarny, posępny jak kruk.

— Zaczekaj! – rzuciłem. Odwrócił się. – Powiedz jej ... – zająknąłem się. – Powiedz Głóg, że ją Kocham. I że ... zawsze będę ją kochał.

Ponownie skinął głową, po czym wyszedł. Nigdy więcej go nie ujrzałem.

Następne miesiące były dla mnie pasmem cierpienia. Pracowałem jak robot, po czym wracałem do domu i przesiadywałem całymi godzinami w fotelu, rozmyślając i gapiąc się w sufit. Czasem upijałem się w samotności na umór. Cierpiała na tym moja praca – traciłem klientów i dobrą reputację, lecz mnie to nie obchodziło. Nic nie było w stanie wypełnić pustki, jaka powstała w moim życiu po utracie Głóg.

Tak minęła zima, a wiosną w ogrodzie przed domem wyrósł krzak głogu. To było jak rąbek słońca uśmiechający się zza wachlarza burzowych chmur. To był znak od niej. Była blisko i wybaczyła mi. Zrozumiała.

Teraz krzak jest już duży, sięga mojego ramienia. Często siadam obok w słoneczne dni i toczę w myślach rozmowy z Głóg. Dobrze nam razem. Wspominamy dawne czasy, śmiejemy się i

wzruszamy. A kiedy zakwita i pojawiają się na nim białe kwiaty,
wdycham ich słodki aromat i ostrożnie pieścę delikatne płatki.

Andrzej Sawicki Rocznik 74, ten sam który wydał Jacka Dukaja i Andrzeja Pilipiuka. W przeciwieństwie do swoich dwóch wielkich rówieśników przygodę z pisaniem zacząłem bardzo późno. Zadebiutowałem oczywiście w Fahrenheicie, w grudniowym numerze 2004 roku, opowiadaniem o zombich w Warszawie. Od tamtej pory zamieściłem kilkanaście tekstów w różnych literackich serwisach internetowych. Kilka opowiadań ukazało się w Science Fiction Fantasy i Horror oraz w Magazynie Fantastycznym.

Prócz pisania, które ciągle traktuję jak nową pasję, hobbystycznie zajmuję się fotografią, piwovarstwem i winiarstwem, produkcją nalewek, hodowlą krabów i psów oraz aktualnie budową domu.

Z zawodu inżynier chemik zatrudniony w dziale badawczym firmy farmaceutycznej. Pisarstwo traktuję jako formę psychicznego odpoczynku od pracy.

Andrzej Sawicki NA KOŃCU ŚWIATA

Czarna pustka na ekranach kokpitu była wroga i zimna. Nerwowo poprawiłem się w fotelu. Światło płynnie przygasło, przechodząc w półmrok. Monitory pokazywały widok z zewnątrz, coś się jednak nie zgadzało – nie było gwiazd.

— Powinniśmy właśnie dokować na orbicie Jowisza – powiedziałem spokojnie. – Czy mógłbym się wreszcie dowiedzieć, dlaczego tego nie robimy i gdzie właściwie jesteśmy?

Cisza. Gabi wyłączyła silniki. Poczułem przykrą falę niepokoju. Miałem bunt na pokładzie, własny okręt wypowiedział mi posłuszeństwo.

— Dobra, rozumiem – westchnąłem. – Dowiedziałaś się, że nie mówiłem prawdy. Nie jestem biznesmenem, żadna z firm, które

jakoby posiadam, nie istnieje. Nie mam kopalni metali w pasie Kuipera ani floty transportowców. Naprawdę nazywam się Max Garrotte i jestem oszustem poszukiwanym przez policję. Miałem ci to powiedzieć, tylko nie było okazji. Nie rozumiem, czemu tak się wściekasz.

— Skrzywdziłeś mnie, Max – szepnęła miękkim, zmysłowym głosem. – Kłamałeś przez dziesięć miesięcy, zwodziłeś prawie rok. Ile przestępstw nieświadomie pomogłam ci popełnić? Ile osób okradłeś w tym czasie?

— Nikomu włos z głowy nie spadł – zachnąłem się. – Skłoniłem tego i owego do wykonania finansowych manewrów korzystnych dla mnie, i tyle. Nie ma o czym gadać.

— A ja? Mnie też ukradłeś?

Westchnąłem, przewracając oczami. Co mnie podkusiło, by sprawić sobie tak nowoczesny okręt? Nie wystarczyłaby zwykła sztuczna inteligencja, niezadająca pytań i wykonująca rozkazy? Nie. W szemranym interesie zdobyłem kilka hybrydowych, biomechanicznych mózgów stosowanych na wojskowych okrętach. Zamierzałem sprzedać je siłom zbrojnym jakiejś renegackiej kolonii, wpadłem jednak na pewien pomysł. Jeden z mózgów zamontowałem na swoim nowym statku. Fakt, świetnie się sprawdzał w podróżach. Gabrielle była jednocześnie nawigatorem, pilotem i zespołem mechaników, właściwie całą załogą. Jej moce obliczeniowe, a przede wszystkim samodzielność, były zdumiewające. To dzięki zastosowaniu żywej tkanki w konstrukcji procesora. Wszystko byłoby pięknie, gdyby coś nie podkusiło mnie, by skasować standardowy wzorzec rozwoju sztucznego umysłu i zastąpić go zapisem osobowościowym prawdziwej kobiety. Mogę sobie teraz pluć w brodę.

— Nie wiem, co z tobą zrobić, Max – szepnęła. – Może wydam cię władzom? Ale póki co, zostaniemy tutaj. To doskonałe miejsce, byś przemyślał swoje życie. Może nawet okazał skruchę.

— Chcesz mnie tu trzymać, jak w jakimś zakichanym więzieniu? – ryknąłem niespodziewanie, nawet dla samego siebie. Nerwy mi puszczały. – Gdzie jesteśmy? Gadaj!

Nie odpowiedziała. Mrok powoli przygasł i w kokpicie zapadła absolutna ciemność. Gabi wyłączyła światło. Panel dotykowy oczywiście nie działał, a na ekranach ciągle królowała czerń. Siedziałem bez ruchu, uspokajając się powoli. Tępo patrzyłem przed siebie.

Po jakimś czasie wzrok się przystosował i wreszcie coś udało mi się dojrzeć. Mikroskopijne, prawie niewidoczne światełka. Były tam, to nie przywidzenie. Niesłychanie daleko świeciły blade światła. Trwało dłuższą chwilę, nim domyśliłem się, co widzę. Świetliste punkty w czarnej otchłani nie były gwiazdami – to galaktyki. Gabrielle wyrzuciła nas podprzestrzennym korytarzem w międzygalaktyczną pustkę. Przełknąłem ślinę. Wyglądało na to, że jesteśmy oddaleni o miliardy lat świetlnych od najbliższej gwiazdy. Byliśmy naprawdę daleko od cywilizacji. Doskonałe miejsce na rozpoczęcie pokuty – kosmiczne zadupie.



Nie miałem wyjścia, musiałem ją przeprosić. Gabrielle coraz wyraźniej okazywała cechy osobowości kobiety, którą doskonale znałem. Wpisując szablon psychologiczny w matrycę mózgu okrętu, nie spodziewałem się, że tak szybko upodobni się do wzorca. Przyznaję, jestem głupcem. To przez tęsknotę za jej pierwowzorem; którego coraz bardziej mi brakowało. Właściwie

liczyłem, że cybernetyczna Gabi przejmie tylko zalety charakteru, błyskotliwość i wesołe usposobienie. Jakoś nie wziąłem pod uwagę, że odziedziczy też wady, takie jak upór i uczciwość. Wreszcie doczekałem się rezultatów, mogę mieć o nie pretensje tylko do siebie.

Wzorce psychologiczne zrobiliśmy z pierwowzorem Gabrielle właściwie dla żartu, w czasie balowania na Gomorii – szalonej, rozrywkowej kolonii w układzie Syriusza. Taki był zwyczaj w świątyni jakiejś wariackiej sekty, gdzie wzięliśmy ślub. Zapisanie wirtualnych wersji naszych osobowości na jednym kryształe pamięci miało nas połączyć na wieczność. Kiedy wytrzeźwiałem po opuszczeniu Gomorii, chciałem cisnąć kryształ do niszczarki, ale Gabi mnie powstrzymała. Potrafiła być bardzo sentymentalna. Nie spodziewałem się, że nasze wzorce osobowościowe do czegoś się przydadzą. Byłem w błędzie, nie po raz pierwszy i nie ostatni.

Zamknąłem się w kajucie. Leżałem długie godziny, gapiąc się w sufit, powoli zżerały mnie wyrzuty sumienia. Ja, stary oszust, przejmowałem się dąsami sztucznej inteligencji. Co się ze mną dzieje? Zależało mi na uczuciach cybernetycznej Gabi? Chyba dlatego, że coraz mocniej przypominała tę prawdziwą. Wreszcie zwlokłem się z wyra i poczłapałem w kierunku mostka. Mogliśmy rozmawiać właściwie w każdym miejscu na okręcie, ale wolałem w kokpicie. Pewnie dlatego, że czułem się tam jak kapitan, a nie pasażer na łasce biomechanicznej kobiety.

Przygotowałem się na długą i bolesną rozmowę. Jestem permanentnym kłamcą, do tego z poczuciem intelektualnej wyższości nad resztą świata. Taka jest prawda i zaraz będę musiał ją wyszcześcić. Wlokłem się noga za nogą, wzdychając ciężko.

— Max, gdzie jesteś? Ach, idziesz na mostek, świetnie. Pospiesz się, znalazłam coś, co musisz zobaczyć – głos Gabi drżał z emocji.

Nieomal potknąłem się na prostej drodze, zaskoczony obrotem spraw. Musiało stać się coś ważnego, skoro nagle zrezygnowała z psychicznych tortur. Ruszyłem energicznym krokiem.

Czekała na mnie. Gdy nie była w złym humorze, wyświetlała hologram będący jej personifikacją. Wizualizowała się jako wysoka brunetka o ostrych rysach. Rzeczywiście, coraz bardziej przypominała swój pierwowzór. Poczulem falę gorąca. Stała teraz przede mną, prawie taka, jaką pamiętałem. Kiwnęła głową na powitanie i wskazała fotel.

— Siadaj, zaraz zobaczysz coś naprawdę mocnego. – Wyglądała na zdenerwowaną.

Ledwie zapadłem w fotel pilota, światło na mostku przygasło. Czerń znów wypełzyła z ekranów, zalewając cały kokpit. Sylwetka Gabi, stojącej obok niczym duch, pulsowała wewnętrznym światłem. Dziewczyna kiwnięciem głowy wskazała monitor.

— Zauważyłam go w trakcie rutynowego skanowania przestrzeni. – Na obraz nałożyła się maska w podczerwieni, na monitorze pulsował nieregularny kształt, który powoli się powiększył, wypełniając większą część ekranu. – Jest kilka minut świetlnych od nas.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Wpatrywałem się w nieregularny kształt i dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, co właściwie widzę. Wstrzymałem oddech. W kosmicznej pustce majestatycznie dryfował gigantyczny gad. Zwinięty w kłębek, niczym śpiący pies z łbem wtulonym w okolice ogona. Z grzbietu potwora sterczał kolczasty grzebień, a z pyska wystawały ogromne kły. Całości dopełniały węzowe łuski i skrzydła na grzbiecie.

— Smok – wykrztusiłem wreszcie.

— Ciekawe znalezisko, prawda? – uśmiechnęła się.

Cisnęły mi się na usta setki pytań. Co to jest? W kosmiczne; pustce płynęło coś wyglądającego jak książkowy okaz bajkowego stwora. Zamiast się ekscytować, próbo wałem spokojnie pomyśleć.

— Zrobiłaś już jakieś pomiary? – spytałem.

— Podstawowe. Skan wiązką tachionową wskazuje, że obiekt zbudowany jest ze związków węgla i krzemu. Duża procentowa zawartość metali, szczególnie żelaza.

— Związki węgla?

— Tak, do tego wodór, tlen, azot, siarka. Pierwiastki, z których zbudowane są organizmy żywe.

— Już myślałem, że to jakaś gigantyczna rzeźba, że ktoś wykuł go w skale – mruknąłem. – Nie uwierzę jednak, że to coś jest żywe.

— Nie sposób tego kategorycznie stwierdzić – odparła. – Częściowo zbudowany jest z substancji organicznych, wszystko jest zatem możliwe. Możemy mówić o życiu, gdyby wykazywał typowe cechy. To znaczy był zdolny do metabolizowania, samodzielnego ruchu, wzrostu, rozmnażania i ewolucji. Smok ma temperaturę 293 kelwinów, emituje niskoenergetyczne promieniowanie elektromagnetyczne, to dlatego możemy obserwować go w podczerwieni. Zjawisko emisji energii świadczy też o tym, że obiekt ma sztuczne źródło zasilania lub grzeje się w trakcie przemian komórkowych, czyli metabolizuje.

Otarłem pot z czoła, emocje jednak nie pozwalały mi spokojnie myśleć. Na ekranie smok zrobił powolny obrót wokół własnej osi, prezentując się z drugiej strony. Kolumny liczb i symboli migotały z boku monitora.

— Zaraz, zaraz. – Wstałem z fotela. – O czym my w ogóle mówimy? Przecież to coś znajduje się w absolutnej próżni, w temperaturze bliskiej zera bezwzględnego, w dodatku na całkowitym zadupiu. Jakie życie? Co za bzdury! Trzeba to zbadać i zabrać na pokład. Cokolwiek to jest, z pewnością da się sprzedać.

— Obawiam się, że nie zmieści się do ładowni. – Gabi uśmiechnęła się złośliwie. – Szacuję, że gdyby smok się wyprostował, od pyska do ogona mierzyłby jakieś dziesięć milionów kilometrów.

Oparłem się o pulpit.

— Mógłby owinąć się wokół słońca – westchnąłem.

— Mógłby je połknąć – dodała. – No i co teraz, kapitanie? Nie da się tego ukraść, nie da sprzedać.

— Wszystko się da. Lecimy za nim, trzeba to coś obejrzeć z bliska. Sprzeda się najwyżej namiary, muszę tylko wiedzieć, co to i ile jest warte.

Gabi klasnęła w dłonie. Smok zmałał, zamieniając się w punkt opisany celownikami nawigacyjnymi. Ekran błysnął smugami opcjonalnych trajektorii lotu. Statek ożył, włączył się napęd grawitacyjny i silniki manewrowe.

— Nie myśl tylko, że darowałam ci kłamstwa. Wrócimy jeszcze do naszej rozmowy, masz mi przecież wiele do powiedzenia, prawda?

Nie odezwałem się, udając, że nie słyszę. Gabrielle usiadła w sąsiednim fotelu, nonszalancko zarzucając nogi na pulpit. Uśmiechała się złośliwie. Okręt ruszył w pościg za leniwie oddalającym się smokiem.



Ogromny łeb wypełniał ekran. Poczułem ciarki przebiegające po plecach. Olbrzym naprawdę miał paszczę, w której zmieściłoby się słońce. W podczerwonym widmie pulsował szkarłatnym blaskiem, jakby w jego wnętrzu płonęły piekielne ognie.

— Strzelimy mu jakieś sondy? Czy może od razu na nim wylądujemy? – spytałem.

— Zrobiłam skan analityczny w trakcie przelotu nad grzbietem. – Wyszczrzyła się w uśmiechu. – Pancierz stwora to coś w rodzaju stopu, stal wzbogacona polimeryczną, krzemianową strukturą wbudowaną w sieć krystaliczną. Rozgałęzione łańcuchy siloksanów i silikonów wrosnięte w metal zupełnie jak stalowy stelaż w zbrojonym betonie. Podejrzewam, że to coś piekielnie wytrzymałego, sądzę, że te łuski mogą pochłonąć ogromną porcję energii bez zmian charakterystyki.

— Czyli nasza jaszczurka jest niezłym twardzielem.

— Ten pancierz jest nieznaną strukturą, być może mamy tu do czynienia z obcą, bardzo cenną technologią.

— Wiedziałem, że da się na tym zarobić! – stwierdziłem entuzjastycznie. – Szykuj wiertła i próbniaki, wylądujemy i spróbujemy pobrać trochę materiału.

— Jesteś pewien? – Gabi spytała z wahaniem w głosie. – Mam przeczucie, że lepiej go nie dotykać. Czuję zło...

Przewróciłem oczami. Sztuczna inteligencja ma przeczucia – świat schodzi na psy. A jeśli będzie chciała za darmo podzielić się tym odkryciem z ludzkością? Ręce opadają.

— Jaszczur musi być piekielnie ciężki, pewnie na jego powierzchni panuje nieliche ciśnienie – mruknąłem, puszczając mimo uszu uwagę Gabi. – Uruchom stabilizatory grawitacyjne i

przygotuj statek do lądowania w trudnych warunkach. Włącz systemy bitewne, zmięczymy jego pancerz salwą torped ze staroświeckimi głowicami jądrowymi. Ot, taki mały test, zobaczymy, ile jest warte nasze znalezisko.

Nie zaprotestowała, pewnie sama była ciekawa. Ale zdawało mi się, że w oczach hologramu dojrzałem strach, choć to przecież niemożliwe.



Śnił o ciemności i zimnie. Czas płynął obok, obmywając go niczym nurty rzeki. A on przespał śmierć i ponowne narodziny wszechświata. Cykle życia i śmierci omijały go, zawieszony poza przestrzenią, pogrążonego w otchłani.

Nie obudziła go gwałtowna aberracja, gdy tuż obok otworzył się tunel. Sen zakłóciło niepokojące poczucie realności i ciepło bijące od znenawidzonego życia. Pożeracz wyczuł tylko pojedynczą drobinę. Zbyt mało, by się przebudzić, choć wystarczająco, by potężny głód rozpalił ogień w trzewiach. Fale żaru przeptynęły przez pysk bestii, gdy trafiła ją seria nuklearnych wybuchów.

Pożeracz poczuł smak, zupełnie jakby połknął niewielką gwiazdę. Przyjemna, choć żałośnie mała porcja energii zupełnie rozproszyła nieskończony sen o zimnie i ciemności. Smok otworzył oczy.

Węszył chwilę, przyzwyczajając się do rzeczywistości. Pustka nie była już tak przejmująco zimna i mroczna. Wyczuł pulsowanie życia bijące z galaktyk płynących w oddali. Pojedyncze ziarenko na łusce przestało mieć znaczenie. Pożeracz powoli wyprostował grzbiet i rozłożył skrzydła. Głód szybko zawładnął umysłem smoka. Pragnienie niszczenia i zabijania było esencją jego istnienia. Machnął skrzydłami, rozdierając czasoprzestrzeń. Natychmiast wpłynął do powstałej wyrwy, instynktownie kierując anomalią w stronę największego skupiska życia. Byłe szybciej, tyle istnień czekało na pożarcie.



Fala smoczycich myśli była jak cios młotem między oczy. Potwór ryknął, telepatycznie ogłaszając wszechświatu swoje przebudzenie. Trwało to kilka najstraszniejszych sekund w moim życiu. Zdarzyło mi się korzystać z ekscentrycznych centrów rozrywki bawiących się siłą myśli, ale słabe impulsy wytwarzane dla zabawy przez ludzką technologię były niczym w porównaniu z mocą umysłu prastarej bestii. I tak cud, że mój system nerwowy zniósł kontakt z empatyczną falą pochodzącą wprost z piekła. Wytrzymałem kilka uderzeń serca i dostałem ataku epilepsji. Oprzytomniałem, leżąc w kałuży krwi. Musiałem tłuc głową o podłogę, miałem rozcięty łuk brwiowy i pokaleczone usta. Czulem wszystkie gnaty, a łeb pulsował tęnym bólem.

— Gabi? – jęknąłem, rozglądając się po pustym kokpicie.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zwlokłem się z podłogi, i usiadłem przed pulpitem. Ekran był ciemny. Trzęsącymi się rękami wklepałem komendy. Nie odpowiadała. Zamiast niej na ekranie zamigotały bezosobowe kolumny cyfr. Cierpliwie sprawdziłem systemy statku. Wszystko w porządku, nic nie uległo uszkodzeniu, byliśmy mocno przycumowani do... Zalała mnie fala zimna. Niczym wiadro lodowatej wody wylanej na głowę wróciła świadomość tego, gdzie jestem i co się w ogóle dzieje. Statek był przycumowany do smoczej łuski.

— Gabi, odezwij się! – Mój głos drżał i nie potrafiłem nad tym zapanować.

Przerażenie ścisnęło gardło. Moja Gabrielle! Spazmatycznie łapałem oddech, tłukąc pięścią w pulpit. Tylko nie to! Jej psychika dopiero się kształtowała, krucha równowaga mogła prysnąć przy spotkaniu z bestią. Gabi mogła tego nie przetrwać. Załkałem jak

zbity pies. Nie zniosę jej śmierci po raz drugi.

Zataczając się, ruszyłem na tył kokpitu. Szarpnąłem dźwignię odsłaniającą dostęp do Gniazda – to w nim spoczywała moja piękna. Mamrotałem przekleństwa, czekając na uruchomienie systemu awaryjnego. Plazmowy ekran rozbłysnął wreszcie błękitną poświatą. Trzęsło mną jak w febrze, gdy czytałem komunikaty systemu bezpieczeństwa. Nie poczułem otwierającej się na czole rany, nerwowo przetarłem krew zalewającą oczy. Fala nadziei niemal poderwała mnie w powietrze.

Układ ochronny kosztował majątek, stosowano go na wojskowych jednostkach, zabezpieczając pokładowe AI przed ogniem walki. Wyglądało na to, że inwestycja się opłacała. Grawitonowe kurtyny opadły, gdy tylko procesor zarejestrował anomalię, całkowicie odcinając biomechaniczny mózg. Gabi znalazła się w beczasowym zawieszeniu. Westchnąłem ciężko, wyłączając blokadę. Nie zniósłbym, gdyby znów coś jej się stało. Trzy lata temu zginęła z mojej winy. Spłonęła w atmosferze Wenus, uciekając przed przemytnikami. Poświęciła się wtedy, odciągając ode mnie pogoń i wiodąc ją za sobą ku zgubie. Nie powstrzymałem jej, nie ochroniłem. Nie dopuszczę, by to się powtórzyło.

— Jesteś tam, mała?

Błysnęło. Holograficzne rzutniki wyświetliły chaotyczne plamy, które po chwili ukształtowały się w postać dziewczyny. Gabi była blada i przezroczysta jak duch.

Poczułem zimne ciarki na plecach. Jej twarz wykrzywiało przerażenie, patrzyła na mnie, jakby szukała wsparcia. Z trudem powstrzymałem się, by nie wziąć jej w ramiona i przytulić.

— Max, czułeś to samo? – szepnęła. – Ten potwór pochodzi wprost z piekła, myśli tylko o niszczeniu. Cośmy uczynili?

Ściągnęliśmy zagładę na cały wszechświat. Musimy coś zrobić! Trzeba go powstrzymać!

— Powstrzymać sukinsyna mającego miliony kilometrów długości, a do tego praktycznie niezniszczalnego?! Nie jestem wszechmocny. – Oparłem się plecami o ścianę. Ciągle dygotałem, nie mogłem się skupić. – Musimy stąd zwać. Jak najdalej od tego koszmaru.

Gabi podpłynęła, zatrzymując się tuż przede mną. Wydawało mi się, że czuję jej oddech.

— Wiem, że nie zrobiłbyś czegoś takiego. Czuję, że mimo kłamstw znam cię na wylot – szepnęła z przejęciem. – Mam rację? Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Targające mną fale emocji były tak silne, że nieomal osunąłem się na podłogę. Co się ze mną dzieje? Gapilem się na dziewczynę, czując potężną kulę w gardle. Potwornie się bałem, że coś może jej się stać. Widocznie uraz po wypadku, w którym zginęła prawdziwa Gabrielle, wcale nie minął. Byłem świadomy, że przede mną stoi tylko fantom, a mimo to z trudem się hamowałem, by nie wycić ze szczęścia i żalu jednocześnie. Wstrząs wywołany muśnięciem smoczych myśli zburzył mur obojętności, który pieczołowicie budowałem od trzech lat.

— Wybacz, Gabi – wydukałem wreszcie. – Wybacz. Oczywiście, zrobimy, co się da. Pozwól mi tylko zebrać myśli.

Uśmiechnęła się, a po chwili charakterystycznie przekrzywiła głowę, patrząc z troską. Takim samym gestem, jak robiła to ona. Zaciśnąłem zęby, by nie wybuchnąć.

— Chodźmy natychmiast do MedKabiny, jesteś na skraju załamania. – Wykonała gest, chcąc wziąć mnie pod ramię. Zawahała się, wyraźnie zmieszana. – Musimy w pierwszej kolejności zająć się tobą. Bez ciebie to nie...

— Dasz sobie radę i beze mnie. – Nie spuszczałem wzroku z jej twarzy.

— Nie o to chodziło – szepnęła, zagryzając wargę. – Bez ciebie to nie ma sensu. Po co mam ratować wszechświat, w którym ciebie nie będzie?

Wyciągnąłem rękę, chcąc pogłodzić ją po policzku. Powstrzymałem się w połowie ruchu.



Ciemność i pustka. Widok z kokpitu i komunikaty na ekranie nie były zbyt optymistyczne. Smok majestatycznie płynął przez bezdenną otchłań między wymiarami, przez niebyt, który ludzie nazywali podprzestrzenią. Gabi wyświetlała meldunki o naszym położeniu na ekranie nawigacyjnym, a ja gapiłem się, nie wierząc własnym oczom. Koordynaty na Układ Słoneczny i wszystkie inne skupiska ludzkości nieodmiennie pozostawały ciągiem zer. Byliśmy wszędzie i nigdzie jednocześnie, zaraz za granicą rzeczywistości i na końcu świata jednocześnie.

Nasza technologia umożliwia podróżowanie podprzestrzennymi korytarzami, lecz robimy to w zupełnie inny sposób niż bestia. Otwarty tunel pozwalał nam na przeskok między dwoma punktami z pominięciem drogi między nimi. Generator anomalii będący sercem napędu okrętu, zaginał czasoprzestrzeń, grawitacyjnie wyrywając w niej dziurę i jednocześnie łącząc ją z wybranym punktem we wszechświecie. Wystarczyło wpłynąć w korytarz, by natychmiast wylecieć z drugiej strony. Choćby punkt docelowy był w innej galaktyce, podróż trwała tyle, co wniknięcie w anomalie. Nigdy jeszcze człowiek nie znalazł się po tamtej stronie, poza wymiarami. My

tylko, wykorzystywaliśmy podprzestrzeń do skoku, nigdy w nią nie wnikaliśmy. Bo i po co? Przecież poza rzeczywistością nic nie ma. Tak przynajmniej myśleliśmy. Smok stanowił pierwszy dowód, że byliśmy w błędzie. Miałem nadzieję, że ostatni.

Gabi wyświetliła generowany przez komputery obraz smoka widzianego z boku. Pulsująca krwistym blaskiem bestia wyglądała oszalamiająco majestatycznie. Patrzyliśmy na giganta, zdawałoby się leniwie machającego skrzydłami o rozpiętości setek tysięcy kilometrów.

— Nie poruszamy się płynnie – szepnęła Gabi, pochylając się nad ekranem. – Każde pchnięcie skrzydłami to skok, który rzuca nas po tej pustce. Nie wiem, na jakiej zasadzie smok nawiguje w podprzestrzeni, ale obawiam się, że wynurzymy się w miejscu w sam raz na żerowisko. To może być gdziekolwiek, gdzie istnieje życie, także w Układzie Słonecznym.

Milczałem. Tępo pulsujący ból głowy mijał powoli, leki uśmierzające i pobudzające postawiły mnie na nogi, ale ciągle czułem się nieswój. Bardziej niż smoka bałem się uczuć do Gabi. Czyżbym oszalał po zetknięciu z umysłem bestii? Wzdrygnąłem się, starając skupić na najważniejszym, na razie, problemie.

— Musi być jakaś możliwość, by go zmylić, zbić z tropu – mruknąłem, tępo patrząc w ekran. – Wszystko, co ma świadomość, można okłamać, nawet sukinsyna wielkiego jak słońce. Mówi ci to zawodowy oszust. W galeriach Proximy naciągnąłem Wielkiego Marszanda na zakup kiczowatego falsyfikatu, a jednemu cwaniakowi wcisnąłem kopalnie w Górach Szarych na Io, w których od stuleci nie ma złota. Każdego da się naciągnąć, to tylko kwestia podejścia. No myśl, mała, jak nabrać tę kosmiczną jaszczurkę?

Gabi zastygła w bezruchu. Zamarła z przechyloną głową,

niewidzącym wzrokiem patrząc w pustkę, jak zepsuty android. Trwało to kilka sekund, ale wrażenie było upiorne. Domyśliłem się, że przeprowadzała niezwykle absorbujące obliczenia, w które zaangażowała wszystkie układy logiczne.

— Mam pomysł. – Poruszyła się wreszcie, siadając na krawędzi pulpitu tyłem do ekranów, a twarzą do mnie. – Z otchłani ściągnęliśmy go przypadkiem, wykonując w jego pobliżu manewr podprzestrzennego przejścia. Wynika z tego, że generując anomalię i otwierając przed nim korytarz, mamy szansę wysłać bestię tam, gdzie chcemy.

— Niestety, masz rację. Nie dość, że sprowadziliśmy gada do rzeczywistości, to jeszcze go obudziliśmy – przytaknąłem. – Możemy zatem ponownie przemieścić go w ten sam sposób.

— Tylko że nie umiemy nawigować z poziomu otchłani. Mogę otworzyć korytarz choćby w tej chwili, ale wyrzuci nas w losowym miejscu. To zbyt ryzykowne. Proponuję poczekać, aż smok sam wynurzy się w rzeczywistości, natychmiast ustalę nasze położenie i uruchomię generator. Moglibyśmy wtedy skoczyć razem z bestią w określony przez nas punkt. Załóżmy, że znów przerzucimy się gdzieś w zupełną pustkę, poza galaktykami, ale jak myślisz, co w takim wypadku zrobi smok?

— Wkurzy się, zdziwi? Diabli wiedzą, ale pomysł jest świetny! – ożywiłem się. – Niestety, pewnie znów skończy w podprzestrzeni, w stronę żerowisk pełnych życia. Możemy wtedy wykonać manewr powtórnie i bawić się z nim w ciuciubabkę do usranej śmierci.

— Raczej do momentu, aż skończy się nam energia – uśmiechnęła się smutno. – Zgadza się z tobą, reakcja bestii jest nieprzewidywalna. Może się wścieknie i wytworzy telepatyczną falę po stokroć potężniejszą niż przy przebudzeniu? Coś takiego

zabije nas oboje na miejscu. Musimy zatem wykonać tylko jeden skok, ale taki, który unieszkodliwi potwora.

Poczułem nieprzyjemne gorąco. Wiedziałem, że wymyśliła coś, co nie będzie mi się podobało. Odwróciła głowę, unikając mojego wzroku, zawsze tak robiła. Och, nie, tak robił jej żywy pierwowzór. Zaczynają mi się my lić, Gabi prawdziwa i biomechaniczna, stoję na skraju obłądu.

— Co chcesz zrobić?

— Gdy smok wynurzy się w rzeczywistości, wystrzelimy kapsułę ratunkową z tobą na pokładzie. Resztę załatwię sama – odwróciła się do mnie tyłem. – Otworzę tunel. Bestia nawet nie zauważy, co się dzieje. Przeskoczmy w takie miejsce we wszechświecie, z którego już nie ucieknie.

— Czyli gdzie?

— W bezpośredniej sferze oddziaływania Sagittariusza A. – Poczułem, jak włosy stają mi dęba, gdy dotarło do mnie, co mówi. Chodziło jej o największą w Mlecznej Drodze supermasywną czarną dziurę. Przerazający twór o masie miliona mas słońca, największy w naszej rodzimej galaktyce. – Jeśli znajdziemy się poza horyzontem zdarzeń, nawet ta prastara bestia będzie bezsilna. Nic nie wydostanie się poza granice oddziaływania czarnej dziury. W dodatku, dla ofiary, która tam trafi, czas zwalnia, praktycznie stając w miejscu. Nie możemy zabić smoka, ale możemy go pokonać. Unieruchomić na wieczność.

Poczułem, jakby lodowata igła przeszła mi serce. Gabi chce się poświęcić, znów mogę ją stracić.

— Nie ma mowy – warknąłem. – Nie pozwolę ci się zabić.

— Mój kochany Max. – Obróciła się, uśmiechając smutno. – Jestem tylko cybernetycznym widmem twojej ukochanej. Nie jestem prawdziwa. Nie rób takiej zdziwionej miny, zdążyłam się

domyślić, jak mnie stworzyłeś. Gdy wszystko się skończy, kupisz sobie kolejny okręt i znów mnie odtworzysz.

— Mylisz się, Gabi, ty jesteś prawdziwa. Myślisz i czujesz, nic więcej nie ma znaczenia. Nie pozwolę ci poświęcić życia, nie po raz kolejny.

Coś we mnie pękło. Poczułem łzę spływającą po policzku. Po raz pierwszy od jej śmierci.

— Proszę cię... — szepnęła.

Wstałem z fotela, wyciągając ręce. Tak bardzo chciałem wziąć ją w ramiona i przytulić. Moje dłonie przeszły przez widmo, nie napotykając oporu. Gabrielle schyliła głowę, w jej oczach błysnęły łzy, a potem znikła.



Podjąłem decyzję. W jednej chwili spłynął na mnie spokój. Z trzęsącego się, łkającego durnia znów przemieniłem się w pewnego siebie oszusta i złodzieja. Skończy się moja męka, niekończące się wyrzuty sumienia, tęsknota za ukochaną, która poświęciła dla mnie życie, i wreszcie dziwaczne uczucie do jej cybernetycznej kopii. Wszystko znikło w jednej chwili. Plan skryzalizował się w mojej głowie w ciągu kilku uderzeń serca. Właśnie dlatego byłem jednym z najlepszych oszustów w galaktyce. Gdy już coś wymyśliłem, potrafiłem szybko decydować i doprowadzać sprawy do końca, nie zważając na przeciwności. Upewniłem się, że Gabi jest skoncentrowana na obliczeniach koordynat na Sagittarius A. Czuwała, obserwując manewry smoka. Kiedy wstałem z fotela pilota, mruknęła tylko, abym się przygotował do natychmiastowego przejścia na pokład kapsuły i nie włóczył bezsensownie po okręcie. Warknąłem coś w

odpowiedzi, by nie budzić podejrzeń i pomaszerowałem na tyły statku, wprost do luków magazynowych. Uruchomiłem transportowego bota, i wysłałem go do maszynowni. Musiałem użyć ciężkiego sprzętu, by doprowadzić plan do końca.

Gabi nie zwracała uwagi na to, co robię, całkiem skoncentrowała się na swojej robocie. Nie zareagowała nawet na prace w sercu okrętu, na grzebanie w napędzie. Znacznie ułatwiło mi to zadanie.



Smok trochę mnie rozczarował. Bestia miotała się po podprzestrzennej pustce niemiłosiernie długo. Zdążyłem wszystko przygotować, zadekowałem się w kapsule i czekałem. Czas włókł się koszmarnie wolno. Po raz kolejny sprawdziłem systemy małego stateczku, nerwowo zerkając na zegar. Jeszcze trochę i Gabi się zorientuje, że coś kombinuję. Nie miałem ochoty na długie tłumaczenie i przekomarzanie się. Poza tym, znając jej pierwowzór, obawiałem się, że może postawić na swoim. Potrafiła mnie owinąć sobie wokół palca, gdy naprawdę chciała.

Zatrzęsło całym okrętem i to dość porządnie, omal nie spadłem z fotela. Fala mdłości na chwilę całkiem mnie obezwładniła, poczułem gorąco rosnące gdzieś w trzewiach. Złapałem kilka głębokich oddechów, starając się zapanować nad wstrząsem. Strach przypełznął i ścisnął za gardło. Zaczęło się. Smok wypłynął z otchłani.

— Gdzie jesteśmy? – spytałem drżącym głosem.

— Układ Centauri. – Gabi mówiła spokojnie, mimo to wiedziałem, że z trudem panuje nad emocjami. – Kolonie na księżycach i stacja tranzytowa, w sumie żyje tu około pięciu

milionów ludzi. Musimy natychmiast wykonać skok, inaczej wszyscy zginą. Nie zdążymy ich ostrzec, zresztą i tak zabraknie czasu na przygotowanie obrony. Szykuj kapsułę do startu, musisz stąd jak najszybciej uciec. Zaraz otwieram korytarz.

— Obawiam się, że nic z tego – mruknąłem, włączając silniki.

Po trwającej ułamek sekundy chwili wahania pchnąłem dźwignię otwierającą śluzę. Kapsuła automatycznie wjechała do doku startowego. Wrota z tyłu zamknęły się i do śluzы wtargnęła próżnia. Po chwili otworzyła się brama wylotowa i kapsuła wystrzeliła na zewnątrz. Ekrany kokpitu wypełniły się gwiazdami i światłem splecionych słońc – Alfą i Betą Centauri. Wreszcie znów ujrzałem gwiazdy zamiast absolutnej ciemności panującej w otchłani. Wykonałem pętlę i uruchomiłem procedurę lądowania. Zatrzęsło, gdy kapsuła usiadła na smoczej łusce.

— Co ty wyprawiasz, Max?! – już nie panowała nad głosem, prawie krzyknęła. – Natychmiast stąd odlatuj! Zaraz otwieram korytarz.

— Nie tym razem. To ja go otworzę. – Strach coraz mocniej ścisnął mi gardło, ale jakoś się trzymałem. – Tak się składa, że generator anomalii jest na pokładzie kapsuły, a nie na statku. Przejmuję namiary na Sagittarius A.

Zatkało ją. Uruchomiłem transfer, zaczytując dane nawigacyjne. Starąłem się nie zwracać uwagi na fakt, że świat fiknął koziółka. To smok rozgrzewał się, wściekle machając skrzydłami. Szykował się do ataku. Z pewnością został już zauważony przez stacje kontrolne układu, pewnie ogłoszono na nich alarm i gorączkowo zastanawiano się, co to za cholerstwo.

— Dlaczego to zrobiłeś? Czemu chcesz poświęcić życie, kiedy ja to mogę zrobić?

— Nie pozwolę na to, nie po raz kolejny.

— Moje istnienie nie ma sensu bez ciebie – oświadczyła stanowczo, głos jej drżał. – Nie opuszczę cię, polecimy razem.

— Tego się obawiałem – mruknąłem. – Wybacz, Gabi, ale odebrałem ci władzę nad napędem i systemami manewrowymi okrętu. Od dziś kto inny nimi dowodzi. MAX, wystartuj i odleć na bezpieczną pozycję.

— Rozkaz, szefie – męski głos, który zabrzmiał w głośniku, był lekko przesterowany. Jego właściciel używał go po raz pierwszy w życiu.

Po przeniesieniu generatora anomalii na kapsułę wróciłem na okręt i zabrałem z magazynu kolejny cybernetyczny mózg. Gniazdo urządziłem w maszynowni, wykorzystując łącza czekające na dodatkowe moduły napędu.

Potem wpisałem w mózg zawartość dysku z wzorcem osobowościowym, moim własnym.

— Stworzyłeś swoją cybernetyczną wersję. – Gabi już się domyśliła, co zaszło. Wiedziała zatem, że nic mnie nie powstrzyma. – Max, nie rób tego! Jeszcze zdążymy cię zabrać z kapsuły. Może uda się uruchomić generator zdalnie.

Patrzyłem na oddalający się statek. MAX włączył przy starcie pełny ciąg, by odskoczyć ze strefy grawitacyjnej smoka. Już po chwili żarzące się wyloty silników zamieniły się w ledwie widoczne iskierki. Straciłem je na chwilę z oczu i już nie potrafiłem odnaleźć wśród morza migoczących gwiazd. Ciągle jednak byliśmy w łączności.

— Nie uda się, zresztą już za późno – szepnąłem. – Słuchaj, Gabrielle. Przez ostatnie lata szukałem zapomnienia, podejmując się coraz niebezpieczniejszych wyzwań. Kradłem i oszukiwałem, lawirowałem na krawędzi, byle tylko nie pamiętać. Stworzyłem

cię w przypiływie rozpaczy i tęsknoty. Obserwując twoją powolną ewolucję w kopię Gabi, cierpiałem coraz bardziej. Ostatnie godziny otworzyły mi oczy. Nie mogę dalej oszukiwać samego siebie. Pochodzimy z różnych światów, nigdy cię nie dotknę, nie pocałuję. Muszę odejść. Dołączyć do mojej prawdziwej Gabi, tam, po drugiej stronie.

Mówiąc, włączałem sekwencje procedury uruchamiającej generator. Obserwowałem kolumny meldunków przewijające się przez ekran. Drżącą ręką wprowadziłem koordynaty wylotu korytarza. Pozostały ostatnie sekundy do wytworzenia anomalii.

— Nie opuszczam cię, będę z tobą na zawsze. Jako cybernetyczny MAX. Zaopiekuj się moją kopią, minie trochę czasu, nim ukształtuje się w pełni autonomiczną osobowość – mówiłem dalej. – Myślę, że znajdziecie wspólny język, to właściwie drugi ja.

Wszystko było gotowe, generator pracował pełną parą. Kapsułą zatrzęsło i znajome fale mdłości nieomal znów odebrały mi przytomność. Kilometr przed pyskiem smoka otworzył się podprzestrzenny korytarz. Bestia rozpaczliwie szarpnęła skrzydłami, próbując uniknąć ziejącej pustki.

— Żegnaj, Max. Kocham cię – usłyszałem jej miękki i czuły jak nigdy dotąd głos.

Mam nadzieję, że pokocha także cybernetycznego MAX – a, bo o tym, że on to zrobi, byłem przekonany. Powiedzie im się razem? Ona, kierująca nawigacją, systemami obronnymi i energetycznymi okrętu, i on, mający pieczę nad napędem i sterowaniem. Dogadają się, pokochają? A moja Gabi? Czy czeka po tamtej stronie?

Odruchowo wstrzymałem powietrze, gdy otchłań pożerała bestię. Za sekundę wypluje ją w polu grawitacyjnym Sagittariusza

A – największej w galaktyce czarnej dziury, a mnie razem z nią.
Kurczowo zacisnąłem ręce na oparciach fotela. Ekran kokpitu
wypełniła absolutna ciemność. Zamknąłem oczy.

Rafał W. Orkan Urodziłem się 10 kwietnia 1980 roku we Wrocławiu, gdzie mieszkam do dziś przy ulicy pełnej dębów i kotów. Z powodu niezrozumienia idei systemu edukacji i braku choćby śladowych ilości rozsądku, nie dokończyłem nauki w żadnym spośród liceów, do których uczęszczałem. Skutkiem czego jestem szczęśliwym posiadaczem wykształcenia podstawowego. Parałem się różnymi zajęciami, od machania łopatką, przez burzenie i budowanie, do magazynowania. W czasie wolnym staram się być dobrym ojcem Jagody i godnym towarzyszem życia Margolki. Czytam, piszę, słucham muzyki, oglądam filmy, spaceruję, nadmiar agresji wyładowując z użyciem broni białej. Lubię sugestywne malarstwo, mocną poezję i zapach deszczu. Chłodne lato, śnieżną zimę i złotą jesień. Wiosnę w każdej postaci.

Zacząłem czytać w wieku lat czterech i od razu zabrałem się za pisanie. Zakreśliłem wiele stron, zarówno papierowych, jak i tych elektronicznych, większość wyrzucając w otchłań niepamięci. Samotne borykanie się z literacką materią bywa naprawdę frustrujące – na szczęście trafiłem na Forum Fahrenheita, gdzie, przełamawszy opory, rzuciłem na żer użytkowników własne teksty. Okazało się, że nawet smakowały... Nie potrafiłbym więc znaleźć słów wdzięczności dla wszystkich Fahrenheitowiczów udzielających się w Zakużonych Warsztatach. Ich pomoc w szlifowaniu warsztatu była i jest wprost nieoceniona.

Rafał W. Orkan MIÓD Z MOICH ŻYŁ

1. Gebneh

Ten, kto codziennie jadał srebrnymi sztucami z porcelanowych talerzy, za przysmaki mając najwymyślniejsze

potrawy mistrzów kucharskich z Domeny Pierza, nie wie nic o prawdziwym życiu. Nie ma najmniejszego prawa mienić się człowiekiem doświadczonym przez los, skoro nie poznał, co to chłód wilgotnego posłania, strach przed grasującym po okolicznych zaułkach żarłakiem czy dreszcz prawdziwej grozy na myśl o kolejnym dniu z jednym tylko posiłkiem, na który składać się będą suchy chleb i cienka nalewka na kawie i mące z kamieniami. A wzięwszy pod uwagę jego dostęp do opieki zdrowotnej, respekt, z jakim się do niego odnoszono, oraz świadomość stabilnego, bezpiecznego jutra, człowiek ów miał prawo nazwać się szczęśliwym wybrańcem losu.

Tym bardziej nagrobek, na którym rodzina kazała wypisać złotymi literami epitafium głoszące o ciężkiej doli, jaka rzekomo była udziałem leżącego pod marmurową płytą nieboszczyka, jawi się dość groteskowo dla kogoś takiego, jak ja.

— Długo pożył – wtrąca Nabro.

Robimy sobie krótką przerwę. Oparłszy się o szpadel, odwracam wzrok od kończącego swoją część pracy kamieniarza i spoglądam ponad spokojnym morzem nagrobków. Gdzieś tam, za murem cmentarza Dzielnicy Sztankietowej, żyje rodzina mężczyzny, którego właśnie zasypujemy. Ludzie zamożni, otoczeni luksusem, niecierpiący niedostatków codziennego życia biedoty.

Czasem odnoszę wrażenie, że należymy do innego gatunku. My, nędzarze, nierzadko żywiący się szczurami łowionymi z rynsztoka i oni... Złоторęcy. Właściciele fabryk, kupcy, naukowcy, ekonomowie i posiadacze. Wszystkim im przyszło w udziale czerpać z życia więcej, niż byliby w stanie przejeść, przepić i przerobić na odpadki. Odpadki, które dla nas częstokroć stanowią szczyt marzeń o luksusie.

Ludzkie śmieci. Tym właśnie dla nich jesteśmy.

Pracujemy w ich fabrykach, produkując dobra, którymi między sobą handlują. Konstruujemy opracowane przez nich wynalazki mające ułatwić nie nasze, lecz ich życie. Umilamy im wolny czas, grając za marne grosze w należących do nich teatrach, operach i filharmoniach, a z głodowych stawek, które otrzymujemy za ciężką pracę, odejmowany jest podatek, przeznaczany później na medyków i nauczycieli czuwających nad ich zdrowiem i wykształceniem. Nas mają za nic. Wyżej już cenią fikuśnie wystrzyżone, wypachnione pudle, kładąc je na atłasowych poduszkach i karmiąc najwyższej klasy spadziową pożywką.

A gdy nadejdzie kres życia, co w przypadku takiego Złotorękiego nieczęsto wypada wcześniej, jak po sześćdziesiątce, każą zakopywać się w ziemi w drewnianych skrzyniach zdobionych srebrem, lub kłaść w granitowych grobowcach wyglądających jak miniatury pałaców. Oczywiście to nie oni brudzą sobie dłonie grobową ziemią.

Ale jedno jest pewne. Czy to będzie Złotoręki w rzeźbionej trumnie, odziany w jedwabne suknie, czy najuboższy nędzarz wrzucony nago w otchłań Krematorium, tak samo będą martwi. Jednego zeżre robactwo, drugiego strawią płomienie, lecz obaj zejną z tego świata w równie smrodliwy sposób.

— Kończmy to, młody – wzdycha Nabro, zabierając się za miotłę. Jego pomarszczoną twarz, wyglądającą jak skorupa zaschniętych rzygowin, wykręca grymas znamionujący zniesmaczenie obecnością Złotorękiego.

Mistrz kamieniarski, potężny jegomość o kwadratowej twarzy i ustach zaciśniętych na kształt odwróconej podkowy, pogania robotników i, nie racząc nas zaszczyć nawet przelotnym

spojrzeniem, odchodzi w kierunku lektyki. Pojazd po chwili odlatuje z cichym szumem akasilników, pozostawiając jałowcową woń flogenitowych oparów.

Zabieramy się za czyszczenie nagrobnej płyty. Nabro mruczy coś pod nosem, a ja spoglądam w górę. Mieszkając w Domenie Dzbana, tęskni się za widokiem nieba. Nawet jeśli zawsze spowija je dywan popielatych chmur i smogowa zawiesina.

Ciekaw jestem, co Arystokraci robią z ciałami swoich zmarłych. Tam wysoko, ponad morzem obłoków, jest inny świat. Dla Arystokratów Złotoręcy są tym, czym my jesteśmy dla Złotorękich.

Zastanawia mnie, czy w Stalowych Ogrodach w ogóle zdają sobie sprawę z istnienia takiego robactwa, jak my...

Robota idzie gładko. Zasypane, posprzątane, do domu. Na dziś to koniec. Jutro znowu czekać będzie kilka ciał do zakopania. A pojutrze... przydział do Krematorium. Później znowu kilka dni kopania i dzień przy płonąącym dole. I tak w kółko. Nic przyjemnego, ale w porównaniu z rolą cyrkowego dziwadła, życie grabarza jest o wiele przyjemniejsze. Przynajmniej nikt nie patrzy na mnie jak na kuriozum. Dla kolegów z pracy jestem po prostu człowiekiem. Całym w bliznach, do tego zbyt odczytanym jak na grabarza, ale człowiekiem. Kolegą, z którym można pogawędzić, napić się... Jak dotąd jedynie Tane-tani traktowała mnie w ten sposób.

Ale ona sama jest dziwadłem.

Żegnam się z Nabro. On wraca na dół, do Domeny Dzbana. Ja zostaję w wytwornej Dzielnicy Sztankietowej, gdzie czeka mnie codzienny rytuał. Wyniosłe sylwetki pięknych domów, okolonych prywatnymi ogrodami pełnymi fontann, bajorek i cichych zagajniczków, przytłaczają niedostępnym pięknem.

Zdają się wytykać mnie palcami: „ Patrzcie, karaluch! ”.

Szybko przekradam się w doskonale znanym sobie kierunku. Tutaj ulice są wyjątkowo puste, wystarczy omijać patrole i kryć się przed niepożądanym wzrokiem rzadko spotykanych przechodniów. I już...

Jestem na miejscu.

2. Gebneh

Tak, wiem, to głupie... gapić się ukradkiem, niczym złodziej obserwujący z ukrycia ofiarę przyszłej napaści. Czasem tak się właśnie czuję, jakbym wykradał coś bardzo cennego... ale potrzeba obcowania z nią jest silniejsza ode mnie. Nie wiem nawet, jak ma na imię. Musi mi wystarczyć sam jej widok za stalowymi prętami ogrodzenia. Siedzę więc w krzakach i obserwuję.

Patrzę, jak spaceruje po ogrodzie, zawsze o tej samej porze, jak poprawia kasztanowe loki, jak delikatnie stąpa żwirowanymi ścieżkami, przysiadając na białej ławeczce w otoczeniu słupek. Smukłe palce muskają stronice oprawnej w kremowy aksamit książki. To pewnie jedna z tych słynnych „ różowych ” nowel czytanych przez młode panny z wypiekami na twarzy. Lecz lico mojej ukochanej pozostaje alabastrowo białe, podobne posążkowi z kości słoniowej. Statuetka przedstawiająca półnagię młodzieńca stoi tuż obok ławeczki, na której przysiadła moja piękna, a mnie aż skręca pragnienie, by zamienić się z ową rzeźbą miejscami.

Powtarzam to przynajmniej od miesiąca. Dzień w dzień, zawsze o podobnej porze, zakradam się pod dom jej ojca, by

stercząc pod ogrodzeniem podglądać, jak przechadza się, wącha kwiaty, czyta... Ukryty w gęstych krzakach przed wzrokiem mazurbalańskich żołnierzy uczę się na pamięć wszystkich drobnych gestów, grymasów i zachowań najpiękniejszej dziewczyny, jaką było mi dane ujrzeć.

Znam uśmieшки, po których poznaję emocje targające moją ukochaną, gdy śledzi treść kolejnej nowelki, wodząc w skupieniu wzrokiem po czarno zadrukowanych kartach. Poznałem wszystkie rodzaje spojrzeń, jakimi raczy służyć. Wiem, w jakim jest humorze, jakiego koloru pończoszki przyodziła i czy dobrze się wyspała...

Zrobiłbym wszystko, by wyrwać ją z tej złotej klatki. Wiem, czuję to... że moja ukochana nie pasuje do świata, w którym przyszło jej żyć. Pochłania opowieści napisane przez ludzi z dołu. Ludzi takich jak ja. I wiem, widzę to na jej ślicznej buzi, ten głęboki, modry refleks w jej oczach... Widzę, że chciałaby porzucić nudną, sztuczną egzystencję, w jakiej przyszło jej powoli konać. Dostrzegam jej męczarnię, gdyż co dnia zmuszona jest do trwania w ciasnych okowach złudnego luksusu. Bogactwo okrada człowieka z duszy, a jej dusza z pewnością jest wyjątkowo piękna. Trzymać tę istotę w świecie Złotorękich, to jak zamknąć w klatce sokoła. Moja piękna...

— Hej, ty! – Szorstki głos wyrywa mnie ze stanu upojenia widokiem ukochanej. – Wyłaż stamtąd, ale natychmiast! Tak, do ciebie mówię!

A niech to! Po raz pierwszy zdarzyło się, że jeden z mazurbalańskich psów mnie wypatrzył. Ostre gałązki krzewu ranią twarz, gdy przedzieram się w stronę ulicy. Żołnierzy lepiej nie ignorować. Patrolują zawsze trójkami, uzbrojeni w groźnie lśniące poskramiacze i gotowi użyć ich w celu ratowania spokoju

w jednej z dzielnic Domeny Pierza.

Staję niemal na baczność. Szare i proste mundury Mazurbalańczyków kontrastują ze strojnym w barwy i kształty otoczeniem, nadając żołnierzom bardzo groźny, obcy wygląd.

Gdy najeźdźcy rozpoczynali okupację Wiecznego Vakkerby, sądziłem, że nasze życie ulegnie wielkim zmianom, lecz nadzieje okazały się płonne. Bogaci nadal ciemną biednych. Taki jest najwyraźniej porządek świata, choć w głębi serca ani trochę się z nim nie zgadzam. Lecz trzeba przyznać, że od kiedy w mieście stacjonują mazurbalańskie wojska, w Domenie Dzbana również można się czasem natknąć na przechadzające tu i ówdzie patrole. Taki wyraz troski ze strony władz, nawet jeśli owa troska miałaby wypływać z czysto politycznych pobudek, wcześniej zdawała się rzeczą wręcz niewyobrażalną.

Wprawdzie niewiele z owego patrolowania wynika, może poza delikatnym skomplikowaniem przestępczych układów, ale przynajmniej widać, że nowy lord protektor jest myślącą, a być może nawet czującą istotą.

W przeciwieństwie do poprzedników wywodzących się z rodzimej Arystokracji...

— Co masz w tym worku? – pyta wysoki Mazurbalańczyk.

Posłusznie rozwiązuję rzemienie, prezentując zawartość bagażu. Szpadel, szufla, miotła i miotełka, zwinięta linka, młotek i kilka osobistych rzeczy, takich jak cynowy kubek, miska i nóż. Przynajmniej połowa tych przedmiotów mogłaby posłużyć za broń...

Przełykam ślinę. Poskramiacze groźnie wiją się wokół potężnych ramion żołnierzy górali. Srebrzysty blask żywej broni ostrzega przed podejmowaniem jakichkolwiek prób oporu. Lepiej poddać się rewizji, niż skręcać w bolesnym tańcu, płasząc

w rytm dzikiej melodii granej na każdym nerwie zgwałconego okrutnymi wstrząsami ciała.

— Narzędzia... hmm. Jesteś robotnikiem?

— Grabarzem.

Żołnierz o jasnych, rozwodnionych oczach przygląda mi się przez chwilę z taką miną, jakby oceniał wartość bojową wygłodniałego, parszywego kundla.

— Co tutaj robisz? Chowasz w krzakach trupa?

Zaprzeczam, kręcąc głową. Zimny pot zaczyna spływać po plecach, wzdłuż kręgosłupa. Chwilę niezręcznego milczenia przerywa drugi z Mazurbalańczyków.

— Spójrzcie, co tam się przechadza za ogrodzeniem. – Gestem dłoni wskazuje na moją ukochaną. – Nasz grabarz robił sobie dobrze, podglądając tę świeżą bułeczkę...

— Nie rob... — wyrywa mi się, ale ucinam szybko. Na szczęście w porę opanowuję emocje. – Tylko patrzyłem, panowie.

— Tylko patrzył! – odzywa się trzeci.

Śmieją się w głos, bez zażenowania, pozwalając, by spacerująca ogrodem dziewczyna zwróciła na nas uwagę.

I zwraca. Po raz pierwszy spogląda na mnie tymi ślicznymi, modrymi oczyma. Czuję rumieniec wypływający na policzki. A oni wciąż rechoczą...

— Patrzcie, jak nam grabarz spąsowiał! Pewnie rzadko ma do czynienia z żywymi okazami?

— Hej, nie denerwuj się, młody – drwi ten o wodnistych oczach. – Każdy chciałby zatkać takiej dziurkę.

— I to niejedną! – dodaje inny. – Jest nas trzech, koledzy, byłoby akurat po jednym na każdy otworek.

Zanoszą się potwornym śmiechem. Chyba puszcza mi nerwy... Uduśliłbym tych prostaków gołymi rękami, gdybym mógł. Kątem

oka dostrzegam spłoszoną ich zachowaniem dziewczynę. Służące zasłaniają ją przed wzrokiem żołnierzy i odprowadzają do domu.

— Widzisz – mówi ten wodnistooki – pomarzyć zawsze można. Ale nie dla ciebie ta bułeczka ani dla nas, zwykłych wojaków.

Żołnierz oddaje mi worek, który zawiązuję i zarzucam na ramię.

— Wracaj na dół, grabarzu. I idź na dziwki. Przepuść dniówkę w jednym z wielu burdeli, jakie tam macie. I... hej, mam nadzieję, że rzeczywiście zadowalałeś się w tych krzakach. Lepiej, żeby te narzędzia nie służyły wysyłaniu żywych na tamten świat, a jedynie tych już zmarłych...

Ja? Mordercą? I kto to mówi... A moja dniówka starczyłaby w burdelu co najwyżej na wkupne dla odźwiernego.

— Ja nie... Panowie, jestem uczciwym człowiekiem. Zapewniam.

— Jasne, jasne... Znikaj już.

— I żadnych głupstw. Domena Pierza to nie miejsce dla grabarzy.

Kiwam głową i szybkim krokiem oddalam się w stronę Wężła. Grabarskie narzędzia grzechoczą w worku, boleśnie tłukąc mnie w grzbiet.

Ja, mordercą i włamywaczem? Dobre sobie. Żeby dostać się do ogrodu, musiałbym najpierw użyć szpadla do zrobienia wykopu pod ogrodzeniem, a to byłoby skończonym idiotyzmem i tamci żołnierze chyba zdają sobie z tego sprawę. No, cóż... cała ta afera warta była jednak tego jednego, krótkiego spojrzenia modrych oczu. Nie tak chciałbym się jej objawić, ale spojrzała na mnie. Spojrzała!

I to spojrzenie, zdaje się, wypaliło mi na skórze żywe znamię, które piecze jak diabli.

Boże, nie pałam do ciebie sympatią, ale daj mi tę dziewczynę, a chyba zostanę kapłanem i twoim najgorętszym wyznawcą.

3. Tane–tani

— Twoja dola, pająku – mówi Skaraim, rzucając monety na tłusty blat.

Dwa rzce obracają się na stole niczym wirujący derwisze na dachu bożnicy. Cztery wędrują do jego kieszeni, za ochronę i lokum. Mogłabym to robić w domu, ale prędzej czy później znalazłby się amator dodatkowych wrażeń i skończyłabym, dławiąc się własną krwią, posuwana w chwili śmierci przez zaślinionego ulicznego rzeźnika.

Tak jest bezpieczniej. Wygodniej. Tylko że pracować muszę trzy razy więcej.

Wielki Kocioł to największa dzielnica Domeny Dzbana. Podziemnymi korytarzami, piętrowymi ulicami i zatęchłymi tunelami przelewają się tłumy robotników, żebraków, złodziei, dziwek, morderców, ulicznych wojowników, artystów, poetów, aktorów, muzyków, graczy różnego rodzaju, wynaturzonych molosów, małoletnich bandytów wszelkiego pokroju, życiowych rozbitków, zaklinaczy, pustoskórych, Najrajów i przeróżnych tajemniczych indywiduów. Co jakiś czas jedną z głównych estakad przechadza się podwójny, mazurbalański patrol. Czasem można nieszczęśliwie trafić na rozjuszoną bojówkę Czystych wyłapujących z tłumu co bardziej zniekształconych mieszkańców Wielkiego Kotła. Czerwone opaski z symbolem czarnej trupiej czaszki na ramieniu, szkarłatne proporce i ścinające krew okrzyki młodych mężczyzn do dziś śnią mi się po

nocach. Czystych należy omijać szerokim łukiem, jeśli wygląda się tak, jak ja.

Ukrywam monety w podszewce jednego z rękawów kurtki z licowanej skóry i wynoszę się z paskudnej nory, zwanej dla niepoznaki Domem Uśmiechu. Schodami w górę, ciasnym korytarzem, gdzie tynk sypiący się na posadzkę miesza się z krwią, tworząc różową papkę, do której lgną wiecznie głodne mięsne muchy.

Spadziowe latarnie nadają temu podziemnemu światu wiecznie brunatny, lepki i ciężki poblask. W bursztynowym świetle toną główne aleje i najmroczniejsze zakamarki, kamienne mosty i ślepe zaułki. Tysiące zamglonych słońc odbijają się w smoliście czarnych zwierciadłach zatrutych fabrycznymi wyciekami podziemnych rzek. Tu, na dole, rzeczywistość nosi piętno magicznego skażenia i widać to na każdym kroku.

Wystarczy, że spojrzę w lustro...

W powietrzu ciężkim od tłustego dymu fabrycznych kominów trudno złapać oddech. Po niedługim czasie szybkiego marszu wkraczam do Dzielnicy Stągwi, gdzie pośród starych, ceglanych maszynowni ciągną się rzędy robotniczych czynszówek. Zegar na wieży ciśnień ogłosił trzykrotnym, głębokim westchnieniem i pięcioma kasznięciami Godzinę Warty, więc tym bardziej muszę się pospieszyć. Zaraz wróci Gebneh, na stole powinna stać ciepła strawa. Gdyby było inaczej, nie umiałabym chyba się przed nim wytłumaczyć.

Gebneh nie wie nic o mojej pracy. Nie ma pojęcia, że dzień w dzień, pod jego nieobecność udaję się do Domu Uśmiechu, by zarabiać na naszą wielką ucieczkę z Vakkerby. Nie chcę tu gnić do końca życia i wiem, że on także nienawidzi Wiecznego Miasta.

Potrzebujemy jedynie pieniędzy. Dużo pieniędzy, bo za sięgającymi do nieba murami Vakkerby, by przetrwać, trzeba się zmierzyć z dziką przyrodą.

Spotkałam go w Cyrku Anabora. Trafił tam jako dziecko. Jeden z akrobatów znalazł pewnego dnia niemowlę kwilące w rynsztoku. Płynęło ściekiem na kawałku deski i zaplątało się w jednym z zakoli w stertę pływających odpadków, a akrobata nie miał serca zostawić płaczącego berbecia na pastwę kanałowych szczurów.

Niebawem okazało się, że zraniony Gebneh, gdyż takie imię nadał mu przybrany rodzic, nie krwawi w zwyczajny dla ludzi sposób. Z żył chłopca sączyła się ciecz do złudzenia przypominająca wyglądem – oraz smakiem, jak się zaraz przekonano – złocisty miód, jaki można było kupić w Domenie Pierza. Co więcej, owa tajemnicza ciecz roznosiła wokół upajającą woń, a kropla tego specyfiku; wzięta na język, wywoływała długotrwałą euforię, o wiele bardziej intensywną niż popularny na ulicy błękit. Nie mówiąc o wielu podlegszej jakości narkotykach.

Chłopca przedstawiano widzom jako Króla Szczurów i pozwalano im upajać się złotą krwią za grube pieniądze. Dziś na ciele Gebneha trudno odnaleźć miejsce wolne od blizny. Oszczędzono jedynie twarz i dłonie.

Gdy trafiłam do cyrku, był już dorodnym młodzieńcem o jasnych włosach i chmurnym obliczu wyciosanym na podobieństwo starożytnych posągów przedstawiających niebiańskie istoty. Zaraz otoczył mnie opieką i od pierwszej chwili trzymaliśmy się razem. Po paru latach, gdy odłożyłam odpowiednią ilość funduszy (Gebneh nigdy nie potrafił oszczędzać), zaproponowałam, by porzucić pracę w cyrku i

poszukać szczęścia w normalnym życiu.

Wiem, naiwne... my i normalność. Ale żyjemy tak od pół roku z okładem, dzieląc wspólnie mieszkanie i pocieszając się w trudnych chwilach.

Żal mi patrzeć, jak miota się, zagubiony pomiędzy wrodzoną ambicją a pogardą do krzywo urządzonego świata. Wierzę, że jest mu przeznaczone życie lepsze niż to, które przypadło mu w udziale i sądzę, że jedynym rozwiązaniem jest ucieczka z tego przeklętego miejsca, jakim jest Wieczne Vakkerby. Obawiam się jednak, że zanim stąd uciekniemy, Gebneh zapętli się w wirze własnych pragnień i lęków, rozbijając sobie głowę o mur.

Dlatego pracuję ze wszystkich sił. Oddając się co dzień obcym mężczyznom, nie myślę o „tu i teraz”, lecz o przyszłości. Przyszłości poza murami zatęchłej metropolii, w której ludzie duszą się jak wędzone gołębie. Zanim życie zdławi w nas całą umiejętność dostrzegania piękna, musimy znaleźć się na zewnątrz, z poczuciem wolności w płucach i nadzieją na godne spędzenie reszty naszych dni.

To, co płynie w jego żyłach, to jakiś znak od Boga, że Gebneh nie pasuje do tego miasta. Wierzę, że złota krew jest czystym, żywym pięknem wtłoczonym w równie piękne ciało przez siłę wyższą. Zaś Vakkerby jest miejscem złym i brzydkim. Zarówno tu, jak i na górze, w Domenie Pierza, głęboko wżarty brud i postępujący rozkład emanują z każdej cegły, z każdej brukowej kostki, z każdej ludzkiej twarzy...

Dopadam do bramy i zanurzam się w wełnistym mroku klatki schodowej. Otwieram drzwi, zawiasy jęczą jak zarzynane. Zapalam spadziowe lampy i szybko zabieram się za przygotowanie posiłku.

Gebneh zaraz wróci...

Byłby w domu wcześniej, gdyby nie ciągłe wizyty w Dzielnicy Sztankietowej. Napawa mnie lękiem chora fascynacja tą porcelanową, wymalowaną laleczką, o której wciąż mówi. Na Boga, łatwo być piękną, kiedy tabun ludzi dba o to, żebyś się przypadkiem nie spociła przy porannej toalecie. Założę się, że po kąpieli służące nacierają ją drogimi balsamami, spryskują pachnidłami, później szpachlują, malują, ubierają w piękne suknie... Łatwo być piękną komuś takiemu.

Gebneh nie pojmuje, że jest od niej o wiele piękniejszy, bo prawdziwy. Znacznie trudniej zachować urodę na zewnątrz, jak i wewnątrz, gdy żyje się tutaj, pod ziemią.

Wiem, że to minie... na pewno. W końcu ochłonie, znudzi się tym jałowym podglądaniem, przejrzy na oczy i odkocha. Zresztą, to przecież nie miłość. Niemożliwe, żeby kochać kogoś, o kim nie wie się zgoła nic. Gebneh zagubił się, zatracił... Ale przejdzie mu. Przecież prawdziwe piękno zawsze jest ukryte. W końcu to dostrzeże i przestanie zawracać sobie głowę nierealnym zwidem.

A może zabrać go stąd już teraz? Ciężko pracowałam, więc być może mamy już dość pieniędzy? Tak bardzo pragnę, żeby zrozumiał, że chcę dla niego tylko szczęścia. Żeby to pojął, zanim to fałszywe urzeczenie opęta go do reszty.

Kroki na schodach! Wraca.

Teraz uśmiech na twarz, posiłek na stół, jak co dzień... Posiniaczony tyłek boli od walenia weń przez parę godzin jak w bęben. Ale to nieważne, to dla niego.

Dla nas.

4. Gebneh

— Miałeś dużo szczęścia. Mogło się skończyć znacznie gorzej. Widziałam kiedyś, jak batożą złodzieja. Te ich poskramiacze są straszne, mówię ci. Oczywiście, baliby się ruszyć kogoś z gangów, ale tamten był tylko niedorozwiniętym dzieciakiem. A ty przecież nie wyglądasz na bandziora z gangu. No... i nawet jeśli, to nie byłeś u siebie. Lepiej przestań tam chodzić.

Tane–tani doskonale gotuje. Ale ma nieznośny zwyczaj zatruwania wspólnego posiłku prawieniem morałów. Jest najlepszą przyjaciółką, jaką mógłbym sobie wymarzyć, ale nie rozumie tego, co czuję do ukochanej. Myślę, że ona nigdy nikogo nie kochała, jak więc może wczuć się w moje położenie?

Nie potrafiłbym zaprzestać codziennych wypraw do mojej ukochanej. I tak przechodzę w pobliżu, gdy wracam z cmentarza do Węzła. Chyba rozdarłoby mnie na pół, gdybym miał przejść tamtędy obojętnie, choćby na moment nie rzuciwszy okiem przez kraty stalowego ogrodzenia.

Biedna, sześcioreka Tane–tani. Dziewczyna pająk, jak nazywali ją w Cyrku Anabora. Przy jej niezwyklej powierzchowności trudno było czuć się swobodnie jakimkolwiek mężczyźnie. Chyba że zapłacił za jej towarzystwo. Tane–tani trafiła pod skrzydła Anabora znacznie później niż ja, bo w wieku szesnastu lat. W każdym razie twierdziła, że ma właśnie tyle.

Pamiętam czerwony parawan, za którym kryło się wiekowe, drewniane łóżko. Pamiętam kolejkę mężczyzn, starych i młodych. I okrzyki garbatego Hurmo: „ Dziewczyna pająk! Ma trzy pary sprawnych rąk, którymi obsłuży sześciu mężczyzn naraz, i parę długich nóg, które chętnie rozłoży za jedyne pół grzywny! Egzotyczna dziewczyna pająk! ”.

Pamiętam wyraz jej oczu, gdy odchodził ostatni klient danego dnia. I to okropne skrzywienie łóżka przez kilka bitych godzin, na

okrągło, jakby to pracowała maszyna... Hurmo tylko co jakiś czas znikał za parawanem z czystym prześcieradłem i wracał z kompletnie mokrym i cuchnącym.

Cóż za ironia losu. Tane-tani miała codziennie nie mniej niż osiemdziesięciu mężczyzn, a nie była w stanie zatrzymać na stałe choćby jednego. Egzotyczny wygląd pomagał w przyciągnięciu klientów, lecz z pewnością odstraszał, jeśli miałyby iść o coś więcej niż płatne spółkowanie.

— Smakowało ci?

Kiwam głową.

— Jak zawsze, Tane-tani, jak zawsze.

Patrzę, jak zbiera ze stołu puste talerze i miski. Sądzę, że potrafiłaby zrobić wystawną wieczerzę z obiadowych resztek. To wielki talent. Kiedyś zdołam namówić ją do założenia gospody. Tak, mamy dość oszczędności, żeby spróbować. Tane-tani odkładała połowę tego, co zarobiła w cyrku i uzbierała całkiem pokaźną sumkę. Toteż mimo żalosnej stawki jednego rżca dziennie, którą zarabiam jako grabarz, nie cierpimy głodu i stać nas na względnie wygodny tryb życia.

— Zupełnie cię nie rozumiem – wypala Tane-tani, zabierając się za szorowanie piaskiem brudnych naczyń. – Przecież ta dziewczyna to Złotoręka. Córka bogacza, pewnie właściciela jakiejś fabryki albo czegoś w tym rodzaju... A ty tak bardzo nie znosisz bogatych ludzi. Czasem wydaje mi się, że nienawidzisz ich za to, że to z ich fabryk spływają do ścieków zanieczyszczenia, przez które... no, wiesz. Ty i ja...

Tane-tani mówi odwrócona do mnie plecami. Przyglądam się jej w niemal hipnotycznym transie. Pracujące jednocześnie trzy pary rąk przypominają ramiona zaklętej maszyny. Wydaje się, jakby cały proces zmywania odbywał się automatycznie. Pewnie

niejednej zapracowanej gospodyni przydałyby się dodatkowe dłonie.

— Słyszałam, że to przez szczury. One żyją w kanałach, pływają ściekami i, wiesz... wielu ludzi zjada przecież te szczury. Może nasze matki też jadły...

— Larwy Mehinota – ucinam.

— Słucham? – Tane-tani odwraca się z drewnianym półmiskiem w jednej z dłoni.

— Larwy Mehinota. Nazywają się tak od imienia odkrywcy. To byty z pozaprzestrzeni, które Technomagowie umieszczają w bryłach flogenitu.

— To te Larwy pływają w ściekach?

— Nie – uśmiecham się. – Dwie Larwy, czerwoną i czarną, zamyka się w bryle, a pomiędzy nimi powstaje Ogniwo Aka. Larwy są w pewnym sensie zmuszone do ciągłej wymiany energii, dzięki czemu powstaje Esencja, która płonąc, wprawia w ruch silniki i serca różnych urządzeń. Ale flogenit topi się, więc jedna bryła starcza tylko na jakiś czas. Zmieszany dym spalonej Esencji i stopionego flogenitu osadza się na wszystkim dookoła, ale dla ludzi jest niegroźny. Istnieją jednak pewne bardzo małe, niewidoczne gołym okiem stworzenia, które przesiąkają tym dymem. Stworzenia owe, zmienione pod wpływem pulsowania niewyczuwalnej dla nas mocy, atakują ciała pcheł. Pchły zarażają szczury, a te trafiają na ruszt. Widziałaś kiedyś mutanta z Dzielnicy Tykwy? Oni to by dopiero cyrk stworzyli... gdyby zostało w nich coś z człowieka.

Tane-tani zaprzestała zmywania. Stoi i patrzy na mnie zdumionym wzrokiem.

— No, co? – Wzruszam ramionami. – Poczytaj dzieła Erystarchy. Technomagowie nigdy nie zdołali spalić wszystkich

egzemplarzy. Wiesz... — milknę i dodaję po chwili. — Oni nie chcą, żebyśmy cokolwiek wiedzieli...

— I tak powinno pozostać. Ty zawsze mierzysz zbyt wysoko. Tak samo, jak z tą Złotoręką... To może być niebezpieczne.

— Mówisz o księgach czy o niej?

— O jednym i drugim. — Tane-tani naburmusza się i dorzuca do pieca. — Ale szczególnie o tej dziewczynie. Co ty sobie wyobrażasz, że jak będziesz ją codziennie podglądał, to wreszcie cię zauważy i zaprosi do siebie? Ciekawe, co byście robili?

— No, ciekawe...

— Oj, przestań! To nie jest dziewczyna dla ciebie. Tylko napytasz sobie przez nią biedy.

Tane-tani miota się po izbie, jakby ją coś ugryzło. Może, rzeczywiście obawia się, że mógłbym odejść? W końcu przyjaźnimy się tak długo... Decyzję o odejściu z cyrku podjęliśmy wspólnie i nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby się rozstawać. Od tak dawna staraliśmy się opiekować sobą nawzajem. Ale... A niech to! Gdyby tak...

Wstyd się przyznać nawet przed samym sobą, ale ja naprawdę wierzę, że udałoby mi się z moją piękną Złotoręką ułożyć życie. Wiem, że dusi się w otoczeniu pustego bogactwa, że pragnęłaby poznać kogoś ciekawego, znającego prawdziwą stronę życia. Kogoś takiego jak ja...

— I co byście razem robili?

Serce staje mi w gardle. Przez chwilę nawiedza mnie nieprawdopodobna myśl, że Tane-tani czyta w moim umyśle jak w otwartej księdze.

— Pomyśl sobie — kontynuuje z dziwnym grymasem na twarzy. — Czy twoja wymuszkana piękność jadłaby szczury, gdyby przycisnął was głód? Czy potrafiłaby zamieszkać pod jednym

dachem ze stadem karaluchów, bez wygod, bez świeżego powietrza, bez srebrnego nocnika?

— Uspokój się, Tane–tani! Jeszcze z nią nie zamieszkałem.

— Ty coś kombinujesz. – Spogląda podejrzliwie spod grzywy rudych kosmyków opadających obficie na skrzywioną grymasem złości twarz. – Widzę to w twoich oczach.

— Niczego nie kombinuję! Daj mi wreszcie spokój. Zresztą – dodaję spokojniej – szukalibyśmy szczęścia poza miastem.

Tane–tani prycha w szyderczym geście i siada z powrotem przy stole. Jakiś przelotny cień na moment przesłania jej oblicze, a kpina dosłownie sączy się z ust.

— Poza miastem... Żartujesz? Poza Vakkerby? Tam nic nie ma, tylko stepy i dzikie bestie.

— Bzdury starych bab!

— Może i bzdury. – Tane–tani sięga po dzban i nalewa nam wody do kubków. – Może i za murami wiecznego miasta da się żyć... Kto wie, świat może być tam, pomimo dzikości natury, znacznie lepszy niż tutaj. Ale jedno jest pewne... z nią się tego nie dowiesz. Vakkerby to matnia. To miasto wsysa ludzi i rzadko ich wypuszcza. To kocioł pełen zupy, w której na wierzch wypływają piękne, ozdobne warzywa, a kości osiadają na samym dnie. A gdy zupa jest gotowa, kości rzuca się psom.

Spoglądam na Tane–tani i widzę, jak zaciska zbiełałe wargi. Co ją tak ugryzło? Powinna kogoś poznać, bo siedzi w tych czterech ścianach zupełnie sama, podczas gdy ja zarabiam na nasze utrzymanie. Jej oszczędności z Cyrku Anabora, z których korzystamy dość ostrożnie, trzymamy na co dzień w ukryciu, schowane na czarną godzi nę bądź na wypadek, gdybyśmy w końcu zdecydowali się otworzyć knajpę. Ale przecież kiedyś rzeczywiście mogę związać się na stałe z jakąś kobietą, a wtedy

Tane-tani zostanie zupełnie sama i będzie musiała się z tym pogodzić.

Teraz, kiedy moje myśli krążą wokół jednej tylko osoby, doskwiera jej samotność, to jasne.

— Zrozum, Gebneh – mówi. – Ty jesteś kością w tej zupie, a Złotoręcy zawsze wypłyną na wierzch, choć to nam zawdzięczają wypychający ich ku górze rosół.

Uśmiecham się na to kulinarne, tak typowe dla Tane-tani, porównanie.

— Tak jest zazwyczaj – odpowiadam. – Ale wcale nie musi tak być...

— Więc jednak chodzi ci po głowie coś głupiego?

Tane-tani trafia w sedno, choć ciężko się do tego przyznać. Ale nie powiem jej, że dziś jeden z przepytujących mnie żołnierzy poddał mi przez przypadek pewien pomysł. Bardzo głupi, szalony pomysł. Chociaż...

5. Gebneh

— Popatrz, Gebneh. Popatrz, jaki mu nagrobek postawili. „Rando Vessir. Agent handlowy gildii Niebo”. Do licha, mój kuzyn pracował w tej gildii. Wiesz... targał różne rzeczy w magazynie i spadła mu na głowę wielka paczka z jakimiś częściami do golemów. Myślisz, że dostał taki ładny nagrobek? Gdzie tam... Trafił do Krematorium, nagusieńki. My też skończymy w wielkim płonącym dole, a tacy jak ten będą sobie leżeć w ziemi. Za życia mieli lepiej i po śmierci tak samo. – Stary Nabro kręci głową, wsypując do dołu kolejną szufłę brunatnej ziemi.

Rozglądam się po cmentarzu. Myśl, która zakiełkowała

wczoraj w mojej głowie, dziś wypuszcza rozłożyste gałęzie, rozpierając od środka i nie dając spokoju. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że żołnierze już wiedzą o moim planie i tylko czekają, aż sam wpadnę im w ręce.

— Podobno Technomagowie wykorzystują do eksperymentów ludzkie zwłoki – ciągnie Nabro – ale biorą je spoza miasta, bo te nasze są za bardzo skażone i wykazują taką, wiesz... chao... cha – o – tyz – ność... czyli że są brudne w środku. Tak mi powiedział stryjeczny brat, a on zna się na tych rzeczach. Kiedyś robił w klasztornej montażowni. Zanim stracił obie ręce, to się nasłuchał...

Kolejny dzień mija na zmudnych pogrzebach, jałowych rozmowach z Nabro i pełnym napięcia oczekiwaniu. W drodze do Węzła, jak zwykle, żegnam się z kolegą i zostaję w Dzielnicy Sztankietowej.

— Do jutra – mówi na odchodne. – Mamy przydział na Krematorium, pamiętaj!

Kiwam głową na znak, że nie zapomniałem i oddalam się w stronę dobrze znanej, strzelistej sylwetki domu o bielonych ścianach. Nabro kiedyś zapytał mnie, dlaczego zawsze po pracy zatrzymuję się tutaj. Musiałem nakłamać, że dorabiam sobie w ogrodzie pewnego Złotorękiego. Cóż... dzisiaj, w pewnym sensie, tak się może stać; darmowa praca w ogrodzie...

Już i tak głupi pomysł podkopania się pod ogrodzeniem z chwili na chwilę wydaje mi się coraz głupszy.

I co ja zrobię po tym, jak znajdę się już w środku? Co za idiota ze mnie. Eech... Będzie, co ma być! Górą i tak nie przejdę – zabezpieczenia zrobiłyby ze mnie krwawą kiszkę na patyku. Poczekam do zmierzchu i zrobię ten pieprzony podkop!

Ukrywam się w krzakach rosnących pod ogrodzeniem, tym

razem tak, żeby żadne oczy nie mogły mnie wypatrzeć. Mimo to serce tłucze w piersi jak oszalałe. Nagle nawiedza mnie myśl, że zwariowałem. Że ktoś powinien wyperswadować mi ten idiotyczny pomysł, ratując tym samym skórę, ale po chwili w ogrodzie zjawia się ona... i wszelkie wątpliwości w obliczu jej urody rozwiewają się niczym dym na wietrze.

6. Tane–tani

Pamiętam, jak objął mnie po raz pierwszy. Ramiona miał silne, ale delikatne. Spojrzenie lazurowych oczu potrafiło zdjąć z serca cały ciężar pierwszych paskudnych dni w cyrku. Przywrócił mi szacunek do siebie samej, bo nigdy nie widział we mnie tylko wielorękiej dziwki, darowując mi tym samym coś, czego nigdy nie zdołam spłacić.

Powiedział mi kiedyś, że jestem dobrym człowiekiem. Potrafił dzielić się szczęściem. Klienci toczyli miód z jego żył, dostępując w ten sposób poczucia cząstki piękna, jakie w sobie nosił. Myślę, że nie otrzymałby od Boga takiego daru, gdyby nań nie zasługiwał.

Zabawne. Jestem jedyną osobą w jego otoczeniu, która nigdy nie poprosiła go o skosztowanie złotej krwi. Cała załoga Cyrku Anabora, nie mówiąc o setkach klientów, choć raz wzięła na język przynajmniej jedną kroplę. Poza mną... Ja nigdy nie prosiłam, a on nigdy nie proponował. Ale... przecież to krew, a tą nie powinno się zbytnio szafować. Nie śmiałabym...

Boże, już tak późno, dlaczego on wciąż nie wraca?

7. Gebneh

Ledwie wczoraj ukochana po raz pierwszy zwróciła na mnie uwagę, a dziś już pyta, jak mi na imię! Nie mam pojęcia, jakim cudem wypatrzyła mnie w tym gąszczu. Teraz jej doskonałą twarzyczkę zdobi uśmiech, który onieśmiela mnie do tego stopnia, że nie jestem w stanie wykszusić choćby słowa.

Stoimy po obu stronach ogrodzenia. Ona na krótko przystrzyżonym trawniku, w srebrzystych pantofelkach i muślinowej sukni; ja w krzakach, odziany w parciane, robocze portki i płócienną, wypłowiałą kurtkę. Wstyd mi za to, jak wyglądam. Czuję się przy niej brudny i brzydki, choć przecież zawsze uważałem, że to nie strój świadczy o człowieku.

— No? Zatkano cię? – Delikatne brzmienie głosu ukochanej sprawia, że uginają się pode mną kolana. – Zdradź mi swoje imię. Chyba że na zawsze chcesz pozostać tajemniczym nieznajomym?

Uśmiecha się tak przekornie, że nie wiem, czy również mam odpowiedzieć uśmiechem, czy wiać stąd czym prędzej.

— Gebneh – wypalam. – Nazywam się Gebneh... pani.

Boże, chyba zaraz zemdleję.

— Witaj więc, Gebneh. Ja jestem Allani. Miło mi ciebie wreszcie poznać.

Wreszcie? Powiedziała „ wreszcie ” ? Spoglądam z niedowierzaniem, jak dyga przede mną, jakbym był jakimś paniczem proszącym ją o taniec.

— Od miesiąca widzę cię przyczajonego w krzakach i wpatrującego się we mnie jak w obraz. Wczoraj mało nie wpadłeś... — mówiąc, przechyla lekko głowę, jak gdyby chciała mi zaprezentować całą urodę delikatnej, niezwykle smukłej szyi. Kasztanową burzę włosów upięła dziś wysoko w misterny kok

spięty fantazyjną klamrą wysadzaną pięknymi kamieniami. – Ładny jesteś. Powiedz mi, Gebneh, chciałbyś poznać mnie lepiej?

Allani...

Smakuję to słowo, jak gdyby było potężnym zaklęciem zamieniającym kawałek ołowiu w najszczerze złoto. Allani. Kiwam mechanicznie głową.

— Nie traćmy więc czasu – mówi z ożywieniem. – Odprawiłam służące tylko na chwilę.

Wskazuje mi bramę. Podbiegamy do niej z przeciwnych stron. Szczęk zamka sprawia, że ze szczęścia niemal dostaję zawału. Jak dobrze, że nie musiałem się podkopywać. Teraz ogarnia mnie śmiech na myśl o tym wariackim pomysle.

Otwarta furta kusi obietnicą innego świata. Stoję na ścieżce wysypanej srebrnym żwirem i mam wrażenie, że gwałcę to miejsce ordynarnym strojem i niskim pochodzeniem. A niech to! Przecież nie jestem od nich gorszy tylko dlatego, że urodziłem się biedakiem.

Allani chwyta mnie za rękę. Dotyk jej delikatnej dłoni działa jak narkotyk. Biegniemy do bocznego wejścia wielkiej posiadłości. Wpadamy jak burza w labirynt wyściełanych aksamitem korytarzy i dopiero po chwili zauważam, że oboje chichoczymy jak dwoje podlotków. Świat zaczyna wirować w ekstatycznym pędzie. Dopadamy do jakichś drzwi, później do kolejnych, aż w końcu padamy oboje na wielkim łożu pod błękitnym baldachimem w komnacie tak dużej, jak całe moje mieszkanie. I urządzonej z takim przepychem, jakiego dotąd nie umiałem sobie nawet wyobrazić.

— Ukryję cię tutaj, Gebneh – mówi zdyszana. – Przechowam przez całą noc. Za chwilę zejść na kolację, a gdy wrócę, porozmawiamy. I poznamy się... bliżej.

8. Gebneh

— Niedługo wyjdę za mąż – te słowa wciąż wibrują w powietrzu, ciężkie jak przeznaczenie. – Ojciec wszystko przygotowuje.

Siedzimy zamknięci w sypialni. Za oknem ciemna kurtyna nocy skryła nas przed onieśmielającym światłem dnia. Na wpół obnażeni w blasku świec podziwiamy siebie nawzajem, chłonąc każdy szczegół, każdy najdrobniejszy detal. Allani dotyka moich blizn i, oblizując wargi, zdobywa się na pytanie.

— Skąd ich tyle? Boże, tak wiele blizn ... Kto to zrobił?

Allani wcale nie wygląda na zdętą współczuciem. Powiedziałbym raczej, że jej oddech staje się płytszy, a na alabastrowe dotąd policzki wypływa delikatny rumieniec.

W uszach czuję dudniący łomot szaleńczo pulsującej krwi.

— Mówiłem ci już, że całe dotychczasowe życie spędziłem w cyrku. Odszedłem stamtąd dopiero pół roku temu.

— I bili cię tam? Chłostali na pokaz?

— Nie – uśmiecham się pobłaźliwie. – Upuszczali przed widownią krew.

— Po co? – Zdumiony wyraz jej twarzy starcza mi za kolejne, niemal mistyczne doznanie.

Sięgam ku małej komódce, stojącej nieopodal, skąd zabieram srebrny nożyk do otwierania listów. Przykładam ostrze do przedramienia i czuję, jak złowrogi uśmiech wypełza mi na usta. Spoglądam głęboko w rozszerzone strachem i jakąś chorobliwą fascynacją oczy i przeciągam ostrzem po skórze. Pierwsze krople wypływają nieśmiało, chwilę później ściekając na prześcieradło.

— Złota! – Allani zakrywa usta dłońmi i nie odrywa wzroku od rany na przedramieniu. – Jest złota! Jak to możliwe?

Nie wiem dlaczego, ale przepełnia mnie radość granicząca z ekstazą. Zaczynam słyszeć nieistniejącą muzykę, do której rytm wybija połączone kołatanie naszych serc. Ukochana z niedowierzaniem patrzy mi w oczy.

— Taki się urodziłem.

— I widzowie za to płacili? Żeby popatrzeć?

— Powąchaj. – Podsuwam jej rękę pod nos. Zaciąga się.

Widzę, jak kosztuje tę woń, jak się w niej zatracą. Dostrzegam wirujące iskry tańczące w modrych tęczęwkach i przyspieszony oddech. Blask świec sprawia, że jesteśmy wyspą drgających, pachnących woskiem świecł pośród bezkresnego oceanu czerni.

— Piękne ... – mówi drżącym głosem.

Siadam bardzo blisko niej, tak że nasze oddechy łączą się w jedno nabuzowane podnieceniem tchnienie.

— A teraz spróbuj – szepczę. – No? Posmakuj jej ...

Nie odrywam wzroku od gładkiej, odsłoniętej szyi, na której cienie układają się na kształt jedwabnej chusty. Zapach złotej krwi działa także na mnie i po chwili czuję, że owe cienie zaczynają nas pieścić. Nieistniejąca muzyka nagle rozbrzmiewa nową mocą, światła wirują gamą ciepłych, miodowych barw. Kręgosłupem targa rozkoszny, niemal bolesny dreszcz.

Spoglądam na rozchylone, wilgotne wargi Allani. Spomiędzy nich wychyla się lśniący tysiącem iskier zmysłowy języczek, by po chwili sięgnąć cieknącej przedramieniem strugi. Język wydaje się żywą, autonomiczną istotą. Zatacza kręgi, zbierając jak najwięcej cieczy, i chowa się w szczelinie pomiędzy lepki od złotej krwi wargami.

Modre oczy zasnuwa purpurowa mgła.

— Dobrze ... – dyszy Allani. Bezwstydnym uśmiechem zniekształca jej delikatne oblicze, a z kącika ust wypływa złota kropelka, zasajając ściśnięty gorsetem biust. – Ty nie jesteś wybrykiem natury, Gebneh. Jesteś Hadora ...

— Co?

— Hadora. Kielich na nektar. Żywe naczynie.

— Jaki nektar? – Zdumienie zapiera mi nagle dech w piersi.

— Technomagowie ... – Allani ma już wyraźne problemy z artykulacją słów. Po takiej ilości płynu jej zmysły zapewne przeobraziły się w istną rafinerię bodźców, mieszając je ze sobą i przekształcając w sposób niepojmowalny dla trzeźwego umysłu. – Mój ojciec ... prowadzi dla nich ... hodowlę ... Hadora ...

— Dla Technomagów?

Allani odpływa. Widzę to w jej obliczu, słyszę w spazmatycznie rozedrganym oddechu. Potrząsam nią mocno w nadziei, że powie coś jeszcze.

— Ta krew ... słodka jak miód – szepcze, rozpustnie oblizując wargi. – To nektar na stoły Arystokratów. A my ... popełniamy teraz świętokradztwo, kochany. Robimy coś ... co karane jest śmiercią ...

Allani jęczy i dosysa się z powrotem do rany.

W krzyżu łapie mnie skurcz podniecenia. Nagle coś we mnie pęka i sprawa dotycząca mojej krwi w jednej chwili przestaje mnie obchodzić.

Co mi tam! Jeśli miód z moich żył, o którego boskim pochodzeniu przekonana była Tane-tani, ma być jedynie fabrycznym tworem, pokarmem Arystokratów, to niech sobie będzie! Niech stanie się przepustką do lepszego świata! Jeśli to brama wiodąca w ramiona Allani, to ja chcę w nią wejść! Przekroczyć ten ciepły, wilgotny próg i ...

Chwytam ją za włosy, zrywając srebrną spinkę i uwalniając eksplozję kasztanowych loków. Te opadają wzburzoną kaskadą na obnażone plecy, w jednej chwili zamieniając wytworną damę w wyuzdaną ladacznicę.

— Gebneh – jęczy, odrywając się od złotej strugi. Całą twarz zdobią jej złociste plamy. Patrzy w dal, jakbym był niewidzialny, i łapie oddech na podobieństwo ryby wyrzuconej na brzeg. – To takie piękne, Gebneh ...

Rozdarty gorset ląduje gdzieś na dywanie. Zerwana z bioder półhalka opada na pościel, odkrywając między krągłymi udami dyszący pragnieniem i ociekający pożądaniem sekret. Wsysam się weń, atakując gwałtownie niczym drapieżne zwierzę. Chłonę odurzającą woń dziewiczego kwiatu, zlizując, niejako w odwecie, ciepły nektar kochanki. Czuję, jak Allani pulsuje wewnątrz. Szeroko rozwarte kwiecie, ukryte między alabastrowymi udami zaprasza do skosztowania słodyczy. Spijam rozgrzaną rosę z nabrzmiąłych płatków i wnikam językiem głęboko w mroczną i parną tajemnicę.

Allani jęczy i skręca się, jakbym poddawał jej bezbronne ciało najokrutniejszym torturom. Odrywam się od płonącego łona i patrzę bez wstydu, jak umęczone podbrzusze kochanki podnosi się i opada. Bez chwili namysłu zatracam się w nim na całą głębokość, dźgając bez litości.

Niemal miażdżąc krągłe biodra w silnym uścisku, porywam je do szalonego tańca. Cios za ciosem, uderzam w jej łono z dewastującą siłą i czuję, jak ciało Allani zamienia się w drgającą masę rozszarpanych podnieceniem nerwów. Jęk kochanki przechodzi w dziki skowyt, a ten po chwili przeobraża się w stłumiony charkot. Połączone oddechy, jeden rytm roztrzepotanych serc ... wszystko to czyni z nas dobrze

naoliwioną i wprawioną w ruch, ogarniętą pierwotnym szalem maszynierię.

W końcu podkręcone do granic zmysły Allani osiągnęły apogeum doznań. Wydaje się, jakby jej ciało zaraz miało pęknąć rozdarte siłą wielokrotnego orgazmu. Ja także zbliżam się do kresu wytrzymałości. Wyrwawszy się z kleszczy długich, bieluteńkich nóg kochanki, ogarnięty bolesnym uniesieniem, obficie spryskuję rozdygotany i rozpalony do białości brzuch ledwo przytomnej dziewczyny.

Padamy na wilgotne posłanie, w gąszcz atlasowych poduszek. Bez słowa, bez jakiegokolwiek zbędnego gestu chłoniemy wspólny aromat naszych ciał. W blasku świec powietrze wydaje się buzować, wypełnione energią do tego stopnia, że aż gęste.

Nad ranem, zaraz przed pierwszymi promieniami brzasku, odklejamy się od siebie. Uciekam oknem, jak złodziej. Zabieram z krzaków worek z narzędziami i pędzę w kierunku Węzła szybciej niż wiatr.

Upojony nocą, czuję się dziki i wolny.

Tane–tani nie uwierzy, jak jej wszystko opowiem.

Normalnie nie uwierzy ...

9. Tane–tani

Już ranek, a jego wciąż nie ma. Boże! Oby nic z tego go nie spotkało.

Nie mogłam zmrużyć oka, serce rozboleło mnie ze strachu, a umysł padł ofiarą straszliwych wizji. Noc zesłała na mnie niepokojące obrazy zwłok Gebneha rozszarpanego w ciemnym zaułku przez krwiożerczego żarłaka. Później zobaczyłam strugę

złotej krwi, lejącą się potokiem z poderżniętego gardła. Nad okradzionym z życia ciałem stał naćpany szkarłatem chłopiec o wykręconej grymasem szaleństwa, dzikiej twarzy i śmiał się do rozpuku. A potem ujrzałam nadęte, zsiniałe zwłoki wypływające na powierzchnię czarnej tafli podziemnej rzeki i niesione z jej spokojnym prądem.

Po raz pierwszy Gebneh nie wrócił na noc do domu. Chyba zaraz oszaleję ...

Wszystkie te wizje, senne mary ... wiem, że to tylko wytwory mojej wyobraźni, ale nie potrafię opanować rodzącej się w umyśle paniki.

Wyglądam przez okno, lecz ulica jest pusta. Martwota ogarnia cały dom i całe moje ciało. Pod skórą narasta przemożne uczucie czegoś złego. Czegoś we mnie ... A może ... wolałabym zobaczyć go martwego? Tak jak w tych snach. Byle tylko nie okazało się, że ...

Nie! To niemożliwe. Z całą pewnością. Nie ma szans, żeby spędził noc z jakąkolwiek Złotoręką. To tak, jakby człowiek mógł sięgnąć nieba.

Po prostu niewykonalne ...

10. Gebneh

— Chyba żartujesz! – Tane–tani nie wydaje się zadowolona. – Potraktowała cię jak zabawkę! A ty się tak głupio naraziłeś. Przecież ktoś mógł cię zauważyć!

Zabieram się za śniadanie. Wiedziałem, że będzie się pieklić, choć nie sądziłem, że tak głośno. Tane–tani nie spała, kiedy przyszedłem. Pewnie martwiła się o mnie i nie zmrużyła oka

przez całą noc.

Znam ją. Miewa skłonności do przesadzania.

— To jedna z najlepszych rzeczy, jakie mi się kiedykolwiek przydarzyły – oponuję. – Gdybyś zobaczyła ten dom ... i to łóżko! Nigdy nie leżałem na czymś tak wygodnym!

— Gebneh, przecież ty gardzisz luksusem! Jeden numerek z jakąś wystrojoną latawicą wystarczy, żebyś zmienił poglądy? Nie spodziewałam się tego po tobie.

Robi mi się trochę głupio. Przez chwilę nie wiem, co mam jej odpowiedzieć. Patrzy na mnie z wielkim wyrzutem, chwyta za ścierkę i zaczyna bardzo energicznie wycierać blat stołu, przy którym staram się jeść.

— Zresztą, nieważne – mówi, ściągając usta w zaciętym grymasie. – Byle nie skończyło się to jakimś nieszczęściem. Postaraj się od tej pory obchodzić ten dom szerokim łukiem.

Kręcę głową i uśmiech sam wypływa mi na usta.

— Jutro idę do niej znowu. Będziemy spotykać się prawie codziennie, nawet po jej ślubie. I – dodaję nieco ciszej – nie nazywaj jej latawicą ...

Tane-tani przybija mnie wzrokiem do krzesła. Białka jej oczu przybierają na wyrazistości, gdy wypełnia je nagle jakiś szklisty blask. Patrząc w nie z dziwnym uczuciem zażenowania, choć nie wiem czemu. Obserwuję, jak wyraz twarzy mojej przyjaciółki zmienia się. Jej rysy wyostrajają się, zaciśnięte do granic wargi przeistaczają się w białą, poziomą kreskę, a w oczodołach pojawia się cień, nadając obliczu mroczny wygląd. Śledzę jednostajny ruch pięciu rąk, wędrujących ku bokom, by podeprzeć je zaciśniętymi w pięści dłońmi. Szósta ręka odkłada ścierkę, chwyta za stojący nieopodal rondel, po czym rzuca nim o podłogę.

— Co ty? – wyrzuca z siebie głosem tak przytłumionym, że niemal spokojnym. – Do reszty zgłupiałeś? Czy ona razem z krwią wysssała ci także mózg?

Tane–tani cedzi słowa powoli. Z tym zachrypniętym głosem, z miną mordercy i mrozącym krew w żyłach spojrzeniem wydaje się dość przerażająca. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem!

— Nie dostrzegasz – kontynuuje – że ta dziewczyna zabawiła się tobą? Jesteś tylko dziwolągiem, mój drogi. Dziwadłem służącym do zabijania nudy. Egzoty cznym, biednym i zniewolonym dawcą zadziwiającego narkotyku. Kolejnym pudlem w złoconej obroży. Albo nie! Tym razem to uliczny kundel, półdziki, nieokrzesany, ale i piękny, mimo skudłaczonej sierści. Jakby tego było mało, sam łasi się do nóg dostojnej pani ...

— Przestań ... przestań natychmiast! Nie znasz jej ...

— Potraktowała cię jak odskocznię – Tane–tani nie ustępuje. – Jak zabawkę, jak eksces ... A ty chodzisz teraz wniebowzięty i dumny niczym paw! Tylko powie dz mi, zabaweczko, czy starczy ci krwi na codzienne ćpanie z tak zachłanną komarzycą?

I po co ja jej to wszystko opowiadałem ... Odsuwam talerz. Nagle przestaje mi smakować.

— Gównu wiesz! – wypalam. – Boisz się, że od ciebie odejdę, ot co ... Boisz się zost ać sama!

Tane–tani staje na środku izby w wyprostowanej pozie. Jej ciało wyraźnie się rozluźnia. Odchyła do tyłu głowę, przez co wydaje się, jakby patrzyła na mnie z dużej wysokości. Wygląda na to, że się uspokaja i chyba trochę smutnieje.

— Jesteś głup i, Gebneh – mówi bardzo cicho i kręci głową. – Przeczytałeś wiele mądrych książek, a i tak jesteś głupi. Chcesz odejść? Proszę bardzo. Przecież nic cię tu nie trzyma. Tylko powiedz mi, Gebneh, co ze sobą zrobisz? Zatrudnisz się tam jako

ogrodnik? A może będziesz płatnym utrzymankiem? Chociaż nie sądzę, by jej rodzina zachwyciła się tobą w równym stopniu, co ona ... – Milknie na moment, by wrócić do tematu z nowym ładunkiem emocji w głosie. – Jesteś naiwny. Naiwny jak dziecko. Ale proszę, zostań jej stałym kochankiem. Może poczujesz się jak bohater jakiejś romantycznej historyjki. Jeżeli uważasz, że miłość opiera się na handlowaniu fantami, to ja cię nie będę od tego odwozić. Żebyś tylko później nie żałował ...

Tane–tani wychodzi, trzaskając drzwiami.

Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy nie zachowywała się tak wobec mnie. Ale nie mam jej tego za złe. Po prostu jest zazdrosna o to, że ja sobie kogoś znalazłem. I to nie byle kogo ... A ona wciąż pozostaje sama. Żal mi jej i rozumiem tę złość. Myślę, że gdy pojmie pobudki swego zachowania, gniew jej przejdzie i usłyszę przeprosiny. I nie będę jej niczego wypominał.

Biedna Tane–tani ...

Wyglądam przez okno. Zegar na wieży ciśnień wskazuje zbliżający się środek dnia.

Spoglądam w dół. Tane–tani wychodzi z bramy i przebiega przez ulicę, po której leniwie toczy się samotny wóz, ciągnięty przez barczystego trahoporka. Siada po przeciwległej stronie na wysokim krawężniku i ukrywa twarz w dłoniach.

Dziewczyna pajak.

Z tej odległości wydaje się niezwykle groteskowa. Tak do niej przywykłem, że z bliska jej niecodzienny wygląd nie robi już na mnie żadnego wrażenia.

Ale stąd, z wysoka, wszystko wygląda inaczej.

Wszystko jest takie małe i śmieszne ...

Tane–tani – małe, śmieszne kuriozum o ośmiu kończynach. Eksperyment Technomagów? Mutant? Efekt żartu jakiegoś

zaklinacza? A może, tak jak ja, wyhodowany dla Arystokratów żywy produkt, o przeznaczeniu którego nie mamy pojęcia?

Najnowsze odkrycie na temat złotej krwi nadaje mojemu życiu przedziwny, pokręcony sens. Nie potrzebuję już pytać o cel egzystencji. Dokąd zmierzam? Na stół! Jestem czymś pucharkiem pełnym narkotycznego trunku. Nawet nie ... Miałem nim być, ale z jakiegoś powodu jestem tutaj, w tym chorym, popieprzonym mieście, gdzie nie ma miejsca na nic, co piękne.

Ha! Tane-tani zawsze powtarza, że w moich żyłach płynie miód, bo Bóg tak chciał. Jeśli tak, to naszym bogiem jest czyjaś żądza. Czyjeś pragnienie, by wypełnić ludzką istotę słodką trucizną i ssać ją dla własnej przyjemności.

Tane-tani myliła się. Miód z moich żył jest jedynie narkotykiem. Nie ma w nim niczego pięknego, niczego niezwykłego. Wyjątkowość, jaką we mnie widziała, jest tylko produktem zręcznych fachowców.

Gorzka świadomość tego faktu jest darem od Allani i ostatecznym dowodem na to, że na tym świecie nie ma miejsca na piękno i miłość.

Istnieje tylko powierzchowna uroda rzeczy i żądza, by owe rzeczy posiadać ...

Ale czy warto, z powodu tej świadomości, pozbawiać się marzeń?

11. Tane-tani

Bez sensu! Nie tak miało być! Jak to możliwe?

Krawężnik z zimnego granitu zaczyna mi się wrzynać w tyłek. Nie mogę tak siedzieć w nieskończoność. Muszę się ruszyć, zrobić

coś ...

Gdyby tak Gebneh zrozumiał, że ścieżka, na którą wkroczył, prowadzi donikąd. Może gdyby pomówić z tą całą Allani ... nie zapraszałyby go więcej do domu? Przecież w końcu ktoś ich nakryje! Wolę nie myśleć, co by mu zrobili, gdyby przyłapali go na deprawowaniu Złotorękiej.

Hmm ... Gebneh mówił, że gdzie jest ten dom?

Dziś do niej nie pójdzie, bo za chwilę położy się spać, a wieczorem czeka go praca w Krematorium. Dziś jest okazja ...

Wstaję i ruszam w kierunku Wielkiego Kotła. Dzielnica Stągwi odprowadza mnie spojrzzeniami ciemnych, pustych oczodołów okien. Przepastne ślepie zieją złowrogą martwością z ceglanych twarzy sypiących się czynszówek.

Mijam kolejne przecznice, powoli docierając do Wielkiego Kotła. Zza gigantycznych korpusów fabryk, zbudowanych z cegły, stali i żywej tkanki, gdzie ogromnymi rurami – arteriami płynie rafinowana spadź, wyłaniają się niezliczone ślimaki estakad ciągnących się wielopoziomowo aż pod nienawne w mroku sklepienie. Wszystkie prowadzą do kolosalnych rozmiarów stalaktytów, stalagmitów i stalagnatów, w których wydrążono całe dzielnice; Puchar, Kufel, Flakon, Dzieża, Pokal, Kielich ... żeby wymienić tylko te największe.

Estakady łączą się w wielu miejscach, ale wszystkie zbiegają się w najwyższym punkcie, zwanym Węzłem. Przez Węzeł prowadzi jedyna droga na powierzchnię, do Domeny Pierza. Ale droga na samą górę jest bardzo długa, jeśli podróż rozpoczyna się z samego dna Wielkiego Kotła. Darmowa przejażdżka żukolazem jest dość uciążliwa, gdyż zmusza człowieka do ciasnego gnieźdzenia się w tłocznym, cuchnącym wnętrzu tego przekształconego w pojazd ogromnego insekta.

— Kurwa! Patrzcie, jaki mutant!

Dostaję kamieniem w czoło. Kamień jest mały, lekki ... prawie nie boli. Chłopcy śmieją się, krzyczą, ale w gruncie rzeczy są raczej niegroźni. Jeszcze kilka małych kamyczków leci w moją stronę; dwa trafiają w bok i plecy, jeden w łydkę. Prawie nie boli ...

Dorośli zwykle tylko patrzą, czasem wskazując mnie palcem. Jedynie bojówki Czystych reagują jawną przemocą na takich jak ja. Dlatego zawsze, gdy poruszam się poza domem, wypatruję w tłumie czerwonych proporców.

Na szczęście Czyści nieczęsto wychodzą na ulice.

Potrzebuję wygodnego środka transportu gwarantującego anonimowość. Płacę pół rżca złapanemu naprędce woźnicy i wsiadam do dorożki ciągniętej przez dorodnego trahoporka. Przekształcony fabrycznie wielki knur bez wysiłku rusza jedną z estakad. Wznosimy się ponad dachy ceglanych domów, sklepików, knajp, burdeli, małych rzeźni, tancbud ... ponad wielkie zadaszenie hali produkcyjnej miejskiego browaru, by znaleźć się w gąszczu wszędobylskich spadziowych latarni uwieszonych u stalowych barierek.

Olbrzymie kłębowisko estakad wypełnia uliczny rejwach. Powietrze na tej wysokości jest nieco mniej zatęchłe, toteż z lubością napełniam nim płuca. Mijamy większe i mniejsze dzielnice w wydrążonych na podobieństwo termitier stalagmitach, stalaktytach i stalagnatach, w których ludzie kłębią się niczym pszczoły w ulu.

W drodze na górę rozmyślam nad tym, co zamierzam powiedzieć kobiecie, która opętała Gebneha. Jeśli ma choć resztki sumienia, zrozumie, że swoimi zachciankami może zniszczyć komuś życie. Jeśli nie ... cóż, zawsze warto spróbować.

Docieramy do Węzła. Wielkim, najeżonym strażnikami portykiem kończy się Domena Dzbana, a zaczyna Domena Pierza. Tutaj wysiadam, gdyż ani dorożka, ani dorożkarz, ani cuchnący trahopork nie pasują do eleganckich ulic Złotorękich. Tego rodzaju wehikuły nie mają prawa wjazdu na powierzchnię.

Strażnicy odprowadzają mnie zdumionymi spojrzeniami. Niektórzy krzyczą, wyzywając od potworów.

Nieważne. Przyzwyczaiłam się do tego na tyle, by prawie nie zauważać ...

Stoję na rozległym Środkowym Placu. Wszystkie dzielnice Domeny Pierza układają się na kształt kawałków tortu, rozszerzając w kierunku murów. Stykają się zaś lejkowatymi ujściami właśnie tutaj. Środkowy Plac jest spoiwem łączącym wszystkie dzielnice miasta na podobieństwo osi, na której obraca się koło.

Przekraczam bramę Dzielnicy Sztankietowej. Witają mnie najpierw wymyślnie skonstruowane gmachy teatrów, oper i filharmonii, a dalej bielone ściany wielkich, otoczonych ogrodami rezydencji. Każda dzielnica Domeny Pierza ma inny charakter, w każdej zamieszkuje inna kasta Złotorękich. Tutaj domy mają wielcy posiadacze; właściciele plantacji, hodowli i fabryk. Jedynie Dzielnica Tektytowa jest bardziej wytworna, gdyż rezydują w niej zarządcy Stalowych Ogrodów i ci spośród Złotorękich, których praca wiąże się z bezpośrednim kontaktem z Arystokratami. Tam nawet nie miałabym wstępu.

Mijam kolejne posiadłości, szukając wzrokiem tej wielokrotnie opisywanej przez Gebneha. Po tym, jak już ją znajdę, będę musiała odczekać jakiś czas, aż Złotoręka wyjdzie na swój codzienny spacer. Gebneh twierdzi, że dziewczyna robi to zawsze o tej samej porze.

Ulice są tutaj wyjątkowo puste i ciche. Elegancki bruk rzadko rozbrzmiewa odgłosem kroków. Od czasu do czasu przemknie niemal bezgłośnie jakaś lektyka i, póki co, nie dostałam jeszcze kamieniem w głowę. Nikt też nie nazwał mnie jak dotąd potworem.

Być może wyglądam na zagubioną w dzielnicy aktorkę, która nazbyt oddaliła się od jednego z teatrów? A może po prostu nikt tutaj nawet nie zamierza profanować oczu, spoglądając na kogoś takiego jak ja?

12. Gebneh

Mam problem z zaśnięciem. Jest już popołudnie, a czas ucieka. Wieczorem czeka mnie robota w Krematorium, a do tego trzeba być naprawdę wypoczętym. Przed sobą jednak wciąż widzę zamglone oczy Allani, słyszę jej urywany oddech i czuję odurzającą woń rozognionego ekstazą ciała.

Czuję ukłucie w miejscu, gdzie goi się mała rana po srebrnym nożyku. Piecze, nie dając spokoju. Oczy zupełnie nie chcą się zamknąć.

Jakoś dziwnie mi ze świadomością, że przestało mnie obchodzić to, iż moja ukochana niebawem zostanie czyjąś żoną.

Niby powinienem być zazdrosny, jęczeć wewnętrznie na samą myśl ... ale nie. Marzę tylko o kolejnym spotkaniu. Pragnę zanurzyć się w miękkim łonie Allani, poczuć jej gibkie ciało pod sobą. Dotknąć jedwabistej skóry, pod którą pracują sprężyste mięśnie. Położyć się na atlasowej pościeli, pośród wykładanych aksamitem ścian. Patrzyć w błękit baldachimu nade mną i zajadać się daktylami, popijając czerwone wino, wsłuchany w

wewnętrzną muzykę ...
Zasypiam.

13. Tane–tani

— Panienska nie życzy sobie, by jej przeszkadzano – oznajmia jedna ze służek.

— Proszę – ignoruję grupę służących, zwracając się wprost do Złotorękiej – to się źle skończy! Przecież wiesz, pani, co się z nim stanie, jeśli ...

— Panienska nie ma ci nic do powiedzenia. Odejdź natychmiast!

Nic nie wskóram. Niepotrzebnie tu przychodziłam. Ta ślicznotka nawet nie zamierza mnie wysłuchać. Chętnie bym ją udusiła! Tylko kraty ogrodu powstrzymują mnie przed wściekłym atakiem. Pieprzona, zapatrzona w siebie laleczka!

— Błagam, pani. Odpraw go, gdy znów do ciebie przyjdzie. Tak będzie lepiej dla was obojga.

— Jak śmiesz ... – zaczyna jedna ze służek, lecz Złotoręka przerywa jej stanowczym gestem dłoni i odprawia, wraz z resztą służących, z ogrodu.

Wystudiowanym krokiem zbliża się do mnie. Dostrzegam teraz złośliwy uśmiezek tłący się w kącikach ust i nagły skurcz chwytam mnie za trzewia.

— Dlaczego miałabym przestać się z nim widywać? – mówi. – Przynajmniej daję mu odrobinę szczęścia. Wy, biedacy, raczej nie wiecie, co to szczęście, prawda?

Przełykam kulę gęstej śliny. Ta Złotoręka zdaje się robić mi łaskę tym, że się do mnie odezwała.

— Pani – wołam – on myśli, że cię kocha!

— Hadora nie są od kochania. Produkuje się ich w innym celu.

Hadora? O czym ona mówi? Jacy Hadora?

— Idź już sobie. – Marszczy brwi. – Nie przystoi mi rozmowa z czymś takim ... I nigdy tu nie wracaj, bo każę cię pojmać.

Odwraca się i odchodzi.

Stoję na drżących nogach, uczepiona wszystkimi dłońmi krat ogrodzenia, i czuję, jak zalewa mnie żółć.

Złotoręka nagle przystaje i, śmiejąc się, rzuca na odchodne: – Pewnie chciałabyś cały nektar dla siebie? Zapomnij!

Nie wytrzymuję. Zagryzam wargi, żeby nie powiedzieć niczego niestosownego, ale po prostu nie wytrzymuję ...

— Ty głupia krowo! – słyszę własny głos, choć brzmi on tak obco. – Nic nie rozumiesz! Jesteś tylko rozpuszczoną laleczką, zbyt pustą, żeby pojąć pewne sprawy! Jesteś tanią szmatą, skoro oddajesz się za łyk narkotyku! Wypacykowana kurew!

Złotoręka rusza w kierunku domu, zostawiając mnie pod ogrodzeniem, targaną szalem wściekłości i rzucającą coraz to ostrzejszymi inwektywami.

Głupia, głupia kurew ...

14. Gebneh

Krematorium wita mnie jak zwykle falą potwornego smrodu i piekielnie gorącego powietrza. Nasączona wodą z octem szmata, którą przewiążuję twarz, nie na wiele się zdaje, ale przynajmniej ratuje przed omdleniem. Podłużna hala przypomina przedsionek piekła. Mrok spowija wszystkie kąty i niski strop bliżej wejścia, zaś w końcu potężnego pomieszczenia otoczona metalowymi

barierkami zieje bezdenna dziura, w której zawsze płonie ogień, kładąc na brudnych ścianach smoliście czarne cienie maszyn i krzątających się wokoło ludzi. Otwór jest ogromny, można by na jego powierzchni zmieścić regiment mazurbalańskiej piechoty, a żar bijący od płonącego dołu dosłownie powala ...

Trupy mieszkańców Domeny Dzbana układa się partiami. Leżą nago na specjalnych wagonach, po sześćdziesiąt ciał w jednym żeliwnym kontenerze na kołach. Wystarczy uruchomić specjalny mechanizm, by wagon ruszył po szynach i nad krawędzią dołu zatrzymał się, otwierając klapę i przechylając się nad przepaścią dzięki zamontowanym wysięgnikom. Zwłoki wpadają w płomienie, znikając bez śladu. Zostaje po nich tylko swąd palonego białka unoszący się po całej hali.

Wagon odjeżdża po kolistym torze, a my, po odczekaniu regulaminowych sześciu westchnień (mamy zegar odporny na działanie wysokich temperatur) , uruchamiamy następny. I tak w kółko, aż spłoną wszystkie ciała z danego dnia. Zwykle wprawiamy w ruch pięć, czasem sześć wagonów, ale niekiedy trupów jest więcej, a ponieważ hala wyposażona jest właśnie w sześć kontenerów, nadliczbowe zwłoki trzeba ręcznie doładować i odkreślić numery w ewidencji. Każdemu nieboszczykowi po dostarczeniu do leżakowni tatuuje się prosty wzór z kodem liczbowo – literowym, by urzędnik mógł zapisać na odpowiedniej liście numer wjeżdżającego do hali ciała. My, dysponując kopią takiej listy, mamy za zadanie dopilnować, aby utylizacja przebiegła według ścisłego zarachowania.

Do tego dochodzi mycie wnętrza wagonów i zmiatanie całej posadzki, a na koniec naoliwienie maszyn. Zwykle przy pracy zastaje nas późna noc i człowiek ledwo dyszy ze zmęczenia.

Spoglądam w żarłoczne płomienie. Są wieczne i wiecznie

pragną pokarmu. Co dzień dostają mężczyźni i kobiety, starców i dzieci. Przerazająca, nienasycona paszcza ...

Mam wrażenie, że ów dół wypełniony ogniem mógłby trafnie symbolizować nasze życie. Jacy byśmy nie byli, w końcu spłonimy w ogniu naszych pragnień. Czekać tak na uruchomienie następnego wagonu, uświadamiam sobie, że być może spełnienie jednego z owych pragnień uczyniło mnie uboższym. Jeszcze wczoraj trawiła mnie żądza, którą brałem za miłość, ale dziś czuję się wykorzystany. Zupełnie tak, jak po dniu pracy w cyrku; wyspany i zeszmacony.

Nagle wróciłem do punktu wyjścia. Oddałem się za zapłatę. Wymarzona kochanka okazała się kolejną klientką Króla Szczurów. W zamian dostałem coś, czego właściwie nie szukałem. Dowiedziałem się, że moja niepospolita właściwość nie jest tak niepospolita. Na dodatek nie wiem już, czy zakochałem się w pięknej Złotorękiej, czy w świecie pełnym blichtru, który reprezentowała, a o którym mam przecież tak niskie mniemanie.

Nie wiem ... Odkochałem się? A może zdobyłem zakazany owoc i znam już jego smak?

Patrzę na kolegę. Jego twarz wyraża tak nieskomplikowane emocje, że zaczynam czuć się obco i nieswojo z moim bagażem kłębiących się pod czaszką myśli. Czuję, jakby odarta z niesamowitej otoczki złota krew w moim ciele wyschła. Jak gdyby Allani odebrała jej złocisty poblask.

Boże, Tane-tani miała rację; to miasto jest niczym matnia. Sprawia, że człowiek niczego nie może być pewnym, nawet własnych uczuć. Przez całe życie myślałem, że jestem tylko mutantem, a kim jestem?

Ozdobnym flakonikiem na narkotyki? Człowiekiem czy konstruktem? Czy ja w ogóle mogę kochać? Czy kochałbym tak

naprawdę Allani, gdybym był normalny? A czy Allani nie znudziłaby się mną po pierwszym spotkaniu, gdybym był zwyczajnym, zrodzonym z kobiety człowiekiem? Czym jest miód z moich żył dla niej, a czym dla Tane-tani?

Tane-tani ... Powinienem był już dawno zabrać ją z Vakkerby. Może pieniądze, które zgromadziła w cyrku, wystarczyłyby na to ...

Ciekawe, co sprawia, że ta dziewczyna nadal się mnie trzyma? Strach przed samotnością? A może coś więcej? Zawsze była taka opiekuńcza ...

— Nabro – zagaduję towarzysza – co byś zrobił, gdybyś miał szansę wyrwać się z tego wszystkiego?

— Z Krematorium?

— Nie, z Vakkerby.

Stary zamyśla się, marszcząc czoło. Białka oczu błyskają ponad czarną chustą owiniętą wokół twarzy. Nasze głosy są przytłumione, w rżeniu maszyn ledwo się słyszymy.

— Nie wiem – odpowiada po chwili. – Tu mi dobrze.

Spoglądam na niego podejrzliwie.

— Mam pracę – tłumaczy. – Do gara jest co włożyć. Dach nad głową ... Nawet dupa, chociaż stara, a le jest. Czego miałbym szukać poza miastem?

— Wolności? – podpowiadam.

— Wolności? A od czego?

— Od wszystkiego, Nabro, od wszystkiego. Od tych głupich zasad, że biedak nie może robić, co mu się podoba. Od ciasnych ścian, od nieba wiecznie zasnutego dymem, od władzy Technomagów ... bo, nie oszukujmy się, to nie lord protektor tu rządzi. Ani tym bardziej Arystokraci, tylko Technomagiczny Zakon Braci Konstruktorów i te wszystkie podwykonawczo –

handlowe gildie. Wolność! Wolność, Nabro. Od smrodu, od parcianych gaci i przeklętych, nabuzowanych magią szczurów. Magią! Słyszysz? Przecież niekontrolowany przepływ magii jest, do kurwy nędzy, nielegalny! A my tu wszyscy jesteśmy napchani tym gównem po uszy, Nabro. Po uszy! Słyszysz? Wiesz, co to pory roku? Na zewnątrz mają ich cztery. Cztery! A my dusimy się pod ziemią całe życie! Nawet Złotoręcy, chociaż mają nad sobą niebo, rzadko kiedy widują choć skrawek błękitu. My tu mamy jedną, jedyną porę roku. Wiesz jaką?

Nabro kręci głową. Stoi jak wryty i patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczyma.

— Jaką?

— Chujową! Jedną chujową, zafajdaną porę roku! Oddychamy smogiem, Nabro. Nie chcesz wolności od smogu? Nie chciałbyś zobaczyć wiosny lub zimy? Czytałem, że świat jest wtedy piękny. Nie chciałbyś uwolnić się od tych dusznych korytarzy? Od fabryk i kominów? Od cuchnących ścieków, wszechobecnych gangów i wariatów poprzekształcanych w łązące ulicami maszyny do urywania kończyn? Od brudnych dziwek, przemądrzałych alfonsów, wykolejonych dzieciaków gotowych ożenić cię z ostrzem za jedno krzywe spojrzenie? Nie pragniesz uciec od ucisku ze strony Złotorękich? Od tych marnych wypłat? Od głodowych porcji spadziowej pożywki dla najbiedniejszych? Przecież to najgorsze ochłapy! Wyższej jakości Spad ż dostają salonowe pieski w Domenie Pierza! Nie uważasz, że należy nam się więcej od życia? Nie marzysz o wolności, Nabro?

— E tam ... do dupy z taką wolnością. – Stary odsuwa się i niepewnie patrzy to na mnie, to w głąb hali. – Mam szwagra, co się tu sprowadził spoza miasta, bo mu susza pło ny zniszczyła, a Technomagowie zabrali dzieciarnię do przymusowej pracy za

jakieś tam buntowanie się, czy co ... A przez tę twoją zimę to sobie szwagier palce odmroził i musiał mu je felczer obharatać. To ja już wolę tutaj siedzieć, niż kulawy o miskę zupy po gościńcach prosić ...

Siadam zrezygnowany na odwróconym do góry dnem blaszanym wiadrze. Rana po wczorajszym cięciu piecze jak diabli. Jestem koszmarnie spocony i brudny, do tego narasta we mnie znajome, choć dawno niedające o sobie znać uczucie wykorzystania.

Gdy żyłem w cyrku, niemal co dzień ktoś płacił mi za pokazanie złotej krwi. Patrzyli i smakowali, bo dzięki temu mogli na chwilę zapomnieć o otaczającej ich rzeczywistości.

Chciałbym być dla Allani, tej wymarzonej, a nie poznanej, rzeczywistością. Sednem rzeczywistości, a nie ucieczką od niej. Celem, nie środkiem do niego. Na tym chyba polega miłość ... ?

Czuję się dziwnie pusty. Jak gdyby cały miód z moich żył wyciekł wczorajszej nocy. Jestem bezkrwistym kawałkiem skażonego mięsa. Bezużytecznym, niekochanym, zdolnym tylko do zakopywania w ziemi innych kawałków mięsa.

A teraz siedzę w jakiejś cholernej fabryce śmierci, wdychając trupi smród i zastanawiając się, w jaki sposób wydostać się z tego koszmaru. I jedynym, nachalnie nasuwającym się w tej sytuacji wnioskiem jest to, że każdy ma taki koszmar, na jaki zasłużył.

Allani lada dzień wyjdzie za opasłego właściciela wielkiej ubojni świń. Ja chyba szukam miłości nie tam, gdzie powinienem. Boże, zachowuję się jak ćma lecąca prosto w płomień świecy, nie dostrzegając, że choć oślepiająco jasny, to jednak nie jest księżyc.

Ile bym teraz dał, żeby moja najlepsza, sprawdzona, biedna przyjaciółka pokochała mnie jak mężczyznę? Tylko na nią

mogłem zawsze liczyć. Tylko ona zna mnie na tyle dobrze, żebym mógł być z nią całkiem szczery.

Wczoraj, choć dopiero dziś zdałem sobie z tego sprawę, umarło we mnie ostatnie złudzenie, jakie zachowałem, żyjąc w tym zepsutym mieście. Czas już otworzyć oczy na prawdziwe piękno. Czas przytulić Tane-tani do piersi i wyszeptać jej do ucha pytanie: „ Czy umiałabyś pokochać takiego chłystka jak ja? ” .

— Rozchmurz się, stary – mówi Nabro.

Ale jakoś mi nie do śmiechu.

Puszczamy w ruch kolejny wagon. Pięć tuzinów ciał stacza się z rampy i wpada w płomienie. Gdy widzę taką ilość trupów naraz, nie potrafię uwierzyć, że liczba mieszkańców Domeny Dzbana nie maleje. W każdym razie nic na to nie wskazuje ...

Zanim upłynie sześć westchnień, zdążymy uporać się z wyczyszczeniem pustego wagonu. Na żeliwie nie zostanie żaden ślad po nieboszczykach.

Ciekawe, czy gdziekolwiek pozostanie po nas jakiś ślad? Jest nas w tym mieście tak dużo, że nic nie znaczymy. Jesteśmy muchami na kupie gnoju.

— Nabro? – Podnoszę wzrok na kolegę.

— He?

— Nic się nigdy nie zmieni – oświadczam. – Jesteśmy tylko pyłem n a wietrze ...

Towarzysz spogląda na mnie z troską w oczach. Przez chwilę wygląda, jakby się wahał, po czym kiwa dłonią w zapraszającym geście.

— Chodź, Gebneh – mówi. – Coś ci pokażę. Może poprawi ci się nastrój.

Idziemy w kierunku ostatniego z przygotowanych na dziś wagonów ze zmarłymi. Wspinamy się na platformę, by stanąć

nad krawędzią otwartego kontenera. Z mroku wyłania się plątanina ciał, na widok których robi mi się słabo, bo są tam także dzieci, nawet niemowlęta ...

Wielkie pudło abominacji.

— Przysze dłem dziś do roboty trochę wcześniej – oznajmia Nabro – i widziałem, jak ją przynieśli. Zobacz, jakie dziwadło ...

Patrzę. Podążam wzrokiem tam, gdzie wskazuje palcem towarzysz.

I nagle rozkręca mi się w głowie potężny wir, od którego tracę grunt pod nogami.

— Gebneh? Nic ci nie jest? Coś ty taki wrażliwy?

Wir nabiera oszalamiającej prędkości. Zaraz się wywróczę, więc szukam oparcia i znajduję je w żeliwnej burcie wagonu.

— Słyszałem, jak mówili, że ta potwora narzucała się jakiejś Złotorękowej. Podobno żołnierze zastali ją sterczącą pod ogrodzeniem jednego z domostw w Domenie Pierza i naprzykrzającą się córce jakiegoś bogatego hodowcy. Prosiła ją o coś, pewnie o pieniądze, wiadomo ... No i na widok żołnierzy chciała uciekać. A wiesz ... z takim dziwadłem, to nigdy nic nie wiadomo. Złapali ją poskramiaczami, połamali ręce ... Pojmujesz to, stary? Sześć rąk! Sześć ć! Skąd się takie potwory biorą? Z fabryk? Bo chyba nie rodzą się normalnie ...

Nie wytrzymam. Słowa wypowiedane przez Nabro docierają do mnie jak z wnętrza studni. W trzewiach kotłuje się ogień i czuję, że nie wytrzymam. Zaraz wyrzygam wszystko, łącznie z żołądkiem. Wyrzygam i przewrócę się.

— Zatlukli biedaczkę – towarzysz kończy wywód pełnym współczucia tonem. – W sumie to trochę szkoda mi tego cze goś. W życiu pewnie miała niełatwo ... Ale za to teraz możemy sobie popatrzeć. Nie co dzień się takie dziwy ogląda ... Gebneh?

Reszta grabarzy, zainteresowana tym, co mówi Nabro, tworzy krąg wokół wagonu. Już po chwili platforma jest pełna zdumionych mężczyzn, pokazujących sobie niespotykane dziwo, które zobaczyli na stosie zwłok, i żywo komentujących tę osobliwość.

— Hej, ja ją znałem! – krzyczy jeden z grabarzy. – Dawała dupy w Domu Uśmiechu. Zrzuciliśmy się na nią z teściem i jego kumplami. Nieźle zasuwała ...

Nagle robi się tu zdecydowanie za gorąco. Zaczynam się dusić. Ciało leżące na zwalisku innych ciał wydaje się pozbawione kośćca, miękkie, wiotkie i sflaczałe. Ramiona są rozrzucone i powykęcane w nienaturalnych pozycjach, brzuch dziwnie zapadnięty, twarz taka obca, taka nieprawdziwa ...

Uciekam. Odwracam się na pięcie i uciekam co sił. Byle nie patrzeć na nią dłużej. Byle dalej. Wydostać się z tego cuchnącego parszywą śmiercią piekła i oszaleć.

O Boże ... Co ja zrobiłem? Tane–tani ...

15. Gebneh

W jaki sposób poskładać w całość potłuczone fragmenty życia, gdy brakuje tego najważniejszego spoiwa?

Nigdy nie jadłem srebrnymi sztucami z porcelanowych talerzy, choć co dzień dostawałem pod nos najprzedniejszy posiłek. Każdego dnia czułem, że jest ktoś, kto się mną zaopiekuje, gdy legnę chory na miękko wyściełanym pościu. Wciąż trwała przy moim boku osoba, która odnosiła się do mnie z szacunkiem, na jaki z pewnością nie zasługiwałem, dając świadomość stabilnego, bezpiecznego jutra.

Czy miałem prawo nazwać się szczęśliwym wybranym losu?

Teraz to nieważne. Cokolwiek było dla mnie istotne, straciło znaczenie z chwilą, gdy ujrzałem na stosie nagich zwłok tę jedyną, która była ze mną bezinteresownie. Myślę, że te najważniejsze dla życia sprawy zaczynamy w pełni pojmować, dopiero gdy stają się one dla nas nieosiągalne. Całe życie gonimy za iluzją, a gdy wreszcie ją chwytamy i rozpada nam się w dłoniach, wtedy oglądamy się za siebie, ale tylko po to, by ujrzeć, jak rzeczy prawdziwe i ważne zostają bezpowrotnie w tyle, za mostami, które już dawno zmurszały i uległy zniszczeniu.

Chodzę po mieszkaniu tam i z powrotem. Dotykam przedmiotów, których ona dotykała, jak gdybym mógł przez to na dłużej zachować wspomnienie o niej. Szukam wszelkich śladów, jakie mogła po sobie zostawić. Fragmentów odzieży, włosów, zapachu uchwyconego na trwałe w wymiętej pościeli ...

Znajduję ukryte pieniądze. Jest tego o wiele więcej, niż się spodziewałem. O wiele więcej, niż uzbierała w cyrku.

W jakim celu tak oszczędzała?

Zaczynam miotać się po izbie z szaleństwem, z jakim miota się w klatce dziki zwierz. Wdycham zakurzone powietrze i wraz z nim z wolna wypełnia mnie świadomość, że już jej tu nie ma. Że już do mnie nie wróci i nie wyznam jej, że miała rację w tak wielu sprawach ...

Dom pozbawiony obecności Tane-tani staje się pusty i zimny.

Nagle przypomina mi się, jak potrafiła delikatnym, siostrzanym pocałunkiem zaleczyć każdą ranę, najgorszy nawet ból. Miała siłę, która zawsze napawała mnie najszczerzym zdumieniem. Śpiewała, gdy zbierało się jej na płacz. Płakała, gdy czuła się szczęśliwa, i śmiała się, gdy puszczały jej nerwy. Miękką w dotyku jak każda kobieta ... a w środku twardsza niż stal.

Potrafiła wytrzymać więcej, niż ja zdołałbym kiedykolwiek znieść.

Teraz chętnie utoczyłbym cały miód z moich żył, gdyby to tylko mogło przywrócić jej życie.

Oddałbym ostatnią kroplę, ostatni oddech ...

Czy mimo tego, że jestem tylko stworzonym w określonym celu narzędziem, mogę uznać się za bogatszego niż moi stwórcy?

Czy mogę szczerze powiedzieć, że wiem już, co to jest miłość?

Martyna Raduchowska Urodzona 16 lipca 1987 roku we Wrocławiu. Jako niedoszła studentka psychologii porzuciła pedagogikę i postanowiła poszukać szczęścia za granicą. Tym sposobem trafiła na uniwersytet walijski, który podobno ma zrobić z niej zdecydowaną i rzeczową finansistkę. Aha, jasne...

Wielbicielka kotów, a zwłaszcza jednej czarnej kocicy wcale nieprzynoszącej pecha. Chyba. Miłośniczka kina, książek, czekolady, książek, herbaty, imbiru, książek oraz książek. Pełna optymizmu pesymistka, ambitny leniuch, pogodna maruda, zagorzała domatorka na obczyźnie, słowem, posiadaczka niepowtarzalnego zestawu cech, który gwarantuje, że cokolwiek się wydarzy, zawsze znajdzie się powód do narzekania – jej ulubionego zajęcia.

Na Forum Fahrenheita trafiłam – jakkolwiek banalnie by to zabrzmiało – przez całkowitą, nieprzewidywalną, niezamierzoną przypadkowość. Trafiłam znienacka, zadomowiłam się, do dziś tam straszę i rzucam klątwy, a wszystko to utwierdziło mnie w przekonaniu o istnieniu siły wyższej...

Martyna Raduchowska CAŁA PRAWDA O PPM

Gorzała to zło.

Taka była pierwsza myśl wiedźmy Magdaleny, gdy obudziwszy się z potwornym bólem głowy, desperacko przetrząsała chatkę w poszukiwaniu czegoś do picia. Czegokolwiek. Najchętniej jednak wody z kiszonych ogórków albo kwasu chlebowego. A tu figa, nic, zero, nul, ani dudę, jak na złość. Utyskując pod nosem, chwyciła za wiadro i powlokła się do studni.

Słoneczko świeciło, ptaszki śpiewały, życie powolutku rozkwitało po długiej zimie, wiał rześki kwietniowy wiaterek,

kładąc trawy na rozpościerającej się przed chatką polance i zachwycona tym wszystkim Magdalena przez chwilę była pewna, że nic nie jest w stanie zmącić jej spokoju. Przez chwilę. Była to bardzo krótka chwila. Bo gdy wracając do izby, wiedźma popatrzyła na horyzont, cały spokój szlag trafił.

Zamarła w pół kroku na widok kilkunastu jeźdźców, którzy właśnie pędzili w dół łagodnego wzgórza, wzbijając tumany szaroburego kurzu. Na Wiedźmowej Polance był to raczej niecodzienny widok, który mógł oznaczać tylko jedno. Kłopoty.

I to raczej duże, niż małe.

Wiedźma wpadła do chatki, porzuciła wiadro w kącie, rozchlapując wodę i czym prędzej skoczyła do pogrążonej w pijackim śnie księżniczki.

— Wstawaj! – zawołała, szarpiąc ją za ramię.

Księżniczka nawet nie raczyła otworzyć oczu. Wyburczała coś na odczepnego i na znak protestu odwróciła się do ściany. Magdalena zaklęła szpetnie. Przykryła dziew czynę wełnianym kocem, rzuciła jej na głowę wielką puchową poduchę, po czym zabrała się za ukrywanie dowodów i zacieranie śladów. Kosztowne trzewiki księżniczki szurnęła pod łóżko, ciemnozieloną pelerynę ze złotym haftem cisnęła do wielkiego kufra razem z kilkoma jedwabnymi wstążkami, sznurem pereł i broszą w kształcie książęcego herbu.

Ledwo zatrzasnęła ciężkie wieko, rozległo się natrętne pukanie.

— Otwierać z rozkazu króla!

No to koniec.

— No, nie wygłupiajcie się! Wiemy, że tam jesteście!

Zrezygnowana poczłapała do drzwi. Uchyliła je i wyściubiwszy nos, uraczyła królewskiego sługę najbardziej nieżyczliwym

spojrzeniem, na jakie ją było stać.

— Czego? – spytała uprzejmie.

— Królewicz Allan Marlon, syn Albrechta Marlona, szczęśliwie nam panującego króla Bajkobergu, władcy całej Baśniolandii, zaszczyci was swoją obecnością! – Sługa otaksował ją od stóp do głów. – Może najpierw niech się mości wiedźma jakoś ogarnie, czy coś...

— Ani mi się śni – odcięła się, odrzucając z czoła czarne splątane włosy. – Trzeba było nie wpadać tak z samego rana i to bez zapowiedzi. Dawaj tu szybko tego królewicza, bo zaraz się rozmyślę.

Pierwsze wrażenie zdecydowanie nie było mocną stroną królewicza. Allan Marlon, syn Albrechta, dostojnie wkraczając do chatki, potknął się o próg. Przepyszny kapelusz z pawim piórem zsunął mu się na oczy, burząc wytworne uczesanie, skutkiem czego całą dostojność diabli wzięli.

— Przybywam ratować mą ukochaną – oświadczył wyniośle, poprawiając nakrycie głowy. – Wielka szkoda, że spotykamy się w takich okolicznościach, mości wiedźmo.

— Taa – wyburczała Magdalena. – Wielka szkoda – dodała złośliwie, gdy królewicz przydepnął sobie zbyt długi płaszcz, zachwiał się i o mały włos nie runął w palenisko.

— A gdzie ma ukochana? – spytał, cudem odzyskawszy równowagę.

Wiedźma z niepokojem zerknęła w kierunku łóżka.

— Hop, hop! – zawołał królewicz, nie czekając na odpowiedź. – Hiacynto! Wyjdź, proszę, wiem, że tu jesteś! Hiacyyyyyyynto!

— Kto się tam tak drze? – warknęła wyrwana ze snu księżniczka. Wyjrzała spod poduchy i zamarła na widok królewicza. – O nieee... — zajęczała płaczliwie. – Nie, no nie...

Ojej...

Magdalenie wcale nie było żal Hiacynty. Miała ochotę ją zamordować.

— A cóż jej jest? – spytał królewicz. – Czyżbyś ją otruła?

Wiedźma rzuciła mu lodowate spojrzenie. Jego też miała ochotę zamordować.

— Też mi pomysł – obruszyła się.

— Więc cóż jej... — urwał, bo nagle wszystko stało się jasne. Księżniczka odrzuciła poduchę, potem koc. Miała na sobie pomiętą i poplamioną, nieprzyzwoicie rozchełstaną koszulę, była rozczochrana, błada, patrzyła na niego opuchniętymi, zaczerwienionymi oczami, a co najbardziej znaczące, roztaczała wokół intensywne woń gorzałki oraz wina porzeczkowego domowej roboty. Królewicz aż się wzdrygnął.

— Damie nie uchodzi! – wysyczał.

Dama dorwała się do wiadra i zaczęła zachłannie pić. Woda ściekała po szlachetnej szyi szeroką strugą.

— Mości Magdaleno – odezwał się królewicz, nadal nie spuszczać oka z księżniczki. – Jak już wspomniałem przybywam ratować mą ukochaną Hiacyntę, córkę księcia Kielonka. Wiedz, że osobiście odkryłem twój chytry plan...

— To był mój plan! – przerwała Hiacynta.

— ...i udaremniłem twe nikczemne zamiary. Piwko, syn Winka z Zadupia...

— Z Zadębia – poprawiła wiedźma.

— ...podły wieśniak, który porwał mą narzeczoną z mego zamku...

— Nikt mnie nie musiał porywać, sama uciekłam!

— ...i ukrył ją tu, na Wiedźmowej Polance, został pojmany i wtrącony do lochu. Cham zapłaci za ten haniebny czyn głową,

ciebie zaś spalimy za współudział i więzienie porwanej, a Hiacynta i tak zostanie moją żoną. O!

— Nigdy! – zawołała księżniczka. – Nie dociera, że właśnie cię rzuciłam, głupku? Nie chcę mieć z tobą nic to czynienia! Nie wyjdę za ciebie! Nie zrobiłabym tego nawet, gdyby ktoś mi za to zapłacił! Zejdź mi z oczu ty zarozumiały, samolubny, napuszony, nadęty...

Akurat teraz, w tak ważnym, kulminacyjnym momencie, zabrakło jej odpowiedniego słowa. Ze złości tupnęła nogą.

— Wyjdiesz za mnie – oświadczył królewicz z triumfalnym uśmiechem.

— Nigdy!

— Owszem.

— Przenigdy!

— A właśnie, że tak! – krzyknął i dla większego efektu łupnął pięścią w stół. – Data ślubu ustalona, wesele przygotowane. A jeśli nadal będziesz się głupio upierać, Piwka czeka długa i bolesna śmierć. Co ty na to?!

Księżniczka nie odpowiedziała, nie mogła wykrztusić słowa. Zdecydowała się więc zemdleć. Tak, na wszelki wypadek.

Ukradkiem sięgnęła do rękawa koszuli, w który wpięła zaczarowaną szpilkę, prezent od Magdaleny. Ukłuła się w palec i z przejmującym : „A aaaaach!” osunęła się na podłogę.

— No i dobrze – skomentował królewicz. – Wisiek, przedstaw wiedźmie zarzuty, przeczytaj prawa, aresztuj i odeskortuj do lochu.

Sługa, który do tej pory obserwował całą scenę zza uchylonych drzwi, natychmiast wpadł do środka.

— Ma wiedźma prawo zachować... — zaczął z zapalem.

— Tak, tak, wiem. – Magdalena machnęła ręką. – Już to kiedyś

słyszałam, możesz sobie darować, chłopcze.

— Ha! A więc recydywistka! – zabłysnął bystrością królewicz i klasnął w dłonie. – Wybornie! Obejdzie się zatem bez procesu, spalimy cię jeszcze dzisiaj!

Wiedźma, przeklinając swój niewyparzony język, rzuciła okiem w stronę okienka i opartej o parapet miotły.

— Nawet o tym nie myśl. – Królewicz pogroził jej palcem. – Na zewnątrz czeka nadworny mag. Spróbujesz uciec na miotle, to cię zestrzeli zaklęciem.

Magdalena wcale nie przestraszyłaby się podobnej groźby, gdyby tylko była w formie.

Dziś w formie nie była. Dziś miała kaca. Gorzała to wielkie zło, pomyślała z żalem.



Nadworny mag stał na środku zamkowego dziedzińca i obserwował przygotowania do egzekucji z raczej umiarkowanym zainteresowaniem. Ilekroć Magdalena zerkała w jego stronę, tylekroć pomstowała w duchu, ponieważ w jego obecności szanse ucieczki były bliskie zeru. Drań zaskakująco skutecznie blokował jej magiczne zdolności. Gdyby nie on i gdyby nie kac, już dawno zamieniłaby się w srokę, wronę, kruka czy cokolwiek skrzydlatego i odleciała w siną dal. A tymczasem tkwiła na szczycie stosu i marzła na chłodnym wczesnowiosennym wietrze, a myśl o tym, że lada moment zrobi się cieplej, jakoś nie poprawiała jej humoru.

Po drugiej stronie dziedzińca markotny Piwko, syn Winka, czekał na kata.

Oboje zdążyli już pożegnać się z życiem, aż tu nagle...

— Stać! – wydarł się królewicz, wybiegając z zamku na podwórzec. – Wstrzymać egzekucję!

Magdalena odetchnęła z ulgą.

— Wstrzymać egzekucję! – wrzeszczał Allan Marlon, dobiegając do nich komicznym truchtem.

— A którą konkretnie?

— Obie!

— Czy coś jest nie tak? – zainteresowała się Magdalena, natychmiast odzyskując rezon. – Bo trochę mi tu zimno. Rozumie wasza wysokość, kwiecień – plecień przeplata, zimny wiatr z gór wieje i takie tam...

Królewicz aż się zapowietrzył na podobną bezczelność.

— Ty milcz, gdy do mnie mówisz, wiedźmo!

— Już się nie odzywam – obiecała. – Słowo.

— No! – Wyraźnie usatysfakcjonowany poprawił przekrzywiony kapelusz z pawim piórem, po czym ryknął na całe gardło: – Jak śmiałaś otruć księżniczkę Hiacyntę, córkę księcia Kielonka?! No, słucham! No?! Odpowiadaj!

— Kiedy miałam milczeć...

— Ja oszaleję! – Zerwał z głowy kapelusz i cisnął nim o ziemię. – Jak śmiałaś otruć mą narzeczoną, pytam?!

— Twą? – Wiedźma uniosła brwi. – Po pierwsze primo, Hiacynta jest narzeczoną obecnego tu Piwka, syna Winka...

— To kłamstwo i potwarz!

— ...a po drugie primo – ciągnęła, zupełnie go ignorując – nikogo nie otrułam.

— Ha! A więc to czary! – domyślił się królewicz. – Jak śmiałaś zaczarować księżniczkę Hiacyntę, córkę księcia Kiel...

— A co? – Uśmiechnęła się niewinnie. – Zemdlą na amen? Nie można jej dobudzić?

Allan Marlon zbladł.

— W tej chwili mów, co jej zrobiłaś.

— Nic takiego. Księżniczka zapadła w Magiczny Sen.

— To widzę – wycedził zirytowany jej protekcyjnym tonem.

– Może mi jeszcze powiesz, że Hiacynta tak sama z siebie wzięła i zapadła, co?

— Nie. Ukłuła się w palec zaczarowaną szpilką.

— Szpilką? – zdziwił się. – A nie powinno to być wrzeciono przypadkiem?

— Wrzeczona właśnie wyszły z magicznego użycia – wyjaśniała Magdalena. – Za duże są, za ciężkie, nieporęczne takie i w ogóle.

— Aha. A odczarujesz Hiacyntę, jeśli w zamian puszcę cię wolno?

— Dobrze wiesz, panie, że my, wiedźmy, rzucamy zaklęcie Snu, ale budzenie to już nie nasza broszka – zamilkła, udając, że się namyśla. Po czym dodała: – Tu pomoże tylko PPM.

— Pepeem? – Królewicz zmarszczył czoło. – Pierwsze słyszę. To jakaś tajna organizacja?

— Nie. PPM to skrót od: Pocałunek Prawdziwej Miłości. Lekceważąco machnął ręką.

— Już ją pocałowałem. Nie podziałało.

— Bo to nie o ciebie chodziło, wasza wysokość. Chodziło o niego.

Piwko wyszczerzył się w radosnym uśmiechu i pomachał do królewicza z drugiego końca zamkowego podwórca.

— Jakże to! Żaden cham nie będzie tykał mojej narzeczonej!

— Tylko on może ją zbudzić.

— Bzdura! – zawołał Allan. – Wyłącznie królewicz lub księżę potrafi zdjąć czar z zaklętej białogłowy!

— Tobie jakoś się nie udało, panie.

— Nie chłop żaden, jeno szlachcic! – uparł się. – Spytaj moich magów!

— A co mnie jacyś magowie obchodzą? – fuknęła, tracąc cierpliwość. – Oni wiedzą tyle o magii miłosnej, co ty o uprawianiu cebuli!

Nadworny czarodziej nawet się nie obraził, tak go zaskoczył tupet Magdaleny.

Królewicz też się nie obraził, co więcej, przekonało go wiedźmowe porównanie, bo w dziedzinie cebuli rzeczywiście nie był ekspertem.



Magdalena, chcąc wyjść na profesjonalistkę, zdecydowała się na małe przedstawienie. Pstryknęła palcami, a gdy na jej dłoni wykwitł niewielki płomyzek, delikatnie uniosła powieki Hiacynty, sprawdzając reakcję źrenic na światło.

Guzik jej ta reakcja powiedziała, za to królewicz był pod wrażeniem.

— Zapadła w głęboki sen – oceniła fachowo. – Ale jeden PPM powinien wystarczyć.

Allan Marlon, nadworny mag oraz wierny sługa Wisiek obserwowali z napięciem, jak Piwko podchodzi do zaklętej Hiacynty, przyklęka na krawędzi łoża i z głośnym cmoknięciem składa na słodkich usteczkach siarczysty pocałunek.

PPM zadziałał natychmiast. Rozległ się trzask zaklęcia, powietrze zawibrowało od magii. Ogień w kominku zgasł z przeciągłym sykiem, podobnie jak oświetlające komnatę świece, pograżając zebranych w nieprzejrzanych ciemnościach.

Korzystając z okazji wiedźma natychmiast skoczyła do drzwi. Wypadła na korytarz. Rozpoczęła dziki, karkołomny sprint w dół kręconych schodów. O mało nie przyplacając tego życiem, przyspieszyła, gdy z góry doszedł ją wściekły ryk królewicza. Siedemdziesiąt osiem stopni. Tyle zdołała pokonać. Bo nagle z półmroku wyskoczył nadworny mag i zastąpił jej drogę. Diabeł jeden wie, skąd się tam wziął skoro jeszcze przed chwilą był w komnacie księżniczki.

— Noż psiamać! – zawarczała, zatrzymując się w pół kroku. – Gdybym nie miała kaca, zamieniłabym cię w obślizgłą ropuchę!

Mag uśmiechnął się kpiąco.

Magdalena wysyczała coś nieprzyzwoitego, pokazała mu język, po czym zrobiła w tył zwrot i zaczęła mozolnie wspinać się z powrotem na górę. Gdy zasapana wkroczyła do komnaty, Wisek właśnie rozpałał ogień w kominku, a królewicz krążył wte i wewte jak rozjuszony lew po klatce.

— No? I cóżeś narobiła?! – zaryczał na jej widok.

Obejrzała się odruchowo, ale mag stał tuż za drzwiami, zagradzając przejście.

Królewicz tymczasem dostał wypieków.

— Ja cię kołem łamać każę, wiedźmo! Na pal cię osobiście nawlekę! Poćwiartuję, obedrę ze skóry, kości połamię!

Magdalena spoważniała w jednej chwili. Takiego Allana Marlona, syna Albrechta, jeszcze nie знаła i wcale nie spodziewała się poznać. Wystarczył jeden rzut oka na jego wykrzywioną gniewem twarz, by wiedzieć, że żarty się skończyły.

— Co ty najlepszego uczyniłaś?! – zasyczał jadowicie. Tak jadowicie, że aż się wzdrygnęła.

Stał niebezpiecznie blisko, dysząc i sapiąc w furii. Wisek

przezornie wycofał się pod ścianę, a zwabiony wrzaskami mag ciekawie zajrzał do środka. Zaintrygowany widokiem podszedł do nich i gapił się na łoża szeroko otwartymi oczami.

— Ty – odezwał się w końcu, trącając wiedźmę w bok. – Coś ty im zrobiła?

— To nie ja, to Pocałunek Prawdziwej Miłości – wyjaśniła, unikając spojrzenia królewicza, jak ognia. – On tylko uśpił Piwka, nie ma co się denerwować...

— Jak nie ma?! – wydarł się królewicz. – Jak nie ma?! Miałaś obudzić Hiacyntę, a ty co?!

— Pocałunek zadziałał na opak...

— Doprawdy?! Widzę, że na opak, nie rób ze mnie głupca!

— A dlaczego na opak? – zainteresował się mag.

Wiedźma popatrzyła na niego bystro.

— No mówiłam, że o miłości to wy, magowie, nie macie zielonego pojęcia – zacmokała z dezaprobatą. – A znasz ty chociaż działanie PPM – u? Nie? Co ty bajek nie czytałeś, czy jak? „Odtąd żyli razem długo i szczęśliwie”. Ot i cała filozofia. A ty, panie – zwróciła się do królewicza – co zamierzałeś uczynić z Piwkiem po odczarowaniu Hiacynty?

— Jak to co? Ściąć, naturalnie.

— Ano właśnie. Więc nie żyliby ani razem, ani długo, ani szczęśliwie. No to zasnęli oboje. – Uśmiechnęła się przebiegle. – Z magią jeszcze nikt nie wygrał. Z miłością tym bardziej.

Królewicz nadal nie rozumiał.

— Skoro śpią, to ich obudź, wiedźmo. Rozkazuję ci!

— Nic z tego – odparła. – PPM łączy dwoje ludzi nierozzerwalnymi więzami. Na zawsze, na dobre i na złe. Razem. Długo. Szczęśliwie. I w ogóle. Masz, panie, dwa wyjścia. Albo zostawisz ich tak, jak są, pogrążonych we śnie. Albo pozwolisz im

odejść.

— Że co?!

— Innymi słowy, znajdź sobie inną księżniczkę, wasza wysokość.

— Jakże to?! – Królewicz zbladł. – Wiedziałaś o tym! Wiedziałaś, że gdy on ją pocałuje, stracę narzeczoną! Uknuliście to! To jest spisek! To jest zdrada! Zniewaga! Hańba! Ujma! Potwarz.

— No, któreś z tych na pewno – przytaknął mag.

Allan uciszył go jednym zmarszczeniem brwi, po czym utkwiał w Magdalenie kipiące gniewem oczy.

— Już ja ci zapłacę, wiedźmo – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Już ja cię załatwię. Pożalujesz dnia, w którym na twej drodze stanąłem ja, Allan Marlon, syn Albrechta Marlona, króla Bajkobergu. To, co cię teraz spotka, nie śniło ci się w najkoszmarniejszym z koszmarów.

Zaschło jej w ustach. Jakaś straszna nuta w głosie królewicza sprawiła, że uwierzyła w każde jego słowo. I bardzo słusznie.



Nadworny mag stał na środku zamkowego dziedzińca i obserwował przygotowania do egzekucji z rosnącym zainteresowaniem. Tym razem kaźń zapowiadała się dużo ciekawiej.

Ludzie królewicza ciosali dłuuuugi i gruuuuby pal. Inni pod wodzą kata przygotowywali narzędzia do ćwiartowania i łamania kości. Sam oprawca siedział władczo okrakiem na zydlu, ostrząc topór i łypiąc na wiedźmę nienawistnie.

Zapowiadał się niezapomniany wieczór.

Magdalena przeklinała siarczyście wstrętny świat, podłych ludzi i czekający ją los męczennicy. Mag przechadzał się nieopodal, nie spuszczać z niej czujnego oka, a królewicz uczył się posługiwać katowskim toporem.

W tej miłej i przyjaznej atmosferze upłynęło im kilka godzin.

Pał złożono u stóp stosu, narzędzia tortur lśniły w blasku księżyca, a królewicz uznał, że obsługę topora ma opanowaną do perfekcji.

— No, mości wiedźmo – powiedział, stając przed nią z dumnie uniesioną głową. – Toś się doczekała. Teraz ja, Allan, syn Albrechta, dokonam straszliwej zemsty.

— I będziesz losował? – spytała beczelnie, uśmiechając się z powątpiewaniem. – Stos, pał, topór... Nie za dużo tego czasem na jedną małą wiedźmę?

— Ha! Żebyś się nie zdziwiła – rzekł mściwie. – Opowiem ci teraz, co z tobą uczynię. Najpierw odrąbię ci ramię, ale nie całe od razu, tylko paluszek po paluszkę, kawałeczek po kawałeczku. To samo uczynię z drugim. Potem połamię ci nogi, każdą kosteczkę z osobna. Gdy skończę, nawleczymy cię na pał. Pomalutku. Wolniutko. A na sam koniec, wciąż z palem między nogami, wylądujesz na stosie. I osobiście dopilnuję, by ogień nie był duży, byś nie spłonęła zbyt szybko, nie zatrąła się dymem. Obiecuję ci, że to będzie baaaardzo długa noc.

Magdalena przełknęła ślinę.

Królewscy słudzy pochwycili ją i rozkrzyżowali na ziemi, a Allan chwycił topór i wziął szeroki zamach zza głowy.

— A masz już, panie, jakieś nowe plany małżeńskie? – wypaliła ni stąd, ni zowąd.

Tak tym zaskoczyła królewicza, że nie skończył w porę zamachu. Topór przeważył, wyleciał mu z rąk i z hukiem

wyrznął o bruk podwórca.

Magdalena odetchnęła z ulgą i podjęła: – Bom słyszała, że jeśli szybko nie znajdziesz żony, król przekaże tron twemu młodszemu bratu.

Allan stał nad nią jak w ziemię wryty z rozdziawionymi ustami, nie wiedząc, co na to powiedzieć.

Nie powiedział nic.

Odwrócił się i podążył do zamku.

Minęła godzina, a on nadal nie wracał.

Nie wydał żadnego rozkazu, słudzy królewicza nie śmieli ruszyć się z miejsc. Noc była zimna, rozpalili więc stos. Wiedźmę zakuli w dyby, gdzie pod czujnym okiem maga dygotała, kichała i pociągała nosem. Nie ma na świecie sprawiedliwości, pomyślała z goryczą, tęsknie spoglądając w kierunku płomieni.

Mag pomachał do niej złośliwie. Splunęłaby najchętniej, ale nie chciała go prowokować. Odwróciła wzrok.

Klęła. Marzła. Czekąca. Na cokolwiek.

Zaczynało już świtać, gdy królewicz Allan wrócił wreszcie z zamku na dziedziniec i stanął przed Magdaleną ze smętnie zwieszoną głową.

— Już od dawna mówi się o klątwie, którą rzekomo rzuciła na mnie zła czarownica – zaczął po chwili milczenia. – Jak ci pewnie wiadomo, Hiacynta była moją trzecią narzeczoną. Pierwsza uciekła z bliskim mi przyjacielem, druga ze służącym, a trzecia za twoją sprawą należy teraz do wieśniaka z Zadupia...

— Z Ządębia – poprawiła odruchowo.

— Wszystko jedno. – Popatrzył jej w oczy. – Jeśli sprawa Hiacynty wyjdzie na jaw, tron obejmie ten zasmarkany gołowąs, mój brat, a ja stanę się pośmiewiskiem całego królestwa.

Magdalenie zrobiło się żal królewicza i choć nie przyznałaby

się do tego za nic na świecie, po raz pierwszy poczuła do niego coś na kształt umiarkowanej sympatii.

— Dopekłaś mi, mam prawo się za to mścić. Doszedłem jednak do wniosku, że możesz być przydatna: jako wiedźma potrafisz przeciwdziałać klątwom i złym urokom. Postanowiłem więc pozostawić cię przy życiu, ale pod jednym warunkiem. Znajdziesz mi żonę. W przeciwnym razie ożenię się z tobą.

Magdalena zbladła. Nagle pomyślała, że topór, pal i stos nie są takie znowu najgorsze.

Sympatia do Allana zniknęła jak ręką odjął.

— Żartowałem.

Wiedźma rozluźniła się natychmiast.

— Nie wyglądałaś na zachwyconą – mruknął królewicz. – A myślałem, że kto jak kto, ale wiedźma poleci na władzę i pieniądze.

Groźnie zmrużyła oczy.

— Toś się, panie, pomylił – odburknęła urażona. – Bardzo.

— No, nie obrażaj się. Znajdziesz mi żonę, odejdziesz wolno i wszyscy będą zadowoleni. Może cię nawet na weselę poproszę? A potem na koronację... — Twarz królewicza rozjaśnił rozmarzony uśmiech. – Tylko nie próbuj żadnych sztuczek – ostrzegł. – Mag jedzie z nami.

— O nie! – zaprotestowała. – Mowy nie ma. Nikt nie będzie mi się gapił na ręce, a już zwłaszcza konkurencja.

— Więc co proponujesz?

— Układ. Pomogę ci, a ty w zamian polecisz mnie znajomym.

Przez chwilę patrzył na nią bez przekonania.

— A co, jeśli uciekniesz?

— Nie ucieknę. Bo wtedy okryję się złą sławą i gdzie ja potem pracę znajdę? Będę spalona w całej Baśniolandii, interes mi

padnie, nie mogę tak ryzykować. A, i jeszcze jedno: wstąpimy po drodze na Wiedźmową Polankę. Bez miotły nigdzie się nie ruszam.

— I dajesz mi słowo honoru, że mnie nie oszukasz? – Słowo.

— Dobra. Masz miesiąc.

— No chybaś się, panie, z choinki wziął i urwał! – wykrzyknęła. – W miesiąc się nie da!

— Musi się dać – odparł zimno. – Inaczej stracę tron, a wtedy każę cię poćwiartować, wbić na pal i spalić. W tej kolejności. Tego chcesz?

Szybko pokręciła głową.

— No – rzucił zadowolony. – Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. I nawet wiem, gdzie zaczniemy poszukiwania. Otóż za Siedmioma Górami i Siedmioma Rzekami...

Pełna jak najgorszych przeczuć Magdalena, chcąc nie chcąc, zamieniła się w słuch.



Znalezienie żony wcale nie jest prostym zadaniem.

Wiedźma powtarzała to królewiczowi do znudzenia, zaznaczając, że sprawa ożenku wymaga gruntownych przemyśleń i niezwykle delikatnego podejścia. Należy działać mądrze. Z wyczuciem. Taktem. Rozmysłem.

Ale królewicz, jak to królewicz. Wiedział swoje i zabierał się do poszukiwań z niezdrowym wręcz entuzjazmem. I, co gorsza, z głową pełną genialnych w jego mniemaniu pomysłów, których realizacja miała przypaść w udziale Magdalenie.

Słuchając nieskładnej królewiczowskiej paplaniny, wiedźma przestała się dziwić, że pouciekały od niego wszystkie

narzeczone. I nie chodziło o jego wygląd – był przystojnym młodzieńcem, niczego mu pod tym względem nie brakowało. Nie chodziło też o klątwę, bo żadna klątwa na nim nie ciążyła. Ani nawet o to, że gadał jak najęty. Sęk tkwił w tym, że Allan chciał władzy, nie małżeństwa.

Szukał żony, bo musiał. Lecz miłości nie znał.

Był jako ta miedź brzęcząca albo cymbał brzęmiący.

Z naciskiem na cymbał.

Niestety.

Wprowadzenie w życie pierwszego z jego pomysłów wymagało udania się do sąsiedniego królestwa, gdzie w Najwspanialszej Komnacie Najwspanialszej Wieży Najwspanialszego Zamku mieszkała Śpiąca Królowna. Najwspanialsza, rzecz jasna.

— Naprawdę myślisz, że to takie łatwe? – spytała wiedźma, gdy wspinali się po stromych, kręconych schodach. – Jeden buziak i po krzyku?

— A co? Nie jest tak?

Nie odpowiedziała. Uznała bowiem, że skoro wszelkie racjonalne argumenty i tak trafiają jak grochem o ścianę, jego wysokość musi przekonać się na własnej skórze, że życie to nie bajka.

No i się przekonał.

Pocałunkiem niczego nie osiągnął, dzięki czemu Śpiącej Królownie nowy przydomek nie był jeszcze potrzebny. Ta sama sytuacja powtórzyła się kilka dni później, gdy złożyli wizytę Królownie Śnieżce. Co było do przewidzenia, i tym razem Pocałunek Prawdziwej Miłości nie zadziałał. Zatem królewicz, Wisek i wiedźma musieli się czym prędzej ewakuować z lasu, odprowadzani nieprzychylnymi spojrzeniami Siedmiu

Krasnoludków. Tym sposobem zmarnowali tydzień.

— Pogrążone w Magicznym Śnie niewiasty mają własnych wybawców, ty do niczego im nie jesteś potrzebny – oświadczyła Magdalena z okrutną szczerością, gdy wracali do Bajkobergu. – Czar z zaklętej może zdjąć tylko ten, z którym łączy ją najczystsze uczucie. Prawdziwa miłość.

Nieco zbyt optymistycznie założyła, że po dwóch porażkach coś do królewicza dotrze.

Ku jej udręce do królewicza nie dotarło absolutnie nic.

— Prawdziwa miłość! – parsknął, patrząc na nią z powątpiewaniem. – Co ty mi tu, Magdalenko, za bzdury opowiadasz?

Uparcie nie przyjmował żadnych tłumaczeń do wiadomości. Zamiast tego żądał udania się na Zaklętą Łąkę celem odnalezienia księżniczki zaklętej w żabę.

Wiedźma uznała go za przypadek nieuleczalny.

— Nawet jeśli ją znajdziemy, chciejstwem białogłowy nie odmienisz! Nie ma miłości, nie ma dziewoi! – warknęła, po czym łypnęła na niego podejrzliwie. – Nie zakochałeś się chyba w żadnej żabie, co? Czy może jestem w mylnym błędzie?

Allan nie przejął się wcale uszczypliwością, tylko kazał Wiskowi uzupełnić zapasy w najbliższej wsi.

Kilka dni później Magdalena krążyła na miotle nad Zaklętą Łąką, z politowaniem obserwując żalosne poczynania następcy tronu.

— Kró – le – wicz – Al – lan! Na – pew – no – ra – dę – da! Kró – le – wicz – Al – lan! – darł się wniebogłose Wisek, dopingując swego pana, który biegał jak szalony, ścigając małą, zieloną żabkę. Stworzonko zwinnie wymykało mu się z rąk, mknąc przez trawy wielkimi susami.

— Weźże się w garść, ile można czekać? – fuknęła Magdalena.

— To nie jest wcale takie proste! Pomogłabyś, zamiast krytykować!

— Może użyj tego! – syknęła, przelatując tuż nad nim. Trąciła palcem przepyszny kapelusz, który spadł mu na oczy.

Jak na prawdziwego mężczyznę przystało, nie miał zamiaru skorzystać z rady więdźmy, bądź co bądź, kobiety. To znaczy, owszem, skorzystał, tyle że nie tak od razu i upewniwszy się najspierw, że fruująca nad łąką Magdalena niczego nie zauważy.

Zdjął nakrycie głowy, wycelował w żabę. Udało się za pierwszym razem, płaz skakał dziko pod kapeluszem, rozpaczliwie próbując się uwolnić.

— Dobra, mam!

Więdźma, mimo całego podziwu dla królewiczowskiej determinacji, podejrzewała, że wyczerpane zwierzątko zeszło na zawał serca i tylko dlatego dało się złapać.

— No i co się tak patrzysz? – sarknęła na niego z góry. – Ty nas tu zaciągnąłeś, znaczy, wiesz lepiej, co robić.

Królewicz skrzywił się z niesmakiem. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i ucałował żabę w czubek zielonej głowy.

Nic się nie stało. Płaz pozostał płazem.

— A niech to – burknął rozczarowany Allan. – To nie księżniczka.

Więdźma uśmiechnęła się drwiąco.

— Tego akurat nigdy się nie dowiesz. Możesz obcałować wszystkie żaby w królestwie, a i tak żadnej z nich nie odmienisz, choćby były najpiękniejszymi księżniczkami na świecie – westchnęła ciężko. – Już? Dotarło? Masz dość?

Potulnie pokiwał głową.

— Żaby mnie nie interesują – oświadczył, gdy opuszczali Łąkę.
– Ale słyszałem, że niedaleko stąd nad Zaczarowanym Jeziorem
mieszka księżniczka zaczarowana w łabędzia i wystarczy ją
pocałować, aby...

— Boże, daj mi cierpliwość – jęknęła Magdalena, waląc czołem
w kij miotły.



Rybak, który siedział w łódce na środku Zaczarowanego
Jeziora, prawdopodobnie był głuchy.

— Eeeeeee?!

— Szukamy księżniczki zamienionej w łabędzia!

A może to kwestia kiepskiej akustyki.

— Eeeeeee?!

— Wi – dzia – łoś – księż – nicz – kę – za – cza – ro – wa – ną – w
– ła – bę – dzia?!

Cokolwiek to było, nie szło się z nim dogadać.

— Cooo?!

Magdalena nie wytrzymała. Wskoczyła na miotłę i wystrzeliła
jak z procy, prując gładką powierzchnię jeziora czubkami
trzewików.

Zawisła nad rybakiem niczym jastrząb.

— Zakłęta w łabędzia – powiedziała głośno. – Mówi ci to coś?

— No – skinął głową. – Ale jej tu nie ma, pani dobrodziejko.

— Jak to nie ma? A gdzie jest?

— Za mąż poszła.

Wiedźma groźnie zmarszczyła brwi.

— Co wy mi tu opowiadacie? Nic o weselu nie słyszałam. Któż
ją zdołał odmienić?

— Ano nikt. – Rybak wzruszył ramionami.

— Jakże to? Kto by, na Boga, żenił się z łabędzicą?

— Łabędź – odparł rezolutnie. – Na ten przykład.

— O! – Wiedźmę na moment zatkało. – Aha, no tak. Racja. Czemu nie? Wspaniale... Ekhm.

Rybak przyglądał jej się i przyglądał, wreszcie zapytał: – Wy jesteście wiedźma Magdalena z Wiedźmowej Polanki?

— Ja, a co?

Twarz mężczyzny rozjaśnił pełen nadziei uśmiech.

— To może mi pomożecie, bo ja właśnie złotej rybki szukam, a wy na pewno wiecie, jak ją złapać. A w zamian jedno z trzech życzeń wam odstąpię. To jak?

Magdalena nic nie powiedziała, zazgrzytała tylko zębami. Złowrogo i ostrzegawczo.

Następny naiwny, pomyślała. Złota rybka, też wymyślił. Gdyby wszystko miało być takie proste, to każdy przychodziłby na świat ze złotą rybką w ręku albo w...

— No to – nie ustępował rybak. – No to może chociaż moją starą zamkniecie w jakiej wieży, hę? Baba już nie pierwszej młodości, zrzędliva strasznie, gada od rana do nocy, pomieszania zmysłów można dostać. A tak, zamkniecie i spokój będzie. Co wy na to?

— Czy wy mnie przypadkiem nie wzięliście za dobrą wróżkę?

Rybak podrapał się po potylicy. W oczach wiedźmy wyczytał, że odpowiedź jest tylko jedna.

— N – nie...

— To dobrze – mruknęła. – Bo bardzo byście się zawiedli. Bardzo.

— Dlaczego? – spytał, gdy szykowała miotłę do odlotu.

Popatrzyła na niego bystro.

— Dobre wróżki nie istnieją.



Nie można jednoznacznie stwierdzić, czy czwarta porażka nauczyła królewicza pokory. Nie sposób ocenić, czy nauczyła go czegokolwiek. Jednak szczęśliwie się złożyło, że postanowił odstąpić od realizacji reszty genialnych pomysłów i oddał sprawy w ręce specjalistki.

Specjalistka musiała działać szybko, bo królewicz zmarnował już ponad dwa tygodnie na bezsensowne amatorskie poszukiwania.

Siedemnastego dnia misji zlokalizowała cel, a uradowany Allan wyraził chęć podpatrzenia potencjalnej żony podczas codziennych czynności.

Zakradli się pod okna dworku i przycupnęli za krzakiem bzu.

— Która to? – zaszeptał królewicz, rozchylając gałęzie. – Mam nadzieję, że żadna z tych wypindrzonych brzydactw?

— Żadna. Stara to jej macocha, a te dwie to przyrodnie siostry – odszepnęła wiedźma.

— O, widzę ją! No, nie powiem, niczego sobie. Zaraz, zaraz... Przepraszam bardzo, ale co ona właściwie robi?

— Myje podłogę. Lubi też zamiatać, prać, gotować, myć okna i szorować gary. Bardzo uczynna dziewczuszka.

Królewicz spojrzał na wiedźmę zszokowany.

— Znaczy się, co, nienormalna jakaś, tak? I ktoś taki ma zostać moją żoną? Zwariowana służąca?

— Jak ci się nie podoba, to się z nią nie żeń – sarknęła Magdalena. – Ale ja ci powiem, że Kopciuszek ma potencjał i głowę dam, że wyjdzie za księcia.

— Jaaaasne – zakpił. – Chciałbym to zobaczyć. Przestań robić ze mnie durnia i wymyśl coś rozsądnego, dobra?



— Zastanów się dobrze – poradziła Magdalena. – To królewicz.

— Taaaa.

Księżniczka oparła podbródek na dłoniach, łokcie o parapet i znudzonym wzrokiem zaczęła wodzić po linii horyzontu.

— Królewicz. A wszystkie narzeczone od niego uciekają. Znaczy, coś z nim nie tak. – Westchnęła, wydeła usta. – Zwłaszcza, że do walki ze smokiem nie chce stanąć. Boi się, czy co?

Wiedźma zerknęła na wielką trzygłową bestię o dłuuuugim najeżonym kolcami ogonie. A kto by się nie bał?

— No, ale pomyśl sama – spróbowała raz jeszcze. – Siedzisz tu w tej wieży, czekasz na wybawiciela, który nawet jeśli się zjawi, to zaraz może zginąć. Smok co prawda ma wyżerkę, ale ty jesteś stratna. A czas płynie...

— Nie musisz mi o tym przypominać – wycedziła księżniczka.

— Czas płynie. – Magdalena była bezlitosna. – Powiadają: lat przybywa, urody ubywa. Szanse, że zwabisz kolejnego śmiałka maleją. A smok coraz głodniejszy. Pewnie w końcu w desperacji zje ciebie.

Księżniczka zerknęła na gada zaniepokojona.

— Nie wolno mu.

Wiedźma parsknęła śmiechem.

— Aha, już to widzę: on się na ciebie rzuca, a ty mu ta to: „ Nie wolno ci, smoku! ”. Normalnie w pięty mu pójdzie.

— Przestań!

— Usiłuję cię tylko przekonać, że ten interes jest do bani. Nie wiem, co ci obiecała konkurencja, ale ja proponuję małżeństwo z królewiczem. Przyszłym królem Bajkobergu. Władcą całej Baśniolandii. Chcesz zmarnować taką szansę i pozwolić mu zginąć w paszczy tej przerośniętej jaszczurki?

Poczwara zawarczała nieprzychylnie. Wiedźma poderwała miotłę i wzleciała nieco wyżej, by znaleźć się poza zasięgiem wielgachnych zębów.

— Zgoda, idę na to – oświadczyła księżniczka. – Ale musimy przekonać smoka. Ej ty, smoku, co ty na to, żeby mnie uwolnić bez walki?

Zamruczał, zaburczał. Wyszczrzył kły. Wszystkie trzy komplety.

— To znaczy, że się nie zgadza, jeśli masz jakieś wątpliwości. Wiedźma nie miała. Najmniejszych.

— Ale przecież nie za darmo! – wypaliła.

Smok z zainteresowaniem uniósł łby. Wlepił w nią pół tuzina gadzich ślepi.

Magdalena o mało nie spadła z miotły, gdy jedna z głów ziewnęła, prezentując uzbrojenie w całej okazałości.

— Proponuję stadko owiec – wybąkała niepewnie. Smok prychnął. Ale już tylko dwiema paszczami.

Ostatnia oblizała się z aprobatą.

— O! – ucieszyła się księżniczka. – To jedna trzecia sukcesu.

Przychylna propozycji wiedźmy jedna trzecia smoka oberwała w pysk ogonem od niezainteresowanej większości. Dwie trzecie zahuczało, zasapało i kłapnęło kłami.

— Pewnie wywiniesz taki numer, jak Szewczyk Dratewka – przetłumaczyła księżniczka.

— Ale on tamtą owcę wypchał – zaoponowała Magdalena. – A

moje będą żywe. Żywej owcy nafaszerować siarką zwyczajnie się nie da.

Smok burknął i ryknął.

— Ile proponujesz?

— Tuzin.

Gad zasyczał przez wszystkie komplety zębów, wystawił trzy długie, rozdwojone jęzory.

— Chce trzech.

— Dwa.

— Dwa i pół.

— Dwa – uparła się wiedźma. – Wychudł biedaczek, dawno widać nie miał żadnego śmiałka do pożarcia. Po tak długim poście, nie można się opychać. To niezdrowo. Dwa tuziny. I tak będzie osiem sztuk na głowę.

Smok schizofrenik mlasnął łakomie dwoma jęzorami.

Ale jedna paszcza kłapała z niezadowoleniem. Jedna para oczu wpatrywała się w Magdalenę w specyficzny, niewróżący niczego dobrego sposób.

Prawdopodobnie trzecia część potwora wciąż chowała urazę za „przerośniętą jaszczurkę”...

— Mam tego dość! – huczała już z daleka. Leciała nad czubkami sosen na dziko podrygującej miotle pozostawiającej za sobą pasmo siwego dymu.

— Co się stało?

Wiedźma wylądowała przy ognisku i zmroziła Allana wzrokiem.

— A jak myślisz, bystrzaku, co się mogło stać?

— Smok się nie zgodził, co? – domyślił się Wisek.

Magdalena zaklęła szpetnie, ugasiła miotłę w strumyczku i naburmuszona usiadła po drugiej stronie płomieni.

— Strasznie pazerny gad. I nienormalny. Ma rozstrojenie jaźni czy coś... Nie pokonasz go. – Zerknęła na królewicza. – Jest za szybki i cholernie celnie zionie ogniem.

— Widzę – mruknął, wpatrując się ponuro w jej nadpaloną pelerynę. – Czy w całej Baśniolandii nie ma jednego królestwa, w którym mieszka choć jedna zwykła królowa? Księżniczka? Szlachcianka chociaż?

— Nie – ucięła Magdalena. – Tu nawet smoki są porąbane.

— A właśnie, że jest – odezwał się raptem Wisek. – Jutro turniej o jej rękę organizują.

— Skąd wiesz?

— Jakem udał się do wsi po jadło, to mi karczmarz powiedział.

— Gdzie?

— Karczmarz? Jak się jedzie w kierunku wsi Zmory...

— O turniej pytam – przerwała niecierpliwie wiedźma.

— Aha. Turniej to niedaleko stąd. Książę Ogarek, pan na Szczerbatym Wzgórzu, chce wydać córkę za najszlachetniejszego rycerza w Baśniolandii. Zapisać się można jeszcze dziś wieczorem.

Wiedźma i królewicz spojrzeli po sobie.

— Łapówka? – spytał Allan z nadzieją.

Pokręciła głową.

— Jeśli to ten Ogarek, o którym myślę, to nie ma szans. Z niego strasznie honorowy gość. Lepiej nawet nie próbować, bo jeszcze rozgłosi, że chciałeś go przekupić.

— Ale jego córka to podobno... khem... no... niewiasta wątpliwej urody – wtrącił Wisek. – Nie będzie chyba wielu konkurentów.

— Ano fakt – zgodziła się Magdalena. – Młody dobrze kombinuje. Córa brzydka, a sam Ogarek do najzamożniejszych

nie należy. No i charakter ma paskudny, teść z niego będzie jak worek na mąkę z koziej d... znaczy się, tego... kiepski teść będzie. Chcesz spróbować?

— Sam nie wiem – bąknął królewicz. – Przyszłość z taką rodziną nie maluje się zbyt kolorowo.

— Chciałam tylko zauważyć, że w Baśniolandii mamy ograniczone zasoby królewien i księżniczek – wycedziła zimno. – Stajesz do turnieju, czy nie?

— Dawno nie ćwiczyłem...

— No to przyda ci się mała rozgrzewka. Chodź.

Stanęli pośrodku polanki.

— No, na co czekasz? – spytała wiedźma po chwili.

— No jakże to? Nie godzi się walczyć z bezbronną niewiastą.

Uśmiechnęła się krzywo.

— A kto powiedział, że z bezbronną?

Zakłęcie trzasnęło, zasyczało i miotła w jednej chwili zmieniła się w miecz.

— I kto powiedział, że z niewiastą?

Jakby tylko czekając na te słowa, czarodziejski oręż wyrwał się z wiedźmowej dłoni i błyskawicznie szurnął na królewicza.

Allan z trudem parował ciosy, ledwo nadążał z unikami. Atakowanie było właściwie bez sensu, bo kogo niby miał atakować? A na dodatek miecz prócz tego, że magiczny, był także wredny i dwukrotnie wybił mu broń z ręki.

Królewicz raz po raz zerkał błagalnie na Magdalenę, ta jednak była nieustępliwa. Zimna jak lód. Twarda jak gład.

— No weźże się nie wygłupiaj! – jęknął zmachany i zasapany, cudem unikając kolejnego uderzenia. – Widzisz przecież, że nie mam szans!

— Bo się nie starasz. Nie paplaj, tylko ćwicz!

— To... nie był... dobry... pomysł... — wystękał. Każdemu słowu towarzyszył głośny szczęk żelaza – Wcale... nie chcę... żadnego... turnieju...

— Nie pleć!

— A nie mogłabyś mu pomóc? – spytał rzeczowo Wisek, widząc, jak wiedźmowy miecz odcina pawie pióro od kosztownego kapelusza. – Czarami na ten przykład?

— A co ja właśnie robię?

— No... myślałem raczej o pomocy podczas turnieju.

Prychnęła cicho.

— Mam oszukiwać? Żeby mnie potem z widłami ścigali?

— Jak to?

— A tak to. Na każdym dworze, nawet tym najbiedniejszym, znajdzie się nadworny mag. A taki mag może i nie zablokuje, ale na pewno wyczuje moje zaklęcia. To raz. A dwa, jestem całkowicie przekonana, że miejsce turnieju zostało odpowiednio zabezpieczone przed magią. Żadne czary nie zadziałają, a tylko niepotrzebnie zwrócą na nas uwagę.

— Ale przecież... — Wisek urwał w pół słowa, zbladł. – Ojej! Wasza wysokość!

I popędził w stronę padającego właśnie królewicza.

— No nie... — jęknęła Magdalena, chowając twarz w dłoniach. – Nie, nie, nie! To się nie dzieje naprawdę. To jakiś koszmar jest.

— Aaaaauuuuaaaaa...! Łooojeeeeeezuuu...!
Łooojaaaanieeeeemoooogę...! Pomóż, Magdaleno!

Allan darł się tak dramatycznie, że naprawdę ją przestraszył. Podbiegła czym prędzej, zerknęła.

— No żalossne – wysyczała jadowicie. – Czego wrzeszczysz? Przecież nic ci nie jest. Bardzo proszę wstać i nie robić z siebie ofiary lo...

— Tutaj – wskazał Wisek.

— No wielka mi rzecz! Ramię ledwo draśnięte, ociupinka krwi raptem, a ten cierrrrrpi. A drugi mu współczuuuuuje. Mężczyźni.

— Kkk... krrr... krrwi? – wyjąkał Allan i natychmiast stracił przytomność.

Magdalena wzniosła oczy ku niebu.

— Musiałam strasznie nagrzeszyć w poprzednim wcieleniu, że los tak mnie teraz doświadcza.

— Ano – zgodził się Wisek. – Ja też.



Królewicz cierpiał.

Cierpiał okrutnie. A nawet cierrrrrrpiał, jak to ujęła Magdalena. Jednak ani zboląta mina, ani ciche pojękiwania Allana nie robiły na niej najmniejszego wrażenia. Była zła. Nie. Była wściekła. Królewicz kategorycznie odmówił udziału w turnieju, uparcie domagał się opieki ze strony wiedźmy, która w rezultacie zamiast zająć się poszukiwaniami, spełniała jego życzenia i zachcianki. A to opatrunek poprawić, bo za bardzo uciska, a to ziółek zaparzyć, bo rana (rana, dobre sobie) boli, a to to, a to śmo. Allan wciąż chciał mieć ją przy sobie. Na każde zawołanie.

Ale Magdalena ani myślała dać się owinąć wokół królewiczowskiego palca, zwłaszcza że na odnalezienie narzeczonej pozostało naprawdę niewiele czasu. Po kilku dniach nie wytrzymała, przeszkoliła Wiska w przyrządzaniu naparów uśmierzających ból i ziołowych opatrunków, i ku niezadowoleniu Allana udała się na zwiad.

Parę ładnych godzin latała po okolicy, wypatrując potencjalnej ofiary. Zamierzała ją złapać, związać, zakneblować, wsadzić na

miotłę i podać królewiczowi na srebrnej tacy. Niech ma. A ją niech zostawi w spokoju, burak jeden.

— To ta klątwa – wyszeptał cierpiący Allan, gdy wiedźma wróciła po bezowocnych poszukiwaniach. – Wszystkiemu winna zła czarownica. Tylko ty możesz mi pomóc, Magdaleno...

— Klątwa, klątwa! – wydarła się nagle, a z oczu sypnęły iskry. – Pewnie, jasne! Zła czarownica! Najłatwiej wymyślić sobie kogoś, kto weźmie odpowiedzialność za wszystkie niepowodzenia. Najłatwiej powiedzieć: „Jestem przeklęty, dajcie mi spokój”. A właśnie, że nie dam! Nie ma żadnych Klątw! Złe Czarownice nie istnieją! Dobre Wróżki nie istnieją! Złote Rybki nie istnieją! Twoje życie leży tylko w twoich rękach. A ty co? Spójrz na siebie, Allan! Leżysz, jęczysz, użalasz się nad sobą i czekasz, aż resztę załatwią za ciebie inni. I ty się dziwisz, że żadna cię nie chce?

— To co mam robić? Co ja mogę? Sama widziałas, że ani jednej nie byłem w stanie obudzić czy oczarować.

— Jejciu, jak ty nic nie rozumiesz – mruknęła z irytacją. – Aby zdobyć kobietę, nie wystarczy Pocałunek. Trzeba się postarać, coś z siebie dać, walczyć o nią, do diabła, wygrać dla niej Turniej! Aby zdobyć kobietę, pokonaj Smoka. Sam! Zadaj sobie trud, wykaż się jakoś! Coś ty myślał, ja się pytam? Że wszystkie czekają właśnie na ciebie i wystarczy, że się zjawisz... Jako kto? Wybawiciel? Rycerz na białym koniu? Książę, kurde, z bajki?

— Królewicz – poprawił machinalnie.

— Cicho bądź! Wydaje ci się, że każda marzy wyłącznie o tym, by zostać żoną Allana Marlona, syna Albrechta? Że jak usłyszy, kim jesteś, to padnie ci do nóg? Tak uważasz? To chybaś bajki pomylił! Chciejstwem miłości nie wyczarujesz, nie wytrzaśniesz jej z powietrza. Tu żadna magia nie pomoże. Nie ma napojów

miłosnych, ani miłosnych zaklęć. Zrozum to wreszcie!

— Teraz mi to mówisz? – spytał ostro, unosząc głowę. – To po kiego cię ze sobą brałem, zamiast spalić na stosie, co?

— W każdej chwili możesz to zrobić – odparła chłodno. – Możesz mnie poćwiartować, wbić na pal i spalić. W tej kolejności. Ale gdy ja spłonę, ty zostaniesz sam.

To mówiąc wskoczyła na miotłę i odleciała.

Nie widziała przesuwających się w dole drzew. Nie zwracała uwagi na rozciągające się przed nią pola. Nie spostrzegła, kiedy minęła Szcherbate Wzgórze, kiedy przefrunęła nad Zaczarowanym Jeziolem. Nie dojrzała rybaka, który machał do niej ze swojej łódki. Ocknęła się dopiero nad Zaklętą Łąką. Przypomniała sobie, jak zabawnie wyglądał ganiający za żabą zasapany królewicz w tym kretyńskim kapeluszu z pawim piórem. Zachichotała pod nosem.

Głupiec, myślała, przyspieszając tak, że drzewa i trawy zlały się w jedną zieloną smugę. Nawet jeśli jakimś cudem się ożeni, wciąż będzie sam. Nawet jeśli wstąpi na tron Bajkobergu i zostanie władcą całej Baśniolandii, nie będzie miał nic. Bez miłości się nie da – to takie oczywiste, że aż banalne.

Zwolniła nieco, nawróciła szerokim łukiem i raptownie zatrzymała miotłę. Daleko na horyzoncie błyszczał złoty dach Złotej Wieży.

Dobra, powiedziała sobie, ostatni raz mu pomagam. Potem niech sobie radzi sam. Będzie się trzeba wynosić z Wiedźmowej Polanki, trudno. Będzie trzeba opuścić Bajkoberg, proszę bardzo. Ale dłużej tego nie wytrzymam.

To ostatni raz.

Wystrzeliła z impetem i świstem, szurnęła nad rosnącym w dole lasem i niczym wicher wpadła przez okienko do Złotej

Wieży.

— O! – ucieszyła się Złotowłosa. – Wiedzma!

— Wiedzma, wiedzma – mruknęła i usiadła obok księżniczki. –
Co robisz?

— Czekam na wybawiciela.

Magdalena wychyliła się przez okienko i zerknęła w dół. U
stóp budowli tłoczył się krzykliwy, wielobarwny tłumek
adoratorów, z których każdy próbował zwrócić na siebie uwagę
Złotowłosej. A to tańcem, a to śpiewem, napisanym na jej cześć
poematem, grą na lutni, popisem zręczności, wszystkim, co
mogłoby ją oczarować.

Znudzona twarz księżniczki świadczyła jednoznacznie, że jak
na razie nie oczarował jej nikt.

— Na wybawiciela? A nie możesz sobie wybrać któregoś z
tamtych?

— Niby jak? Jest ich tylu...

Wiedzma popatrzyła jej w oczy.

— To co, zamierzasz tak tu siedzieć? Czemu nie wyjdiesz z tej
wieży? Jak chcesz się przekonać, czy gdzieś w tym tłumie nie ma
twojej Prawdziwej Miłości?

— Miłości! – prychnęła księżniczka. – Co mi tu droga wiedzma
za bzdury opowiada?

Oho, następna, pomyślała Magdalena.

— Więc na kogo czekasz?

— Na Niego – odparła Złotowłosa, spoglądając tęsknie na
odległą linię horyzontu. – Na wspaniałego wybawcę. Rycerza na
białym koniu, księcia z bajki...

— Królewicza?

— O, najchętniej.

— Czyli musi być przystojny i bogaty? – Wiedzma właściwie

nie musiała pytać.

— Oczywiście.

— I mieć wpływy?

— Naturalnie.

— Wielką władzę?

— Ogromną.

— No to mam dla ciebie idealnego kandydata.

W miarę jak wiedźma wymieniała kolejne tytuły Allana, oczy Złotowłosej rozszerzały się coraz bardziej.



Magdalena wcale nie była z siebie zadowolona.

Patrząc na Allana, miała poczucie zaniedbanego obowiązku. Była wiedźmą, specjalistką od spraw sercowych, a tymczasem dołożyła starań, by połączyć dwoje ludzi związkiem, który z miłością nie miał nic wspólnego.

Co dziwniejsze, również królewicz na zachwyconego nie wyglądał.

Co prawda przestał cierpieć, ale za to stracił apetyt, stał się milczący, przygnębiony, zniknął gdzieś jego irytujący entuzjazm. Raz po raz popatrywał smutno w stronę wiedźmy. Nie podobała mu się ta nowa Magdalena. Cicha, stonowana. Wolał tamtą. Złośliwą, wredną i bezpośrednią.

W drodze do Złotej Wieży wiedźma uważnie obserwowała Allana, który dyktował Wiskowi wiersz dla księżniczki:

Twe oczy jak gwiazdy, usta niczym wino.

Proszę pokochaj mnie piękna dziewczyno...

— O, Jezusie – jęknęła, przymykając oczy.

Wisiek zachichotał pod nosem.

*U stóp twych złożę skarby tego świata – Ja będę szczęśliwy, ty będziesz bogata.
Proszę, nie czekaj do lata.*

— Matko moja jedyna.

Bądź mi panią, muzą, natchnieniem, A życie przypomni spełnione marzenie.

— O! – Magdalena z uznaniem pokiwała głową. – To jest ładne.

— Podoba ci się? – ucieszył się królewicz. – Naprawdę? A to:
*Włosy twe złote jak słońca promienie
Budzą w moim sercu jedno pragnienie.*

Wiedźma raptem straciła humor. Już po pierwszym wersie. I to nie dlatego, że był kiepski.

Ale królewicz niczego nie zauważył, tylko czytał dalej:

Uroda twoja zniewala mnie – Czy zechcesz, o piękna, poślubić mnie.

— Dwa razy „mnie” na końcu – burknęła. – A zresztą zostaw. Tam taki hałas pod tą wieżą, że nikt nie zwróci uwagi.

— A właściwie po co to? – spytał królewicz.

— Co? Wiersz? – Wzruszyła ramionami. – Wypadałoby powiedzieć narzeczonej parę słów zanim ją zabierzesz do stolicy, nie sądzisz?

Skrzywił się lekko na dźwięk słowa „narzeczona”, ale wiedźma niczego nie zauważyła.

Nie, nie była zadowolona. Gadatliwy, głupiutki, naiwny Allan działał jej na nerwy. Ale tego nowego wręcz nie mogła znieść. Nie wiedzieć czemu, Zerkając ukradkiem w jego stronę dochodziła do wielce niepokojących wniosków. I chociaż za żadne skarby świata nie powiedziałyby tego głośno, życzyła sobie, by dawny

królewicz powrócił.

Najlepiej bez żadnej blondyny u boku.



Obudziła się nad ranem w podłym nastroju.

Dzień był piękny, słoneczny, ciepły, radosny, za kilka dni miał nadejść z dawna wyczekiwany koniec jej udręki... A ona jak na złość nie potrafiła się z tego cieszyć. Patrząc na śpiącego królewicza, z zastanawiającym żalem wyobrażała sobie Wiedźmową Polankę. Niespodziewanie stwierdziła, że wcale nie chce tam wracać. Z niechęcią myślała o warzeniu eliksirów, sporządzaniu naparów, zbieraniu ziół i udzielaniu porad nieszczęśliwie zakochanym. Nie jest dobrze, pomyślała z goryczą. Jeszcze nigdy nie przytrafiło jej się tak dogłębne poczucie beznadziei.

Czekała kilka minut na wschód słońca, wstała i dołożyła trochę chrustu do dogasającego ogniska.

— Pobudka, młody! Tak Wisek, do ciebie mówię. No już, już, wstawaj! Te, królewicz! Dla pana specjalne zaproszenie? Ej!

Trąciła Allana w ramię.

A on nic. Nawet nie otworzył oczu.

— Hejże! Musimy jechać! Allan, no... Allan!

— Co się dzieje? – Wisek momentalnie przytomniał. – Co mu jest?

— Nie wiem... Jasny gwint, nie wiem! – Wiedźma zbadała królewiczowi puls. Serce biło równo, mocno, ale niepokojąco wolno. – Cholera, chyba pomyliłam zaklęcia...

— Jakie zaklęcia?

— Mogłam rzucić na miotłę czar zatrutego ostrza. – Szybko

rozdarła rękaw królewicza, odsłoniła prawie niewidoczny już ślad po cięciu. – Nie... to nie to. Rana nie zagoiłaby się tak szybko. I byłaby sina.

Gorączkowo zastanawiała się, co robić, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Przestraszona i zdenerwowana nie mogła zebrać myśli.

— To co teraz? – spytał Wisek. – Magia mu nie pomoże?

— Dopóki nie wiem, co mu jest, nic nie poradzę.

Wisek potrząsnął królewicza za ramię. Bez skutku.

Ale na palcu Allana zauważył zakrzepłą kroplę krwi. A w trawie coś błyszczało.

— Ki diabeł...? – Pochylił się, wyciągnął dłoń. – Auć! Do kroćset... Ojej! Zobacz, Magdaleno, to czarodziejska szpilka! Ukłuł się szpilką! On śpi! Zapadł w Magiczny Sen!

Wyrwana z rozmyślań wiedźma poderwała głowę. Rzuciła okiem na wydobyty z trawy drobny przedmiot, potem na królewicza. I dopiero na ssącego krwawiący palec Wiska.

— Jak to? A skąd ją miał?

— Aaa... no bo widzi Magdalena – zająknął się nieco zawstydzony. – Kiedy jego wysokość zabrał Magdalene, aby dokonać straszliwej zemsty, ja zostałem w komnacie księżniczki Hiacynty. Znalazłem szpilkę, co ją miała w rękaw wpiętą i... i dałem ją panu, żeby w razie czego mógł jakąś oporną białogłową ukłuć, a potem odczarować Pocałunkiem i zabrać do zamku... No, na wypadek, gdyby żadna nie chciała po dobroci... Bo myśmy wtedy jeszcze nie wiedzieli, że do odczarowania pepeemem miłość potrzebna. A potem pan o szpilce zapomniał i teraz przypadkiem się kujnął, i... No.

Zszokowana wiedźma patrzyła na Allana tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

— Zaraz, zaraz... — kombinował dalej Wisek. – Ale ja też się ukłułem! Przed chwilą! To dlaczego nie zapadłem w Magiczny Sen? Magdaleno?

— Bo... — wyjąkała. Nagle zaschło jej w ustach. – Bo zasypiają tylko ci, którzy są... zakochani...

W głowie aż jej huczało: Allan zakochany! No niemożliwe!

Wisek przez chwilę siedział bez ruchu, wreszcie wyjął zza pazuchy pomiętą, zapisaną kartkę.

— A więc to nie było przejęzyczenie – wymamrotał do siebie. Spojrzał na wiedźmę. – Magdaleno... Zobacz.

Czym prędzej pochwyciła papier i szybko przebiegła wzrokiem po tekście.

— Przecież to jego wiersz – powiedziała zdziwiona.

— Czytaj.

— „Twe oczy jak gwiazdy, usta niczym...”.

— Dalej.

— „U stóp twych złożę skarby...”.

— Dalej, dalej.

— „Włosy twe złote jak słońca promienie...”.

— O, właśnie. Ten fragment.

— Co z nim nie tak? – spytała nieco zbita z tropu.

— Spójrz tutaj. – Wskazał miejsce.

Zerknęła. Nad wersem widniały pokreślone, ledwo widoczne słowa: „Włosy twe czarne niczym nocne niebo...”.

— To nie było przejęzyczenie – powtórzył rezolutnie Wisek. – Gdy mi to dyktował, myślał o tobie.

W wiedźmę jakby piorun strzelił.

Gapiała się z rozdziawionymi ustami to na wiersz, to na Allana, nie mogąc wykrztusić słowa. No pięknie. Ładna z niej specjalistka, nie ma co. Jakim cudem niczego nie zauważyła?

Przeczytała poemat jeszcze raz i teraz nie uznała go wcale za wycieczkę zupełnego beztalentów. Nie tym razem. Wcale a wcale.

Teraz trzymała w rękach prawdziwe arcydzieło.

— Na co Magdalena czeka? – spytał Wisek. – Przecież sama mówiła, że z Magicznego Snu może zbudzić tylko Pocałunek Prawdziwej Miłości.

— Ty nie bądź taki mądry – sarknęła rozdrażniona jego głupim uśmiechem. – A poza tym ja go przecież wcale nie...

Nie?

Czyżby?

A jeszcze przed godziną myśl o powrocie do chatki sprawiała, że wiedźma chodziła jak struta.

Czy to możliwe, by jej na nim zależało? Martwiła się o niego, owszem, bo w małżeństwie ze Złotowłosą, tak samo ślepą jak on, nie byłby szczęśliwy. Ale martwiła się dlatego, że chciała dobrze wykonać zadanie. Na tym polegała jej praca. Miała pomóc mu odszukać Prawdziwą Miłość, ale przecież, na litość boską, nie myślała o sobie!

— Co Magdalenie szkodzi? – Wisek uśmiechał się coraz szerzej. – Najwyżej pan się nie obudzi. Zamkniemy go wtedy w jakiejś wieży i będzie święty spokój.

Wiedźmę bardziej niepokoiła ta druga możliwość. Jeśli rzeczywiście kocha królewicza, PPM zadziała, on się przebudzi i odtąd będą żyć razem długo, szczęśliwie, będzie to dla niej zawodowa klęska. Bo jako specjalistka od miłości nie powinna dać się jej tak zaskoczyć. Zbagatelizowała niebezpieczeństwo. A przecież wiadomo, że ci przystojni są najgorsi. Żeby nie rozpoznać u siebie klasycznych objawów, trzeba być...

Zakochaną. Po prostu.

Uśmiechnęła się bezradnie.

No proszę. Myślała, że o miłości wie wszystko. A tu taka niespodzianka.

Wisiek chrząknął cicho. Miał irytującą minę człowieka, który potrafi czytać w myślach.

— Tak naprawdę to pan nigdy nie chciał tego tronu – wyjawiał konspiracyjnym szeptem. – Bał się plotek. Ale teraz wcale nie potrzebuje żadnej księżniczki.

Mrugnął do niej, po czym oddalił się taktownie.

Magdalena długo patrzyła na królewicza. Ona, profesjonalistka, i on, kompletny ignorant... Nie do pomyślenia.

I nagle, jakoś tak sama z siebie, bez zastanowienia, pochyliła się, pocałowała go. Wstrzymała oddech, z napięciem wpatrując się w jego twarz.

Najpierw nie stało się nic.

A potem królewicz westchnął i otworzył oczy.

Aleksandra Zielińska Urodzona 5 stycznia 1989 w Sandomierzu. Obecnie mieszkam z rodziną w małej wiosce na podkarpackich bagnach, w Motyczu Szlacheckim. Jestem licealistką. Fantastykę kocham w każdym wydaniu i formie. Zaczynałam od Stephen Kinga. Oprócz tego zaczytuję się wszystkim, co wyszło spod pióra Andrzeja Sapkowskiego oraz Trumana Capote'a.

Nienawidzę komedii romantycznych (!), ale uwielbiam humor w stylu Monty Pytona. Moja pasja to film, Ojca chrzestnego znam niemal na pamięć.

Od zawsze chciałam grać na gitarze, z braku talentu ograniczyłam się do słuchania. Lubię muzykę ciekawą i niebanalną.

Nałogowo grywam we Wrota Baldura.

Fahrenheit umożliwił mi debiut publikacją w 42. numerze. Periodyk oraz Redakcję traktuję jak mentorów i wspaniałych nauczycieli. Udział w Antologii to moje pierwsze kroki na księgarskim rynku.

Aleksandra Zielińska A IMIĘ JEJ GRACE

*When she goes to work You can hear the strings Grace finds beauty In everything
Grace She carries a world on her hips No champagne flute for her lips No twirls or
skips Between her fingertips She carries a pearl In perfect condition What once was
hers What once was friction What left a mark No longer stains Because Grace makes
beauty Out of ugly things Grace finds beauty In everything Grace finds goodness In
everything U2*

*Kiedy idzie do pracy Możesz usłyszeć dźwięk struny Grace odnajduje piękno we
wszystkim Grace, nosi świat na swoich biodrach Żaden szampan nie spłynął jej
ustami Żadnego wirowania i przeskakiwania pomiędzy jej odciskami Nosi perłę w
świetnym stanie Co raz było bólem Co raz było tarciem Co zostawiło znak Koniec z*

*kłuciem Ponieważ Grace tworzy piękno Z brzydkich rzeczy Grace znajduje piękno we
wszystkim Grace znajduje dobro We wszystkim Uz*

Jack otworzył jedno oko. Zamglonym wzrokiem powiódł po odrapanej ścianie sypialni. W samym kącie sufitu zadomowił się wielki grzyb w kształcie półksiężyca. Z obrzydzenia Jack postanowił drugiego oka nie otwierać. Obrócił się na lewy bok i nakrył kołdrą. Za wszelką cenę pragnął zatrzymać strzęp snu – ostatniego dobrego snu od kilku tygodni. Nie udało mu się. Cóż, czasem tak bywa, życie jest okrutne.

Jęknął przeciągle, wyęzając siły, by wstać albo chociaż podnieść się z łóżka. Zaspanym wzrokiem od razu natrafił na wielki plakat Bono. Ten stary kawałek papieru był jedną z wielu rzeczy, jakie pozostały po Valerie. Naprawdę miała na imię Constance, ale nie zносиła, gdy ją tak nazywano. Twierdziła, że kojarzy jej się tylko z „nazwą jakiejś krypy”. Jack nie protestował, przyzwyczał się szybko. Jak gaz – zawsze przyjmował kształt naczynia.

Wstał; zachwiał się i zatoczył. Od upadku uchroniła go wyłącznie ściana, na której wciąż pozostały rysunki Valerie sprzed siedmiu lat. Mimo upływu czasu Jack z łatwością rozpoznawał w tych wyblakłych kreskach znajome kształty. Również nabazgrane przez nią gdzieniegdzie wiersze i aforyzmy znał na pamięć.

Jack wmawiał sobie, że te durne teksty nic dla niego nie znaczą i się ich pozbędzie, jak tylko wytrzaśnie skądś kasę na farbę. Prawdę mówiąc, gdyby ktoś zaoferował mu remont całego mieszkania za darmo, odrzuciłby propozycję od razu. Bazgranina Valerie była wspomnieniem z czasów młodości – ciężko z nimi wytrzymać, a pozbyć się nie da rady.

Potworny ból w skroniach powrócił. Wczoraj wieczorem zapił go tanim winem, dziś rano na podobne libacje nie miał ani ochoty, ani alkoholu. Doczołgał się do kuchni. Przez małe okno wpadało niewiele światła.

Wziął karton kefiru i wlał zawartość do pustego kieliszka z resztkami wina. Płyn miał dziwną konsystencję, ale Jack się nie przejmował. Być może kefir pomoże odpędzić ból, a sraczka – efekt uboczny – w porównaniu z kacem będzie błogosławieństwem.

Upił trochę, wyjrzał przez okno i się zdziwił. Coś było nie tak. Miasto opustoszało, dosłownie wymarło. Na ulicy nie dostrzegał żadnego ruchu, żadnych oznak życia. Nic, oprócz walających się wszędzie gazet.

Szczerze mówiąc, miał to w dupie. Pomyślał, że wcale mu nie zrobi różnicy, jeśli wszystkich mieszkańców tego pieprzonego Bryn Sturgis szlag trafi.

Zegar wskazywał południe. Przez ostatnich kilka lat Jack budził się około godziny dziewiątej. Zawsze; nieważnie, czy położył się o ósmej trzydzięci, czy o czwartej dnia poprzedniego. Powód był prozaiczny.

Piętro wyżej mieszkała Pani Tingle. Pani Tingle była starą, zrzedliwą nauczycielką matematyki. Zawsze, punktualnie o godzinie dziewiątej jej okropny pies, o kretyńskim imieniu Fermi, rozpoczynał koncert. Szczekał grubym głosem, który wgryzał się w mózg, aż Pani Tingle łaskawie raczyła wypełnić miskę ulubieńca suchą karmą. Czasem trwało to długo. Może dlatego, że Pani Tingle była głucha jak pień.

Dziś Fermi nie czekał. Jack czasem modlił się w duchu, aby w końcu ten pies zdechł. Miałby kolejny powód, żeby się upić i świętować.

Wszedł do pokoju. Z gniewem i obrzydzeniem spojrzął na maszynę do pisania. Jego przekleństwo i błogosławieństwo zarazem. Dziś już prawie wszyscy pisarze posługiwali się komputerami. Ale Jack nie. To na tej siedmioletniej, starej prukwie napisał pierwszą powieść.

Grace.

Pokój zasłany był kartkami. Niektóre zapisane do połowy, inne całkowicie, jeszcze inne wcale. Były ich setki, może tysiące, już dawno stracił rachubę. Zbierał je przez siedem lat, nie pamiętał treści większości z nich.

Usiadł. Maszyna patrzyła na niego wyzywająco. „ Cześć, Jackie, dziś coś uda ci się napisać, co? Może ta pasja powróci? A może nie ”.

Po wydaniu Grace nie mógł się skupić, by pisać dalej, wciąż nie był zadowolony z tego, co z siebie wypluwał. Valerie była przy nim zawsze, pocieszała, że kryzys minie, bo ma talent, a pisanie to jego pasja. Żartobliwie nazywała tę twórczą niemoc „ syndromem drugiej książki ” (Jack nie widział w tym nic zabawnego). Wierzyła, że to minie.

A teraz Valerie nie było.

A syndrom drugiej książki trwał i trwał.

Rosemary zawsze nosiła czarne, skórzane rękawiczki. Nigdy ich nie zdejmowała, poza momentami, gdy była sama w mieszkaniu ofiary. Nosiła je z powodu głębokich oparzelin na dłoniach. Gdy miała siedem lat, zanurzyła rączki we wrzącym oleju.

Ale to nic. Rosemary lubi adrenalinę. Dziś wieczorem też pewnie kogoś zabije.

Przebiegł wzrokiem po tym, co napisał. Przeczytał akapit jeszcze raz. Jeszcze raz. Po czym beznamiętnie wyrwał kartkę z trzewi maszyny, zgniótł w kulę i rzucił za siebie.

Papier wpadł do pustego akwarium.

Jack był cholernie samotny po odejściu Valerie, ale wmawiał sobie, że nie dlatego kupił sobie świnkę morską. Elvis był z nim dwa miesiące. Pewnego ranka po prostu wlażł na balkon i spadł. Albo skoczył. Potem były rybki, ale Jack zawsze zapominał je nakarmić. Podświadomie chciał wiedzieć, że ktoś lub coś cierpi tak jak on. Na koniec, zrezygnowany, kupił sobie patyczaka. Według szczerbatego sprzedawcy nie wymagał troskliwej opieki. Istotnie, po jakimś czasie Jack w ogóle zapomniał, że ma współlokatora, aż natknął się na jego truchło obok łóżka.

I tak zakończyła się historia arki Jacka.

Wciąż patrzył na maszynę. Wydała mu się kretyńska. Westchnął, zaklął i splunął. Przez chwilę do jego umysłu próbowały się wedrzeć czarne myśli. Czarne myśli Jacka miały w tym wprawę.

Wstał.

— Co, Jackie? Poddajesz się, ogierze? – warknęła z paskudną ironią maszyna. – Może napijemy się czegoś? Alkohol czasem niesie inspirację.

— Pieprz się – rzucił w stronę maszyny. Zabrał trochę drobnych i założył biały podkoszulek, żeby nie paradować po mieście w samych dresach. Jak zwykle zapomniał je zdjąć, kiedy kładł się do łóżka. Ból głowy stał się nie do wytrzymania, Jack postanowił opuścić domowe zacisze i poszukać jakiegoś specyfiku na mieście. Wyszedł.

Bono nie miał już na kogo patrzeć.



Miasto było martwe. Nikogo. Żadnej żywej duszy w okolicy,

tylko stare gazety i śmieci na ulicach. Zadziwiające, ile śmieci zostawia po sobie tłum; co dziwniejsze, dostrzega się je dopiero wtedy, gdy tłum zniknie. Owa pustka była nienaturalna.

Jack jedynie raz widział Bryn Sturgis w podobnym stanie. Była wtedy piąta nad ranem. Właśnie zapisał ostatnie słowa ostatniego rozdziału Grace. Stał w pokoju i popijając wino, patrzył na śpiącą Valerie. Na jej kruczycie włosy rozsypane w nieładzie i niewinny uśmiech. Potem wypadł na ulicę tak, jak stał: w przydużych szortach w bałwanki, białym podkoszulku i z kartą kredytową w ręku. Noc była jeszcze niewinna i dziewicza, jak młoda dziewczyna. Spacerował po ulicach, uśmiechając się do siebie. Czuł się naprawdę wolny i szczęśliwy. Potem usiadł na schodach sklepu muzycznego i czekał na otwarcie. Rano zjawiała się blondynka z pękiem kluczy. Wpuściła go do wnętrza bez słowa, a on kupił najlepszą gitarę w sklepie, którą kiedyś pokazywała mu Valerie.

Gdy wszedł do mieszkania, jeszcze spała; nie miał serca jej budzić, bo wiedział, jak trudno było jej zasnąć przy stukach maszyny do pisania. Zostawił gitarę przy łóżku, poszedł do kuchni i zaczął przygotowywać śniadanie. Gdy wlewał sok pomarańczowy do szklanki (jeszcze wtedy pijał coś innego oprócz alkoholu i kefiru), usłyszał początkowo cichą, rosnącą w siłę, muzykę. Valerie grała. Grała Grace – piosenkę, która stała się inspiracją dla jego książki.

To była najpiękniejsza chwila w jego życiu. Później wmawiał sobie, że to wspomnienia półnagiej Valerie, nucącej z uśmiechem piosenkę, było tak ważne tylko ze względu na zakończenie książki. Może rzeczywiście tak było.

A teraz Valerie nie ma.

Valerie umarła.

I miasto dzisiaj też wydawało się umarłe.

Poszedł w kierunku kiosku. O dziwo, budka była zamknięta na cztery spusty. Jack nie mógł sobie przypomnieć dnia, by stuletni łyśy Pan Smith, obdarzony obleśnym uśmiechem, nie przyszedł do roboty. Tacy materialści jak on nigdy nie przepuszczają okazji do zarobku.

Ruszył w stronę apteki. Wszedł przez otwarte drzwi, ale nie dostrzegł sprzedawcy za ladą. Nikogo. Niepewnie stawiał kroki po białych do niemożliwości kafelkach.

— Jest tu kto?

Żadnej odpowiedzi.

Jack nie znosił tego rodzaju sytuacji. Miał wrażenie, że wszystkie bubki z Bryn Sturgis kryją się teraz za rogiem i pękają ze śmiechu na widok zdenerwowania biednego współobywatela.

— Jest tu, kurwa, kto?! – wrzasnął. Nikt się nie odezwał, nikt nie zrugął go za wulgaryzm w miejscu publicznym, a to już zasługiwało na tytuł największej olewki pod słońcem. Jack nie chciał uwierzyć, że nagle wszystkim mieszkańcom Bryn Sturgis brzydkie słowa przestały przeszkadzać.

— Wasza strata.

Sięgnął przez ladę i wziął pudełko ibupromu. Wychodząc, rzucił drobne obok kasy. Od razu połknął dwie tabletki. Na zewnątrz rozejrzał się wokół – nadal żywej duszy – połknął jeszcze jedną.

Może któryś z supermarketów za miastem ogłosił promocję i wszyscy obywatele Bryn Sturgis wybrali z kont oszczędności całego życia i rzucili się na zakupy? Kto wie, co mogło strzelić do głowy takiej bandzie kretynów.

— Został jeszcze jakiś frajer w tym mieście oprócz mnie? – krzyknął w głąb pustej ulicy. Ku swemu zdziwieniu usłyszał

odpowieź.

— Co się drzesz, kochasiu? Ja jestem.

— Gdzie są in...? – nie zdążył dokończyć. Z mroku ciemnego zaułka wyszedł kot. Zwyczajny dachowiec o czarnej, wyleniałej sierści i ogromnych zielonych oczach. Usiadł i zakołysał ogonem.

— Co się tak gapisz? – mruknął futrzak. – Czyżbym się ubrudził? Wiesz, właśnie wróciłem ze śmietnika. Ze śniadania, gwoli ścisłości.

Jack zamarł z rozdziawionymi ustami. Przez myśl przeszło mu, że albo ma delirium, albo zatrzał się tym cholernym kefirem.

— Nie zachowuj się jak idiota, Jack – mruknął kot z nutą dezaprobaty. – Pierwszy raz dachowca widzisz czy co? Ach, tak. – Jack dałby głowę, że zwierzę się uśmiechnęło. – Mówię. To cię zbiło z tropu, nie? Nie myślałem, że aż tak, bo w twojej Grace występuje przecież gadający kot, a raczej Diabeł mówiący ustami kota. Zresztą co za różnica, nie, Jack? Jack? Ziemia do gościa w brudnym dresie!

— Co do...

— Nie oszukujmy się, brachu. Twój dres jest brudny. O tu.

— Kim jesteś? – zapytał Jack, powoli wymawiając każde słowo. Wydało mu się, że śni. Koty przecież nie mówią, a miasto nie może umrzeć.

A jeśli może?

— Mógłbym powiedzieć, że mam na imię Salem, ale to się źle kojarzy przez serial dla znerwicowanych nastolatek – prychnął kot, mrużąc ogromne oczy. – Mógłbym nazwać się Bułhakowskim Behemotem; on w końcu był pierwowzorem twojego kota z Grace. Mimo wszystko mów mi Louis? Nie Louie, błagam.

— Co ty tu robisz? – Jack starał sobie przypomnieć, czy coś

brał.

— Nic dziś nie wciągałeś do noska, skarbie. – Kot zamiótł ogonem po brudnym chodniku. – W pierwszym rzędzie chciałeś chyba spytać, gdzie są inni ludzie. Zatem ci odpowiem, kto mi zabroni? Wszyscy mieszkańcy są tu, w twojej głowie – wyjaśnił rzeczowo kot. – Nie pytaj tylko, jak się tam mieszczą, kochasiu.

Jack nie odpowiedział.

— Nie odpowiadasz – przyznał pogodnie kot. – I dobrze. Nie lubię, jak mi ktoś przeszkadza. Co ja tu robię, tak? Ano sprawdzam.

— Co?

— Jak sobie radzisz w roli Boga. – Louis zastrzygł uszami. Mogło to oznaczać wszystko. Albo i nic.

— To jakaś paranoja... — rzucił Jack, odwracając się plecami do futrzaka. Ruszył stanowczym krokiem, byle dalej od dziwnego zwierzęcia.

— Jeszcze nie zauważyłeś, że tworzysz? – krzyknął za nim kot. – Nie pojąłeś, że to ty powołujesz mieszkańców Bryn Sturgis do życia dzięki pisaniu?!

Jack szedł.

— Nie uczono cię, że nie odwraca się plecami do starszych? – mruknął cichutko Louis. – A tym bardziej do rodziców?



Jack szedł. Szedł szybko, stawiając ogromne kroki. Patrzył na czubki butów, jakby stanowiły drogowskaz, wskazówkę, co robić dalej, gdzie uciec. Tak, jak po pogrzebie Valerie.

Nie patrzył przed siebie, tylko automatycznie poruszał kończynami. Nic dziwnego, że wpadł na kogoś.

— Przepraszam. – Dziewczyna była blondynką. Miała na sobie krótką sukienkę, która opinała jej talię.

— Nie szkodzi, ja... — zamarł, gdy nieznajoma odgarnęła z twarzy lok dłonią zamkniętą w czarnej rękawiczce.

— Rosemary...?

— My się znamy?

Uciekał, jakby biegło za nim co najmniej stado wygłodniałych wilków. Nic nie rozumiał. Nic a nic. Czuł się jak w jakimś pieprzonym matriksie. Była już scena z krwiożerczym kotem architektem, pościg, a teraz – zgodnie ze scenariuszem – ofiara powinna się potknąć.

Mówisz – masz.

Jack rozciągnął się na chodniku jak długi. Uderzył biodrem w beton; zaboląło. I to bardzo. Jęknął, miał ochotę zakląć. Nie mógł.

— Oj, mógłbyś być trochę ostrożniejszy – zauważył wesoło Louis, pojawiając się znikąd przy policzku Jacka. Poczł oddech kota, ciepły, pachnący jabłkami.

Paranoja.

— Jeszcze sobie krzywdę zrobisz, kochasiu. O nieszczęście nietrudno. Może jednak ten niefortunny upadek pomógł ci zrozumieć, o czym mówiłem?

— Nie pomógł – jęknął Jack, powoli podnosząc się z chodnika.

— Wyobraź sobie, że to też wziąłem pod uwagę. Jedno mnie dziwi: ja cię odwiedzam, a ty zwiewasz przede mną jak jakaś mysz, która za mocno trzyma się życia.

— O co tu, kurwa, chodzi?

— Nieładnie, mój drogi, nieładnie – rzekł kot z udawanym gniewem. – Nie wyniosłeś z domu żadnych zasad? O co tu chodzi? O ciebie. I nie zadawaj więcej takich głupich pytań, obrażasz swoją inteligencję, a co za tym idzie – również moją. W

jakimś sensie. Dlaczego nie ma ludzi? Proste, pozbyłem się ich, bo chcę z tobą porozmawiać w spokoju. Ty jeszcze nie umiesz usłyszeć własnego „ ja ” w tłumie. Poza tym pragnę, byś docenił swój dar. Ofiarowałem ci to miasto.

— Jak to? – warknął Jack.

— Wiesz, to może wydawać się skomplikowane. – Louis wzniosł oczy ku niebu. – Byłeś kiedykolwiek poza granicami Bryn Sturgis? Nigdy. Tu się urodziłeś, kształciłeś, odniosłeś pierwszy sukces. Jaka szkoda, że na razie ostatni. I tworzyłeś miasto. Każde napisane przez ciebie słowo miało konsekwencje w rzeczywistości. Ty napisałeś Smitha, Panią Tingle. O, nawet Rosemary. Tylko nie wiem, po jaką cholere poparzyłeś jej dłonie? Przejrzyj te kartki, które leżą w twojej sypialni, a dowiesz się, dlaczego Fermi domaga się zarcia akurat o dziewiątej. Może występować pod innym mianem, ale to wciąż Fermi i Pani Tingle. Proste, pisząc – tworzysz. Jack? Jack, a ty dokąd?



Wpadł do mieszkania jak burza. Przestał czuć ból, przestał słyszeć głos (Diabła) kota, który dobiegał jak zza szyby. Jeśli istniała jakaś szansa... Oszukiwał się całe lata, wmawiał sobie coś, co nie było prawdą. Nie mogło nią być.

Usiadł przy maszynie (co, Jackie? Spacer pomógł? Czy może bardziej to spotkanie?) i zaczął pisać.

Palce tańczyły po klawiaturze z zawrotną szybkością, jak wtedy, gdy kończył Grace. Litery z czasem się pozacierały, ale on znał ich położenie na pamięć. Były jak mapa: siatka punktów, które pomagały mu się wydostać z tego paranoicznego świata choć na chwilę. Pisał i na efekt nie czekał długo. Bono patrzył.

— Jack? Piszesz? Widzisz, mówiłam, że potrafisz do tego wrócić.

Nie musiał się odwracać, wciąż pamiętał każdy szczegół tak, jakby to było wczoraj. Na pewno stała w lekkim rozkroku, uginając prawą nogę. Zawsze prawą, z powodu kontuzji, jaką odniosła podczas treningu siatkówki. Uśmiechała się zapewne tak promiennie, jak słońce wczesnym popołudniem. Jack nie spotkał nikogo innego, kto miałby równie radosny uśmiech. Pamiętał niesamowite oczy: ogromne, migdałowe, w kolorze gorzkiej czekolady, które zawsze emanowały ciepłem i nadawały jej wygląd niewinnej licealistki. Kiedy odgarniała czarny kosmyk lśniących włosów, Jack nieomal wyczuwał jej myśli i pragnął usłyszeć słowa, których jeszcze nie wypowiedziała; piosenki, których nie napisała.

— Szukam gitary, nie ma jej w salonie. Przeszkadzam ci w pracy, Jack?

— Nie – powoli odwrócił się w jej stronę. – Nie, Valerie.

Nie pomylił się wcale. Stała w drzwiach, uginając prawą nogę i uśmiechała się jak wtedy, gdy poznał ją w kolejce w księgarni. Miała na sobie tę samą czarną bluzkę, co tamtego popołudnia, kiedy kupowała stare wydanie Rolanda.

— Gitara jest w szafie, Valerie – powiedział bardzo cicho; możliwość ponownego wypowiedzania tego imienia obudziła w nim radość, jakiej nie zaznał od dawna.

Wstał. Wiedział, że musi ją przytulić, że jeśli nie obejmie jej chudych ramion, by poczuć jej fizyczność samą w sobie, oszaleje. Nie protestowała, tylko uśmiechała się, rozjaśniając całą brudną sypialnię.

— Valerie...

Ale Valerie oswobodziła się z jego uścisku nieznanym mu

agresywnym gestem i zaczęła się śmiać, dokładnie jak... Valerie już nie była Valerie. W jednej chwili zmieniła się w niskiego mężczyznę w czarnym garniturze. Miał czarne, gdzieśgdzie rzednące włosy i szeroki uśmiech Włocha.

— Louis.

— Ano, ja – zawołał jowialnie kot, który już nie był kotem. – Normalnie po raz pierwszy mnie zadziwiłeś. Sądziłem, że jak ci powiem o tym, co możesz zdziałać, zaczniesz pisać. Pieniądze, inne bogactwa, władza, trochę rozrywki i może jeszcze coś, a Valerie na końcu, o ile w ogóle. Nie znam cię widocznie.

— Co to ma, kurwa, znaczyć? – wrzasnął Jack. Przez te wszystkie lata jego serce, pozbawione zbawiennego wpływu ciepłych słów czy intymności drugiego człowieka, biło automatycznie. Bez namiętności, pożądania, pasji. Przez tę chwilę, gdy miał Valerie tak blisko, te uczucia znów powróciły, ale teraz Valerie stała się diabelskim kotem. – Kim ty, do cholery, jesteś?

— I znów wulgaryzm. Powinienem bardziej zadbać o twoje wychowanie, byś mógł w końcu wstąpić w szeregi naszej rodziny.

— To niemożliwe! Nie jesteś... nie możesz być moim ojcem!

— Polemizowałbym – mruknął Louis, z uniesionymi brwiami patrzył na puste akwarium patyczaka. – Interesujący przedmiot. Ktoś tu mieszkał?

Jack nie odpowiadał, umiał zdobyć się tylko na obserwację swych dłoni.

— Suzie nic ci nie powiedziała o mnie, gdy dorosłeś. Nie lubiła mojej... hmm... profesji. Teraz przyszedłem ci wyjaśnić parę rzeczy, zanim obejmiesz należne ci miejsce w rodzinnej firmie.

— Lucyfer...

— Wolałbym Louis, nie Louie – rzekł, zginając prawą nogę w parodii gestu Valerie. – Pierwsza sprawa: Valerie. To przez nią oszalałeś i straciłeś możliwość pisania.

— Do czego ty zmierzasz?

— Cieszyłem się, patrząc na sukces twojej pierwszej książki, jak każdy rodzic – powiedział Louis, usiadłszy na skraju łóżka, zaczął przerzucać maszynopisy leżące na podłodze. – O, jest. „Pani Hearthrow wcale nie była samotna, oprócz Fermiego miała jeszcze kogoś. Zawsze o godzinie dziewiętej siadała przy otwartych drzwiczkach lodówki i rozmawiała z mężem. Od jakichś piętnastu lat nie była w stanie przyjąć do wiadomości, że tylko zimno chroni pana H. od zepsucia. W sensie dosłownym. Zawsze o dziewiętej odzywał się pies. Zapach mięsa nęcił”. Niezłe, Jack – zawołał z uśmiechem Louis, wymachując cygarem. – Napisałeś Panią Tingle, wprawdzie pod innym nazwiskiem, gdyby go nie zmieniła, poznałbyś ją. Chyba. Wracając do tematu... Napisałeś Panią Tingle, zapomniawszy o dalszym ciągu tej historii, a ona przeprowadziła się do mieszkania piętro wyżej. Ironia, nie? Ciekawi mnie tylko, jak przetransportowała ciało męża. Może Fermi jej pomógł? Jack? Jack, to był żart.

A Jack milczał. I patrzył.

— Potem przestałeś pisać. A Valerie? Jak zginęła? Zastrzelił ją jakiś fan, winiąc za to, że nie możesz ukończyć drugiej części Grace. I miał facet rację, ale – jak mówi stare, dobre przysłowie – człowiek strzela, Pan Bóg kulę nosi. Tym razem sam się pofatygowałem.

Jack uniósł głowę. Poczul gniew.

— Wybacz, ale musiałem to zrobić. Przez ten czas, gdy ją znałeś, aż do dziś, miałeś ją za ideał. Stała się symbolem, była perfekcyjna w każdym calu, zawsze cię rozumiała, znała twoje

potrzeby, zanim sam o nich pomyślałeś. Nie dziwne? A przecież przed spotkaniem ciebie była zwykłą, przeciętną nastolatką. Miała pryszczki, napięcie przedmiesiączkowe, zmienne nastroje, przeklinała nawet. Pamiętasz, aby w twojej obecności choć raz się potknęła czy strzeliła gafę? Co? Przyczyna tkwi w tobie. Pamiętasz, gdzie ją poznałeś? Co wtedy pomyślałeś?

Jack pamiętał.

Tego szarego popołudnia, w księgarni, gdy z nią rozmawiał, w radiu zabrzmiała Grace. Po raz pierwszy usłyszał tę piosenkę również w sklepie, kupował maszynę do pisania i pomyślał, że...

— Chciałbyś poznać taką dziewczynę, która dostrzegłaby w tobie choć trochę piękna, jak ta Grace z piosenki, co? – powiedział Louis, wyciągając z kieszeni cygaro. – Jak to leciało? „Grace odnajduje piękno nawet w brzydocie” ? Pragnąłeś, by ktoś zadał sobie trud bliższego poznania tego chłopaka z tatuażem, który publikował jakieś opowiadania w lokalnej prasie. Pragnąłeś, by ktoś dostrzegł w tobie dobro, bo byłeś taki... ugły. Czemu tym kimś nie miałyby być ta czarnowłosa dziewczyna z pięknym uśmiechem, co? Ona uczyniła z ciebie innego człowieka, a ja wolałem, kiedy byłeś tym dziwnym chłopakiem z przedmieścia. Sądziłem, że po jej śmierci wszystko wróci do normy, popłaczesz sobie, powiadomię cię o swoim istnieniu, a Bryn Sturgis obudzi w tobie większy apetyt boskiej władzy. Ale się pomyliłem. Wiesz, dlaczego nie mogłeś pisać? To proste. Bo każda bohaterka miałyby oczy Valerie, śmiałyby się jej śmiechem i ugiwała nogę w tym kretyńskim geście. A na taką wtórność literatura pozwolić sobie nie może.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

— Jasne, że nie chcę. Wolę, żebyś się sam domyślił. Pojmujesz? Grace to powieść o Valerie. Już wtedy miałeś władzę. Pisząc,

kształtowałaś Valerie. Nie była tą samą dziewczyną, którą poznałeś w księgarni. Pokochałeś swoje wyobrażenie, hybrydę, którą stworzyłeś. Twoja Valerie nie istniała naprawdę, stanowiła tylko manifestację twych pragnień, twój sen! Twoją Grace! Pokochałeś ideał, którego tak pragnąłeś!

— Nie! – wrzasnął Jack.

— Tak.

— Czego ty ode mnie chcesz? Zabrałeś mi wszystko! Nie odbierzesz mi wspomnień!

— Klóciłbym się.

Ale Jack nie słuchał. Słyszając słowa Grace, wyśpiwywane przez głos, który ukochał, który na zawsze pozostanie jego, pobiegł do kuchni i chwycił nóż. Największy. Po czym wbił go sobie w serce. Po raz pierwszy poczuł tę utraconą pasję, pragnienie, pożądanie. I zapach jabłek.

— No i co? Daleko stąd do Avalonu, kochasiu – mruknął Louis, gryząc koniuszek cygara. – Myślisz, że mi uciekłeś?

Wyszedł, zostawiając trupa w kuchni. Tego samego dnia, na Bryn Sturgis spadł deszcz małych ognistych patyczaków. Dzień jak co dzień.



Jack otworzył jedno oko. Zamglonym wzrokiem powiódł po ścianie sypialni. Obrócił się na lewy bok i nakrył kołdrą. Za wszelką cenę pragnął zatrzymać strzęp snu. Nie dało rady, bo nagle odezwał się telefon.

— Panie Cipher?

— Że co...? Że kto...?

— Tu Nina, dzwonię w sprawie sprzedaży mieszkania. Jack

usiadł na łóżku, przecierając zaspane oczy.

— Przepraszam, wyrwałaś mnie ze snu. Pisałem wczoraj do północy i wygląda na to, że skończyłem. Możesz zadzwonić do wydawcy, Nino? Co ja bym zrobił bez mojej najlepszej agentki?

— Pytanie retoryczne, proszę pana. Jeszcze tylko sprawa mieszkania. Co mam zrobić z gitarą?

— Jaką gitarą?

— No, pańską. Facet od nieruchomości znalazł ją w szafie. Oddać na aukcję, jak resztę rzeczy związanych z Grace ?

— Oddać, oddać. Chcę się w końcu pozbyć tej zapchlonej kawalerki.

— Ściany też musimy pomalować, bo sprzedawca mówi, że trudno będzie znaleźć nabywcę.

— Co, grzyb się rozrósł?

— Nie, te bazgroły.

Jack skrzywił usta. Jakoś zupełnie zapomniał, jak wyglądało jego stare mieszkanie. Zostało mu tylko zamglone wspomnienie pijackich nocy.

— Zrób wszystko, co każą faceci od nieruchomości.

— Dobrze, przypominam tylko o dzisiejszym spotkaniu autorskim i przymiarce smokingu na wręczenie nagród. Zaraz podeślę kogoś po maszynopis. Podrzucić od razu to stare wydanie Rolanda, które kupiłam na aukcji?

Jack odłożył słuchawkę. Minęła jakaś godzina, zanim stał się na tyle przytomny, by wstać. Włączył radio. Głos Bono wypełnił sypialnię, ale nie dał rady zagłuszyć dzwonka. W końcu przyłazł chłopiec na posyłki.

Ale chłopiec okazał się ładną dziewczyną, która lekko ugiwała nogę, jakby po jakiejś kontuzji.

— Panie Cipher, przyszedłam po maszynopis. – Ten uśmiech coś

mu przypomni, ale Jack wciz nie wiedzia, dlaczego. – Mam tez Rolanda.

A Bono piewa i piewa.

Karol Makawczyk Urodzony bez pytania o zgodę 06.05.1981 w Sandomierzu, zm... *nie, to nie ten skrót... zam. w Warszawie. Co tam jeszcze... rodzina, szkoła, jedna, druga, studia... nie, to nie może być aż tak nudne.*

Od dziecka lubiłem obserwować przytłaczającą mnie rzeczywistość Padotu, wciskać kit wszystkołkającym młodym pelikanom i udawać głupszego niż byłem. To ostatnie z miernym skutkiem, gdyż uchodziłem za przemądrzalca.

Lektury doбираłem sobie sam, nieszczęściem rozliczany byłem z tych nudniejszych, w związku z czym postanowiłem, że jeżeli kiedyś zdarzyłoby mi się napisać książkę, to dołożę wszelkich starań, by nie trafiła ona na listę lektur obowiązkowych.

Etapy mojego rozwoju rysują się następująco: po przedszkolu zrozumiałem, że rodzice nie zawsze mają rację, po podstawówce zrozumiałem, że świat nie kończy się na podwórku i drodze do szkoły, po liceum zrozumiałem, że wcale nie mus było mieć stuprocentową frekwencję, a po studiach zrozumiałem, że wcale nie mus.

W sierpniu 2006 r., przeszukując zasoby globalnej wiochy celem opracowania bardziej efektywnych metod tracenia czasu, przypomniałem sobie że kiedyś chciałem pisać książki. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności trafiłem na Fahrenheita i jego Zakużone Warsztaty, skąd na ziemię sprowadzili mnie bywalcy i przebywalcy Forum, za co serdeczne im Bóg zapłać :)

Karol Makawczyk DETOX

Temat : Fantastyczna miłość Tytuł : roboczy No właśnie. Ma być o miłości. Ma być masowe. Ma się sprzedać. I ma być science fiction. O smokach, czarach, elfach i toporach nikt już nie chce czytać. Ciekawość dlaczemu. No ale – trzymajmy się zaleceń. Fikcja naukowa. Taak. Czyli w praktyce? Pewnie jakieś zakazane

uczucie, technologicznie wypaczone, beznadziejnie niemożliwe, Romeo & Julia 3000 AD, tragedia na kółkach. Tylko że to już było. Nawet się sprzedało. Troja 3000 też była, kicha jakich mało. Miłość w rytmie ZEN – też, S@motność w cyberprzestrzeni – też... *Geny rozgrzebane, hormony w modzie, chemia aktywna na porządku dziennym. Induktory snu, programatory neurolingwistyczne, nanostymulatory – chlebuś, mleczko, masełeczko. Trzeci cycek i drugi penis w moment się przejadły. Bądź tu człowieku kreatywny i coś wymyśl unikalnego. „Daj czytelnikom chwilę zapomnienia, tchnij życie w ideały Back2Roots, przywróć wiarę, nadzieję, miłość”. Tylko że, mój kofany panie rednaczu, jestem Publicystą, nie literatem. I dobrze mi stym... jebać, grzeje mnie to.*

Romek zabrał ręce z klawiatury. Przetarłszy oczy, popatrzył krytycznie na holosferę.

— Mgliście widzę te Walentynki o n – line – rzucił z przekąsem.

Kolejne ziewnięcia tylko pozbawiały go przekonania do własnych pomysłów. Topniejące pokłady determinacji i samozaparca nie podołały roszczeniom podejsia systematycznego: konspektor okazał się zbyt skomplikowany w obsłudze, planer fabuły zaciął się na zakładce „ Bohaterowie ”, a generator technobelkotu zdawał się nie mówić po polsku. Pozostało jedno wyjście.

[CTRL—A] G—RZE—JE M—NIE TO

— Szlag. Poszedłbym na miasto, gdyby nie to, że jestem na działce.



— Nawet się nakręcić po ludzku na tę durną robótkę nie mogę.

Wieczorny spacer po łące i rozgwieżdżone niebo powoli równoważyły wzbierające w nim oburzenie. Chłodny wiaterek cudownie studził głowę pełną kipiących myśli. Z tym akurat Romek mógł się uporać łatwiej, szybciej i skuteczniej, zmieniając profil wydzielania dokrewnego, ale zdecydował inaczej. Pozwolił oburzeniu przeistaczać się w rezygnację. Nie chciał pisać o czymś takim, jak miłość, czy uczucia w ogóle. Nie potrafił. Czy może raczej – nie miał wiele do powiedzenia w tej materii, a tym co miał, nie zainteresowałyby nawet psa z kulawą nogą, o redaktorze naczelnym nie wspominając. Łgarstwo zwyczajnie nie przechodziło mu przez palce, a szczerść do bólu... cóż, ta zawsze kogoś bolała. Czasem czytelnika, czasem autora.

Gdyby było inaczej, Roman Jebut wiódłby szczęśliwy żywot świetnie opłacanego specja od rozrywki, sączyłby egzotyczne drinki na ostatnich piętrach najdroższych apartamentowców i w dowolnej chwili mógłby wypiąć się na wszystko i wszystkich, i przeleniuchować drugą połowę życia, o czym zawsze marzył. Nie wegetowałby w smutnej jak ściekowa rura redakcji portalu rozrywkowego dla ubogich, razem z resztą szarych przeciętniaków o przytępionej wrażliwości.

Takich, co potrafili, było niewiele. Takich, którym się poszczęściło – jeszcze mniej. Romek nie spełniał ani warunku wystarczającego, ani koniecznego i lubił wmawiać sobie, że z wyboru. Choć jego pobudki mogły uchodzić za unikalne, ich objawy były absolutnie pospolite. Posługując się, i to niebezpiecznie, nomenklaturą medyczną – przyczyny takiego stanu rzeczy były jednoznaczne. Skutki – globalne. Powikłania – nieodwracalne. Diagnoza zaś... Tu określeń było tyle, ilu określających.

Wiek XXI przyniósł ze sobą gwałtowny rozwój nauk

medycznych. Wielkie odkrycia z początku stulecia – mapa ludzkiego genomu, okiełznanie komórek macierzystych, kontrola przyrostu tkanki, pełny model mózgu – z czystej przekory można by nazwać „dobrym początkiem”. Neurologia, endokrynologia, implantologia, a także późniejsze nanodiedziny – otworzyły przed człowiekiem wiele nowych drzwi. Jak się później okazało, za cenę kilku spalonych mostów.

Delikatna wibracja w wewnętrznej kieszeni płaszcza wytrąciła go z postępującego odrętwienia. Pomarańczowa kontrolka palmtopa mrugała hipnotyzująco. Ostrzeżenie o lekkiej niewydolności gruczołów i obniżonym poziomie metaendorfin.

Nic dziwnego, że robota mi się nie klei. – Romek uśmiechnął się do siebie niewesoło. – Gównu dzisiaj napiszę.

Silniejszy podmuch wiatru zakołysał połaciami wysokiej trawy, smagnął twarz, zafurkotał w odstających uszach. Spacerowicz zatrzymał się. Nagła myśl zacisnęła jego wargi w niemym grymasie sprzeciwu, zmarszczyła płowe brwi, zmrużyła zmęczone oczy. Machinalnie wystukała kilka komend na ekranie dotykowym.

— Koniec tego pierdolenia. Detox. Dobrej baletnicy nie potrzeba wspomagania kierownicy. Chcecie Walentynek? A proszę was bardzo. Gały wszystkim wyleżą.



Droga powrotna dłużyła się, jakby na przekór, chcąc okiełznać zerwanego do lotu ducha, podciąć skrzydła już na starcie. Grube źdźbła owijały się wokół butów. Szumiąc, szeleszcząc złowrogo, zmuszały do wysiłku, zamieniały trucht w marsz, marsz w mozól. „Dokąd to?” . „Nie odchodź”. „Zostań”. Matnia

brunatnic Morza Sargassowego, bezkres, miliardy... Niczym falujące macki głębinowych potworów, coraz wyższe, coraz bliżej. „ Spętamy cię. Udusimy! Pod ziemię. Pod ziemię! ” . Świat zawirował.

— Nie! Wstawaj! Długo leżałem? Naprzód, to tylko złudzenie, reakcja warunkowa uzależnionego mózgu. Heh, czy są inne? Oddychaj, ruszaj się, no dalej. Łąd! Nie, polna dróżka. Nareszcie. Już widać rzęcha, Gwaranta Powrotu. Gdzie PDA? Jest, mój Dostęp. Niby luźno i swobodnie i w kieszeni, a cięży, zalega na sercu. Smycz. Łączność i nierozzerwalność ze światem. Z cywilizacją, syfem, chlewnią i zgnilizną. Obroża i łańcuch. I buda. Błękitno – brudna śmierć. Już wsiadłem, już jadę. Lecę. W dół, do piekła. Matko, jak gorąco. Łyk. Dwa łyki. Cholera, tylko dwa, szybko opróżniłem. Nic to, w piekle będzie ognista.

— Świat za oknem. Bezmiar trawy upstrzony nagimi kikutami. Ot, różnorodność. W strefie umiarkowanej nie ma lasów. Upraw gruntowych też nie uświadczysz. Tylko stepy, prerie i cmentarzyska, uschnięte, oskubane z kory nagrobki. Trawa. Superchwast, nie do wyplenienia – za to główny dostawca tlenu na tę półkulę. Z monopolistą się nie dyskutuje. Burozielony tyran. Burozielony cały rok, bo zimy też nie ma. Jest tylko cholernie późna jesień, kurewsko wczesna wiosna, lato, klara i lato. Początek lutego mamy i dwucyfrową temperaturę w nocy. Śnieg, lód, mróz – tylko w chłodniach, wysokobudżetowych gniotach i strefach podbiegunowych. Wieczna zmarzlina już tylko w ludzkich sercach.

— W ogóle, wszystko się równo zjechało. Średnia życia – sto lat, z czego sto w niewoli. W niewidzialnych kajdanach samoregulujących się mechanizmów, poprawianej natury. Przeżywasz w pełnym zdrowiu cały wiek, w pełnym zdrowiu

umierasz na zawał. Po prostu – zużycie materiału, średni czas bezawaryjnej pracy, te sprawy. Sto lat i pikawa stawa. Przede mną jeszcze sześć dyszek. Pięć, jak dobrze pójdzie. Pół wieku na pełnowartościowych produktach żywnościowych: mniej lub bardziej rzadkich półpłynach i niewiele gęstszej papce. Woda wychodzi z mody. Jeszcze trochę i wyjdzie z obiegu konsumenckiego. Woda. Ten cudowny, jałowy smak. Zdecydowanie najlepsza rzecz, jaka mnie jeszcze czeka. Dobrze, że taka tania.

— Cholera, dwie trzecie masy ludzkiego ciała, trzy czwarte powierzchni planety i wychodzi z mody! Wypłukuje ten tyfus, którym nas od małego szprycują, to i wychodzi. Nasiąknie człek za młodu chemią, potem już nie może się obyć. Regulacja gruczołów, implanty, testosteron i adrenalinka na życzenie. Szlugi też diabli wzięli: raz – że zagrożenie pożarowe, dwa – że są przyjemniejsze sposoby na dawkę nikotyny. I na wszystko inne też są. Czujesz się tak, jak masz ochotę lub potrzebę. Organizm ludzki: ciasne, ale własne, bionarzędzie – ale wciąż tylko narzędzie. Akcja i reakcja, klikasz i masz. Tylko jedz papkę, nie pij wody... i masz! Sto lat!

— Światła. Lublin, stolica regionu. Dziura jakich mało, ale gdzieś mieszkać trzeba.

— Najpierw osiedla dorobkiewiczów, poza miastem. Domki jednorodzinne. Ognioodporne bunkry w łatwopalnej okolicy. Kogo stać na zezwolenie, ten się izoluje.

— Później trawa, trawa i kilometrowy pas bezpieczeństwa. Asfalt, szlaka, beton, gruz, tłuczeń. Ruchoma granica. Linia frontu, żaloszny przejaw zimnej wojny między miastem a stepem. A pożary, jak były tak są. Kilka, kilkanaście na rok. Sfajczą się chaba zie przez noc, dwa tygodnie i znów zieloniutko. Ptaszki,

robaczki, gryzonie, jaszczurki – jak to wszystko wytrzymuje? Kilka razy na rok pełna wymiana trawy, od Atlantyku po Ural. Chyba jedyny sposób na komary. Wykończyłyby człowieka prędzej niż efekt cieplarniany.

— Oho, przedmieścia. Przedsiónek. Piekło, pierwszy poziom. Slumsy. Dzielnice robotnicze, domena biedoty i szczurów. Jedni żywią się drugimi i jakoś to leci. Chałupy, blokowiska, przemysł, wysypiska. Przedmieścia.

— Następnie poziom drugi, osiedla mieszkaniowe klasy średniej. Żywe nekropolie zamieszkiwane przez armie żywych zombie. Jedzenie i praca, sranie i sny o potędze, apjat dwadcat pjat.

— Centrum. Miasto w mieście. Zagłębienie finansowe, biznes, luksus, rozrywka, restauracje z prawdziwym żarciem, knajpy z prawdziwą wódą. Poziomy: trzeci i wszystkie następne. I jedna oaza. Czerwony Październik. Ostoja normalności. Jestem na miejscu.



Wszedłszy, Romek udał się na dolny poziom. Ciężkie powietrze co najmniej nie zachęcało, do spółki z resztą stęchłego podpiwniczenia. Za barem, tyłem do prawie pustej sali stała krótko ostrzyżona, tleniona przedstawicielka płci pięknej, z rodzaju tych mało pięknych, za to dokładnie wydziabanych. Gapiała się beznamiętnie w migający blado pod sufitem holowizor.

— Bry. To samo – oznajmił, zbliżywszy się.

— Bry. – Barmanka, żując coś, zmierzyła przybysza wzrokiem.
– A stać cię?

Romek miał rzucić jakiś bajer o funduszach inwestycyjnych i ich dobrej ostatnio przędzy, ale tylko popatrzył na nią znacząco. Zeszłorazowe : „ Butla, szkło, obciążyć konto ” musiało zapaść jej w pamięć, gdyż przerwawszy ignorowanie powinności, leniwym ruchem sięgnęła pod ladę. Klient zawsze ma rację, dopóki za nią płaci.

— Butla, szkło. Może kogoś do towarzystwa? To szare w rogu też się odtruwa. Powinnam zgłaszać takie rzeczy...

— Ale i ja, i tamto szare w rogu wiemy, że nie zgłaszasz i bulimy czterysta procent marży ekstra. Przypominanie o tym sprowadza na ziemię szybciej niż twój bimber... Jakiego ja słowa szukam?

Barmanka uśmiechnęła się sztywno. Po chwili ostentacyjnie wróciła do pierwotnej pozycji. Grali jakiś smutny mecz.

— Życzę miłego wieczoru.

Romek nie zareagował. Ot, blaski i cienie pełnokrwistej obsługi. Popatrzył obojętnie w róg sali.

— Tamto też na detoxie? Mam nadzieję, że się nie dosiądzie – burknął półgębkiem.

— Wcale nie – odparła prędko barmanka nie siląc się na kontakt wzrokowy. Romek nie znosił jej wszystkowiedzącego tonu.

— Tamto też wygląda jakby nie...

— Wcale nie.



Z butlą w jednej ręce i szkłem w drugiej Romek niepewnie podszedł do stolika Szarej.

— Można?

— A można odmówić?

— Można.

— Więc można.

Wyglądała starzej od niego. Długa, szara spódnica, siwy sweterek, rozpięta pod szyją biała koszula z rozłożystym kołnierzem. Schludnie. Fryzurę typu UFO zdobiły siwe pasemka. Brakowało tylko smużki siwego dymu unoszącego się znad nieistniejącej popielniczki. Przyglądała mu się bez ciekawości. „Siadłeś? Więc słucham”.

— Przydałaby mi się pomoc przy tym i przy tym. – Romek uniósł butelkę, szkłem postukał się w skroń.

— Celem?

— Celem opróżnienia tego pierwszego i napełnienia tego drugiego.

— Pan mnie przecenia. Mogę pomóc najwyżej przy tym drugim. Bimber nie lubi się z grzonym winem, które właśnie do mnie idzie.

Kubek z grzonym winem wiedział, kiedy się zjawić. Eskorta w postaci grubej kelnerki o przetłuszczonych włosach ulotniła się chwilę po tym.

— Nie mieszamy? Zaczny zwyczaj. Nieco zapomniany, ale...

— W czym konkretnie mogę pomóc?

— Konkretnie to... właściwie w niczym. Cierpię na zapaść twórczą. Miałem coś napisać, ale chyba sobie podaruję.

Zamilkł. Coś nieokreślonego w szarej sylwetce zmąciło jego względny spokój, pozbawiło resztek pewności siebie, zmusiło do wbicia wzroku w popielniczkę.

— A co, nie jestem odpowiednią muzą?

Cokolwiek to było, wraz wydało się nader sympatyczne.

— Jakby to... W muzyce też nie wierzę. Nigdy żadnej nie

spotkałem.

Poczęta dawno temu myśl coraz nachalniej domagała się werbalizacji. Nie zdołał utrzymać jej w ryzach.

— Jak opisać coś, co już nie istnieje, o czym każdy marzy i każdy chce czytać, jeśli brzydzą się i tematem i grupą docelową?

— Sekret tkwi w prostocie. Tak, żeby móc sobie pozwolić na kolejną flaszkę i odłączenie regulatora.

Romek pokiwał głową w zadumie. Niegłupie one, te muzy.

— Zapamiętam to. Co jeszcze wiesz o miłości?

— Wystarczająco wiele, by sobie nią głowy nie zawracać. Przejście na „ t y ” odbyło się bezkonfliktowo.



Rozmowa kwitła, mimo prawie nietkniętej butli.

— Mamy spokój ducha, pozbyliśmy się huśtawki nastrojów, bólów dojrzewania, PeeMeSów, problemów z płodnością i antykoncepcją, nawet przestępczość spadła – odkąd ujarzmiono testosteron... Kilka pokoleń i organizm się przystosował. Umysł jeszcze nie, ale to wina nas samych. Edukacja kuleje, wychowanie leży i kwiczy o pomstę do nieba, tudzież powrót do korzeni. Czas opracować nowy system zbudowany na tolerancji i relatywizmie, miast zamordyzmu i wyznaczników. Dorobek kulturowy – sztuka, książka, film, muzyka – jest niezrozumiały na poziomie innym niż dosłowny. Emocje tam zawarte zdają się być sztuczne, wymuszone, naiwne, wręcz obelżywe. Jak tandetny spektakl teatralny. A tu nie ma żadnej filozofii, żadnego ukrytego sensu, podobnie jak nie było na poprzednim poziomie wrażliwości. Tylko akcja i reakcja.

— Reakcja, niech zgadnę: chemiczna?

— Tak, w pewnym sensie – tak. Nie śmieję się, nie ma śmiać. Zdaje ci się, że lepiej, prawdziwiej czujesz, gdy odstawisz wspomaganie? Bzdura. Twój mózg kaszle, chce funkcjonować starym tempem, lecieć siłą rozpędu, a tylko krztusi się z braku wysokooktanowego paliwa. Inaczej łączysz fakty, inaczej rejestrujesz bodźce, ale doświadczasz bujdy tego samego pokroju, co zawsze. Tylko odchylenie od normy na wykresie sięga w drugą stronę. A prawda jak zwykle leży pośrodku. Na osi zerowej. Prawdą jest nic, zero, liczby nie kłamią. Wszystko inne to gra impulsów elektrycznych na stykach połączeń nerwowych.

— Czy tak myślą wszyscy naukowcy? Dlatego świat popadł w marazm?

— Nie wiem, co myślą inni, ani to moja dziedzina ani hobby. Ale i tak pudło. Gdyby myśleli tak, jak ja – wiedzieliby, że w układzie i różnicach w odbiorze nie ma nic zdrożnego i robiliby swoje, miast lamentować nad trendami. Liczby nie kłamią, kłamią tylko ludzie, za pomocą statystyk i prostych technik manipulacji przekazem. Marazm, lamenty – to tylko biznes. A raczej showbiznes, odpowiedź mediów na światowe zapotrzebowanie. To się po prostu sprzedaje. Wykreowano wizerunek nieszczęśliwego konsumenta, zbyt mądrego, by akceptować rejestrowaną chemicznie nieprawdę i jednocześnie zbyt głupiego, żeby spojrzeć na siebie z jej perspektywy. Podczas gdy tak właśnie jesteśmy skonstruowani, na takich zasadach odbieramy i zapamiętujemy świat. Tak, jak kamera ma swoją rozdzielczość i magnetoptyczną metodę zapisu, tak my mamy wrażliwość i metodę elektrochemiczną. Różnice w odbiorze to tylko różnice w wydajności systemu. Regulator dał wszystkim równe prawa, możliwość nadążenia za resztą stada po nierównym starciu. Cały ten mechanizm służy zaspokajaniu

ludzkich potrzeb. Problem w tym, że człowiek jest zbyt próżny, by przyznać rację faktom, uwierzyć liczbom.

— Może się nie znam, ale musisz kochać to, co robisz. Pogratulować i pozazdrościć.

— Oj, nie wpadaj w wydumaną retorykę. Wciąż inaczej rozumiemy to pojęcie. Niemniej dziękuję, nie narzekam.

— Czy ty w ogóle na coś narzekasz? A alkohol, odtruwanie? W końcu z jakiegoś powodu się odłączyłaś...

— Detox – normalnie – dla sportu, coby zawiasy nie rdzewiały. Winko – ożywia ciało i umysł, dodatkowo potrafi cudnie zakręcić jednym i drugim, jeśli wyłączyć asystę enzymatyczną. Poza tym jest smaczne. Chcesz spróbować? Trochę wystygło.

— Nie, dzięki. Nie mieszam. Wystarczająco mi zamieszałaś – odparł Romek, zmieszany.



Na zewnątrz szalał wiatr. W samochodzie po drugiej stronie ulicy ktoś zacierał ręce z podekscytowania.

— No, po latach chudych wreszcie mamy ładne żniwa. Porządny motyw przewodni, z prawdziwego zdarzenia. Reszta raportów też przyzwoicie wyszła, ale ten to materiał na przebój. Luzik, z pozostałych zrobimy drugoplanowe wątki. Trzeba jeszcze dorwać tę doktorkę i wyjdzie nam piękna dniówka. Jak to się stało, że Doktor Muzy jeszcze nie ma w bazie?

— Nie szukaj na siłę drugiego dna. – Towarzysz podekscytowanego wolał spłycać niż zgłębiać. – Po prostu... nie napatoczyła się.

— Już jest nasza. Może okazać się prawdziwą kopalnią pomysłów. Żyłą złota! Brakuje nam takich.

Lokalny spec od rozrywki nie miał ostatnio nadmiaru powodów do zadowolenia. Szczęśliwym trafem sytuacja miała się ku poprawie.

— A nie mówiłem? Ja to mam nosa. Warto było zainwestować w tego redaktorzynę wielcegównomożnego naczelnego. I w najbardziej zasyfiałym kanale ściekowym można niekiedy znaleźć pierścionek z brylantem. No i ten detox – jak dobrze sprawę rozegrać, potrafi przynieść zaskakująco ciekawe rezultaty. Szkoda, że nie da się tego wywoływać zdalnie. Dopiero by było.

— Jak to dobrze, że nie wszyscy lubią się babrać w gównie. Dopiero by było.

Łysy chudzielec nie słuchał. Rozmarzył się. Jego wspomagany komputerowo mózg pracował na najwyższych obrotach. Zestawiał fakty, setki faktów, symulował ścieżki rozwoju wydarzeń, eliminował czynniki ryzykotwórcze, śledził zmienne, szacował parametry, izolował niewiadome, wyznaczał funkcje, odchylenia, wykresy. Myślał. Tworzył nowy wizerunek konsumenta, tym razem zbuntowanego przeciw... no właśnie, jednej z niewiadomych. Wraz z nową wizją pojawiały się szanse na odświeżenie zjechanych do białości motywów, środków i sposobów zaspokajania masowych potrzeb.

— Wyznacz ludzi, niech szykują dla babki implancik i observera. O, w obsie Jebuta można przeładować baterie. Romuś ostatnimi czasy dużo jeździ. Hę? Coś tak ucichł? Co o tym myślisz?

Koordynator grupy operacyjnej, osobisty ochroniarz skarbu korporacji był jednym z niewielu, którzy w obecności protegowanego mogli robić to na głos.

— O gównie. Myślę, że zły to ptak, co sra we własne gniazdo.

— Taa? Uważasz, że co? Że ktoś się opamięta, przejrzy na oczy? – Mózg zdawał się już przeanalizować i odrzucić tę hipotezę. – Dupa!

— Powiedziałem, co uważam.



— I jak, pomogłam?

— I tak, i nie. Co nie zmienia faktu, że jesteś najlepszą muzą, jaką znam.

— Miło mi. Naprawdę. – Szara przyjęła komplement szczerym uśmiechem. – O czym napiszesz?

— Nie wiem czy w ogóle napiszę. A jeśli już – będzie to coś, co kupi mi flaszkę, gdy następnym razem będę odrdzewiał zawiasy. Dzięki tobie łatwiej przejdzie mi to przez palce.

— Może spróbujesz sił na głębokiej wodzie, skoro wiesz, co i jak?

Romek zastanowił się dłuższą chwilę. Może kiedyś spróbuje. Ale jeszcze nie teraz. Teraz był zwyczajnie wdzięczny.

— Woda, moja droga, to potencjalnie najlepsza rzecz, jaka mnie w życiu czeka. A parę latek jeszcze pożyję. Chciałbym się nią nacieszyć.



— Słyszałeś to? Dobre zdanie. Takie... kończąco – wnioskujące. Coś czuję, że tym razem przebijemy stolicę. Jebut właśnie dorobił się kolejnego zera na tych swoich funduszach. Daj znać komu trzeba.

— Stul pysk – rzucił szybko rozdrażniony postawą niedobrego

ptaka koordynator. – Uwaga, zbiera się. Ekipa, stan gotowości. Zobaczymy, co zrobi – wycedził, obserwując projekcję w holosferze.

— Luzik. Scenariusz idealny. Za parę godzin obudzi się w trawie, tam gdzie upadł, z potwornym bólem głowy po retuszu pamięci, wyczerpanym regulatorem i generalną niemocą. Na kolejne odrdzewianie nieprędko się chyba zdecyduje. Jak to się dzieje, że zawsze mamy na co zgonić?

Mózg wypalił z ironii. Trafił.

— Morda, powiedziałem! Przeszkadzasz. Odwalileś swoją działkę, łaskawie pozwól innym posprzątać. – Szef grupy zgrzytnął zębami. – Ekipa, tym razem ma być bez wpadek. Cofnąć licznik w gruchocie, uzupełnić paliwo, wodę w butelce, sprowokować wymioty, złoma „dokładnie” na miejsce... Fakty, wszystko macie zgrane, trzymać się faktów! Zostawicie ślad i polecą głowy.

— O to to. Krótko trzymać. Z monopolistą nie ma dyskusji. To też wykorzystam.

Paweł Grochowalski *Urodziłem się we Włocławku w czasie Wyścigu pokoju, kiedy Szurkowski (lub Szozda) zdobył koszulkę lidera, tj. 4 maja 1971 roku. Niestety, pomimo takiego patrona, nie osiągnąłem znaczących sukcesów w jeździe na rowerze, ani w żadnej innej dyscyplinie sportowej. Od dziecka zaś pociągała mnie literatura, w tym głównie fantasy i SF. Już jako jedenastolatek przeczytałem Rycerzy Okrągłego Stołu oraz Bajki Robotów. Potem było tylko lepiej.*

Ponieważ nie garnąłem się do rozwoju zawodowego, wybrałem się do Liceum im. Marii Konopnickiej we Włocławku, a następnie na studia historyczne do Wyższej Szkoły Humanistycznej w Bydgoszczy (obecnie Uniwersytet Kazimierza Wielkiego).

Z Fahrenheitem związany jestem od 2000 roku, kiedy to poznałem całą śmietankę społeczności fahrenheitowej jeszcze w sieci, na Srebrnym Globie Eugeniusza Dębskiego. Poza znalezieniem się na Zakużonej Planecie z tekstem pt. Umowa i adnotacją Tomasza Pacyńskiego, że tekst jest zbyt dobry, aby trafić na Zakużoną, moja obecność na Fahrenheicie ograniczała się głównie do czytania innych. Byłem tzw. czytaczem!

Paweł Grochowalski

SERCE NA DŁONI

Podszedł niespodziewanie od tyłu do narzeczonej, objął ją wpół i cicho powiedział: – Witaj, moje słoneczko.

— To ty? – Była zupełnie zaskoczona. – Wystraszyłeś mnie! Chcesz, żebym dostała zawału i umarła przed ślubem, co?

— Oczywiście, że nie – uśmiechnął się. – Za bardzo cię kocham. Nie przeżyłbym takiej straty – dodał słodko.

— Ty kłamco... — uśmiechnęła się delikatnie. Lecz zaraz jej uśmiech zgasł, a w oczach zapaliły się niebezpieczne ogniki.

— Gdzie byłeś? – wybuchła. – Tak długo nie dawałeś znaku

życia. Zaczęłam się już martwić. A teraz pojawiaasz się tak niespodziewanie! – dodała z wyrzutem.

— Wybacz mi, cukiereczku, że cię nie uprzedziłem o wyjeździe. Ale nie mogłem... Byłem... — na moment zawiesił głos – na wyprawie naukowej.

— Taak, na wyprawie naukowej, ha! – prychnęła. – I ja mam w to uwierzyć? Pewnie znowu umówiłeś się z tą lafiryndą z naprzeciwka. Niech jej moja krzywda kością w gardle stanie! – Kiedy mówiła te słowa, jej oczy błyszczały niebezpiecznie. Gdyby wzrok mógł palić, a sąsiadka byłaby pod ręką, zostałyby z niej tylko kupka popiołu.

— Ależ kochanie, nie widziałem jej od ponad miesiąca. A w ogóle, co u niej słyhać? – dorzucił, aby zasugerować, że nie mógł się widzieć z sąsiadką, bo przecież nie wie, co u niej się wydarzyło.

— Ty oszuście! I ja mam ci uwierzyć, tak? W końcu, żeby być dyplomatą, musisz przecież dobrze kłamać. Aha...

— Cukiereczku mój, tyle razy ci mówiłem, że nie jestem dyplomatą tylko naukowcem. A dokładnie etnosocjologiem i antropologiem kulturowym. Żeby być dyplomatą, musiałbym mieć większe plecy i dłuższe zęby oraz bardziej giętki kark. Dobrze wiesz, jak nie lubię kłamstwa i płaszczenia się. Czasami tylko współpracuję z rządem w sprawach dotyczących odmiennych kultur. Niektóre, w porównaniu z nami, są prymitywne. Ale za to często bardzo, ale to bardzo interesujące. – Uśmiechnął się przy ostatniej uwadze...

— No dobrze, opowiedz mi, co tym razem odkryłeś? – Wiedziała, że taki uśmiech narzeczonego oznaczał, że ma dla niej ciekawą opowieść, a może i niespodziankę. W takiej chwili była w stanie wybaczyć mu te jego nagłe zniknięcia.

— Więc tak. Usiądź wygodnie, proszę. Czy przynieść ci coś do picia? – Jego miła zaprzeczyła ruchem głowy. – Nie? – upewnił się jeszcze. – No dobrze. Widzę, że ciekawość cię zżera – mruknął filuternie. – Nie mogę pozwolić, aby zjadła cię do końca, bo kogo bym kochał? – Puścił do niej oczko. Po czym wziął głęboki oddech i zaczął: – Posłuchaj zatem, co odkryłem – zawiesił głos. – Otóż, podczas tej podróży dotarłem do Ameryki i trafiłem tam na ciekawe święto. Obchody dnia świętego Walentego.

— Nie brzmi to ciekawie...

— Ha! Zaraz zmienisz zdanie, jak ci powiem, że inna nazwa tego święta to... — zwiesił głos – Dzień Zakochanych.

— Ooo...

— A tak, czyż nie brzmi to intrygująco? Słuchaj dalej. Prowadziłem badania przez cały dzień. Obserwowałem, jak się zachowują ludzie. Ale nie mogłem dowiedzieć się, o co tak naprawdę chodzi w tym święcie. W końcu postanowiłem po prostu zapytać jakiegoś tubylca. W pierwszej chwili, kiedy go poprosiłem o rozmowę był przerażony. Zwłaszcza jak wyciągnąłem z kieszeni płaszcz uniwersalnego tłumacza. W końcu nie co dzień widuje się obcokrajowców... Ale jakoś przełamałem jego niechęć do współpracy. A było warto. Wyobraź sobie, że w ten dzień zakochani dają sobie prezenty. A tak, prezenty – potwierdził, widząc rosnące zainteresowanie na twarzy swojej wybranki. – Różne takie niespodzianki, których się zazwyczaj spodziewają. I to jest miłe. A czy wiesz, co sobie dają? – zawiesił głos.

Jego narzeczona spojrzała w twarz ukochanego. Mina, którą ujrzała, mówiła tak wiele. To była chwila jego tryumfu. Uwielbiała na niego patrzeć, szczególnie w takich chwilach tryumfu. Wyglądał jednocześnie jak niegrzeczny chłopiec i

zdobywca. Podniecało ją to.

— Otóż mężczyzna, aby pokazać kobiecie, jak ją bardzo kocha, daje jej serce.

— Żartujesz?

— Ależ nie, naprawdę nie! Mówię samą prawdę! – Uśmiechnęła się ciepło. – Człowiek, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że mężczyzna, aby okazać jak bardzo kocha kobietę, daje jej serce na dłoni. Oznacza to, że jego intencje są czyste, i że jest bezbronny wobec miłości. Ten gest znaczy także, że wybranka jest dla niego najważniejsza, najukochańsza, jedyna, że za nią oddałby życie.

— Ależ to romantyczne!!!

— A co? Wiedziałem, że ci się spodoba. Jak rozmawiałem z tym człowiekiem, pomyślałem sobie, że warto byłoby przenieść ten zwyczaj do nas. Taki specjalny dzień w roku, kiedy mężczyzna ofiaruje kobiecie serce i podaje jej na dłoni. No i zapytałem go, czy mógłby mi pomóc. W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co mi chodzi. Musiałem mu to wytłumaczyć. Ale wtedy odmówił współpracy. Byłem niemile zaskoczony. Bo przecież sprawiał takie dobre wrażenie. Ja tu chcę zrobić niespodziankę mojej ukochanej, a on nie chce mi pomóc. Ponieważ nie chciał mi pomóc dobrowolnie, odrobinę go przycisnąłem. Trochę krzyczał, ale w końcu mam prezent dla ciebie. Zobacz – powiedział, wyciągając dłoń, na której spoczywało serce. – To dla ciebie!

Uśmiechnęła się promiennie. Przez chwilę widział jej piękne ostre ząbki, jak powoli i zmysłowo zbliżały się do jego dłoni. Jej nozdrza rozszerzyły się. Po czym wzięła bijące jeszcze serce i włożyła sobie do ust. Usłyszał tylko potężne mlaśnięcie. Zamruczała z zadowoleniem jak spełniona kotka, spojrzała gorąco w jego oczy, a potem słodkim głosem powiedziała: – Ty

wiesz, jak sprawić przyjemność swojej kobiecie. – Po czym spojrzała na narzeczonego piętnaściorciem pięknych oczu pełnych miłości i wdzięczności. I niewinnie zapytała: – A nie masz jeszcze jednego serduszka?

Krzysztof Skolim Urodziłem się w Warszawie. Mieszkam... Kiedy będziecie to czytać, zapewne pod Warszawą.

Należę do pokolenia trzydziestolatków. Czuję się dosyć zajęty, albowiem takie czasy nastały, że pora zorganizować otaczającą mnie rzeczywistość, a to wymaga dużo pracy po godzinach.

Należę do tych nielicznych cudaków, którzy fantastykę pokochali po obowiązkowej szkolnej lekturze Bajek Robotów śp. Stanisława Lema. Najbardziej cenię fantastykę dziejącą się w bardziej lub mniej odległej przyszłości, wypełnioną cudami techniki, kometami, raketami i bohaterami przez samo „h”.

Na Fahrenheita natknąłem się, surfując po sieci w poszukiwaniu lektury. Przebywałem wtedy na robotach w Niemczech i smutek mnie drążył, a nostalgia paliła. I wtedy, nagle, niczym promyk słońca pośród chmurzysk, niczym zimny kompres na oparzenie, z odmętu wyłonił się Fahrenheit. Zostaliśmy kumplami. I to się pogłębiało. Aż wreszcie trafiłem na Forum Fahrenheita, gdzie... Jak każdego, najpierw odesłano mnie do Łowiska.

Marzę o napisaniu potężnej space opery. Materiały i pomysły zbieram od lat, ale ciągle mi brakuje – Kosmos jest wszak nieskończony. Wszystko dlatego, że ostatnio mało takich książek na rynku. A ja tak kocham te komety, te rakiety...

Krzysztof Skolim WIELBŁĄDY ZA ANNĘ

Czasami spoglądam sobie na stojącą pod oknem ogromną agawę przesłaniającą widok na warszawskie filtry i wspominam czasy studiów. Nieskrępowany obieg myśli, pijackie dyskusje po świt, roztrząsanie problemów tego świata, imprezy w najlepszym możliwym towarzystwie. W najgorszym też. Żyło się wtedy intensywnie, bez poczucia czasu, trochę od sesji do sesji, od

imprezy do imprezy. Gdzie te czasy, kiedy nabuzowany wiosną trzymałem stale w kieszeni kurtki szczoteczkę do zębów, bo nigdy nie wiedziałem, gdzie się obudzę? W jakim rejonie miasta wypłuje mnie impreza lub niespodziewany romans?

To se ne vrati.

Mam teraz wszystko, o czym mógłbym zamarzyć. I zapłaciłem za to odpowiednią cenę. Jednemu człowiekowi.

Studiowałem wtedy na kolejnym wydziale. To była bodaj filozofia, bo nie trzeba było dużo wkuwać, jeżeli się miało gadane. Nie korciła mnie dorosłość i codzienny kierat. Przepelnione pokoje akademików, ćwierć posiłku dziennie, codzienna rutyna piwa, sieci i brydża, to była rzeczywistość, którą znałem. I lubiłem. Utrzymywałem się wtedy z groszy, jakie wpadały mi za trenowanie intelektualistów w sztuce samoobrony – krav maga, karate, ju – jutsu i inne metody uszczęśliwiania bliźnich. Byłem w tym niezły. W moich żyłach zamiast krwi płynął testosteron. Nie gorzej szło mi też w innych sprawach. Wiecie, jak to jest. Kobieta, która kocha, od ust sobie odejmie, ale swojego chłopca nakarmi. I jeszcze skoczy do sklepu po kiełbasę, żeby mu sił nie brakło na... Wiecie co. A przez cholerną sieć, jak wiadomo, ludziska spotykają się coraz rzadziej. To były okoliczności w sam raz dla mnie. Miły uśmiech, odrobina ciepła i zrozumienia, spacer we dwoje... Stała do mnie kolejka. A ja nie potrafiłem, czy raczej nie chciałem odmawiać. Co tu dużo gadać, był ze mnie kawał niezłego dupka. Czułem, że to nie może trwać wiecznie, ale chciałem, żeby trwało jak najdłużej. Póki sił wystarczy.

Ale trwało to krócej. Zwróciła moją uwagę na seminarium z metafizyki hinduistycznej. Prowadziła je swobodnie i z pewnością płynącą z głębokiej znajomości tematu. Była piękna. I

stanowczo zbyt młoda na wykładowcę uniwersyteckiego. Zacząłem za nią łązić.

Pewnego zimowego dnia przedarłem się przez rzadkie błotko z brudu, soli i śniegu do obszernego mieszkania w okolicach Krakowskiego Przedmieścia. Odbywała się tam impreza, jedna z tych elitarnych, dla synów i córek bogatych tatusiów. Znacie to, papcio adwokat wynajmuje swojej córce apartament w centrum miasta, ze wszystkimi szykanami, a ona ma tylko studiować. I zawierać właściwe znajomości, które zaprocentują na przyszłość. Byle kogo na takie imprezy nie wpuszczano. Ja dostałem się tam z cwaniakami, którzy wszędzie potrafią się wkręcić „na krzywy ryj”.

Siedziałem w otoczonej kłębamii różnorakiego dymu grupce rozdiskutowanych studentów wykorzystujących okazję do darmowej wyzerki i ogrzania kosteczek w ciepełku burżuazyjnego apartamentu. Przy akompaniamencie brzęku szkła toczył się głośny spór o istotę bytu. Wśród nas siedział trzydziestokilkuletni, kędzierzawy i lekko już szpakowaty gość w marynarce o połatanych łokciach. Na nosie wisiały mu lennonki – trochę krzywo. Nie brał intensywnego udziału w dyskusji.

Miewacie takie uczucie, że widzicie kogoś po raz pierwszy, a jakbyście znali go od dawna? Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, kiwnął tylko ręką w kierunku otwartego na oścież barku i po chwili staliśmy oparci o półki regału, sącząc powoli jakąś mieszankę wybuchową jego autorstwa. Spoglądałem w kąt pokoju na najważniejszą przyczynę mojej wizyty w tym mieszkaniu. Ładną dziewczynę grającą po cichu walce Straussa na stojącym na podeście fortepianie.

- Najpiękniejszą ozdobą kobiety jest jej talent – westchnąłem.
- Gapisz się na nią od początku imprezy – zwrócił mi uwagę i

wyciągnął prawicę. – Jestem Jan. Rama Jan.

Uścisk miał słaby. Po prostu delikatne paluszki, wprawne w klepaniu na klawiaturze. Na wierzchu dłoni miał rozległą bliznę, jak po oparzeniu. I kilka czarnych kropek.

— Andrzej Kulesza, miło mi. – Ach, więc to był ten tajemniczy Ramajan, o którym krążyły plotki wśród studenckiej braci! Mało kto miał go okazję poznać inaczej niż na trudnych wykładach dla wybranych. Lub niecodziennych, kontrowersyjnych happeningach, które czasami urządzał – jak strajk głodowy pod Wydziałem Biologii uniwerku w obronie laboratoryjnych żab i myszek.

— A wracając do tej dziewczyny: może chcesz ją poznać? To moja siostra Anna – rzekł, ciągnąc mnie bezceremonialnie w jej stronę. – Aniu, poznaj mojego nowego starego kumpla... Tego tam...

— Andrzej, miło mi. – Ruszyłem w sukurs i wykonałem numer piąty, czyli buzi w rączkę i płomiennie spojrzenie z dołu. Nie podziałało.

— ...Właśnie. Muszę na chwilę wyskoczyć, wiesz dokąd. Zostawiam ci go tutaj, zrób, co możesz, bardzo cię proszę. Porozmawiajcie sobie, albo coś.

I zniknął. Anna nie wyglądała na zachwyconą. Ja wprost przeciwnie.

— Lubisz knedelki? – zagadnąłem uprzejmie. Jakoś nie było mnie stać na więcej.

Od razu twarz się jej rozjaśniła. Mnie również. Kto jeszcze czyta te stare książki?

— Niespecjalnie – odparła zgodnie z konwencją.
Postanowiłem nie kontynuować.

— Twój brat często tak robi?

— Ostatnio częściej. Ma duże potrzeby. Opieki. Inne też. Może nie będziesz się musiał dowiedzieć, jakie.

Zabrzmiało to co najmniej tajemniczo, a może i groźnie. Jak dla mnie – bomba. Bomba dziewczyna. Wysoka, z grzywą czarnych włosów, kręconych, długich prawie do pasa, spiętych w potężny koński ogon. Oczy czarne, cera lekko śniada, wydatny nos... Kształty... Bogowie!

— Już marzę, żeby się dowiedzieć – odparłem zgodnie z prawdą. Poczulem iskrzenie na stykach. Miałem nadzieję, że nie tylko mnie poraziło.

Wyszliśmy na balkon podziwiać widoki. Właśnie ze stacji Zoo startował nocny sterowiec Warszawa – Berlin. Było na co popatrzeć. Gigantyczne wrzeczono w sieci z laserowych wiązek. Ale ja wolałem podziwiać ten przedziwny prezent od losu, jaki mi się trafił. Anna spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

— Wyglądasz, jakby rozpierała cię ochota.

Taktownie zakrztusiłem się drinkiem. I zmieniłem temat. Doskonale mnie rozszyfrowała, to prawda. Ale czułem, że dziś skończy się tylko na rozmowach.

Rozmawialiśmy do rana. Skakaliśmy z tematu na temat, od filozofii po politykę, od literatury po nocne Polaków rozmowy. Gęba mi się nie zamykała. Anna też trochę opowiadała, ale więcej o swoim bracie Janie, niż o sobie. Ich rodzice zginęli w tajemniczym wypadku w Podbałtyckim Tunelu Ekspresowym. Dlaczego tajemniczym? Cóż, ich matka pracowała dla wielkiej korporacji farmaceutycznej. Koordynowała wprowadzanie na rynek leku, który w krótkim czasie wysłał na tamten świat kilka tysięcy osób. Zaczęła się nagonka medialna i procesy odszkodowawcze, a ona zapewne była niewygodnym świadkiem. Tak czy owak, po śmierci rodziców opiekę nad małoletnią siostrą

przejął świeżo upieczony profesor nanoelektroniki, jej starszy brat, wówczas zaledwie dwudziestodwuletni, Jan. Finansowo wiodło im się co najmniej nieźle. Jan, poza pracą na uczelni, co jakiś czas wykonywał bardzo intratne zlecenia dla różnych firm. Z tych pieniędzy kupił Annie mieszkanie na Filtrowej. Sam postawił sobie dom w Ustanówku pod Warszawą. Zamiast garażu wybudował prywatne laboratorium i kontaktując się przez net z podobnymi sobie niezwykle uzdolnionymi naukowcami, coś tam w tajemnicy majstrował.

— A ty – zapytałem – nic swojego nie kombinujesz?

— Może kiedyś, jak będziesz grzeczny, będziesz mógł się przekonać – odparła z zagadkowym uśmiechem.

Że też musiało mnie trafić dziewczyną, która była bardziej tajemnicza ode mnie!



Jeżeli kobieta ma ochotę na następne spotkanie, zostawia prawdziwy numer telekomu. Taki właśnie otrzymałem od Anny, o czym mogłem się przekonać już kilka dni później. Zaczęliśmy się spotykać nieomalże jak para zakochanych. Czym prędzej pożegnałem pewną interesującą blondynkę, z którą utrzymywałem luźne kontakty od kilku miesięcy. Zrezygnowałem też z rozwijania znajomości z pewną energiczną rudą. Na placu boju pozostała tylko Anna, i moje podbite armie.



Od każdego można się czegoś nauczyć. Co prawda, od większości jedynie tego, że należy uważać na innych. Bo w łeb.

Od Anki uczyłem się sztuki naprawiania świata poprzez uszczęśliwianie jego mieszkańców – pieczenia ze śliwkami, wspólnym muzykowaniem, podlewaniem kwiatów. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby to wszystko umieć? Miałem wiele szacunku dla idei Jana, szczególnie, że niewiele z nich rozumiałem, ale gdzieś głęboko w sercu czułem, że prawdziwy geniusz tkwi w jego siostrze. Nic dziwnego, przecież to w niej byłem zakochany.

Jeżeli Jan był niezwykle uzdolniony technicznie, trochę cyniczny, traktujący ludzi na równi ze swoimi komputerami, ona stanowiła jego odbicie w negatywie. Łagodna, opanowana, roztaczała wokół siebie aurę głębokiego relaksu. Rozmowa z nią uspokajała mój rozedrgany intelekt, wygaszała przeszkadzające emocje. Pozostając w jej towarzystwie, miałem zawsze uczucie „powrotu do domu”. Mój dopracowany, perfekcyjny egoizm wiał w jej świetle. Przyjmując poglądy tej niezwyklej kobiety, czułem się lepszym człowiekiem. Ponieważ największą miłością Anki byli ludzie, zrobiłem co w mojej mocy, żeby się znaleźć na samym początku kolejki.

Czasami, zamiast włóczyć się po mieście, jechaliśmy z Anną do Ustanówka, gdzie w piwnicy domu urzędował Ramajan. Jaskinia szamana. Czarodziejska wieża. A w środku on – genialny naukowiec, tak pogrążony w pracy, że zapominał o jedzeniu, myciu i spaniu. Bardzo był wtedy zajęty. Tamtej wiosny wychudł i zrobił się nerwowy z niewyspania. Wyglądało na to, że tajemnicze eksperymenty z ustanowskiej piwnicy stanowiły część doskonale zorganizowanego procesu naukowego. Szykował się kolejny przełom w technice.

Ramajan czasami przez telekom wyklócał się z agentami jakichś korporacji. Oni chyba chcieli przejąć dokumentację. Po

takich sieciowych scysjach Jan wpadał w głęboką melancholię, zamykał się w swojej sypialni i nawet Anka nie potrafiła przedostać się przez drzwi. Musieli nieźle mu zaleźć za skórę.

Kiedy pojawialiśmy się w Ustanówku, Anna zwykle maszerowała natychmiast do kuchni, żeby mu upichcić coś jadalnego, a ja przysiadalem na pierwszym wolnym sprzęcie, który wyglądał, że się pode mną nie zapadnie i udawałem, że mu pomagam. Obcowanie z tytanem intelektu podbudowywało moje nadmuchane ego. Do czasu.

Pewnego dnia, kiedy Anna zniknęła na piętrze, Jan niespodziewanie przestał miotać się wśród złowrogiej aparatury i podszedł do mnie. Blisko. Nie wyglądał przyjaźnie. A jeszcze się dobrze nie rozsiadłem! Założyłem ręce na plecy, żeby mi nagle nie przeszkodziły, bo zapowiadało się na niezbyt przyjazną wymianę poglądów.

— Mamy do pogadania – powiedział, a głos jego wróżył kłopoty. W oczach miał desperację.

— W czym mogę ci pomóc? – odparłem dyplomatycznie.

— Chodzi mi o ciebie. I Ankę. Myślisz, że nie widzę, jak się do niej przylepiłeś?

— Przylepiłem? Ktoś tu chyba jest zbyt skromny i ukrywa własne zasługi w tej sprawie.

Nie uwierzycie. Wygłosił wtedy przemówienie, z którego wynikało ni mniej, ni więcej, że on, jako starszy brat ma cokolwiek do powiedzenia w kwestii związków swojej młodszej siostry. A ja, cham i osobnik co najmniej podejrzany, do tej pory nie raczyłem się do niego zwrócić z prośbą o pozwolenie. Łaził przy tym od ściany do ściany i obtłukiwał sobie dłonie o kanty. W kąciku ust pojawiła mu się kropelka piany. W jego głosie pobrzmiwała tłumiona wściekłość.

Nie wierzyłem własnym uszom. Przedstawiciel elity intelektualnej i duchowej tego świata zwraca się do mnie językiem ciemnego średniowiecza, albo przynajmniej głębokiej pustyni. Miałem ochotę przekazać mu alfabetem Morse ' a prosto do jego czaszki geniusza, co sędzę o takim dictum, ale powstrzymała mnie myśl o Annie. Zacisnąłem zęby, osłodziłem swój język i zrobiłem, czego ode mnie oczekiwał. U piesków wygląda to tak, że kładą się na plecach i odsłaniają brzuch. I każdy już wie, kto tu jest szefem.

— Zwykle „ proszę ” nie wystarczy. – Usłyszałem w odpowiedzi. – W tradycyjnych kulturach wojownik, który miał zamiar się ożenić, dawał za swoją wybrankę wykupne.

— Czego oczekujesz ode mnie?

— Jeszcze nie wiem. Ale możesz być pewien, że niedługo upomnę się o moje wielbłądy za Annę – wycedził wściekle przez zęby i zniknął za metalowymi drzwiami ze znakiem RADIOAKTYWNOŚĆ.

Kiedy w powrotnej drodze do Warszawy opowiedziałem o tym Annie, nic nie odrzekła. Jednak nie wyglądała na zaskoczoną. Odwróciła twarz w przeciwną stronę i milczała przez całą drogę.

Należę do tego rodzaju głupców, którzy zawsze muszą mieć rację. Nie znoszę też niedomówień, chyba że to ja je pozostawiam. Kiedy zatem nadeszła pora na pożegnalne „ buzi ”, wykrztusiłem: – Psiakrowa, jeżeli twój bratuńcio myśli, że może tak mną pomiatać, że może tak poniżać ciebie, to grubo się myli. Mamy już XXI wiek i nie można...

— Cóż, to wolny kraj – przerwała mi nagle i bezceremonialnie. – Ale musisz zrozumieć, że skoro Jan tak powiedział, to kiedyś na pewno zażąda od ciebie tych wielbłądów za mnie. I na twoim miejscu bym mu je dała. Oczywiście, o ile dalej masz zamiar się

ze mną spotykać. I na tym dzisiaj zakończymy, dobrze?

Moje kontakty z Janem już nigdy nie wyszły poza chłodne zawieszenie broni. Tym trudniej było mi zrozumieć Annę. Nie akceptowałem jej podejrzanego bierności wobec pomysłów brata. Pojmowałem tylko tyle, że geniusz musi być lekko stuknięty, a ona nauczyła się z nim żyć. Obawiałem się, że z tymi wielbłędami naprawdę nie żartował.

Działo się ze mną coś nowego. Nie miałem pewności, ale wyglądało, że to nie ja kontroluję sytuację. Zawsze lubiłem decydować, kiedy coś się ma zacząć i kiedy skończyć. Tym razem, po raz pierwszy, wyznaczono mi rolę drugoplanową. To Anna w rzeczywistości o wszystkim decydowała. Używała przy tym metod delikatnych i dyskretnych, tak aby przypadkiem nie urazić mojego nadto rozdętego „ ja ”. Na spotkaniach wiele rozmawialiśmy. Anna powolutku kierowała nasze kontakty w sferę bardziej intymną. Coraz częściej dyskutowaliśmy o uczuciach, postawach życiowych, odpowiedzialności. Nie zauważyłem, kiedy zacząłem się do niej zwracać „ kochanie ”. Samo jakoś się pojawiło. Aż pewnego wieczoru, po konsumpcji sajgonów przy placu Narutowicza, zaprosiła mnie do swojego apartamentu na Filtrowej.

Wnętrza urządzone były ze smakiem i bynajmniej nie tanio. Naszpikowane urządzeniami zmniejszającymi do minimum koszty eksploatacji – krany termostatyczne, podtynkowe siatki zasilające prądu stałego... Ktoś to dobrze zaplanował. Na regałach przy ścianach stały setki książek, od fantastyki po naukowe opracowania. Ale zauważyłem też mnóstwo filozofii i wydawanych w niskich nakładach pism różnych azjatyckich guru. Były tam Energia wszechświata Dżamina Smrtipratjawamardży, dzieło z pogranicza fizyki Nieskończona

przestrzeń atmana Swamiego Brahmanipunaty, którego nie czytałem oraz, co szczególnie mnie zafrapowało Potęga erotyzmu padmini Asekany Czandrabhawamgamy. O tej pozycji słyszałem już co nieco od zarumienionych z podniecenia koleżanek z fakultetu filozoficznego.

Usiedliśmy z Anną w klubowych fotelach przy herbacianym stolicku. Stykaliśmy się kolanami. Było gorąco. Tak sobie rozmawialiśmy, udając, że nie wiemy, po co tu przyszliśmy.

— Jan z pewnością nieźle zarabia na tych swoich badaniach, skoro mógł ci wypichcić takie lokum.

— O tak.

— Gorąco.

— O tak.

— Zdejmij koszulkę.

— O... Co powiedziałaś?

— Pytałem się, czym ty się zajmujesz, poza wykładami na filozofii?

— A coś szczególnego cię interesuje? Może...?

— Kiedyś mi obiecałaś... Obiecałaś, że opowiesz o swoich badaniach.

Popatrzyła spod oka.

— Naprawdę? – zapytała zalotnie. – A jesteś gotowy na spotkanie z prawdą?

— Obiecałaś! Obiecałaś!

— W porządku, ale potraktuj to jak eksperyment naukowy, dobrze?

— Tak, tak, oczywiście.

Osunęliśmy się prosto na puszysty dywan, jak na zamówienie rozścielony obok herbacianego stolicku. Bez dalszych ceregieli zerwaliśmy z siebie ubrania i zaczęliśmy się pieścić –

gwałtownie, to mało powiedziane. Moje ciało nie przywykło do tygodni oczekiwania na zdobycz, a Anna reagowała w pełni na moją potrzebę. Jedną ręką trzymałem ją za włosy, żeby mi jej usta nie uciekły, drugą gładziłem plecy, pośladki, nogi, łapałem za kostki, piersi. Czułem jej paznokcie wbite w moje łopatki, usta nasze złączyły się w głodnym, łapczywym, długim pocałunku. Nie sprawdzałem, czy jest gotowa, po prostu przy pierwszej okazji wszedłem w nią szybko i poczułem, jak splata nogi na moich pośladkach. Nasze oddechy wymieszały się i tak drgaliśmy w tym naturalnym, doniosłym i jednocześnie komicznym akcie rozkoszy. Schowałem, nakryłem ją całym ciałem, byłem jej domkiem. Czas się zatrzymał, a Anna siedziała na mnie, władczą i boską, z podrygującymi śmiesznie piersiami, później kochaliśmy się jak łyżeczki w eleganckim pudełku, i znowu Anna była na mnie, i poczułem, że odlatuję.

— Oddychaj ze mną! – zawołała nagle, a ja jej posłuchałem.

I wtedy się to wydarzyło.

Ciało Anny stało się rubinowo czerwone, włosy stanęły dęba, skóra napięła się. Cała zaczęła promieniować światłem i poczułem, jak przenika mnie potężne gorąco, które nie parzy, a oczyszcza i sprowadza zdrowie. Zniknął pokój, w którym się kochaliśmy, straciłem świadomość przebywania pod konkretnym adresem, w jakimś mieście i kraju. Wokół nas roztaczała się przestrzeń bez granic i bez centrum, nieskończona, ale przyjazna, potężna, nie groźna.

Nie wiem, jak długo spoczywaliśmy tak złączeni w rozkoszy. Następne, co dostrzegłem, to ogromną, świetlistą kulę pokrytą wielobarwnymi pasami i otoczoną delikatnym pierścieniem pyłu. W dali świeciła potężna gwiazda. Poczułem, jak przez ciało Anny przepływa spazm orgazmu i podążyłem za nią.

I nagle wszystko to rozpuściło się i zniknęło. Znowu byliśmy w jej salonie, na puchatym dywanie. Mokrzy od potu, zziębnięci i gorący. Wtuliłem głowę w jej piersi. Chyba byłem troszkę przestraszony: – Boże, Ania, co to było?

— Hmm... Widzisz, nie tylko Jan prowadzi prace badawcze... Mnie po prostu interesuje inna branża.

— Chcesz powiedzieć...

— Nie, kochany. W ten sposób eksperymentowałam po raz pierwszy. I muszę powiedzieć, że ta forma pracy naukowej jest nie tylko przyjemna, ale też niezwykle skuteczna. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chętnie powtórzyłabym doświadczenie...

— Anka, zlituj się, nie od razu. Źródło, ten, hmm... Eksperyment, który właśnie wykonaliśmy – z jakiej właściwie był dziedziny?

— Nie zauważyłaś, głupek? To przecież oczywiste, że z astronomii!

Czułem się nieco obrażony, że potraktowała mnie jak instrument naukowy i pewnie z tego powodu wolniej kojarzyłem. Znaczący, nie byłem bardzo obrażony, tylko tak trochę.

— A więc to, co widziałem...

— Co widzieliśmy – poprawiła.

— Tak, co widzieliśmy. To była planeta?

— Powinna – odparła zamyślona. – Przypuszczam, że była to Epsilon Eridani. Mam taką nadzieję, gdyż tam właśnie celowałam.

Usiadła i objęła kolana ramionami.

— To było coś, jak myślisz? – uśmiechnęła się do mnie tak, że zamieniłem się w słoik miodu.

— Jak to zrobiliśmy?

— Nie wiem dokładnie, to był mój pierwszy raz. Nie to, co

myślisz, świntuchu. Po raz pierwszy odważyłam się sprawdzić metodę citta-prana – tantry.

Nie ośmieliłem się zapytać, jakiego szyfru przed chwilą użyła, ale też nie musiałem – Anna skwapliwie sama mi wszystko wyjaśniła. A dzięki częstym ćwiczeniom praktycznym, miałem też później szansę cokolwiek zrozumieć na własny rachunek.

Nieoficjalne towarzystwo geniuszy i ludzi wybitnych, w jakim, głównie dzięki połączeniom sieciowym, obracali się Jan i Anna, zajmowało się penetrowaniem przeróżnych kierunków poznania. Właściwie punktem honoru każdego zainteresowanego było posiadanie jakiegoś własnego „konika”. I to możliwie niecodziennego. Od czasu, kiedy do towarzystwa dołączyli Azjaci, na „liście dań” pojawiły się niesamowitości z dalekiego pogranicza „ciężkiej nauki”: badania nad tajemniczą energią „chi” i systemami ćwiczeń chi – kung, tai – chi, masażami shiatsu, akupunktura, akupresura, ale też zagadnienia psychokinezy, teleportacji, a nawet metempsychozy. Ponieważ tajemnicze towarzystwo miało, dzięki swoim oficjalnym osiągnięciom, dostęp nawet do orbitalnego akceleratora Knapffa, wkrótce przekroczyli kilka granic niemożliwości. Tymczasem Anna, bardziej niż fizyką zainteresowana właściwościami umysłu, szybko posuwała się po ścieżkach otwartych przez niezliczone pokolenia joginów. Praca z „energiami umysłu”, jak nazywał je Dżamin Smrtipratjawamardża, otwierała kolejne wrota poznania i możliwości.

Otarłem się już wcześniej o to zagadnienie. Kiedyś wziąłem udział w „seminarium” z arcymistrzem ju – jutsu, siedemdziesięcioletnim Murzynem z Nowego Jorku. Niektórym z nas kazał usiąść w pozycji medytacyjnej, nazywanej mokuso, rozluźnić się, zamknąć oczy i wyobrażać sobie dokładnie to, co

nam kazał. „ Od szczytu głowy po spód ciała przenika was świetlista struna potężnej energii i ciągnie się w nieskończoność w górę i w dół ”, powiedział. Każdy z nas był na nią nanizany jak pojedynczy paciorek. Struna z przepotężnej energii przecinała przestrzeń z nieskończoności w nieskończoność i nic nie było jej w stanie ruszyć. Tak nam kazał to sobie wyobrażać, uzupełniać szczegóły i trzymać relaks. Trwało to może z dziesięć minut. Później polecił otworzyć oczy. Okazało się, że pozostałym tymczasem kazał z całej siły starać się przepchnąć, lub choćby przewrócić każdego z nas z osobna – aczkolwiek potrącania zakazał, tylko jednostajny nacisk. Kiedy otworzyłem oczy, opierał się o mnie jeden z potężniejszych „ byków ” z naszej grupy i sapał z wysiłku. Moje ciało pozostawało stabilne, a on nie mógł nic na to poradzić! Hipnoza? Tak czy owak, czegokolwiek w szczególności miało to dowieść, zapamiętałem ćwiczenie jako przestrożę, że nie wszystkie sprawy tego świata znalazły swoje naukowe wyjaśnienie.

Metoda, którą badała Anna, nie składała się z samych miłosnych zapasów. Właściwie, to eksperyment, w którym miałem okazję mimo woli uczestniczyć, polegał właśnie na użyciu energii erotyzmu w dziedzinie, w której dotychczas świątobliwi mężowie Wschodu uprawiali ścisły celibat. Był to indywidualny wkład Anny w odwieczne tradycje jogiczne. Mój, pośrednio, także. A skoro stałem się współuczestnikiem jej eksperymentów, musiałem także brać udział w wielogodzinnych sesjach ćwiczeń, do połowy zeszłego wieku przekazywanych w ścisłej tajemnicy z nauczyciela na jedynego ucznia.

Tymczasem Ramajan znowu zmienił swoje nastawienie do mnie. O ile wcześniej traktował mnie raczej przyjaźnie, później wrogo, teraz nasze kontakty wyraźnie się ociepliły. Czasami

nawet zauważał moją obecność. Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi. Przecież w żaden sposób go nie obraziłem. To raczej on uraził godność – swojej młodszej siostry – przedstawiając ją jako przedmiot targów pomiędzy samcami. Ale Anna najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu. Za to on nigdy nie zapominał dyskretnie mi przypomnieć, że oczekuje płatności i wkrótce wyznaczy cenę. Nie miałem pomysłu, jak się wyplątać z tej dziwnej sytuacji.

— Andrzej, spróbuj go zrozumieć. Ostatnio dłubią przy jakichś ściśle tajnych projektach, a agenci korporacji nie pozwalają mi puścić bąka w prywatności. Ma prawo być odrobinę zdenerwowany. W ten sposób przekazał ci tylko informację, że potrzebuje twojej pomocy.

— Mojej? A co ja, zwykły szaraczek, o ilorazie średnio zdolnego delfina, mogę zrobić dla takiego tytana intelektu? Zaparzyć herbatę? To robię zawsze, kiedy jesteśmy w Ustanówku.

— Myślę, kochany, że jak nadejdzie właściwy moment, sam ci to powie. A na razie bądź cierpliwy, zgodnie z naukami Pai – hi – woo – skoncentruj się, wdech, wydech, podnieś prawą rękę, podnieś lewą rękę, oczyść komorę nosa...

— Czyli co?

— Wysmarkaj się.

— W palce?

— Hmm... Tutaj nic nie napisali o chusteczkach.

— Anna?

— Hmm?

— Co ty właściwie czytasz? Dawaj, pokaż... *Sztuka erotyczna starożytnych Chin? Aji – ja!*

— Oddawaj! Bo zacznę krzyczeć!

— No, dobrze. To co? Poćwiczmy coś z tej książki? A może tym razem coś z francuskiego repertuaru?

— Andrzej!

Aż w końcu nadszedł taki dzień u progu lata, kiedy wszystkie egzaminy były już zdane lub przełożone na wrzesień i można było zacząć wakacje. Żakowie i żakinie, żuczkwowie, żararaki i żakary wysypały się przez główną bramę uniwersytetu, by nie wrócić przez następne dwa miesiące. Mnie poniosło oczywiście na Filtrową – do Anki. Miałem świetny pomysł – pojedziemy razem. Dokądś. Może do Pragi? Albo nad morze? Wszystko jedno.

Drzwi otworzył mi Jan, szeroko uśmiechnięty. Zacząłem podejrzewać, że coś knuje.

— Witaj, stary. Właż i czuj się.

— Anki nie ma. Jest u mnie. Szykuje coś ekstra.

— Strach się bać. A herbata jest?

— No tak... Chyba jest. Powinna być. Gdzieś w szafce. W pudełku z napisem „herbata”.

— Dzięki, nie musisz się tak trudzić. Zrobię sobie. Podczas kiedy ja przekopywałem się przez kuchenne szafki, Jan rozpoczął podejrzaną nawijkę w popularno – naukowym stylu: – Chłopie, dzięki temu, że ciebie nie było przez ostatnie tygodnie, zrobiliśmy naprawdę duże postępy. Dobrze, że już jesteś wolny, bo się przydasz. Czeka nas neurocybernetyczne programowanie przy wsparciu o chemocytoklostochastyczne styczne...

Nie zapamiętałem dokładnie tego szeregu przestępstw językowych, było ich dużo. Kiedy się już wyprztykał z trudnego słownictwa, przeszedł do meritum.

Rozmawialiśmy parę miesięcy temu o twoim wykupnym za moją siostrę – zagaił spokojnie – Chcę ci teraz powiedzieć, że żałuję swoich ówczesnych słów. Przepraszam cię teraz i tutaj. Nie

powinienem być czegoś takiego nawet sugerować. Moje postępowanie było niewybaczalne, ale nie można go cofnąć.

Przyznam, że zbaraniałem. Na wszelki wypadek jednak zachowałem ostrożność. Ramajan tymczasem nawijał dalej: – Wiem, że zapewne niezbyt mnie lubisz po tym, co się stało. Ale chcę cię teraz prosić, żebyś się zgodził nam jednak pomóc. Od razu ci powiem, że jeżeli się zgodzisz, wystawisz się na pewne ryzyko. Jesteśmy dosyć dobrze przygotowani, zapewniliśmy sobie pełną odwracalność, ale przecież nie można wszystkiego przewidzieć. Jeżeli wyrazisz zgodę, dziś jeszcze, u mnie w Ustanówku przyda się nam twoje serce. Anka już tam czeka. Zgadzasz się?

— No pewnie! – Jeżeli Anka była u niego w domu, to właśnie tam byłem gotów umrzeć. – Jedziemy?

— Dopij herbatę, człowieku.

W taksówce Jan wyłożył kawę na ławę: wymyślił, że to ja we własnej osobie zostanę ofiarą ich eksperymentu. Ciekawe, czego dosypał do herbaty? Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby się nie zgodzić. Moje ogromne ego i tak było mocno napuchnięte świadomością, że koleguję się z jednym z najtęższych mózgow w kraju i kocham się w jego rodzonej siostrze. Teraz dostałem zaproszenie do elitarnego klubu. Na prawach myszki laboratoryjnej co prawda, ale zawsze. Eksperyment miał być trywialny: wytworzone przez zespół Jana Ramy inteligentne cząsteczki, te różne assembly, mikrosubstraty, metablokery, miały podmienić molekuly żywego ciała i przejąć jego funkcje. I żeby było weselej i trudniej na początek miało to być moje, osobiste, ludzkie serce. Kto by się nie zgodził? Tym bardziej, że ciągle miałem w pamięci naszą rozmowę o wielbłądach. Wulkan teraz spał, ale zawsze gotów był znowu wybuchnąć.

— Janie, naprawdę nie mogłeś zacząć od myszek, żab, lub choćby much?

— Nienawidzę eksperymentów na niewinnych zwierzątkach, wiesz o tym dobrze.

— A na niewinnych kolegach?

— To co innego. A poza tym – nachylił się do mnie z szatańskim uśmiechem – tak jest zabawniej. I pamiętaj, że sam się zgodziłeś.

— A miałem wybór?

Wyobraźcie sobie: niewidoczne gołym okiem potworki przenikają wasze ciało, uczą się go dokładniej niż zdoła to uczynić najlepszy biomed. Następnie, czerpiąc energię i budulec z „pożerania” tegoż ciała, zastępują je cząstka po cząstce, komórka po komórce. Po drodze wysyłają sprawozdania do serwera sterującego. A programiczek przetwarza raporty w zgrabne wykresy zrozumiałe nawet dla mnie. Proste? A jakie możliwości się otwierają przed medycyną! Cały log tej podmiany, choćby nie wiem jak wielki, jest zapisem działania danego fragmentu ciała. Wystarczy tylko co jakiś czas aktualizować zapis w cząstkach, które podmieniły ciało i odkryliśmy tajemnicę nieśmiertelności.

— Wiem, czytałem Lema.

— Ale nie czytałeś tam, że nie trzeba wypełniać powietrza bystrami, żeby uzyskać taki efekt. Assembly same pobiorą potrzebne pierwiastki z otoczenia, powielą same siebie i podtrzymają układ. Jednocześnie spenetrują organizm i będą gromadzić i przekazywać do serwera informacje o funkcjonowaniu tkanek. W każdej chwili mogą rozpocząć rozrost i przejmować kolejne części ciała...

— Serdeczne dzięki. Ostatnio brakowało mi pełnej

cyborgizacji!

— Ale tylko na życzenie. Lub wobec zagrożenia zniszczeniem organizmu.

— A jak będę chciał umrzeć?

— To wystarczy, że świadomie, powoli i we właściwym rytmie wydasz komendę, i bezboleśnie rozpadniesz się, rozpułniesz w powietrzu...

— To science fiction? Bezbolesne harakiri?

— Nie, to rzeczywistość. Komendę defaultową ułożyłem specjalnie dla ciebie, jak chcesz, możesz ją zmienić na inną, ale procedura jest dosyć skomplikowana...

Pominąwszy nieistotne przypisy, komenda brzmiała: „Nienawidzę Anki!”.

W ten sposób dowiedziałem się, w jaki sposób geniusze zarabiają pieniądze. Pozostając na pograniczu systemu korporacji, czasem delikatnie je „podskubując”, prowadzą własne prace badawcze, przeskakując od razu kilka etapów, podczas gdy laboratoria koncernów drepczą w miejscu zawałone zleceniami z departamentów marketingu. Na przykład: eksperyment, w którym miałem wziąć udział, stanowił totalną rewolucję w medycynie. Sam log komputerowy z jego przebiegu kosztowałby fortunę. Geniusze, nie mając czasu na żmudne eksperymenty, jako zwieńczenie procesu badawczego podmieniają mi pompę główną, a całą technologię wraz z wynikami tego eksperymentu sprzedadzą później w drobnych cząstkach wartych miliony każda. W ten sam sposób można przecież opracować metodę zakładania bajpasów na serce, przyspieszyć gojenie ran, wreszcie wojsko może zastosować to jako zbroje pod mundury – zrosnięte ze skórą. Wystarczy tylko za miliardy i ciężką pracę tysięcy mniej zdolnych naukowców doszlifować

wyniki prac geniuszy pod konkretne potrzeby.

Podobno i tak każdy atom naszych organizmów w ciągu kilku lat zostaje wymieniony. Jakoś jednak miałem więcej zaufania do naturalnych „głupich” cząsteczek, niż tych wysoce inteligentnych produkcji „Jan and Co.”. Oczywiście, było to nano pierwszej generacji, niezdolne do samodzielnego istnienia. Bez okresowego wsparcia serwera, assembly stopniowo zostałyby wyparte z organizmu przez naniesiony naturalnymi procesami budulec. Tak przynajmniej twierdził Jan. Strasznie dużo twierdził podczas tej jazdy taksówką. I do tego gadał do mnie po niemiecku, żeby taksówkarz nic nie zrozumiał.

Wnętrze piwnicy trochę się zmieniło od mojej ostatniej wizyty. Zniknęła tajemnicza aparatura przywołująca na myśl pracownię alchemika, pojawił się wygodny stół operacyjny. Mnie przypominał katafalk. Znalazło się też miejsce dla paru komputerów, mnóstwa kabli i kilku stert groźnie pomrukującego elektronicznego złomu bez estetycznej obudowy. Gdzieś w tym gąszczu musiała być Anka. Z herbatą i krakersami, na pewno. Na katafalku siedział osobnik rasy mongoloidalnej w eleganckim garniturze.

— Poznaj Poka Gorącą Wodę z Hongkongu, specjalistę od...

— Bardzo mi miło. Nieważne, od czego jest pan specjalistą, i tak nie zrozumiem.

Po krótkiej ceremonii herbaty, obaj panowie dyskretnie się oddalili, a my z Anką zostaliśmy sami.

— Aniu, boję się trochę i nie wiem, czy chcę brać w tym udział. Dlatego teraz muszę ci powiedzieć, że tak naprawdę robię to tylko po to, żeby cię częściej spotykać. Kocham cię. Chyba. Właściwie nie wiem, ale tak mi się wydaje, że to miłość.

— Wiem, kochany.

Podszedłem do niej, objąłem ją i przytuliłem mocno. Nie za mocno. To miała być pieszczota. W gardle miałem bolesną kulę. Dawno się tak nie rozkleiłem.

— Jeżeli miłością jest pozostanie z kimś najdłużej jak się da, to kocham cię Aniu. Jest mnie coraz mniej. Niech Jan bierze sobie moje serce, ono i tak należało do ciebie...

Anka tylko się do mnie uśmiechnęła. Nic nie musiała mówić. Po chwili delikatnie wyswobodziła się z moich objęć i zabrała się za zbieranie filiżanek. A ja poczułem się nowym człowiekiem. Ten poprzedni ja gdzieś się zapodział. Umierał już od dłuższego czasu, ale tym wyznaniem dobiłem go ostatecznie. Nagle zrozumiałem, że tak naprawdę wcale nie musiałem brać udziału w Janowych eksperymentach, żeby kochać Ankę. Ona tego ode mnie nie wymagała. Całą tę scenę pozwoliła zaaranżować, bowiem, być może, nie mogła się zdecydować, który z dwóch mężczyzn w jej życiu jest ważniejszy. Ale – słowo się rzekło. Brat musiał dostać swoje wielbłądy za siostrę. Miałem tylko nadzieję, że moje stare serce nie będzie mi już potrzebne.

— Będę na ciebie czekała na górze.

Rozebrali mnie, przytroczyli do stołu operacyjnego, a pod sufitem, obok lampy podwiesili srebrzysty balon. Jan zaznaczył flamastrem obszar w centrum mojej klatki piersiowej, chyba żeby się nie pomyliło, a do prawego ramienia przytknął iniektor osmotyczny. Pok tymczasem wtopił się w gniazdo komputerowe. Jan występował jako wykonawca, ubrany w biały kitel. Wyglądał jak doktor Frankenstein. Potem zgasło światło.

Kiedy odzyskałem przytomność, Pok toczył telekonferencję po mandaryńsku, a Jan kombinował coś z balonem pod sufitem. Nie widziałem swojego ciała, zasłonięte było chirurgicznym parawanem. Nade mną pochylała się Anka z tym swoim

perfekcyjnym uśmiechem.

— Jan! – zawołałem. – Skoro ona tu jest, coś poszło nie tak, gadaj natychmiast!

— Kochany, spokojnie. To Anka.

— Właśnie kochaniutki, spokojnie, mały zgrzyt, zaraz naprawimy... — odezwał się Jan, nie przerywając gmerania przy balonie.

— Uwolnij mnie, to zobaczysz, czy będziesz miał czym zgrzytać.

— Kochany, naprawdę nic się nie stało. Jan zaraz sobie z tym poradzi, zaufaj mu.

— Uff, uff, ale te pasy mocno trzymają.

Pok zawołał Jana, coś poszeptali, ten przywołał Ankę i tak zaczęli cichą konferencję. Uczestniczyły w niej też jakieś osoby z sieci. Po chwili Anka znowu do mnie podeszła.

— Posłuchaj, trochę się wyjaśniło. Nano znakomicie się zaadaptowało. Zaraz pokażą ci wykresy, sam sprawdzisz. Jest tylko jeden mały problem.

— Problem? – Z jej ust gotów byłem usłyszeć dowolne rzeczy, żeby tylko nie przestawała.

— Powtórka z historii namnażania komórek naskórka. Dzielily się świetnie, tylko w ogóle nie przypominały naskórka.

— A co to ma ze mną wspólnego? Nano nie umie stworzyć naskórka?

— Nie, inaczej. W ogóle nie chce przyjąć formy. – Jan przestał mocować się z balonem i przejął pałeczkę od Anki. – Na prześwietleniu widzimy wszystko normalnie, układ nerwowy, krwionośny... Niby wszystko w porządku, ale z zewnątrz nie wygląda to jak serce i tu jest kłopot.

— Pokaż mi człowieku, zabierz ten parawan. Wyraz

zakłopotania na jego twarzy dał mi do zrozumienia, że to nie wchodzi w rachubę.

— Jakby ci to, Andrzejku, powiedzieć? Z medycznego punktu widzenia... Hmm... Tak, z medycznego. No, więc z tego punktu widzenia ty cały czas jesteś, mówiąc językiem medycznym, otwarty. Ten widok mógłby cię trochę zaszokować... Ale spokojnie, jak widzisz, nic się nie dzieje. Po prostu mały zgrzyt. Na razie musimy zdobyć trochę brakujących informacji.

— Nazywam się Andrzej Kulesza i urodziłem się w...

Znowu zgasło światło.

Obudziłem się w samochodzie. Anka prowadziła. Światła samochodu wycinały z nocnego mroku świetlisty korytarz wypełniony bladą mgiełką kurzu.

— Śniło mi się, że Jan ukradł mi serce.

— To nie był sen, kochany. Wyłączyli cię na ponad tydzień. W końcu dokończyli podmianę, ale musieli rozszerzyć to także na lewe ramię i rękę.

Spojrzałem na swoją lewą dłoń. Jak zwykle, wystawała z mankietu koszuli. Blizna po wypadku na trzykołowym rowerku wyglądała tak samo jak ostatnio. A może jednak była trochę mniejsza?

— Wiesz, Andrzejku, Jan powiedział, że musisz teraz być pod stałą obserwacją. Dlatego najlepiej, jakbyś się przeprowadził do mnie. Za tydzień muszą cię znowu podłączyć do serwera, żeby wykonać testy...

— Zaraz, zaraz, co powiedziałaś? Słyszałem wyraźnie – to było zaproszenie, prawda?

— Tak, kochany, ja też się cieszę – odparła z boskim uśmiechem i brawurowym skrętem wyminęła dwustutonowego traka.

I tak zakończyła się moja sześcioletnia peregrynacja po akademikach, stancjach i waletach. Zamieszkałem z Anną na Filtrowej. W specjalnie przygotowanym pokoju, z szumiącym pudłem komputera pod ścianą. Nie tak to miało wyglądać, co prawda, ale lepszy wróbel w garści. W celach kontrolnych, codziennie musiałem sobie wbijać w lewą rękę igłę przyczepioną do kabla. Nie bolało. Przewód ten znikał gdzieś w pudle komputera. Tyle, jeżeli chodzi o moją wiedzę, co się dalej działo z moim (moim?) ciałem.

Mijały tygodnie, a my, zamiast szlajać się po Kanarach i Balearach, siedzieliśmy dalej w dusznej, usmażonej palącym słońcem Warszawie. Anna z pieczołowitością zawodowej pielęgniarki obkładała mnie codziennie różnymi ence – pence i falografami. Wyniki pomiarów znikwały w tajemniczej maszynie z mojego pokoju.

Jan zacierał przednie łapy, bo wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że eksperyment się udał. W różnych częściach świata odpowiednio przygotowane plotki i zajawki zaczynały trafiać do właściwych uszu należących do odpowiednio nadzianych i władnych person. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby w tym samym czasie Jan nie musiał toczyć ostrych dyskusji z jakimiś smutnymi panami. Zatem jego delikatna psychika geniusza znajdowała się w stanie ciągłego rozszczepienia pomiędzy euforią sukcesu, a depresją spowodowaną ciągłym użeraniem się ze stadem korporacyjnych szakali czyhających na każde potknięcie. A że stałem się, w dosłownym tego słowa znaczeniu, integralną częścią eksperymentu, nie widział powodu, żeby cokolwiek przede mną ukrywać.

— O jedno cię tylko proszę, Andrzej. Musisz mi to obiecać.

— Wal, człowieku, oddałem ci serce, oddałem ci cia – a – ało...
A tobie wciąż mało...

— Andrzej, proszę, ja nie żartuję. Nie mów nic Annie, dobrze?

— Nie ma sprawy. To mogę ci śmiało obiecać. I tak się sama wszystkiego domyśli.

Tak się właśnie stało. Trochę się tym przejęła, kiedy uświadomiła sobie w pełni zagrożenie. Wyszło jej to chyba lepiej niż mnie. W związku z tym, oczywiście tylko tymczasowo, przeprowadziła się na noc do mojego pokoju. I tak już zostało. Oczywiście, tymczasowo. A kilka dni później, wczesnym przedpołudniem, odwiedziła nas tajemnicza kobieta.

Anna zajęta była produkcją szarlotki, czy może roladki, a ja przekopywałem się przez jej bibliotekę. System alarmowy nie zareagował, nie usłyszałem też żadnego odgłosu otwierania drzwi, a w salonie nagle pojawiła się ona. Niska, drobna, o bladej, prawie sinej cerze, szarych oczach i czarnych włosach. Nie jestem pewien, ale mogła mieć delikatny czarny meszek pod nosem. Ubrana w inteligentną kamizelkę, ostatni krzyk mody wśród komputerowej braci, szorty koloru khaki i męskie sandały, siedziała w moim (moim!) fotelu. I zapalała papierosa staromodną zapalniczką gazową. To właśnie trzask kamienia zwrócił moją uwagę.

— Co pani tu robi? Jak pani tu weszła?

— Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw? – odpowiedziała pytaniem na pytanie i poderwała się sprężyście. – Stanecka. Major Stanecka. Szef ochrony kompanii „ Zetta Corpax ”, filia w Warszawie.

Wyciągnęła prawicę. Nie pozostało mi nic innego, jak odpowiedzieć. Uścisk miała silny, stanowczy. Powiedziałbym, męski. Miała dłonie szorstkie jak skóra rekina. Ale i tak była

piękna. A może właśnie dlatego... W drzwiach salonu, za plecami pani major stanęła Anna, w kuchennym fartuchu. Co za farsa!

— Dobrze, że pani już przyszła – odezwała się Stanecka, patrząc cały czas na mnie. – Właśnie miałam zapytać, czy coś państwu wiadomo o aktualnym miejscu pobytu pana profesora Jana Ramy?

— Proszę tu nie palić – odezwała się łagodnie Anna. – A co do mojego brata, to proszę zostawić swój zamiar. Jak nas odwiedzi, na pewno się z wami skontaktuje.

— Ach, więc mam zaszczyt z nie mniej sławną siostrą Jana? Słodziutki z ciebie kociaczek – wycedziła pani major, odwróciła się i podeszła do Anny. – Nie bój się mnie. To tylko praca każe mi być taką niedobrą. Przecież znasz się na tym, prawda? Neurolingwistyczne programowanie, prana – hipnoza i inne takie sztuczki...

Wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała Annę po policzku.

— No, dobrze. Skoro nie możecie mi pomóc, będę się zbierać. Nie musicie mnie odprowadzać do drzwi, znam drogę. Do zobaczenia.

I zniknęła. A my do wieczora nie mieliśmy apetytu na żadne szarlotki, ani roladki. A później przyszedł Jan. I kiedy wysłuchał naszej opowieści, miał tylko jedno pytanie: – Czy ona ciebie dotykała?

— No... w pewnym sensie tak. Podaliśmy sobie ręce...

— Właśnie. Tak naprawdę, to ty jej podałeś. Dobrze, to znaczy źle. Nie muszę chyba wam tłumaczyć, że miała w głębokim poważaniu, gdzie ja się aktualnie znajdowałem? Ona przyszła tu po próbki waszych tkanek. Sama mówiłaś – zwrócił się do Anny – że miała szorstkie ręce. Zdrapała trochę naskórka i poszła sobie. Nic im on nie powie ponad to, co i tak już podejrzewają. I bardzo

dobrze się stało.

— Jak to? – zawołałem. – Przecież ona może wyniosła dowody, że wam się udał ten eksperyment...

— To już przestałeś odróżniać prawą rękę od lewej? Jak rozmawialiśmy wcześniej, ekspansja nano na resztę organizmu jeszcze nie nastąpiła. A ty którą rękę masz zmodyfikowaną?

Nie odpowiedziałem. Bo nie chciało mi się.

Nie chciałem o tym dyskutować z Anną. Od pewnego czasu, gdzieś pośród pustki śródczaszkowej, obijała mi się pewna obawa. Wiem, że to mało romantyczne, a może i trochę nie fair, ale zacząłem nieśmiało myśleć, że zapłaciłem trochę zbyt wysoką cenę. W końcu zostałem na stałe przywiązany do szumiącego, opakowanego w plastik bardzo szybkiego idioty. Ten cybernetyczny kretyn w każdej chwili mógł przestać działać – przynajmniej teoretycznie. Teoretycznie mogło zabraknąć prądu, mógł zawiesić się mu system operacyjny, mogła wybuchnąć wojna, głód, epidemia, zamieszki... I jakoś mało mnie to obchodziło. W ogóle miałem wrażenie, że sprawy otaczającego mnie świata coraz mniej mnie obchodzą. Obojętna stała się dla mnie pogoda na równi z sytuacją polityczną. Z drugiej strony, czasami doświadczałem, krótkich co prawda, chwil błyskawicznej kalkulacji. Przejrzany dwa dni wcześniej bez zainteresowania podręcznik do podstaw teorii fizyki subkwantowej w jednej chwili stawał się zrozumiały. Nie miałem pomysłu, czy ta zmiana stanowi efekt jogicznych ćwiczeń uprawianych do spółki z Anną, czy, na przykład, wymiany części molekuł mojego ciała na superbystre nano? Wprowadzamy, czasem w najlepszej wierze, zmiany do naszego zewnętrznego i wewnętrznego świata, ale nie jesteśmy w stanie przewidzieć wszystkich skutków naszego działania. Zatem może rzeczywiście

te wirtualne cząsteczki zdolne były dokonać zmian również w moim umyśle?

Siadałem na balkonie pod staroświeckim parasolem i obojętnie czytałem kolejne pozycje z Aninej biblioteczki. A Anna? Jak zwykle naprawiała rzeczywistość i udawała, że nie widzi mojego zaniepokojenia.

Tymczasem Jan zaczął znikać. A to poleciał do Władystoku w jakiejś ściśle tajnej misji, a to go aresztowali agenci korporacji i maglowali przez dwa tygodnie. Nic na to nie mogliśmy poradzić. Kiedy wracał, siadał w kącie kuchni, popijał herbatę i zakąsał szarlotką. Zdawkowo relacjonował swoje przygody i stąd wiemy dzisiaj, że musieli go mocno naciskać. I tak lato przeszło w jesień, a ta w późną jesień. Pewnego dnia Ramajan pojawił się – brudny i rozczochrany, w podartej marynarce, ale podniecony jak psiak przed spacerem. Zwałił się w kuchni na taboret, a ja przystąpiłem do parzenia herbaty. Anny nie było, poszła do ginekologa.

— Co ci się stało? – zapytałem z głupia frant. – Doigrałeś się?

— Jakbyś zgadł. Dopadli Poka Gorącą Wodę. Nie mam z nim kontaktu już od tygodnia.

— Pozwól, że zapytam. – Uważnie spłukałem wrzątkiem czajniczek, teraz dosłownie parę listków herbaty i można zalewać. – Czy ma to jakiś związek z... tym, co zrobiliście ze mną?

Jan jakby oklapł.

— Widzisz... — zagał – w pewien sposób ma. „Zetta Corpax”, ci, co produkują protezy, twierdzą, że w rzeczywistości wykradliśmy im tę technologię w fazie tuż przed wdrożeniem. Nie będę ci tłumaczył, że to niemożliwe. Ani nie zdołalibyśmy czegokolwiek im ukraść, ani nie ma szans, aby oni zdążyli wyjść w swoich badaniach poza stadium przedwstępne...

— Czyli co? Blefują, żeby was załatwić przed sądem?

— Jakim tam sądem. Kogo to obchodzi? Tu się gra toczy całkowicie poza prawem, za wysokie podatki trzeba płacić państwu, żeby się bawić w legalne rozliczenia. Po prostu chcą nas postawić w złym świetle przed konkurencją, żebyśmy nie mieli wyboru i im sprzedali całość, zamiast dywersyfikować technologię i sprzedawać wszystkim. Walczą o monopol. I to ostro. Poka pewnie już nie zobaczymy, no, może jako warzywko. Wypatroszą go ze wszystkiego, o ile się nie zabije.

— Boże, Jan, co ty opowiadasz? Jak to – zabije się?

— Słuchaj, nie mam czasu, muszę lecieć, zanim wróci Anna. Nie mów jej, że byłem. Upychamy teraz całą dokumentację do naszego superserwera, niewykrywalnego dla nich, bo w rzeczywistości nie istnieje... A zresztą, nie mam czasu ci o nim opowiadać. Najważniejsze: wkrótce zniknę. Czytaj „Herbaciarsza Warszawskiego”, stronę z ogłoszeniami. Kiedy pojawi się tam propozycja sprzedaży zgniłego Earl Greya, wal na dworzec kolejowy i zrób tak...

Przekazał mi całą instrukcję, a ja, o dziwo, zapamiętałem. Teraz myślę, że miało to coś wspólnego z tą moją zmodyfikowaną ręką i sercem. Ćwiczenia medytacyjne uprawiane do spółki z Anną uczyły między innymi sztuki autorefleksji – teraz się przydawała. Zmiany, które wcześniej tylko podejrzewałem, zachodziły coraz szybciej. Jakby moje emocje stawały się coraz słabsze na rzecz rozwijającego się intelektu. Ale czego można oczekiwać po robocim sercu? Coraz łatwiej zapamiętywałem, coraz szybciej kojarzyłem i kalkulowałem. Za to intuicja, przeczucia, czy choćby poniedziałkowa chandra – stopniowo odchodziły w przeszłość. Ale był ktoś, kto w moim umyśle stale jaśniał tak samo wyraziście i mocno – Anna.

Kiedy powtórzyłem słowo w słowo wszystkie polecenia, Jan uśmiechnął się i powiedział: – Jeszcze raz chcę cię przeprosić za to, co ciebie spotkało z mojej strony. Ale – co by nie mówić – jeżeli spełnisz wszystko, o co cię dzisiaj poprosiłem, będziemy mogli uznać, że jesteśmy kwita. Nie będę żądał więcej wielbłądów za Annę.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

A Jan podniósł się, pożegnał i – zniknął z naszego życia.

Upłynęło prawie półtora roku. Wyprowadziłem się z serwerowni do sypialni Anny. Tyle mojego. Na efekty nie trzeba było długo czekać. W każdym razie nie dłużej niż dziewięć miesięcy. Mamy bobo.

Agenci „ Zetta Corpax ” kilka razy brali mnie i Annę na przesłuchania. Ale nie próbowali już zdejmować z nas próbek. Zresztą, mogli to robić tak, żebym się nie zorientował. W każdym razie, wydawało mi się, że dali nam spokój. Może z wyjątkiem tej ciemnej furgonetki, która z upodobaniem parkuje pod naszymi oknami... Ale skoro sobie tylko w niej siedzą, nie będziemy się tym przejmować za nich.

Zaprenumerowałem „ Herbaciarza Warszawskiego ”, nawet ciekawe piśmko, o ile ktoś życzy sobie spędzać życie na picciu tego szlachetnego napoju. Do naszych ćwiczeń i erotycznych wypraw do innych galaktyk (o tak, pod kierunkiem Anny zdołaliśmy przedłużyć wizję nawet do kilku minut i dotarliśmy do Andromedy) dodaliśmy też eksperymenty z herbatą. Żeby się gazetka nie zmarnowała.

Aż pewnego dnia w dziale ogłoszeń pojawił się anons o zniknięciu Earlu. Co było robić? Wsiadłem w gablotę i pojechałem na dworzec. W biurze przechowalni na wyrecytowane hasło i po sprawdzeniu ID wydano mi klucz kodowy do największej szafki.

Miała wielkość niedużego pokoju. Stały w niej dwie walizki, jedno pudło z szumiącym w środku serwerem i instrukcją podłączania oraz wielka, ogromna donica, a w niej nie mniejsza agawa amerykańska – ta, która teraz stoi w naszym gabinecie i zasłania widok z okna. Żeby to wszystko przewieźć, potrzebowałem wynająć taksówkę bagażową.

Zainstalowałem cały ten kram zgodnie z instrukcjami i wróciłem do życia z Anną. A ona nie zadawała mi żadnych pytań. I dobrze, bo dzięki temu nie musiałem odpowiadać.

Dziś myślę, że nasze dziecko w jakiś sposób mnie uratowało. Bardzo się obawiałem chwili, kiedy położę się z Anną do łóżka i – nic. I nie chodzi przecież o słabość ciała, z którą każdy kiedyś będzie się musiał zetknąć i pogodzić, lecz o chorobę ducha. Coraz mniej odczuwałem, a coraz więcej myślałem. Życie wydawało się szare, jak zimowe niebo po południu. Emocje, jak ucza jogini, są energią życia. To one nas napędzają do działania. Chociaż ich źródłem jest kalkulacja, to przecież nie logiczna i racjonalna, a raczej jej przeciwieństwo – błędy w ocenie, pomyłka w postrzeganiu rzeczywistości, ale też intuicja i miłość. I z tej paradoksalnej mieszanki powstają uczucia, które trzymają nas przy życiu. Czynią je wartym życia. Co miałbym zrobić ze sobą, gdybym nie mógł być ojcem, a jedynie – Gott im Himmel! – autorem? Jednak dziecko też rodzi – uczucia, których zabić zapewne nie sposób: bezwarunkową miłość, z której pojawia się niepowstrzymana wola życia i doświadczania. To tak silna radość, że aż boli.

Nie mogę się nacieszyć naszym małym synkiem. Mareczek ma już trzy lata, ale bystry jest niczym sześciolatek. Niesamowicie szybko wszystko kojarzy. Nigdy nie choruje, jakby miał иммунитет. Czyżby miało to coś wspólnego z eksperymentami

Ramajana?

Wczoraj mały zawołał mnie do gabinetu, gdzie lubi się bawić – towarzystwo agawy bardzo mu odpowiada. Twierdzi, że opowiada mu bajki.

— Tata, zobacz! Agawa zakwitła!

Nigdy nie zwracałem większej uwagi na rośliny – jakoś mnie nie pociągały. Nie mam pojęcia, czy agawa w ogóle kwitnie. Ale ta nasza, w gabinecie, owszem. Małemu to nie przeszkadzało, w jego czasach takie rzeczy wyszły już z użytku, więc nie mógł tego rozpoznać. Nasza roślina zakwitła w trochę niecodzienny sposób, trzeba powiedzieć. Kto pamięta, jak wygląda gniazdo sieciowe standardu RJ – 45? Zapraszam do nas, wystaje z płatków pojedynczego, błękitnego, kwiatu.

Razem z synem zbudowaliśmy wokół agawy coś w rodzaju ramy, a na donicy wykaligrafowaliśmy wielkimi kulfonami imię JAN. To Marek tak chciał. To był jego pomysł.

I tak czasami stajemy sobie z Anną pod oknem w gabinecie i kontemplujemy. Zakupiłem już niezbędny sprzęt, więc nie ma technicznych przeszkód. Musimy się tylko zdecydować – podłączyć kabel do kwiatka? Nie ma pośpiechu. Dopóki to jest agawa, nie zniknie. A ja tak sobie perfidnie myślę, że jeżeli już mu się to znudziło, to niech jeszcze trochę poczeka – na złość. Za to, że nas tak wymanewrował, że z własnej siostry i jej mężczyzny uczynił obiekty doświadczalne, że naraził ją na poważne ryzyko, które przecież nie mija. Niech czeka. Nam się nie spieszy. Zdążymy.

Karolina Majcher Urodzona 12 maja 1986, zodiakalny Byk – znak leniuchów i wygodnickich. Co do lenienia się, lubię w spokoju czytać książki, co do wygodnictwa – najlepiej na wygodnej kanapce. Interesuję się wszystkim: począwszy od teatru, poprzez nurkowanie, fantastykę, jazdę konną, zahaczając o narty i taniec, w związku z czym zbyt wiele lenistwa nie jest mi dane. Zadebiutowałam w internetowym wydawnictwie Fahrenheit (nr 57) króciutkim opowiadaniem Dziewczynka w różowym pokoju. Następnym było Prima aprilis, które ukazało się w kolejnym numerze Fahrenheita. Fantastyczna miłość jest pierwszym opowiadaniem, które zostało wydane na papierze.

Karolina Majcher FANTASTYCZNA MIŁOŚĆ

Właściwie dzień zaczął się nijako, szara plucha za oknem okryła miasto senną zasłoną i za nic nie chciało się wstawać. Ranek był zimny i wyjątkowo mokry.

Ren bezładnym machnięciem ręki strącił z szafki dzwoniący budzik i przewrócił się na drugi bok.

— To już dziesiąta. Dziesiąta wybiła. Dziesiąta – przemówił słodkim głosem automat, który Ren zainstalował kilka tygodni temu, na wypadek gdyby pewnego ranka budzik, odziedziczony jeszcze po pradziadku, okazał się nieskuteczny. Jak na razie antyk działał bez zarzutu, na zielonkawym wyświetlaczu pojawiały się nawet informacje pogodowe, dokładna data oraz faza księżyca, ale Ren nie dowierzał starym technologiom. Nowiutki automat, spory, acz gustownie zdobiony, był niezawodny, w dodatku odporny na wszelkie awarie, stłuczenia i próby ingerencji z zewnątrz.

Budzik mógł służyć po prostu jako ozdoba. Teraz Ren przeklinał swój ambitny pomysł, tym bardziej, że była właśnie niedziela, a niedzielne ranki zwykły trwać co najmniej do godziny dwunastej.

Odkąd pamiętał, ostatni dzień tygodnia był dla niego świętem odpoczynku, leżenia do góry brzuchem i rozkosznego leniuchowania.

Przez pierwsze piętnaście lat życia matka niezmordowanie próbowała przestawić jego weekendowy zegar biologiczny przynajmniej na ósmą rano, ale wszelkie wysiłki spełzały na niczym. Ren dorobił sobie do drzwi pokoju elegancką choć staroświecką zasuwkę i za nic miał krzyki, łomoty i przekleństwa, którymi co niedziela raczyła go matka rodzicielka. Odpoczynek to odpoczynek. Musi trwać.

Jednak automat, w przeciwieństwie do rodzicielki, miał nerwy ze stali.

— Dziesiąta. Wybiła godzina dziesiąta. Dziesiąta. Czas wstawać. Dziesiąta – powtarzał, niezrażony ani ciśniętym w jego stronę kapciem, ani nieświeżą skarpetą.

Nie przejął się także rzucanymi w niego przekleństwami i błaganiami, a gdy minął czas ustalonej „ drzemki ”, nie patyczkując się uruchomił opcję „ pobudki natychmiastowej ” i z natrysku, który Ren wcześniej własnoręcznie zainstalował, puścił silny strumień lodowatej wody.

Trzeba było przyznać, że miał niezłego cela.

Mokry, przemarznięty i zły jak wszyscy diabli Ren musiał w końcu dać za wygraną. Odrzucił przemoczoną kołdrę i powłókł się do łazienki, po drodze złośliwie klepiąc automat w tytanową obudowę. Ten odmrugnął mu wesoło zielonym światłem. Ren zniecierpliwionym ruchem zapalił lampy w łazience i przetaił

oczy.

I właśnie wtedy mu się przypomniało.

Na półeczce pod lustrem, elegancko owinięte w przezroczyste opakowanie leżały dwie różowe tabletki.

Wstrzymał oddech. Więc dzisiaj... jest dzisiaj?

Ren poczuł się jakby gdzieś w głębi jego klatki piersiowej skuliło się maleńkie zwierzątko, przerażone i roztrzęsione. Zignorował to jednak i uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze.

Więc dzisiaj jest dzisiaj. Cóż.

To był taki zwyczaj, przyjęty powszechnie i cieszący się poklaskiem większości środowisk – począwszy od artystów i studentów, poprzez pracowników banków, kończąc na zwyczajnych robotnikach fabrycznych. Po trzydziestce nie wypadało być kawalerem, więc rząd do spółki z naukowcami upowszechnił program „Właśnie dla ciebie”, wcześniej dostępny jedynie dla finansowych elit. Śmieszny, prospołeczny projekt.

Początkowo wszystko zostało po staremu, na skorzystanie z „Wszystko dla ciebie” decydowali się jedynie desperaci i znudzone życiem leniuchy. Ale powoli, niezauważalnie świat zaczął się zmieniać. Najpierw pojawiła się ta upiorna moda, kiedy wszyscy nowobogacy bądź chcący utrzymać się na szczycie towarzyskiej drabiny zaczęli z programu korzystać. Tuż za nimi, wiernie dotrzymując kroku, ruszyła reszta społeczeństwa, niektórzy z desperacji, inni po prostu z ciekawości. Zwyczajne pragnienie „zakosztowania stabilizacji” bardzo szybko przekształciło się w owczy pęd ku nowoczesności i ułatwieniom. Tym bardziej, że program do wybitnie skomplikowanych nie należał. Chętny dzwonił pod odpowiedni numer, rejestrował się, zostawiał swoje podstawowe dane.

Później sprawa toczyła się szybko i zupełnie od niego niezależnie – wizyty w pracy, rozmowy z szefostwem, z rodziną, znajomymi. Testy medyczne i psychologiczne. Obsługa zawsze była łagodna i miła, wychodząca naprzeciw pragnieniom klientów. Cała ta zabawa wydawała się stokroć przyjemniejsza i bardziej komfortowa niż osobiste starania o drugą osobę, najeżone licznymi niebezpieczeństwami, o których prezentację zręcznie dbała prężna kampania reklamowa. Małżeństwo „naturalne” było ryzykowne, staromodne i niepopularne.

Po kilku tygodniach od zgłoszenia pogodny mężczyzna wręczał zainteresowanemu podłużną paczuszkę, w której pod warstwami przezroczystej folii leżały schowane dwie różowe tabletki.

Tabletki.

Idealne połączenie chemii z najnowszą techniką, maluteńkie, suwerenne nanoboty, mające rozgościć się w organizmie biorcy i zręcznie zorganizować mu miłość, o której bez ich pomocy mógł zaledwie pomarzyć. Wystarczyło tylko trzymać za rękę osobę, która w tym samym czasie łyka pigułkę od pary, a resztę pastylki załatwiały same.

Mała rewolucja w systemie hormonów oraz feromonów i świat nagle nabiera nowego sensu. Kwiatki, płatki i stokrotki, wielka miłość, a potem happy end.

Problem tkwił w tym, że Ren nie bardzo wierzył w happy endy. Nie ufał im. Jednak wolny strzelec w wieku trzydziestu pięciu lat to okazja do drwin i plotek, szyderstwa na co drugim przyjęciu i stosy zdjęć przyjaciół otoczonych różowymi berbeciami, przysyłane co dzień przez matkę. To brak zaufania szefa i ciche śmiechy w pracy za plecami. Niepokojąca cisza w temacie awansu, trwająca od ponad trzech lat. Krótko mówiąc,

ciężko być outsiderem. A Ren nigdy nie miał ani takiego zacięcia, ani przekonań wystarczająco mocnych, by walczyć z otaczającymi go ideologiami. Zwłaszcza takimi, które były uprawiane powszechnie.

Może właśnie dlatego, bezwolnie poddając się naciskowi najbliższego otoczenia, długo stał przed lustrem, dobierając najodpowiedniejszy krawat do garnituru, układając niesforne włosy i obficie skrapiając się najlepszą ze swoich wód kolońskich. Gdzieś w głębi jednak śmiał się z siebie i wytykał palcem, a jakiś okrutny głosik podpowiadał mu, że nawet gdyby nie mył się przez tydzień i przyszedł w najgorszych łachach, jakie udałoby mu się wygrzebać z szafy, nie miałoby to znaczenia. Różowe pigułki potrafiły załatwić wszystko.

Godzinę później, po lekkim, niezobowiązującym śniadaniu, wyszedł na ulicę, osłaniając się przed deszczem eleganckim parasolem, starannie omijając kałuże i za wszelką cenę próbując się odprężyć. Była jedenasta.

Zanim dotarł na miejsce, minęło pół godziny, ale on nie poczuł się ani odrobinę lepiej.

Kiedy wszedł do kawiarni „Ergo”, dziewczyny jeszcze nie było, a przynajmniej tak mu się wydawało. Stolik czterdzieści osiem, zarezerwowany specjalnie dla nich, świecił pustkami. Nie było w tym nic przesadnie dziwnego, do godziny zero pozostało jeszcze dwadzieścia pięć minut. Dwadzieścia pięć minut, w czasie których może wydarzyć się wszystko. Człowiek może cofnąć się i wyjść, zapominając, że kiedykolwiek przekroczył próg kawiarni, że kiedykolwiek ścisnął w dłoni pomięty pakuneczek z różowymi tabletkami. Bawić się udawaniem pomyłki, podać fałszywe nazwisko i potem obserwować, jak nieznajoma dziewczyna siada do stolika z miną niepewną i strachliwą albo lepiej butną i

dumną. Może patrzeć, jak uśmiech powoli schodzi z jej warg, gdy patrzy z nadzieją na każdego nowo przybyłego i każdy z nich okazuje się być nie tym, na kogo czeka. Da się to wszystko zrobić w dwadzieścia pięć minut, tylko po to, by potem pękać ze śmiechu z zaufanymi kumplami. Albo zwyczajnie o sprawie zapomnieć.

Ren podał swoje nazwisko i usiadł przy stoliku numer czterdzieści osiem. Drżały mu dłonie.

Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, jaka ona może być, czy będzie wysoka i szczupła, czy może lekko zaokrąglona, kobieca i kusząca.

Do kawiarni weszła wysoka brunetka w czerwonej sukience, piękność o posągowych rysach anioła z obrazów dawnych mistrzów. Ren zapatrzył się w nią, mając nadzieję, że to właśnie ta, na którą czekał. Często w marzeniach pojawiała się przy nim właśnie taka kobieta, o gęstych, lśniących włosach, talii osy i biuście, który powalał na kolana męską część świata. Brunetka szła, delikatnie kołysząc biodrami i zupełnie nie zwracając uwagi na mężczyznę przy stoliku numer czterdzieści osiem. Kiedy go minęła, Ren uśmiechnął się lekko do siebie. Bawiło go trochę ukłucie żalu, które poczuł na myśl, że to (jednak) nie była właśnie ona.

Jednak minęło równie szybko jak przyszło, zastąpione przez nerwowy ucisk w żołądku i drżenie dłoni. Cóż z tego, że piękna? Czarnowłosa była zupełnie obca. I nie z jego świata. Do stolika zbliżył się uśmiechnięty kelner, więc Ren zamówił kawę i ciastko, choć nie do końca był pewien, czy cokolwiek zdoła przełknąć. Przez cały czas jakiś podstępny, acz pełen zadowolenia głosik śpiewał mu do ucha, że ta właściwa nie przyjdzie.

Ale dziewczyna w końcu się zjawiała. W momencie, kiedy

przekroczyła próg restauracji, był gotów dać sobie rękę uciąć, że to właśnie ona. I rzeczywiście. Rozejrzała się płochliwie po sali, popatrzyła na Rena przez moment, w końcu schyliła głowę i ruszyła prosto do stolika, przy którym siedział.

Mówiąc szczerze, nie była kobietą jego marzeń. Drobna, niepozorna szatynka o ruchach nerwowych i niepewnych, ubrana w skromny, beżowy żakiecik. Ren chwycił kubek z kawą przyniesioną w międzyczasie przez usłużnego kelnera i pociągnął potężny łyk, a potem się skrzywił. Kawa była kwaśna i niesmaczna.

Dziewczyna stanęła tuż przy nim i Ren poczuł zapach dyskretnych kwiatowych perfum. Wyciągnęła szczupłą dłoń.

— Alicja.

Głos miała cichy i drżący, ale całkiem przyjemny dla ucha. Powoli, z ociąganiem uniósł jej rękę ku ustom i złożył na niej przelotny pocałunek. Kobieta wzdrygnęła się.

— Ren – uśmiechnął się z udaną swobodą.

Usiadła, przewieszając torebkę przez oparcie krzesła i zakładając nogę na nogę. Obserwował każdy jej ruch, zupełnie jakby chciał nauczyć się jej na pamięć. W duchu skarcił siebie za takie myślenie. I tak ją pozna, nauczy się jej, zapamięta tak mocno, że nawet pod powiekami będzie miał wyryty obraz Alicji. Nie ma zbyt wielkiego wyboru. Chociaż... Tabletki w kieszeni ciążyły, jakby były zrobione z ołowiu.

Alicja skinęła na kelnera.

— Chcesz kawy? – zreflektował się. – Nie radzę, jest naprawdę okropna. Kwaśna.

— Zaryzykuję.

Z bliska wyglądała całkiem sympatycznie, miała wielkie brązowe oczy i ładny wykrój ust. Jednak na nosie brzydko

odbijały się od zbyt jasnej cery ciemne punkciki piegów, nieforemnych i brzydkich. Zamiast, jak to się często zdarza, dodawać właścicielce uroku, niwelowały go niemal zupełnie. Okryte warstwą pudru wyglądały nieładnie i dziwacznie. Ren przypomniał sobie inną twarz, twarz której piegi były wielkim atutem, śliczną, drobną i słodką. Kochaną.

Zorientował się, że Alicja się w niego wpatruje, zmieszana i zakłopotana, że nad stołem, niczym cuchnąca zawieszina, gęstnieje niezręczne milczenie. Wbił łyżeczkę w ciastko i podniósł je do ust. Zupełnie nie czuł smaku.

— Masz? – spytała cicho.

Przez chwilę korciło go, by powiedzieć, że zapomniał albo zgubił, ale ona wpatrywała się w niego z napięciem i myśl odpłynęła równie szybko, jak się pojawiła.

— Mam – odpowiedział, czując się trochę jak dzieciak z filmu o ćpunach. – A tobie nie przysłali?

— Mnie nie, jestem kobietą.

Spojrzał na nią pytająco. Uśmiechnęła się lekko, jakoś tak nieśmiało i z zakłopotaniem.

— Kobietom nie przysyłają – tłumaczyła, jakby popełnił jakieś faux pas. — Tylko mężczyznom. Jako tym odpowiedzialnym. Głowom rodziny.

Ren niemal się zachnął. Głowom rodziny! Dobrze sobie. Znów poczuł się, jakby brał udział w jakiejś farsie, w przedstawieniu, którego treść nie do końca pojmuje. „Głowom rodziny”. To zabrzmiało strasznie... patriarchalnie. I smutno.

Alicja uśmiechnęła się lekko. Miała naprawdę wielkie oczy.

— To jak? – ponagliła go. – Nie ma chyba na co czekać, wszystko wiemy. Oboje się tu zjawiliśmy, więc...

Urwała i westchnęła cicho. Ren powolnym ruchem wyciągnął

opakowanie z pigułkami z kieszeni i z namaszczeniem położył je na stole. Alicja wpiła w nie wzrok, na poły z zainteresowaniem, na poły z niechęcią.

— Są nieładne. Takie zwyczajne. Myślałam, że będą trochę bardziej... — znów urwała i przez chwilę przyglądała się Renowi.
— Weźmy je.

Odpakował tabletki, choć znów cały się trząsał. Położył jedną na talerzyku przed dziewczyną, drugą na spodeczku od filiżanki. To wszystko było takie... ubogie.

— Jak mam na ciebie mówić? — spytał nagle. — Ala? Bo Alicja jakoś tak długo.

— Może być Ala. Zresztą, jak chcesz. Połknijmy je już.

Nagle zrobiło mu się gorąco. Czuł dławienie w gardle, myśli pędziły jak szalone. Więc to po prostu tak się załatwia? Mała pigułka i człowiek zmienia się w kogoś zupełnie innego, w zupełnie nieznanego, nieznanomego, który kocha obcą kobietę, który przecież... nie jest Renem. Mężczyzna wzdrygnął się.

— Słuchaj... Alu. — Przez sekundę zastanawiał się, jak to wyrazić. I czy na pewno chce to mówić.

Ale potem przypomniał sobie wyraźnie wszystko, co do tej pory przeżył. Przed oczyma stanęły mu twarze kobiet, z którymi kiedyś się spotykał, ich oczy, usta, usłyszał ich śmiech. To jakaś komedia, pomyślał. Wplątałem się w cholerne gówno.

Spojrzał na tabletki. Wyglądały jakoś tak brzydko i ordynarnie. Niemal obsceniczne, jakby w nich kumulowała się cała nienaturalność i ubóstwo sytuacji. Renowi przyszło na myśl, że to wszystko trochę przypomina spotkanie z prostytutką. Niepełna, szybka, upodlająca miłość i gorycz w ustach. Tabletki były niczym... przepustka. Jak pieniądze? Przekupstwo? Zrobiło mu się niedobrze.

— Ja nie mogę.

Nie rozumiała, wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma.

— Nie mogę – powtórzył.

— Ren...

— Ja nic o tobie nie wiem, nie wiem nawet, ile masz lat, gdzie mieszkasz, co robisz. Czy podobają ci się róże czerwone czy białe. Czy w ogóle lubisz róże? Może wolisz tulipany...

— Ren...

— Nie znam twoich przyjaciół, nigdy nie słyszałem, jak śpiewasz... Nie widziałem ciebie wzruszonej ani złej. Nie tańczyłem z tobą, nie przytulałem cię, gdy płakałaś...

— Ren...

— Nie znam cię. Jesteś dla mnie obca. Jesteś dla mnie...

— Ren.

Otrząsnął się, wziął głęboki wdech, przeczesał palcami włosy.

— Przepraszam.

— Ren. Ja też ciebie nie znam. Zupełnie.

Milczeli przez moment, trochę zawstydzeni, trochę źli. Kelner przyniósł zamówioną przez Alicję kawę, ale dziewczyna nawet na nią nie spojrzała. Jedną ręką miętoszyła nerwowo rąbek serwetki położonej na obrusie.

— Słuchaj, ja wiem, że to okropne. Że to wszystko wygląda jak jakaś parodia bajki o królewnie i księciu – odezwała się w końcu. – Ale ja cię wcale nie prosiłam, żebyś tu przychodził. Zadzwońeś do firmy sam, świadomie, myślałam, że dokonałeś już wyboru. Jeśli nie chcesz, możemy po prostu wstać od stołu, rozejść się i wymazać to zdarzenie z pamięci. Nic nas tu nie trzyma.

Roześmiał się głośno, gorzko. Alicja zacisnęła rękę na serwetce, jakby to nagle ją zabolalo. Próbował złowić jej wzrok,

ale umykała mu, odwracała głowę. Oczy miała rozbiegane i dziwnie błyszczące.

— Naprawdę nic? Nic, Alicjo?

Nie odpowiedziała, zacisnęła usta i wbiła wzrok w obrus. Wyglądała jakoś tak żałośnie i nieszczęśliwie. Zrobiło mu się jej trochę żal.

— Namówili mnie do tego znajomi – powiedział w końcu, po chwili ciszy, która ciążyła im obojgu niczym kamień. Alicja uśmiechnęła się smutno.

Znajomi. Znow miał ochotę się roześmiać, ale wiedział, jak zareagowałaby na to dziewczyna. Była taka krucha i niepewna siebie. I nieładna.

Brzydula i nieudacznik, pomyślał.

Nieudacznik. Często go tak nazywali. Nie, nie wprost, któżby śmiał. Ale szeptami za plecami, uśmiezki, pojawiały się niemal wszędzie – w pracy, wśród znajomych, nawet wśród sąsiadów.

Dzieciatych, szczęśliwych, rodzinnych sąsiadów. Wszędzie małe brzdące bawiące się bez troski w piaskownicy i szczęśliwe mamusie. I tatusiowie, których brzuch powiększał się wraz z upływem lat. Weseli, jowialni. Bardzo obcy.

Sporo czasu minęło, zanim Ren zorientował się, że tak właściwie niemal zupełnie przestał być zapraszany na imprezy i towarzyskie spotkania. Nie pasował. Nie potrafił mówić o pieluchach, kaszkach i mleku. Nie słuchał co rano wiadomości, w których uśmiechnięta pani podawała radosnym głosem, jak bardzo w ciągu ostatnich lat wzrósł przyrost naturalny, a zmalała liczba pozwów rozwodowych. Nie potrafił znaleźć wspólnego tematu do rozmów z ludźmi, których jeszcze jakiś czas temu nazywał przyjaciółmi. A oni nie potrafili zrozumieć jego. Uśmiechali się dziwnie, półgębkiem, a potem zwyczajnie

przestawali go zapraszać. Ren z człowieka szanowanego i lubianego stał się pariasem, kimś, kto nie jest godzien dostąpić łaski obcowania z ludźmi rodzinnie spełnionymi.

Nie klócił się. Przyjmował wszystko z pokorą. Ale pokora bolała coraz bardziej, była niczym zadra albo choroba, nienaturalna, niewygodna. I przeraźliwie smutna.

Alicja wpatrywała się w niego wielkimi oczyma. Jej wzrok był uważny i, jak na gust Rena, rejestrował zbyt wiele szczegółów.

Potrząsnęła lekko głową, odrzucając z czoła niesforny kosmyk.

— Mnie wydelegowali z pracy. Dali ultimatum, rodzina i stanowisko albo fora ze dwora. Bywa – próbowała się roześmiać, ale zamilkła skrępowana. Jej śmiech brzmiał nienaturalnie, drażnił uszy niczym fałszywa nuta.

Spojrzał na nią uważniej. Ta jej nerwowość, zabawna pospieszność ruchów wynikała z czegoś więcej niż tylko z wrodzonej nieśmiałości. Alicja wyglądała niczym zastraszone dziecko, jej oczy niemo błagały go, by zgodził się z nią zostać, by połknął tabletki, by mogła ten cały koszmar mieć już za sobą.

A jednocześnie, gdzieś jeszcze głębiej, Ren dostrzegł błysk, twardy, zimny, okrutnie świadomy. W jej źrenicach znalazł odbicie tego, co sam czuł – potężną, chaotyczną falę, która odbierała radość uśmiechom i żywość oczom.

Pogarda.

Gorzka, brutalna pogarda dla siebie samej. I dla mężczyzny, który siedział naprzeciwko niej.

Boże, jacyż my jesteśmy śmieszni, pomyślał. Żałośni niczym para szczeniaków na pierwszej randce. Niczym beznadziejne przedstawienie prowincjonalnego teatryku.

Zrobiło mu się żal, choć nie wiedział czy bardziej żałuje Alicji, czy siebie.

Dotknął delikatnie jej dłoni. Spojrzała na niego zaskoczona.

— Mam trzydzieści pięć lat – odezwał się cicho. – Pracuję w firmie ubezpieczeniowej. Lubię hot dogi i wieczory spędzane w kinie. Czasem, gdy najdzie mnie ochota, wybieram się z kolegami z pracy na karaoke, pobawić się trochę i pośmiać. Mój ulubiony kolor to zielony. Ciemnozielony. Nie lubię samochodów i nie jeżdżę nimi. Znam francuski i włoski, niemieckiego nie znoszę. Lubię gotować. Nie wiem czy inni lubią, jak ja gotuję.

Nieznacznie cofnęła rękę, tak by ich dłonie pozostały w bezpiecznej odległości od siebie i upiła łyk kawy. Skrzywiła się, bo kawa była naprawdę kwaśna i już zaczynała stygnąć.

— Mam trzydzieści trzy lata – zaczęła. Roześmiała się trochę nerwowo, ale kontynuowała: – Pracuję w banku. Lubię swoją pracę. Mam niewielu znajomych, często chodzę do kina zupełnie sama. Robię świetną pomidorową. I ogórkową. Moja młodsza siostra studiuje chemię na Harvardzie, a brat biotechnologię. Ciągnie mnie trochę do palenia, choć staram się rzucić. Kiedy byłam mała, koleżanka wybiła mi ząb i teraz mam wstawiony sztuczny. Ale zupełnie tego nie widać.

Patrzyli przez chwilę na siebie w milczeniu.

— Czuję się potwornie głupio – odezwała się w końcu Alicja. – Potwornie, przepotwornie. Jakbym pisała notatkę do gazety. Straszne.

— W końcu mniej więcej to właśnie zrobiliśmy.

Roześmieli się, tym razem oboje. Zrobiło się jakoś swobodniej i przyjemniej, nie unikali swojego wzroku i nie starali się tak bardzo pilnować. Nawet ciastko odzyskało swój smak i konsumowali je zgodnie, sprawiedliwie się nim dzieląc. Tylko kawa nadal była kwaśna i niedobra.

— Co teraz będzie? – zapytała Alicja pomiędzy jednym kęsem a

drugim. Jadła powoli i elegancko. – Będziemy uciekać czy zostajemy?

— Nie wiem, Alu.

— Lubisz filmy Bergmana?

— Nie znam Bergmana.

— A Herzoga?

— Nie wiem. Nie widziałem. Lubię Bonda.

Uśmiechnęła się.

— To nie reżyser.

— Wiem.

Ren znów poczuł się trochę jak we śnie albo w teatralnej farsie. Wszystko wydawało się na poły nierealne.

— Dlaczego to robisz, Alu?

— Dlaczego pytasz? Jestem ciekawa. Po prostu.

— Nie. To. Pigułki, małżeństwo i tak dalej.

— Mówiłam ci. Firma.

— Tylko?

Odłożyła łyżeczkę i spojrzała na niego ostro, jak przystało na zniecierpliwioną urzędniczkę z bankowego okienka.

— Czego ty chcesz? Żebym ci się wypowiadała z całego dotychczasowego życia? Próbuję nawiązać rozmowę, znaleźć powód, dla którego oboje jeszcze tu siedzimy. Ty jak struty, ja nerwowa. Mam ci się zacząć spowiadać? Zrobić małą autobiografię? Opowiedzieć ci historię mojego życia?

— W sumie tak – odpowiedział chłodno. – W końcu resztę tego życia mamy spędzić razem. W błogim szczęściu i weselu.

— Błogie szczęście i wesele? Więc niech tak będzie! – Chwyciła swoją tabletkę i potrząsnęła nią przed oczyma Rena. – Weźmiesz to i zapomnisz, co było. Zakochasz się i mało cię obejdzie, co robiłam kiedyś. Piękne lekarstwo na smutne życie! Po cholere

rozgrzebywać i wspominać, po cholere siedzieć nad kwaśną kawą i biadolić? Nie chcesz mnie? Proszę, droga wolna. Chcesz? To siedź i łykaj, a nie smęć, jak jakiś filozof z Koziej Wólki.

— Decydujesz się na to? Naprawdę nie przeszkadza ci to, że zakochasz się w zupełnie obcym człowieku? Może ja jestem mordercą? Albo zwykłem w nocy sikać z balkonu na rabatkę pelargonii, a w dodatku ukrywam w domu już dwie żony i gromadkę smrodliwych bachorów? A może jestem pedałem i mam kochanka?

Niedojedzone ciastko zgmiotła w dłoni. Przez chwilę myślał, że ciśnie mu je w twarz, ale uspokoiła się i odłożyła je na talerzyk.

Zupełnie niespodziewanie uśmiechnęła się i z powrotem usiadła przy stoliku.

Gdy spojrzał na jej uśmiech, wzdłuż kręgosłupa przeszedł mu dreszcz. Nie przypominała już cichej, zahukanej dziewczyny, jaką była jeszcze przed chwilą. Wykluła się z niej całkiem nowa osoba, inna, gwałtowna, silna, odważna. Ta prawdziwa? Czy udawana?

— Nie obchodzi mnie to – powiedziała głosem słodkim jak miód. Gdzieś na dnie, niczym burza, wibrowała wściekłość, zimna i wyrachowana. Straszna. – Nie obchodzi zupełnie. Dla mnie możesz być szachem perskim. Możesz mieć fioła na punkcie begonii i być zoofilem. Zupełnie mnie to nie obchodzi.

Ren odchylił się nieco na krześle, nie spuszczając z niej oczu.

— Ja mam po prostu dość – kontynuowała Alicja. – Po prostu. Mam dość bycia tą gorszą, nie znoszę, gdy się mną pomiata. Uważasz, cwaniaku, że wiesz, co to znaczy mieć ciężkie życie? Jak się człowiek czuje, gdy nie jest akceptowany przez środowisko? Gównu wiesz, tyle ci powiem.

Nie odrywała od niego wzroku, jasnego i zimnego niczym lód.

— Bezdzienna kobieta w moim wieku nie ma życia. Nie ma znajomych, koleżanek. Szef patrzy mi na ręce, jakbym była złodziejką. Bo tak naprawdę jestem złodziejką: złodziejką marzeń i ichniej ideologii, rysą na doskonałym obrazie społeczeństwa. Profanką. Rozwalam ten idealny porządek, wiesz? Rozpierdalam w drzazgi. Nawet moje nazwisko nieładnie wygląda na liście mieszkańców bloku, bo przed imieniem mam napisane „ panna ”. Czyli ułomna. Samotna, utrzymująca się z własnej pracy. Niemająca dzieci i, co gorsza, niezamierzająca ich mieć. Śmieć. Wyrzutek. Ktoś, komu można napluć na płaszcz, gdy przechodzi, cel dla rzucanych z balkonów balonów napełnionych wodą. Osoba, której można porysować gwoździem nowy samochód. I do której uśmiechamy się codziennie, mijając na spacerze. A za plecami? Kurwa. Suka. Nie ma dzieci. Ułomna. Dziwisz się? Dziwisz? A jak ty teraz na mnie patrzysz? Jak na idiotkę. Zahukaną, bierną, nieśmiałą. Myślisz, że taka jestem naprawdę? Że taka byłam?

Teraz już nie powstrzymywała łez, płynęły wąskim strumyczkiem po jej strasznej, pozbawionej wyrazu twarzy. Nie marszczyła się ani nie próbowała ich wytrzeć, po prostu siedziała i wpatrywała się w Rena oczyma, które ze słowa na słowo stawały się coraz bardziej puste.

— Ja taka nie byłam, Ren. Nigdy. Miałam swoje marzenia i swoje cele, do których konsekwentnie dążyłam, z mniejszym lub większym skutkiem. A teraz? Jestem nikim. Tylko dlatego, że nie mam męża. Nie podążam tą samą ścieżką co wszyscy. Kobieta, która nie ma dziecka, to wyrzutek, to istota, która nie spełniła swojego powołania, jest w jakimś stopniu niepełna. Niepełnosprawna społecznie. W dupie mam takie społeczeństwo! Ja chciałam czego innego, chciałam żyć, odkrywać, śmiać się. A

potem może kiedyś, może rodzina... Nie wiem. Ale teraz już nic nie chcę. Szukam tylko spokoju, Ren. Odrobiny spokoju i ulgi. Ja już po prostu nie chcę być wyśmiewana. Zabawne, prawda? Idealistka, która chciała iść własną ścieżką, wybrać drogę kariery, potyka się o takie głupstwo. O ludzki śmiech. Ludzki śmiech jest straszny. Wszyscy się śmieją. Dzieci się śmieją. Ty się śmiejesz. I ja tego właśnie mam dosyć, rozumiesz? Rozumiesz? Nie chce mi się. Już mi się nie chce walczyć. Już nie. Już nie.

Mówiła tak zabawnie, urywanie, jakby próbowała wyrzucić z siebie wszystko naraz i coś w niej się blokowało. Przez chwilę przypominała Renowi automat, który obudził go rano, miała podobny głos i podobnie powtarzała wyrazy. „ Dziesiąta. Dziesiąta wybiła. Dziesiąta ”. Dziesiąta. Kiedy to było?

Ren podniósł ręce i przycisnął do skroni. Miał wrażenie, że całe czoło pulsuje mu rytmicznie bólem, który narodził się nie wiadomo kiedy i zaatakował, podstępnie i skrycie. Alicja wpatrywała się w niego pustymi oczyma, ale nie oczekiwała odpowiedzi. To dobrze. Nie potrafił jej odpowiedzieć. Myślał o swoim własnym życiu, szarym, gorzkim, samotnym. O ludziach, którzy na ulicy udawali, że go nie znają. O liście, podrzuconym niegdyś do skrzynki na listy, w którym ktoś pokrótce określał, co myśli o „ starych kawalerach ”. O pracy, monotonii i poczuciu wyobcowania.

Poniosła się z krzesła i oparła obie dłonie na stole. Nachyliła się nad Renem nisko, bardzo nisko, tak że kosmyki włosów, które wysunęły się ze starannej fryzury, niemal dotykały jego twarzy.

— Dlaczego się nie śmiejesz? – spytała, a w jej głosie, przed chwilą jeszcze pustym i pozbawionym emocji, narastała fala uczuć, których zdefiniować nie potrafił. Ale bał się ich. Cholernie się bał. – Dlaczego się, kurwa, nie śmiejesz?

Patrzyła na niego tak intensywnie, że aż ścierpła mu skóra na karku.

— Śmieję się. Śmieję!

Głos drżał jej i wibrował, wchodził w nienaturalne, krzykliwe tonacje.

— Śmieję się, kurwa!

Nie wytrzymał. Podniósł się, chwycił dziewczynę za ręce i przyciągnął do siebie. Zmiękła niczym szmaciana lalka, oparła się na jego ramieniu i zaczęła płakać, długim, niepowstrzymywanym płaczem.

Renowi przez głowę przebiegła myśl, żeby ją odsunąć, w końcu miał na sobie najlepszą marynarkę, szkoda jej było pobrudzić. Napiął mięśnie. A zaraz potem poczuł się jak szmata. Jak ostatni drań, idiota i sukinsyn. Jakby całkowicie zasłużył na przedstawienie, które przed chwilą mu urządziła.

— Przepraszam – wyjąkał tylko cicho, nawet nie będąc pewnym, czy Alicja go słyszy.

Długo stali, zanim dziewczyna się uspokoiła i usiedli do stolika. Niektórzy goście restauracji spoglądali na nich dziwnie, ale nikt się nie odezwał, nikt nie podszedł.

Ren spojrział na Alicję, na jej zapuchniętą od płaczu, nieładną twarz. Starła się ukryć ją za włosami, które specjalnie rozpuściła. Pochylała głowę i znów wyglądała nieporadnie i nieśmiało.

— Przepraszam – powtórzył, tak na wszelki wypadek.

Kiwnęła głową.

— Ja też.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

A potem Ren podniósł talerzyk z leżącą na nim pastylką i podał Alicji. Wahala się tylko przez chwilę, nim go wzięła.

Chwycili się za ręce, delikatnie, niepewnie.
Tabletki zapili niesmaczną, kwaśną kawą.

Marta Kisiel Urodzona w 1982 roku we Wrocławiu pod znakiem Wagi, polonista z wykształcenia i zamiłowania, czyli niewiele ze mnie pożytku. Szczęśliwa ciocia czterech kotów, zakochana w romantyzmie i twórczości Juliusza Słowackiego, który wielkim poetą bez wątpienia był.

Z zapalem godnym lepszej sprawy kolekcjonuję aniołki, owieczki i książki, książki, nade wszystko lubię książki, a w międzyczasie udaję, że zajmuję się czymś konstruktywnym. Występuję przede wszystkim w środowisku domowym i biblioteczno—czytelnianym, uwielbiam słowo „tytulatura”, puzzle i herbatę z sokiem malinowym.

Do Fahrenheita trafiłam przypadkiem i już się od niego nie odczepiłam. Nie wiedzieć kiedy i za jakie grzechy zostałam aktywnym członkiem ekipy – cokolwiek miałyby to oznaczać. Być może uwierzyłam w zjawiska nadprzyrodzone, gdybym się o jakieś potknęła, co wcale nie zmienia faktu, że fantastykę czytam namiętnie, a nawet i pisuję. Ot, żelazna konsekwencja...

Marta Kisiel DOŻYWOCIE

W szystko było nie tak.

Siła wyższa, bez uprawnień kierująca światem, postanowiła udowodnić, że dysponuje niekończącymi się pokładami czystej, małej złośliwości. Najpierw w cudowny sposób rozmnożyła bagaże, zaopatrując ich właściciela w ubrania na dowolną porę roku i okazję, łącznie z balem debutantów i kolejną powodzią stulecia. Tak na wszelki wypadek. Nie zapomniała też o zestawie naczyń stołowych, karbidówce, środkach higieny mniej lub bardziej osobistej, dmuchanym materacu i wielu, naprawdę wielu absolutnie niezbędnych rzeczach. Bez wątpienia siła była

kobietą, i to nad wyraz zaradną.

Rozochocona pierwszym sukcesem, w jakiś sposób unieruchomiła na amen blokadę skrzyni biegów w tico. Dopiero wezwany na pomoc syn sąsiada zdołał przerzucić dźwignię ze wstecznego na luz, a w tym czasie etui z okularami przeciwsłonecznymi, nieodzownymi w upalny, sierpniowy poranek, zawędrowało pod siedzenie kierowcy. Korek na trasie wylotowej z miasta, którą w końcu ruszył załadowany aż po dach samochodzik, także był zasługą siły, podobnie jak atrakcje uprzyjemniające dalszą jazdę. Ot, kilka kontroli radarowych, peletony półgłuchych rowerzystów i bezstresowo hodowane, hasające po szosie krowy. I wreszcie we wczesnych godzinach popołudniowych, na pustej, leśnej drodze siła zebrała się w sobie i popsuka coś. Nieważne co, ważne, że skutecznie. Tico jęknęło, stęknęło i umarło.

Cedząc pod elegancko przystrzyżonym wąsem równie eleganckie przekleństwa, Konrad włączył awaryjne i wygrzebał się z enklawy wolnej przestrzeni między kierownicą, oparciem fotela i wszechobecnymi bagażami. Znał się na samochodowych bebechach gorzej niż kura na pieprzu. Nie zajrzał nawet pod maskę, tylko od razu przepchnął tico na pobocze. Komórkę mógł spokojnie wyłączyć albo zakopać w malinowym chruśniaku, bo na tym odludziu zasięgu, rzecz jasna, nie było.

Rozejrzał się z rezygnacją. Ani żywej duszy. Wedle znaku, który stał przy drodze, do celu zostały mu jeszcze marne dwa kilometry. Mapa, jedna z tych niemożliwych do złożenia, twierdziła, że najbliższa miejscowość znajduje się o szerokość kciuka na północny wschód. Nic to Konradowi nie mówiło, bo o kartografii miał pojęcie równie słabe co o mechanice, ale musiał podjąć jakąś decyzję. Wydobył więc plecak spod sterty

pakunków, zamknął samochód i ruszył przed siebie, gotów przejść zabójczą odległość na własnych, osobistych nogach.

W zaistniałych okolicznościach kontemplacja krajobrazu wydawała się jedyną w miarę rozsądną, energooszczędną rozrywką. Na lewo – las. Na prawo – też las, liściasty, sądząc po liściach. Pośrodku – rozgrzany asfalt, piąty żywioł współczesnego świata. Wreszcie coś znajomego i przyjaznego cywilizowanemu człowiekowi. A Konrad był wszak rdzennym mieszczuchem, wychowanym w kulturze betonu, plastiku i ruchomych schodów.

Zwykle obcował z przyrodą za pośrednictwem kanałów Animal Planet i National Geographic. Mógł godzinami rozprawiać o zwyczajach godowych surykatek albo jeziorach kraterowych, ale jedynym gatunkiem drzewa, który rozpoznawał, była wierzba, a za naturalne środowisko podgrzybków uważał słoiczek. Miał za to komórkę z aparatem fotograficznym, odtwarzacz mp3, laptopa i elektryczną szczoteczkę do zębów, czyli wszystko, czego potrzebował prawdziwy mężczyzna w prawdziwej dzicy.

Po półgodzinie marszu dotarł do rozstajów. Rozmiękła szosa skręcała szerokim łukiem w lewo, z prawej zaś zaczynała się piaszczysta ścieżka przez las. Spomiędzy zarastających rów chaszczki sterczało coś na kształt drogowskazu. Po napisie zostało już tylko wyblakłe na słońcu wspomnienie, lecz poniżej jakaś litościwa ręka wydłubała strzałkę w prawo.

Spocony wędrowiec westchnął zatem i zniknął w cieniu nieznanych drzew. Piasek i kamyczki natychmiast przylepiły mu się do usmarowanych asfaltem podeszew.



Wszystko było nie tak, a nawet gorzej. Gdyby ktokolwiek mógł usłyszeć chichot siły wyższej, uznałby z pewnością, że jest to chichot nad wyraz złośliwy.

Na końcu ścieżki, między drzewami stał dom. Ceglany, ani za duży, ani za mały, ot, w sam raz dla jednej rodziny, z werandą, przybudówką i... wieżyczką. Upiorną, gotycką wieżyczką rodem z kiepskich filmów grozy. Siła wyższa triumfowała, a Konrad usiłował wyjść z osłupienia. Bezskutecznie.

— Panie! – ryknęło mu naraz do ucha.

Aż podskoczył, jakby go kto dźgnął w pośladek rozpalonym do czerwoności sztydłem.

— No, bo już myślałem, żeś pan udaru dostał czy coś. Upał na dupa, co nie?

Dziki stado wątpliwości zatargało duszą Konrada. Uśmiechający się do niego z wielką życzliwością mężczyzna wyglądał jak pełnotłusta parodia miss mokrego podkoszulka.

— Turysta, co? – pokręcił głową. – Że też się ludziom w taki upał drałować chce...

— Nie, nie turysta, samochód mi się zepsuł – wyjaśnił pospiesznie Konrad. – Przepraszam bardzo – sięgnął do kieszonki na piersi – czy to coś... znaczy, ten dom – zerknął na pomietą karteczkę – to może Lichotka?

— A pewnie, że Lichotka. Drugiej takiej ze świecą pan szukaj, a nie znajdziesz.

— Nie śmiem wątpić...

— Aaa, no jasne! – zakrzyknął grubas, wyraźnie rozpromieniony. – Pan pewnie z dożywociem?

— Eee... A tak, z dożywociem, tak. Konrad Romańczuk, nowy właściciel tego... budynku.

— Szymon Kusy, powitać, powitać. – Chwycił pana z

dożywociem za dłoń i zatelepał nim, aż miło. – No, nareszcie! Już się baliśmy, że te adwokaty nigdy spod papierków nie wyleżą. Tyle czasu po sądach się włóczyć, kto to widział? A pan bez bagaży? Nie zostaje pan?

— Ależ skąd, bagaży mam całe mnóstwo. W samochodzie.

— Ach, jasne, w tym zepsutym! No sam pan widzi, jak człowiek ma za wiele na głowie, to mu się myśli szybko gubią. Pan poczeka, podjedziemy, zobaczymy, co się stało, ja naprawić potrafię. Opona może?...

— Nie, opony całe. Coś w środku, nie znam się na tym.

— Nie szkodzi, damy radę, panie Romańczuk, co mamy nie dać?

Chwilę później trzęśli się nagrzanym jak piekarnik, wiekowym polonezem w stronę szosy. Szymon tryskał potem, optymizmem oraz przemyśleniami.

— ...szczęście, że pan jeden do spadku został, urzędasy kombinować długo nie musiały, komu się Lichotka należy. Bo jak nic by to ciągli i ciągli, aż by się wszystko w diabły zawaliło. A Lichotka swoje lata już ma, dbać o nią trzeba, tu gwóźdź wbić, tam deskę wymienić... Nie żeby zaraz rudera, o nie! Charakterny domek, z klasą. Prawdziwa elegantka! Wie pan, tak czasem myślę, że gdyby była człowiekiem, to kapelusze by nosiła i takie rękawiczki aż do łokcia. A teraz, phi! Teraz to się inaczej buduje. Siedzi gryzipiórek, nabazgrze coś i nie ma zmiłuj, niczego zmienić nie pozwoli. A Lichotkę sam świętej pamięci pan Wincenty stawiał, własnymi rękami, cegła po cegle i nikt nawet nie pomyślał, żeby choć słówko wtrącić. Wiesz pan, ile ona ma już lat? Dwieście! Głaz by się duszy przez ten czas zdążył dorobić, tradycją jak mchem porosnąć, a co dopiero dom! O, to pewnie pańska zguba?

Wykręcił i zatrzymał się tuż przed umarłym tico. Po krótkiej burzy mózgów, uznawszy, że nie ma się co bawić w przydrożny autoserwis, wzięli go na hol i zawlekli przed dom.

Drugie, znacznie już bliższe spotkanie z cudem architektury przysporzyło Konradowi wielu nowych wrażeń.

Taszczył bagaże do holu, rozglądając się wokoło z dziwną mieszkanką ciekawości, paniki i obrzydzenia. Nie mieściło mu się w światopoglądzie, że praprapra... daleki przodek mógł z własnej i nieprzymuszonej woli postawić coś równie kuriozalnego i jeszcze nazwać to Lichotką. Niemal widział watahy zżerających ją korników. Podłogi, boazeria, framugi, ramy okienne, kręte schody, meble o wartości już chyba tylko muzealnej – wszystko drewniane, wiekowe i bardzo stylowe. Rzeźbione detale, kwiatki, listki, łodyżki, rozety i łuki występowały w ilościach hurtowych. Całość wyglądała jak gotycki szal ciał i uprząży, spełniony sen szalonego stolarza. Na domiar złego chodnik w holu składał się przeważnie z dziur, kinkiety na ścianach trzymały się na słowo honoru, a w drzwiach wejściowych zamiast zamka był zwykły skobel.

Podczas gdy Szymon szukał czegoś w przybudówce, Konrad krążył z bagażami, licząc w myślach, ile wyniesie chociaż podstawowy remont parteru. Ciągle mu wychodziły straszne sumy, dlatego coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nic gorszego niż spadek nie mogło go spotkać.

Siła wyższa była z siebie bardzo zadowolona, postanowiła jednak postawić jeszcze wielką kropkę nad i.

Z usypanego pośrodku holu stosu sturlały się trzy rolki papieru toaletowego i wpadły prosto pod głęboką komodę, powiewając na pożegnanie nadrukiem w stokrotki.

— Ręce opadają... — westchnął Konrad. – Jakby mi gimnastyki

brakowało.

Klęknął ostrożnie, by sięgnąć pod mebel, i dopiero niemal dotykając nosem podłogi zauważył, że nigdzie nie ma ani grama kurzu. Żadnych kotów, żadnych pajęczyn. Nie tego się spodziewał po starym, dziwacznym domu na odludziu.

Za plecami usłyszał ciche kichnięcie.

— Na zdrowie. – Wreszcie złapał niesforne rolki i podniósł się z klęczek. – Czyścioch z pana, panie Ku...

— Apsik – kichnął ponownie stojący na schodach anioł.



Konrad nie miał już żadnych złych przeczuć ani wątpliwości. To one miały jego.

Pociągająca nosem istota bezsprzecznie była aniołem. W obszernym, długim za kolana T – shircie z Garfieldem, bamboszach i z najprawdziwszymi, porośniętymi jasnym, miękkim puchem skrzydłami. Jego długie włosy, przypominające pocięty na cieniutkie paski celofan, migotały w świetle dnia, otaczając postać delikatną aurą.

Anioł jak w mordę strzelił, przemknęło osłupiałemu Konradowi przez myśl. Ale aniołów nie ma. Anioły są tylko na obrazkach z podpisem Pamiątka Chrztu Świętego, pocztówkach i nagrobkach albo w książkach dla dzieci, a nie w dziwacznych, gotyckich domach z wieżyczką. Bo w dziwacznych, gotyckich domach z wieżyczką – myśli galopowały dalej – mieszkają wampiry, duchy i wielkie pająki. Ale nie anioły. Aniołów nie ma.

— Apsik. Dzień dobry – przywitał się anioł, którego nie było. Odrobina puchu wzbija się nad nim w powietrze.

Człowiek z papierem toaletowym w objęciach nie mógł

oderwać wzroku od zasmarkanego wysłannika niebios, podczas gdy w jego duszy hordy sprzecznych emocji toczyły zażarty bój. Na domiar złego z zakamarków pamięci przypałało się widmo wieszczka ze spiżowym głosem zaczęło powtarzać: „ Szkiełko i oko! Szkiełko i oko! ”. Wobec tego zdrowy rozsądek złożył rezygnację, uznawszy, że dwie wizje naraz przerastają jego skromne możliwości, a Konrad został sam na sam z wewnętrznym chaosem.

Wielki, stary zegar w kącie wybił czwartą po południu. Równie z ostatnim „ bom ” w drzwiach wejściowych pojawił się usmarowany brudnąwą mazią Kusy.

— Będzie żył ten pański samochodzik! Ot, zerwany pasek rozrzędu, a tyle zamieszania narobił. Trzeba zamówić nowy i założyć, szczęście, że głowica i zawory wytrzymały, bo wtedy nie obyłyby się bez mechanika... A co was tak wryło? Licho – zwrócił się do anioła – poznaj pana Romańczuka, nowego właściciela. Panie Romańczuk, to jest Licho. Anioł stróż świętej pamięci pana Wincentego, lokator z najdłuższym stażem – wyjaśnił. – Pan Wincenty specjalnie dla niego zbudował wieżyczkę, bo Licho chciało z wysoka widoczki oglądać. Prawda, Licho, że chciałość?

Licho przytaknęło grzecznie i wytarło ciekący nos.

— Znaczy... — wykrztusił Konrad – to jest lokator? Ten, o którym mowa w testamencie?

— No... w zasadzie tak.

— Myślałem, że chodziło o pana!

— Ależ skąd – roześmiał się Szymon. – Ja dojeżdżający jestem, tylko doglądam. Wie pan, taka złota rączka, co to naprawi, przyklei, gwoździa wbije. Dwadzieścia prawie lat już tu pracuję. A jak się pańskiemu wujowi zmarło na wiosnę, to się i niebożatkami zająłem, soczki im przywoziłem, gazety, bo się tak

sami nudzili.

— Chusteczki wyszły – pisnęło Licho. – I odkamieniacz też, a gąbka się podarła. Alleluja.

— Się, się... To się dzisiaj podartą umyjecie, a jutro wam nową przywiozę, dobrze? Idź, sprawdź w spiżarce, czy jeszcze słonecznik macie. I niech Krakers odda butelki po mleku! – krzyknął za człapiącym w stronę kuchni Lichem. – Zawsze zapomina, a ja się potem muszę w sklepie tłumaczyć.

— Tłumaczyć? – Konrad odzyskał wreszcie pełną kontrolę nad krtanią. – Tłumaczyć?! Teraz mi się pan będzie tłumaczyć! W testamencie nie było ani słowa o jakichś... jakichś Lichach i Krakersach! Co, u licha... tfu, do diabła, ma to wszystko znaczyć?!

— Jak nie było, jak było? – Kusy z pobłażaniem pokręcił głową. – Pisało przecież, że dom z dożywociem, prawda?

— Ale nie pisało, znaczy, nie było napisane, że z aniołami!

— A co panu jeden anioł szkodzi? Grzeczny, spokojny, pomocny, czyściutki, tylko by prał i pucował. Czyścioch, że hej! Zużywa sporo chusteczek higienicznych, bo ciągle ma katar, ale za to wszystkiego upilnuje. Żeby się panu krzywda nie stała, żeby żadne nieszczęście na dom nie spadło, żeby się myszy nie zaległy. Bez Licha nie byłoby Lichotki, panie Romańczuk. – Poklepał go uspokajająco po ramieniu. – Wziąłeś pan spadek z dożywociem? No to masz. Anioł stróż to prawdziwe dobrodziejstwo, możesz mi pan wierzyć na słowo. A i reszta nie gorsza. Przyzwyczaisz się pan w try miga! No!

Licho wróciło z kuchni z siatką pustych butelek i patrzyło z pewnym niepokojem, jak Konrad na przemian to błędnie, to czerwienieje, niebezpiecznie balansując na granicy pierwszego zawału w wieku trzydziestu dwóch lat. Wreszcie ośmieliło się odezwać.

— Krakers mówi, że słonecznika zostało dużo, ale mógłby pan kupić biszkopty, bo będzie w sobotę robił tiramisu.

— Okrągłe czy podłużne?

— Podłużne, alleluja. Tak ze cztery paczki. I przydałoby się gorzkie kakao, bo do tego pudełka, co leżało w szafce, wczoraj dostała się Zmora.

— Jaka. Znowu. Zmora?...

— Kotka – odrzekł anioł. – Bardzo miła, tylko czasem gryzie. Ale niezbyt mocno.

— A ten, jak mu tam... Krakers?

— Krakersiem się proszę nie przejmować, on w ogóle nie wychodzi z kuchni. – Znów kichnął, wzniecając wokół siebie nową chmurkę pierza. – Robi pyszne faworki, palce lizać – dodał trochę jakby na usprawiedliwienie.

— No i sam pan widzi – rzekł Kusy. Wziął od anioła siatkę i karteczkę z listą zakupów. – Nikt tak nie zna domu jak Licho. Oprowadzi pana, wszystko pokaże, opowie, wyjaśni. A na mnie już czas. Pojadę jeszcze do spożywczego, potem zamówię pasek, może gdzieś po niedzieli samochodzik naprawimy. No i do własnego domu też trzeba, do szanownej małżonki zajrzeć chociaż.

— Nie wróci pan z zakupami? Przecież jeszcze wcześniej.

— O nie – pokręcił stanowczo głową – dziś już nie, dopiero rano. Zanim dojadę do miasteczka, zanim wszystko załatwię, będzie wieczór. A ja, wie pan... — zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu – ...ja tu po zmroku nigdy nie zostaję. Nigdy! Choćby się waliło i paliło. No, to dobrej nocy i do jutra, panie Romańczuk! – zakrzyknął i popędził świńskim truchtem do poloneza, jakby go sam czort gonił.

Jeszcze nigdy w życiu Konrad nie czuł się równie bezradny.

Przytulił papier toaletowy do piersi niczym magiczny artefakt, który ochroni go przed złem wszelkiej proveniencji.

Doprawdy, życie w Lichotce zapowiadało się ciekawie. Aż nazbyt, gdyby kto pytał.



Wniesienie bagaży na piętro zajęło im dobre dwa kwadransy. Kilka pakunków stoczyło się po stopniach, chrzęszcząc i pobrzękując, ale obyło się bez większych strat. Na dole zostały pudła z naczyniami, prowiantem na najbliższe dni i niesfornym papierem toaletowym.

Kręte schody prowadziły dalej w górę aż do wieżyczki Licha. Piętro, zgodnie z przyjętą przez lokatorów tradycją, pozostawało do wyłącznej dyspozycji właściciela domu. W powietrzu unosił się natrętny zapach cytrynowego płynu do mycia podłóg. Promienie słońca, które wpadały przez świetliki w dachu, rozpraszały panujący tu mrok i na końcu niewielkiego, acz ponurego korytarza Konrad zobaczył drzwi. Oczywiście skrzypnęły przy otwieraniu – cicho, lecz znacząco.

Pokój miał kształt wąskiego prostokąta. Niemal całą ścianę naprzeciw wejścia, od wysokiego sufitu aż po przykrytą dywanem podłogę, zajmowało dwuskrzydłowe okno, pod którym stał biedermeierowski sekretarzyk i także krzesło. Wszędzie wisiały obrazy, co do jednego oprawione w masywne, złoczone ramy, na komódce tłoczyły się zegary i figurynki, obok zaś zalegał chybotliwy stos książek. Na ten widok Konrada ogarnęło uczucie wręcz klaustrofobicznego dyskomfortu. Bał się, że jeśli zrobi choć krok, cała kolekcja dzieł sztuki runie i pogrzebie go na wieki.

— A tu, alleluja, jest pańska sypialnia – powiedziało Licho i kichnąwszy trzykrotnie, pchnęło kolejne drzwi, jakimś cudem wciśnięte między landszaft z jeleniem na rykowisku a od dawna martwą naturę.

Coraz szczęśliwszy właściciel domu zajrzał z wahaniem do środka.

Jego oczom ukazało się nawet nie tyle łóżko czy łoże, ile potężne łożyszczce. Składało się w głównej mierze z baldachimu, ciężkich kotar i sterty haftowanych poduszek, a wchodziło się na nie po schodkach. Już samo w sobie przypominało o chroniczną bezsenność. Wielka szafa, kominek, w którym paru chłopa z powodzeniem zatańczyłoby zbójnickiego, żeliwny żyrandol i przepastny fotel pod oknem dopełniały koszmarowego wystroju.

— Styl terror gothic, jak mniemam? – zapytał Konrad, zwolennik nowoczesnego minimalizmu, wodząc wzrokiem po tapecie rodem z domu pogrzebowego. Pocieszał się w duchu, że mogło być znacznie gorzej. Przynajmniej nie musiał spać w trumnie na katafalku, wśród gromnic i przy akompaniamencie posępnej muzyki organowej.

— Ładnie, prawda? – przytaknął całkowicie odporny na ironię anioł. – Bardzo przytulnie, apsik. Meble od paru dekad te same, a poszewki na poduszki panicz ciągle nowe haftuje.

— Eeee... Panicz?...

— Uhm, panicz. Kiedy walczy z jesienno – zimowo – wiosenną chandrą. Latem robi sobie przerwę.

— Na dobry humor?

— Na konfitury. Z malin, borówek, czasami z wiśni... — Licho westchnęło z rozmarzeniem. – Oj, z wiśni są najlepsze. I gotuje kompot z mirabelek. A jak Szymon pigwówkę pędzi, to zawsze

trochę owoców zostawia i wtedy panicz robi konfiturę do herbaty. Ale to dopiero w październiku, alleluja... — Pociągnęło smętnie nosem, nie wiadomo, czy ze smutku, czy z kataru.

Konrad spojrział na nie i zrobiło mu się jakoś tak cieplej, weselej. Zdjął plecak i rzucił na fotel, wciąż bezużyteczny telefon położył na parapecie. Nie miał innego wyjścia, musiał się póki co rozgościć w gotyckim dziwolągu, ale raptem, za sprawą anioła w bamboszach, ta perspektywa nabrała odrobinę bardziej optymistycznych barw.

— Łasuch z ciebie, co?

— I to nielichy – przyznało Licho. – Apsik. Oj, prawie bym zapomniało! W lodówce są pierogi z białym serem i szpinakiem, może jest pan głodny?

— Nie, dziękuję, wolałbym się trochę rozpakować, wykąpać i wcześniej położyć. Pół dnia za kierownicą dało mi nieźle w kość. Jest tu gdzieś w pobliżu łazienka?

— Tam są drzwi, szafa je trochę zasłania. – Wydmuchało nos w chusteczkę. – Ma pan ręcznik i mydło?

— Tak, dziękuję, wszystko zabrałem – rzucił przez ramię Konrad i nacisnął klamkę. Był ciekaw, jak też wygląda gotycka łazien...

— Ze wsi jesteś? Puka się!

— Nie widzisz, że zajęte?

— Ratunku, zboczeniec!

— Spadaj, koleś, pókim dobry!

...ka. Nieduża, wyłożona kaflami, dość jasna i zajęta. Zarumienione i bardzo przejęte Licho delikatnie posadziło zaskoczonego Romańczuka na skraju łóżka, po czym wpadło do łazienki. Nie minęła minuta, kiedy ze środka wyszły potulnie cztery zielone, ociekające wodą utopecie. Wymamrotawszy

przeprosiny, jeden za drugim brzydale powędrowały na swych patyczkowatych nóżkach na parter.

— Strasznie przepraszam! – zawołał anioł. Wydobył nie wiadomo skąd szczotkę i proszek, padł na kolana i wziął się za szorowanie ufajdanej glonami wanny. – Naprawdę, to się więcej nie powtórzy. Apsik! Proszę mi wierzyć, nie w każdym wychodku siedzi demon, po prostu długo nikt z nami nie mieszkał. Z łazienki na dole korzystają wszyscy lokatorzy, w dodatku trochę w niej tłoczno, więc utopce zagnieździły się tutaj. Już nie będą panu przeszkadzać, obiecuję. – Migiem starł kałuże z podłogi, psiknął odświeżaczem powietrza, a po krótkim wahaniu poprawił jeszcze krzywo zawieszony papier toaletowy. – No, alleluja, jakby pan czegoś potrzebował, proszę śmiało wołać. Pościel już przebrana, nic tylko się kłaść. Miłych snów, karaluchy pod poduchy! – Pomachał na do widzenia i wyszedł. Po chwili zajrzał z powrotem. – Znaczy, karaluchów tu nie ma – sprostował – mrówek też nie, no, czasem na werandzie, ale wie pan, tak się tylko mówi. Alleluja i dobranoc.

Zegary w pokoju obok zaczęły chóralnie wybijać szóstą. Cała komódka zatrzęsa się, wprawione niespodziewanie w ruch figuynki zabrzączały.

Konrad kiwał się w przód i w tył, i pluł sobie w przystrzyżoną r la trzej muskieterowie bródkę, że w ogóle dał się wciągnąć w tę całą hecę ze spadkiem. Nadesłane pocztą powiadomienie o śmierci dalekiego krewnego, którego nazwisko nic mu nie mówiło, przeczytał z obojętnością. By formalnościom stało się zadość, w wyznaczonym terminie przyszedł do sądu na ogłoszenie testamentu – wyszedł już jako osłupiały spadkobierca. Do spłacenia został niewielki dług, dom nie miał żadnych obciążeń hipotecznych, a zapis o dożywociu nie budził

zastrzeżeń, niewiele zatem myśląc, Konrad załatwił co trzeba, własne mieszkanie wynajął do końca roku koledze, zapakował się do tico i ruszył, by objąć włości. Uwierzył w zrządzenie losu, w cudowne spełnienie marzeń o miejscu, w którym mógłby w spokoju oddać się pracy nad Dziełem Życia – bez uciążliwych sąsiadów, bez tramwajów zatrzymujących się tuż pod oknami o każdej porze dnia i nocy, bez setek zaparkowanych byle jak i byle gdzie samochodów.

Tak na dobrą sprawę dostał wszystko, czego chciał, nie przewidział tylko dodatku w postaci istot nadprzyrodzonych. I co miał teraz zrobić? Pójść do sądu i powiedzieć, że został zrobiony w konia, bo lokator okazał się kichającym aniołem, a w gotyckiej łazience mieszkają utopce? Aż się roześmiał, wyobraziwszy sobie minę prokuratora czy sędziego słuchających takiej skargi. Sam by w ani jedno słowo nie uwierzył, przecież anioły i utopce nie istnieją...

Komórka od paru godzin nadaremnie szukała zasięgu, aż w końcu zaczęła sygnalizować, że ma słabą baterię. Przerazliwe brzęczenie mogło z powodzeniem kruszyć plomby w zębach i natychmiast wyrwało Konrada z zamyślenia. Na wszelki wypadek rozejrzał się po kątach, czy gdzieś nie rozgościł się jeszcze jakiś tajemniczy stworek i rozpoczął walkę z bagażami. Laptopa, drukarkę i ryzę papieru położył na sekretarzyku, markowe ciuchy i buty, udające byle co kupione byle gdzie, wcisnął do przepastnej szafy. Z braku stosownego mebla ustawił książki na parapecie. Przy okazji znalazł ładowarkę i podłączył piszczący telefon do kontaktu. Zanim zapadł zmrok, Konrad, wykąpany i zbyt zmęczony, by się dłużej martwić, wcisnął się między poduszki i po prostu stracił przytomność.



Łoże nie zawiodło – koszmar był pierwszorzędny.

Zzieleniały Szymon z wielkimi skrzydłami siedział mu na piersiach i łyżeczka za łyżeczką wyżerał ze słoiczka wiśniowe konfitury, przegryzając słonymi krakersami. Z każdym kęsem stawał się coraz cięższy i cięższy. Konrad próbował zaczerpnąć powietrza, ale ucisk na mostek i zebra był zbyt silny, dusił bezlitośnie. Zewsząd sypały się na niego mokre poduszki oraz pierze, a na zewnątrz co rusz rozlegało się kichanie. I wtedy Szymon sięgnął gdzieś za siebie, po czym z całej siły wbił mu w policzek igłę do haftowania.

Konrad drgnął gwałtownie i obudził się. Ale ból wcale nie ustąpił.

Szara, miękka łapa pulsowała na jego policzku, to wysuwając, to znów chowając pazurki, drobne i ostre niczym brzytwa. Ich właścicielka, zwinięta na piersi mężczyzny w wielki, wibrujący kłębek, mruzczała z upodobaniem. Jakby czując, że nowe legowisko już nie śpi, otworzyła żółte oczyska i przeciągnęła się leniwie.

— Nieźle mnie, Zmoro, przydusiłaś.

Pozwolił, by obwąchała jego dłoń, i łagodnie pogłaskał kocicę po głowie. Zamruczała głośniej, majtnęła ogonem raz i drugi. Pieszczoszka, ciężka jak diabli, lecz ujmująca. Koty mogły bezkarnie włązić Konradowi choćby i na głowę, bardzo je lubił i wszystko, co wyczyniały, znosił z godną podziwu cierpliwością. Zmora najwyraźniej to wyczuła, bo nie zamierzała zejść. Potężne kichnięcie zatrzęsło szybami.

— Najwyraźniej Licho już nie śpi – syknął Konrad. Pazury uciekającej kocicy zostawiły mu na piersi krwawe bruzdy, może

niezbyt głębokie, za to diabelnie piekące.

Ścielenie łóżka zawsze uważał za czynność zupełnie pozbawioną sensu, zatem nie zaprzętał sobie nią głowy. Odruchowo chwycił naładowany telefon i zbiegł na dół. Wydawało mu się, że słyszy jakieś szmery w kuchni, lecz gdy tam zajrzał, nikogo nie zobaczył.

Z werandy dobiegło kolejne kichnięcie.

— Na litość boską, Licho, co ty wyprawiasz?!

Prawie upuściło pincetę. Siedziało w kucki na werandzie, otoczone ze wszystkich stron lustrami, i jedno za drugim wyrywało sobie pióra ze skrzydeł.

— Zwariowałaś? Zwariowałeś? – poprawił się szybko. – Aż tak się nudzisz?

— ...piłuję, alleluja.

— Słucham?

— Depiluję – powtórzył anioł. – Wyrywam raz na miesiąc lub dwa, ale i tak w końcu odrastają, więc muszę wyrywać na nowo... To strasznie męczące, wie pan?

Ani chybi masochista, stwierdził Konrad. Ale co jeśli zacznie łązić i prosić : „Z bij mnie, zbij mnie, wyrwij mi pierze ” ? Przecież w łeb mu nie dam, aniołów się nie bije... I co on ma dziś na tej koszulce, Fistaszki!?

— Dobrze, wyrywasz, ale dlaczego? – Wcale nie był pewien, czy chce to wiedzieć, brnął jednak dalej. – Wyglądasz jak oskubany kurczak.

— Mam uczulenie na pierze, proszę pana – chlipnęło żałośnie Licho. – Nic tylko kicham i kicham. – I na potwierdzenie swych słów pociągnęło opuchniętym od kataru nosem.

Kątem oka Konrad dostrzegł skradającą się w stronę kupki pierza Zmorę.

— A sio, paskudo – przepędził kocicę i usiadł obok anioła. – Daj tę pincetę, z tyłu i tak nie sięgniesz.

Wyskubywanie piór i odganianie upartej jak osioł Zmory pochłonęło ich bez reszty. Właśnie zbierali ostatnie strzępy puchu do worka na śmierci, gdy przed dom zajechał Kusy.

— Jak tam panu minęła pierwsza noc? – krzyknął, gramoląc się z poloneza.

— W gruncie rzeczy nie najgorzej – przyznał Konrad. – Aczkolwiek nie obyło się bez pewnych... niespodzianek. Bliskich spotkań, że tak powiem.

Kusy przystanął na schodkach.

— Ano widzę, że Zmora się z panem pieściła – wskazała zadrapanie na jego policzku. – Ostre ma pazurki, zołza jedna. Śniadanie jedliście?

— Nie, jeszcze nie.

— Więc na co czekacie? Masz – wetknął Lichu siatki z zakupami – szykujcie z Krakersem śniadanie, a my tu skończymy te twoje pierze sprzątać. I co, podoba się panu w Lichotce?

— Jeszcze wszystkiego nie obejrzałem. No, ale bez gruntownego remontu na pewno się nie obejdzie. Dezynsekcja i deratyzacja na dobry początek. Okna nieszczelne, podłogi i ściany do zrobienia, schody zresztą też... A instalacje kiedy były wymieniane?

— Nigdy.

— Jak to nigdy? – Włos mu się na głowie zjeżył. – Jezu, przecież wystarczy byle zwarcie i cały dom idzie z dymem! Nawet straż pożarna nie zdąży dojechać!

— Nie były wymieniane, bo ich nigdy nie było – wyjaśnił spokojnie Kusy. Zawiązał worek z pierzem, który teraz przypominał wielką piłkę plażową, po czym wziął się za

składanie luster. – Ani kabli, ani rur. W kilku ścianach są przewody kominowe, ale to sam czyszcę.

— Co pan mi tu pieprzysz? – Konrad zaczynał tracić cierpliwość. Wyszarpnął komórkę z kieszeni spodni. – Skoro nie ma instalacji, to jak niby naładowałem telefon?

— Pewnie prądem, inaczej się chyba nie da, co nie? Ale widzę, że pan sobie nie podzwonisz z tego maleństwa. Licho! Chodź no tu, złap panu zasięg!

Z nożem do masła w dłoni Licho przytruchtało na werandę. Wzięło komórkę od Konrada, kichnęło i zaraz ją oddało.

Zerknął na wyświetlacz. Pełen zasięg. Jedna nieodebrana rozmowa i trzy SMS – y.

— Naszemu aniołkowi żadne instalacje nie są potrzebne, panie Romańczuk. Zresztą i tak nie rozumie, jak działają. Wystarczy, że Licho wie, co się powinno stać, gdy się odkręci kran, wsadzi wtyczkę do kontaktu, zapali gaz na kuchence czy wodę w kiblu spuści. Ja to nazywam prawdziwym dobrodziejstwem, bo i awarii nigdy nie ma i rachunków nie trzeba opłacać. A zasięg nauczyło się łapać w zeszłym roku, jak sobie komórkę sprawilem i miałem ten sam problem, co pan. No – klepnął Konrada po ramieniu – to teraz chodźmy na śniadanie.



Licho było wniebowzięte. Podśpiewując pod nosem Pieski małe dwa, biegało po domu i polowało na firanki. Aż się prosiły o pranie i krochmalenie stulecia – od paru dni zwisały już zbyt smętnie, zbyt swobodnie, zamiast porządnie stać na baczność, a ich biel stanowczo powinna być bielsza. Co najmniej olśniewająca.

Pierwszą pralkę anioł dostał przed ponad dwudziestoma laty i używał jej z bliskim manii upodobaniem. Wciąż sprawny superautomat PS 663S BIO z wielkim, zgrzytającym pokrętkiem zajmował w wieżyczce poczesne miejsce, otoczony świętą proszków, płynów oraz past, ale od paru miesięcy niewiele miał do roboty. Dom, w którym mieszkali tylko lokatorzy, wydawał się Lichu domem połowicznym, zatem równie połowicznie w nim sprzątało. W praktyce oznaczało to mycie wszystkich okien zaledwie raz na kwartał. Ale teraz... Teraz, gdy do Lichotki zawitał nowy właściciel, anioł wpadł w porządkową euforię, a nieszczęsne firany poszły na pierwszy ogień.

Również zalegająca na komodzie w holu Zmora wzięła się za skrzętne pucowanie futerka. Ani trochę nie dziwiła się szaleństwu Licha. Już w nocy uznała Konrada za swoją ulubioną poduszkę. Niestety, lokatorzy zdążyli go parę razy nieźle wystraszyć, więc teraz należało pokazać się z jak najlepszej strony, by od nich nie uciekł. Może i wpadał łatwo w osłupienie, ale też dość szybko z niego wypadał, co wszystkim właścicielom domu zawsze liczono za niewątpliwą i bardzo przydatną zaletę. Tężyzną fizyczną zbytnio nie imponował, było to jednak całkiem zrozumiałe. Nikt się chyba jeszcze nie dorobił mięśni od całodziennego wertowania książek i stukania w klawiaturę. Ot, wysoki, nieco niedożywiony intelektualista o fizjonomii zatroskanego muszkietera. Drewna na opał pewnie by nie narąbał, co najwyżej zrobił sobie krzywdę siekierą, lecz bez wątpienia pasował do Lichotki jak ulał.

No i wiedział, w jakiej pozycji spać, żeby kotu było wygodnie. Tak. Konrad musiał zostać.

Siedząc na wirującej z zapalem pralce, bez reszty pochłonięte cerowaniem skarpet Licho nie słyszało, jak rozklekotany polonez

zatrzymuje się na chwilę przed domem. Kroki w holu też mu jakoś umknęły. Brzęk tłuczonego szkła i przeraźliwy wrzask – już niekoniecznie.



Tak zwane załatwianie spraw w miasteczku zajęło im chyba mniej czasu niż jazda w tę i z powrotem. Słońce nie dawało za wygraną, dlatego Konrad z ulgą pożegnał się z Szymonem i uciekł z nagrzanego jak piekarnik poloneza. Od dobrych paru godzin marzył o mleku, które chłodziło się w mroźnym zaciszu lodówki, i zamierzał wreszcie się do niego dobrać.

Butelka była ciężka, mokra i bardzo śliska, w zasadzie nic dziwnego, że ją upuścił. Lecz odłamki szkła w kałuży mleka to jeszcze żaden powód, by wrzeszczeć. Co innego wielkie, ciemnofioletowe macki ośmiornicy giganta, wyłaniające się nie wiadomo skąd.

— No i o co tyle krzyku, alleluja? – Licho, które bez wahania przybyło z odsieczą, odłożyło miotłę, chwilowo przystosowaną do celów bojowych. Celofanowe włosy zamigotały, gdy z dezaprobatą pokręciło głową. – Tylko go pan wystraszył.

Śmiertelnie blademu Konradowi odebrało głos. Nawet nie zauważył, że siedzi na podłodze, a markowe, upiornie drogie spodnie właśnie nasiakają mu mlekiem. Tymczasem anioł klęknął przed zabitymi mnóstwem gwoździ drzwiami spiżarni, uchylił klapkę dla kota i bez zbędnych certacji wsadził głowę do środka. Coś zabulgotało groźnie.

— No, Krakersik, nie bój się, daj mackę – zaświergotał uspokajająco anioł. Odpowiedział mu krew w żyłach mrozący pomruk. – Cicho, cicho, już przyszło Licho. Zaśpiewam ci coś,

chcesz?

Jedna macka wypełzła nieśmiało ze spiżarni i owinęła się wokół anioła. Przytulił ją, poklepał czule. Bulgot nieco złagodniał.

— Z poopielniiiika naaa Krakeeersa iiiskiereeeczka mruuugaaa...

Licho śpiewało falsetem, kołysząc się do taktu, zaś właściciel macki robił złowrózbnę mruzcando.

— ...cyt, iskierka zgaaasłaaa. I jak – kichnęło – Krakersik? Lepiej? Pan cię nie chciał wystraszyć, już więcej nie będzie tak krzyczał, prawda? – Uśmiechnęło się zachęcająco do Konrada.

— Co... to... — Więcej nie zdołał z siebie wydusić, ale Licho było domyślne.

— Krakers, proszę pana. Pradawny stwór z głębin odwiecznego zła, którego w 1836 przywołał bratanek Wincentego, alleluja – wyrecytowało. – Zygmunt bawił się w takie tam różne... dziwne... jakieś składanie ofiar, jakieś mroczne rytuały, dzikie orgie... Pewnej nocy miejscowi spalili go pod drzewem. Szybko poszło, apsik, nawet nie zdążył wymyślić i rzucić porządnej klątwy. A Krakers został w spiżarni i zajął się gotowaniem. To mu wychodzi znacznie lepiej niż sianie zagłady.

Pradawny stwór kiwnął potakująco macką.

— No, to podajcie sobie kończyny na zgodę. Śmiało!

Krakers wysunął drugą mackę i potrząsnął Konradem. Przyssawki młasknęły przy tym cicho. Wbrew pozorom stwór nie był ani trochę oślizgły. Pachniał wanilią i goździkami.

— Licho... — odezwał się słabym głosem Romańczuk.

— Tak, alleluja?

— Powiedz mi, zanim padnę na zawał, kto tu jeszcze mieszka? Krasnoludki? Bazyliszek? Wróżki, w które trzeba wierzyć, żeby nie umarły?

— No... apsik, panicz, ale on jest antropomorficzny, żaden strach.

— A, racja, panicz... Ten od poduszek i konfitur? – upewnił się.

— Tak, ten, co się zastrzelił, proszę pana. Między grządkami kapusty. Bodajże w 1807, ale musiałobym sprawdzić. Trochę się gubię...

Kupka nieszczęścia zwana Konradem Romańczukiem westchnęła.

— Ja też, drogie Licho. Ja też.



Sierpień kończył się burzowo. Droga przez las rozmiękła doszczętnie i zmieniła się w błotnistą pułapkę, Szymon nie miał więc jak dojechać do Lichotki. Szczęśliwie chwilowo nie był tam potrzebny.

By nie tracić czasu i choć częściowo opróżnić dom przed remontem, Konrad zarządził wielki remanent. Obrazy, zegary, poduszki i przeróżne bibeloty z całego domu trafiały do saloniku na parterze, gdzie były fotografowane i owijane w gruby, szary papier, a potem czekały, aż jakiś wielbiciel staroci zlicytuje je na aukcji internetowej. Zeżarte przez czas i mole dywany leżały na werandzie zwinięte niczym wielkie naleśniki. W kuchni Krakers sortował zapasy i sprzęt gospodarstwa domowego, wyrzucając wszystko, co nie nadawało się już do użytku. Zapłakane, zrozpaczone Licho nie chciało pożegnać się ze starym automatem. W końcu zniecierpliwiony Konrad ściągnął mu z sieci i wydrukował katalog sprzętu AGD, by mogło wybrać nową pralkę i jeszcze żelazko na otarcie łez. Zamiast spać, siedziało po nocach podekscytowane jak dziecko w wigilijny wieczór i

zastanawiało się, który model ma najwięcej absolutnie niezbędnych do życia funkcji i bajerów.

Wreszcie się wypogodziło, droga wyschła i Konrad wraz z Szymonem mogli spokojnie wywieźć śmieci przed przybyciem ekipy remontowej. Wystawione na sprzedaż przedmioty szły jak woda, ratując stan konta przed sięgnięciem saldowego dna. Kurier niemal każdego ranka zabierał kolejne paczki i dom powoli przestawał przypominać zagracony antykwariat.

Jak się okazało, Krakers rzeczywiście robił pyszne faworki, a w przyrządzaniu fettucine all'Alfredo niebezpiecznie zbliżał się do mistrzostwa. *Im lepiej mu to szło, tym szybciej Konrad tracił wiotkość i bladość mieszczucha. Zważywszy jednak, że dzień za dniem uprawiał intensywną gimnastykę porządkową, tuszą póki co martwić się zbytnio nie musiał. Nieco gorzej miało się Dzieło Życia, które od blisko miesiąca leżało nietknięte. By zagłuszyć głos sumienia oraz zniecierpliwionej i bardzo namolnej agentki, Konrad postanowił, że weźmie się do pisania, jak tylko uporządkuje ostatnie pomieszczenie Lichotki – bibliotekę.*

Do tej pory pomieszczenie było zamknięte na głucho, a klucz gdzieś przepadł, postanowili zatem wyważyć drzwi.

— O żesz ty – wystękał Szymon, z całych sił napierając na łom. Zamek zazgrzytał, ale wciąż skutecznie odmawiał współpracy. – Uparta sztuka. Stara, porządna robota, nie ma co. Pan się tu z łaski swojej uwiesi. I rrraz!...

Coś trzasnęło, huknęło i łom brzdęknął o podłogę, wygięty pod kątem prostym, a obok niego padli dzielni włamywacze. Pancerne drzwi ani myślały skapitulować.

— Dosyc tego – rozeźlił się poobijany Romańczuk. – Nie będą jakieś drzwi stawiać biernego oporu w moim własnym domu. No złaź pan ze mnie wreszcie... Krakers!!!

Uzbrojona w chochlę macka wychynęła z kuchni.

— Bierz je!

Nie musiał powtarzać. Macka ochoczo zwinęła się w wielką figę i puknęła raz, a dobrze. Posypały się drzazgi. Droga do czytelniczego raju stanęła otworem.

— Chyba śnię... — szepnął Konrad. Czuł, jak ogarnia go nieziemska błogość, a na twarzy rozkwita durnowaty uśmiech. Oczy zaszyły mu łzami. – Jak tu... Jak tu...

— ...jedzie?

Książki były dosłownie wszędzie. Dziesiątki, setki, tysiące tomów pachnących starym kurzem i jeszcze starszym papierem. Ciasno upchnięte na regałach, w dawno nieużywanym kominku, na masywnym, dębowym stole, pod nim i wokół niego, ułożone na parapecie pod zamkniętymi na cztery spusty oknami. Na podłodze walały się przeróżne kartki, jedne pieczołowicie zapisane, inne czyste, niektóre zmięte albo przerobione na confetti. Kłębki kurzu, kolorowe ścinki muliny do haftowania oraz resztki połamanych piór zalegały po kątach. Całość sprawiała wrażenie ostatniej fortecy szalonego czytelnika, który raczej wolałby umrzeć od zaduchu, niż wyjść na zewnątrz, a na widok promieni słonecznych dramatycznym gestem owijał się peleryną i pędził na poszukiwanie najbliższego grobowca. Szymon gwizdnął przeciągle.

— No, czeka nas trochę roboty. Dobrze, że Licho tego nie widzi, bo by się chyba zapłakało. Takiego chlewu narobić...

Ledwie powiedział te słowa, rozległ się rumor, po czym spomiędzy regałów wyskoczył bardzo wzburzony młodzieniec w niebieskim fraczku i wściekle żółtej kamizelce.

— Wypraszam sobie! – zawołał, wymachując umaczanym w atramencie piórem. – Cóż znaczy pospolity nieład wobec ogromu poetyckiej wizji? Mamże myśli porządkami zaprzętać, gdy dusza nad martwym wzlatuje światem w rajską dziedzinę ułudy? Ach,

doloż moja, ciężka doloż!... Bez serc, bez ducha, to szkie...

— Szczęsny, przymknij się, bo cię strzełę, jak Bożię kocham – przerwał mu Kusy, najwyraźniej przyzwyczajony do podobnych ataków weny. – I oddaj klucz, bo drugi raz się włamywać nie będę. Aha. Panie Romańczuk, przedstawiam panu ostatniego z lokatorów, nieszczęsnego panicza Szczęsnego. Wyrazy współczucia – dodał zgryźliwie. – Za dnia tkwi w tej norze, ale niestety wypęła z niej po zmroku. Po zmroku, rozumiesz pan? – powtórzył z naciskiem, marszcząc przy tym brwi. – Że niby wtedy jest romantycznie, nastrojowo. Nic, tylko pleść wierszem androny. I nie ma zmiłuj, nikomu nie przepuści.

Panicz zatrząsał blond puklami.

— Nieuczona twa postać, niewymyślne słowa... — prychnął. – Grubianinie! Śmiesz kpić z bólu ducha mego?

— Ja ci ten ból bardzo chętnie pogłębię, powiedz jeszcze słowo...

Dusząc w sobie chichot, Konrad słuchał, jak panicz, mistrz całorocznej depresji i haftu krzyżykowego, oraz grubianin w bawełnianym podkoszulku kłóca się zajadle i z widoczną wprawą.

I doszedł do zaskakującego wniosku, że wszędzie dobrze, ale w Lichotce będzie mu chyba najlepiej.



Jesień nastąpiła ciepła i rechocząca.

Mieszkające w stawie żaby miały w głębokim poważaniu zarówno porę roku, jak i prawa Matki Natury. Może były sierotkami, zresztą w Lichotce normalność zachowań nigdy nie obowiązywała. Każdego wieczora żaby gramoliły się na zwałony

pień przy brzegu, co również stanowiło część przedstawienia, tylko tę bardziej komediową, i dawały regularny koncert. Za bierną, mierną, ale wierną widownię robiły utopce, Licho i Zmora, która była zagorzałą wielbicielką nie tyle samego kumkania, co jej zdaniem bardzo smacznych stworzeń kumkających. Na ich szczęście znacznie mniejszym afektem darzyła wodę.

Pod koniec września w przybudówce zamieszkali budowlańcy. Remontowali co się dało pod czujnym okiem Szymona i rechotali znacznie częściej i głośniej niż żaby, chociaż nikt ich nie oklaskiwał. Wręcz przeciwnie. Od tej pory utopce nie wychylały nosów z wody, a wystraszony hałasem Krakera wpłynął do najciemniejszego kąta spizarki i nadrabiał zaległości w spaniu. No, przynajmniej próbował. Anioł natomiast siedział zamknięty w wieżyczce, studiując instrukcję obsługi nowej pralki, i tylko późną nocą, gdy budowlańcy już dawno spali, wyłaził cicho, na paluszkach, z miotłą i szufelką w dłoni, by choć trochę posprzątać.

Na przekór niesprzyjającym pracy twórczej okolicznościom Konrad co rano brał składany leżak, laptopa i opasłą teczkę z notatkami i rozsiadał się nad stawem, skąd rozpościerał się przepiękny widok na styropian, pryzmę gruzu i otwartego na oścież toi – toia. Dzieło Życia nie mogło dłużej czekać, choć po prawdzie nie miało nic przeciwko temu. Innego zdania była jednak agentka Romańczuka, atakująca ze wszystkich stron. Zwykle zaczynała od kilku SMS – ów o dość monotonnej, ale wkurzającej treści: „ PISZ. PISZ. PISZ. PISZ. PISZ ” i tak dalej, póki w wiadomości nie skończyły się znaki. Potem słała mail za mailem, a jeśli miała naprawdę zły dzień – dzwoniła. I bez przerwy zadawała to samo pytanie, jak zacięta płyta w

gramofonie: – Konrad, piszesz?

— Piszę, piszę – mamrotał wtedy Konrad, chociaż od paru godzin gapił się bezmyślnie na otwarty plik albo grał w mahjongga. – Jasne, że piszę. Czemu miałbym nie pisać? – Przecież ciągle pukanie, stukanie, trzaskanie, brzęczenie i buczenie w ogóle mu nie przeszkadzało. Ani trwające od rana do nocy wrzaski i przekleństwa. Szkoda, że nie były mniej odtwórcze, wtedy chętnie by notował. Nigdy nie wiadomo, co się kiedyś przyda.

— No, to dobrze. Pisz, nie marudź. Za tydzień chcę dostać całość.

I tak w kółko. Pisz. Piszesz? Czemu nie piszesz, skoro masz pisać? Pisz. Musisz pisać. Coś za mało piszesz. Za wolno. Litości, ile można pisać jeden tekst!?

Zdaniem Konrada – bardzo, bardzo, naprawdę bardzo długo.

Dzieło Życia wymagało wiele zadumy i uwagi, przemyślenia najdrobniejszych szczegółów, traktowało bowiem o miłości, a o niej nie wolno przecież pisać byle jak, na chybcika. Zwłaszcza jeśli miała to być proza odkrywczą, świadcząca o wielkiej erudycji autora, przewrotna, miejscami wręcz obrazoburcza, lecz zawsze ambitna i z klasą, a nade wszystko trzymająca się z dala od zdradzieckiego bagniska stereotypów. Żadne tam : „M łoś ć ci wszystko wybaczy”, tylko seks, kłamstwa i płyty DVD.

Fabulę pierwszego z dziesięciu planowanych opowiadań obmyślił już dawno, w przerwie między produkowaniem haseł reklamowych i redagowaniem bzdurnych broszurek, w których zachwalał pod niebiosa zalety golarki do swetrów albo plastry na odciski. Była ona, był on, a między nimi wyładowania elektrostatyczne, wybuchy zwierzęcego pożądania oraz ekwilibrystyka w scenografii dowolnej. Gdzieś obok snuł się

jeszcze wątek polityczno – kryminalny demaskujący zbrodnicze, korupcyjne układy i zakłamanie współczesnego świata. Krótko mówiąc – murowany przebój.

Jednak już w trakcie pisania problemem nie do przeskoczenia okazały się tak zwane momenty. Konrad nie zamierzał popełniać ani podręcznika ginekologii dla opornych, ani łzawo – ckliwego romansidła, ani tym bardziej scenariusza filmu porno, utknął więc na amen. Aż którejś bezsennej nocy, kiedy leżał w łóżku i wpatrywał się tępo w świeżo odmalowany sufit, spłynęło na niego oświecenie. Delikatnie wyjął Zmorę spod pachy, złapał szlafrok, laptopa i popędził do biblioteki, z mniejszym lub większym sukcesem omijając po drodze wszechobecne worki, wiadra i puszki.

Nie pamiętał już, z którego regału Szymon wygrzebał niepozorne, skromnie oprawione książeczki. Okazało się wtedy, że poprzedni właściciele domu zbierali nie tylko rodzimą i światową klasykę literatury pięknej czy opasłe rozprawy filozoficzne, ale też powieściidła z gatunku, delikatnie mówiąc, dość frywolnych. Plagiat oczywiście nie wchodził w grę, Konrad wszak miał coś na kształt godności, po prostu rozpaczliwie szukał źródła natchnienia. I oto je znalazł, w ilościach hurtowych – bez namysłu zgarnął od razu pół półki. Włączył laptopa, otworzył nowy dokument i zaczął przeglądać tomik za tomikiem, jednocześnie robiąc notatki. Wena zapukała do wrót jego umysłu, proponując na zgodę kilka całkiem znośnych zdań.

Godziny mijały, Dzieło Życia rosło jak na drożdżach, a zdrętwiały z zimna i bezruchu Konrad przeżywał literacką ekstazę.

— A cóż to za ustrojstwo?... — zaszepotało mu tuż za uchem.

Miło było, ale się zmyło. Konrad pomachał wienie na

pożegnanie.

— Może kakao? Gorące. – Szczęsny postawił termos między książkami. Niemal przytknął nos do monitora. – O, miga! Jak cudacznie...

— Chcesz oślepnąć? – Odsunął go delikatnie na bezpieczną odległość. – To się nazywa komputer i służy mi do pracy. Taka... taka maszyna do pisania, rozumiesz? Tylko na prąd. I zużywa mniej papieru, przynajmniej teoretycznie. Nie, bardzo proszę, nie naciskaj tego klawisza. Tego też nie, bo skasujesz wszystko, co napisałem...

— Ach, ty tworzysz? – Panicz w okamgnieniu stracił zainteresowanie dziwną, migającą machiną. – Cóż za zrządzenie losu! Właśnie kończę poemat dygresyjny w dziewięciu pieśniach oktawą, może zerkniesz? Mam też, jeśli wolisz, trochę drobnych liryków...

— Nie, dziękuję bardzo – wtrącił Konrad, na wszelki wypadek wyłączając laptopa. – Z pewnością są świetne, ale ja się zupełnie nie znam na poezji. Piszę opowiadania.

— Ach, prozaik! No tak! A o czym piszesz, jeśli wolno zapytać?

— Cóż... — nabrał tchu – o codzienności, tej najbardziej przyziemnej, brutalnej, o brudnych interesach, ciemnych sprawkach i układach, no i przede wszystkim o trudnej, wynaturzonej miłości w dzisiejszych czasach moralnego skarlenia i zarazy.

Szczęsny zamarł. Plik wygniecionych papierzysk, które zdążył wygrzebać z kartonu pod oknem, zaszeleścił w jego drżącej dłoni. Dramatycznym gestem panicz chwycił się za serce i westchnął głęboko raz, a potem drugi, po czym opadł na krzesło.

— O miłości?... — wyszeptał. – Jakież to musi być piękne i smutne zarazem... Ach, młodości mojej niebo i tortury!

— Że co proszę?

Co rusz wzdychając, panicz przybrał zboląły wyraz twarzy, a następnie w geście głębokiego zamyślenia i troski oparł głowę na zwiniętej w pięść dłoni.

— Znasz ty żywot Heloizy?... Znasz ogień i łzy Wertera? – odezwał się ponuro po chwili jakże wymownego milczenia. – Niepomny ostróg przez bliskich czynionych, ja, kochanek przez sen tylko widzianych mamideł, bujałem po zmyślonym przez poetów niebie...

Brwi Konrada chyba też chciały się pobujać, acz nieco niżej i z dala od wszelkiej poezji. Powędrowały powolutku w górę czoła.

— Wybacz, chyba nie nadążam. Możesz mówić jaśniej? Najlepiej prozą?

— ...sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem – ciągnął Szczęsny niezrażony zupełnie – szukałem tej boskiej kochanki... — zaczerpnął tchu i popłynął na całego. Nie zauważył nawet, że jego słuchacz, zamiast pisać i łkać z zachwyty, wymknął się z biblioteki.



Potem było już tylko coraz gorzej. Przyszło jesienne ochłodzenie, a wraz z nim obrzydliwa, nieustanna siąpanina i wielogodzinne posiedzenia nad stawem musiały się skończyć. Za dnia budowlańcy stawali na rzęsach, by w Lichotce przypadkiem nie zapadła cisza; na domiar złego utopce zawzięcie próbowały na powrót zagnieździć się akurat w tej łazience, w której właśnie trwał remont, i trzeba ich było pilnować jak oka w głowie. Nocą zaś pałeczkę przejmował Szczęsny. Zestaw małego hafciarza dawno schował za szafę i przeistoczył się w poetę pełną gębą. A

to szlochał, a to znów grzmiał o niewinnej miłości, co wiecznych mąk niegodna, na przemian lamentował i recytował w przypływie twórczego szału. Czasem, gdy się rozochocił, wisiał Konradowi nad głową i grzebał mu w notatkach, służąc życzliwą radą. Mnóstwem życzliwych rad.

W rezultacie Romańczuk poczuł zbliżające się wielkimi krokami załamanie nerwowe i rozpaczliwie zapragnął porozmawiać prozą z kimś życzliwym. Po krótkim namyśle wdrapał się na wieżyczkę anioła.

— Alleluja – powitało go Licho, które właśnie wywlekało odkurzacze ze schowka. Bamboszki przezornie zmieniło na o wiele łatwiejsze do umycia gumowce, a na głowie miało gustownie zamotaną chustkę w kwiatki.

— Słuchaj, Licho... — zaczął, rozglądając się za jakimś krzesłem, żadnego jednak nie znalazł, przysiadł wobec tego na odwróconej do góry dnem miednicy. – Wspominałś kiedyś, że panicz się zastrzelił czy coś w ten deseń... A wiesz, skąd on się w ogóle wziął w Lichotce?

— Apsik. Pewnie, że wiem. Któregoś lata przyjechał do nas na wakacje, wypocząć, sił do dalszej nauki nabrać. Ale nudził się strasznie, bo to wtedy było modne. Żeby nic nie robić, a narzekać, że nudno i że nikt nie rozumie – objaśniło. – Wreszcie poszedł z tych nudów na spacer aż do wsi, co wówczas za lasem była. I tam zobaczył jakieś dziewczuszyko, alleluja, i się z miejsca na zabój zakochał. A nawet nie wiedział, jak miała na imię. Dzień w dzień łąził za nią i łąził po polach, po łąkach, w chaszczach wieczorami czyhał, choć mu Wincenty tłumaczył, że to nieładnie. Jak grochem o ścianę, nic nie docierało. Maliny jej zbierał, rwał kwiatki, wiersze deklamował...

— Pewnie poematy dygresyjne w dziewięciu pieśniach

oktawą...

— ...a ona i tak go nie chciała – trajkotało jak nakręcone – no to się wziął i zastrzelił w kapuście.

— Alleluja!

— No właśnie nie alleluja, alleluja! – Licho tupnęło kaloszem. Z efektem, trzeba przyznać, mizernym. – Następnego roku ludzie z wioski wybrali się na cmentarz, odczyniać tradycyjne gusła. I tak się złożyło, że ta dziewczucha na jednym grobie przycupnęła, bo ją nogi bolały czy coś, a tam akurat Szczęsnego pochowali. No i wtedy Szczęsny z grobu powstał i znów zaczął za nią łązić.

— A ona co?

— Duchowi jego dała w pysk i poszła.

— No patrz, na to bym nie wpadł...

Metoda wydawała się kusząca, mimo że Konrad na ogół stronił od przemocy. Niestety, sam wyprowadzać się nie chciał, a zgodnie z postanowieniami testamentu nie miał też prawa wyrzucić z Lichotki żadnego dożywotnika, choćby ten był upierdliwy niczym wrzód na rzyci, zatem mordobicie odpadało. Panicz musiałby odejść sam, z własnej woli.

Egzorcyzmem go! Egzorcyzmem! – podszeptała niestrudzona siła wyższa, którą utarczki prozaika z poetą zaczynały bawić do rozpuku.



— Nie, panie – zahuczał spod maski poloneza Szymon. – O egzorcyzmach możesz pan zapomnieć. Już próbowali, nie pomogło. Szczęsny się stąd wynosić nie zamierza.

— Przecież ja się przez niego wykończę! – Romańczuk jęknął z rozpaczą. – Nie daje mi ani spać, ani pracować, tylko plecie o

jakimś braterstwie dusz, o talentach i topieniu się w rzece. Miałem w zeszłym tygodniu wysłać tekst, już nie wiem, jak się tłumaczyć przed agentką, że jeszcze nie skończyłem...

— No, przyznaję, do tej pory Szczęsny nikogo aż tak nie męczył, ale co pan chcesz zrobić? Zastrzelić drugi raz nie ma jak, przecież to widmo, widma pan nie ubijesz. Żeby była jasność – próbowałem, więc wiem, co mówię. W świat też nie pójdzie, choćby nawet chciał, ot, siła wyższa, że w Lichotce uwiązany.

Tak jest, potwierdziła siła wyższa. Uwiązany jak pies, dalej niż za las nie polezie. Jam to, nie chwając się, sprawiła.

— A wszystko przez durną babę. Nie miała gdzie kupra posadzić, ech... Szkoda gadać. – Machnął ręką. – Jak już wylazł z grobu, to go pan z powrotem nie wepchniesz. Mogę tylko współczuć. Ale głowa do góry! – zakrzyknął na widok coraz bardziej rzednącej miny Konrada. – Jeszcze tydzień i chłopaki skończą remont, wyjadą, od razu się ciszej robi. Licho w te pędy zagoni wszystkich do sprząwania i Szczęsny da panu odetchnąć. No, a prędzej czy później zupełnie mu się znudzi.

Naprawdę niewiele brakowało, by Konrad rozplakał się jak dziecko.

Przecież już był w ogródku, już witał się z gąską... Druk miał zapewniony, agentka bowiem nie próżnowała, wystarczyło wysłać tekst mailem. Fabuła bezustannie kotłowała mu się we łbie, o niczym innym nie myślał, tylko o pisaniu, pragnienie pisania aż go nosiło, rozsadzało od wewnątrz. I co z tego, że od ciągłego ślęczenia przed komputerem ledwo widział i czuł niepokojący ucisk w krzyżu, a od dawek kofeiny, które sobie codziennie aplikował, zawału dostałoby nawet stado słoni? Co z tego, że w zastraszającym tempie zmieniał się w upiora? Jeden mniej, jeden więcej, w Lichotce miejsca nie brakowało.

Obłąd w przekrwionych oczach mężczyzny pomachał do Szymona wesoło.

— A dużo panu roboty zostało?...

Nie, w zasadzie sama końcówka. No i jeszcze całość przejrzeć, ale to już drobiazg.

— Więc nad czym pan tak dumasz? Bierżże tego laptoka, wsiadaj w tico i jedź. Staniesz pan na jakimś poboczu, napiszesz sobie co trzeba, a ja tu w tym czasie bajzlu popilnuję.

— Ale utopce... ale remont... — próbował protestować, nadaremnie. Został wciśnięty bez ceregieli za kierownicę tico, na siedzeniu obok wylądował komputer, termos z kawą, rękawiczki i kurtka.

— Tylko pamiętaj pan, co kiedyś mówiłem. – Kusy przytrzymał drzwi od strony pasażera i zajrzał do samochodziku. – Ja w Lichotce po zmroku nie zostaję. Nigdy, słyszysz pan? Nigdy!



Tuż przed północą skulona postać zakradła się na piętro. Chyłkiem zajrzała do sypialni – Konrad spał jak zabity, obok chrapała Zmora w pozycji rozjechanego kota. Dobrze. Bardzo dobrze. Postać wycofała się na palcach do przedpokoju, zamykając za sobą drzwi, po czym otworzyła sekretarzyk.



Gdzieś między obfitym śniadaniem a zażartą dyskusją o sposobie ułożenia parkietu w holu – kwadraty czy jodełka? podwójna czy potrójna? – Konrad wysłał wreszcie maila z tekstem. Nie miał nawet czasu, by napawać się tą chwilą,

wystarczyło parę kliknięć – napisz, adresy, załącz, folder, otwórz, wyślij. Bez tematu, bez treści. Niebieski pasek dostarczania wiadomości szybko przeleciał od zera do stu procent i zniknął.

Rewolucja estetyczna w Lichotce powoli dobiegała końca. Nadmiar gotyckości zniknął, ku niewyobrażalnej uldze pana domu. Pokoje, łącznie z tym w wieżyczce, były odnowione, a weranda zamieniła się w szklaną pułapkę, na której mieszkańcy mogli odtąd spędzać czas bez względu na aurę czy porę roku.

— No, już widzę, jak Licho leci na złamanie karku, żeby te nowe szybki wypucować – zaśmiał się Szymon. Przysiedli na leżących przed wejściem paczkach styropianu.

— Roboty mu na pewno nie zabraknie, czeka nas jeszcze cyklinowanie. Tak sobie myślałem... Licho samo nie da rady ze sprzątnięciem po tym piekle, może by kogoś wziąć do pomocy, co?

— Jak to samo? A my dwaj?

— A my dwaj będziemy się bawić z gruzem i resztą tego śmietniska, co zalega przed domem, za domem i obok domu. Zresztą dni są coraz krótsze, a pan zawsze wyjeżdża przed zmierzchem – dodał z przekąsem Konrad. – Nic dziwnego, też bym zwiewał, gdybym mógł, bo już mi się koszmary wierszem śnić zaczynają... Szczęsnego z miotłą i ścierą jakoś sobie nie wyobrażam, Krakery nie wszędzie sięgnie, czyli musimy kogoś zatrudnić do pomocy, powiedzmy, na tydzień. No, nawet na dwa. Inaczej Licho się zaharuje.

— Szanuj anioła swego, bo nie dostaniesz nowego.

— No... coś w tym rodzaju.

Rozległa się cicha, natrętna melodyjka. Obaj mężczyźni złapali się za kieszenie.

— To mój, to mój! – Konrad zerknął na wyświetlacz. Dzwoniła agentka, czym prędzej odebrał, zanim włączy się poczta głosowa.

– No cześć! Dostałaś tekst?

— Czy dostałam? Ależ oczywiście, że dostałam, inaczej bym nie dzwoniła.

— I jak? Podobało ci się?

Odetchnęła ciężko.

— Słuchaj, Konrad. Nie wiem, co popijałeś w trakcie pisania, ale kompletnie ci to nie służy, więc lepiej zmień trunek. Coś ty mi tu za chłam przysłał?

— Nie rozumiem. Przecież miałaś konspekt...

— Ależ oczywiście, że miałam! – zaszleściła papierami. – Mam go nawet teraz przed oczyma, tylko jakoś nie widzę tu ani strzelca Waclawa, ani Malwetty, ducha łąk!

— Czego!?

— Malwetty, ducha łąk – powtórzyła. – Panienki w przejrzystym giele, która uwodzi dzielnego strzelca i doprowadza go do obłądu, a potem zmienia w... czekaj... w co ona go zmienia?... No, nieważne. Na litość boską, Konrad, przecież to jest bełkot! Sentymentalny, łzawy, drętwy bełkot z unhappy endem ! Czyś ty kompletnie oczadział na tej prowincji?! OK, przyznaję, wstawki wierszowane wyszły ci całkiem nieźle, nie wiedziałam, że jesteś też poetą, ale to całe latanie po łąkach i pierdu – pierdu, jak to on ją kocha, a ona go nie bardzo...

— Zaraz wyślę ci jeszcze raz – wydusił Konrad, którego olśniło i rozłączył rozmowę.

Szlag go na miejscu trafił, krew jasna zalała i furie różnorakie zaczęły nim targać.

— Panie Romańczuk, coś pan tak spurpurowiał?... Spurpurowiały pan Romańczuk nie odpowiedział.

Wpadł do biblioteki jak burza z gradobiciem, strasząc po drodze robotników i Bogu ducha winną Zmorę.

— To twoja sprawa?! – ryknął niczym ranny łoś. – Mów albo skopię ci nagrobek!

Szczęśny roześmiał się perliście. Wielkopańskim gestem odłożył pióro na stertę papieru, którą właśnie kończył zapisywać kolejnym poematem, tym razem opisowym.

— Gwoli ścisłości, mój nagrobek dawno porosły mchy i paprocie. Trudno będzie go znaleźć.

— Już ty się nie martw, dam sobie radę! Grzebałeś w moim tekście, tak?

— Owszem, wiedziony ciekawością postanowiłem rzucić okiem – przyznał bez wahania, wręcz z dumą – i uznałem za słuszne wprowadzenie pewnych niezbędnych zmian.

— Jakim prawem?!

— Ależ Konradzie! – Panicz, dotychczas nonszalancko rozwalony na krześle, aż się wyprostował. – I ty jeszcze pytasz? Nie opisałeś miłości, jeno chuć lubieżną! Odartą z wszelkiego piękna żądzę! Albowiem miłość prawdziwa to wieczny ogień, co duszę trawi nawet i po śmierci, a człowiek, miast pożar gasić, pragnie wzniecić płomień jeszcze wyższy, jeszcze gorętszy! To bunt dwóch serc nieskalanych przeciw podłemu, przyziemnemu światu! To męka wiecznego nieszczęścia i niespełnienia! To cierń zatruty, który...

— Uświadom mnie, jeśliś łaskaw – wycharczał – co może wiedzieć o miłości nastoletni gówniarz, który przez kilka tygodni łąził za wiejską babą, aż w końcu palnął sobie w łeb, bo go nie chciała, a potem jeszcze od niej w pysk po śmierci dostał?

— Och, wiele... — Panicz nie załapał ironii.

— Nic, kompletnie nic! – warknął na to Konrad. – Dla ciebie miłość kończy się tam, gdzie dla normalnego człowieka dopiero się zaczyna! Za morzem łez, za tymi „och” i „ach”, za

weltschmerzem, za kulą w czaszce, za smętnymi wierszydłami i badyłami zrywanymi na łące! Tam jest życie, szare, nudne, ale prawdziwe. Prawdziwsze niż ta twoja miłość!

— Widzisz świat w proszku... — Oburzony duch poetycki Szczęsnego uruchomił trybiki, lecz Konrad natychmiast walnął w przycisk „stop”.

— Przestań wreszcie pieprzyć! Chcesz sobie wzdychać, roztrzasać do końca świata, czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie, i wypisywać brednie w dziesięciu...

— ...dziewięciu...

— ...nieważne ilu pieśniach oktawą, proszę bardzo! Ale tknij jeszcze raz mój komputer, mój tekst albo cokolwiek innego z moich prywatnych rzeczy, a przysięgam, że znajdę twój grób i będę na nim urządzał dzikie orgie! Co tydzień! – Huknął kościstą pięścią w stół i na ułamek sekundy ujrzał gwiazdy. – O żesz... I wtedy poznasz nie jedno, nie dwa, ale dziesiątki oblicz miłości, o jakich ci się nawet nie śniło! A teraz precz z moich oczu!

— Posłucham od razu! – Wielce i celnie urażony prosto w godność osobistą panicz, zafurczawszy fraczkiem, wymaszerował z biblioteki dostojnym, przynajmniej z założenia, krokiem prosto między robotników.

— Ty, co za kolo! W getrach!

— He, ale cudak, he, he. Panie, karteluszką się panu zgubiła! – dobiegło z korytarza.

Konrad wyteżył muskulaturę i z lubością pieprznął drzwiami.

Nim zdołał udobruchać agentkę dość pokrętnymi wyjaśnieniami i przezornie zgraną na piórku kopią właściwego tekstu, zrobiło się ciemno i w Lichotce zapadła cisza jak makiem zasiał. Nie mając już nic ani do stracenia, ani do roboty, Romańczuk wygrzebał skądś ostatnią butelkę zeszłorocznej

pigwówki i najzwyczajniej w świecie urznął się w trupa. Tuż przed świtem szczerze zatroskane Licho znalazło go śpiącego pod bibliotecznym stołem i jakimś sposobem zawlokło do sypialni.



— Jest to pasterka z gwiazd sioła, kosz na głowie, w koszu kwiaty i twarz anioła...

Trzymający mocno w objęciach miche Konrad, siedzące na szafce i powolutku sypiące startą skórę cytrynową Licho oraz Krakers, mieszający z zapalem krem, zastygli w bezruchu niczym kulinarna grupa Laokoona.

— Jako motyl płocha, powiewna... Może jakaś zaklęta królewna?... — ciągnął Szczęsny, który od rana sterczał przy kuchennym oknie, przyssany do szyby niczym przerośnięty glonojad. Na zewnątrz ekipa remontowa pakowała manatki do poobijanego żuka, nie ona jednak przykuła uwagę panicza.

Z naprzeciwka, piaszczystą drogą nadciągał fragment krajobrazu.

— A niech mnie, Las Birmański... — wyrwało się Konradowi.

— Nie, to Marianna – stwierdził anioł. – Dzisiaj zaczynamy sprzątać. Kręć dalej, Krakers, bo się krem zwarzy.

— Znacie ją?

— Uhm. – Licho wpakowało paluszek do kremu i oblizało z widocznym zadowoleniem. – Od maleńkości, apsik.

Dziewczę trzęsące się na rowerze było już pod domem. Na głowie miało słomiany kapelusz z szerokim rondem, spod którego powiewały dwa grube, przaśne warkocze. Niżej błękitniał puchaty sweterek z pętelkami i zieleniły się wściekle

obcisłe geterki. Całości dopełniały trampki w pastelowe kwiecie i plecaczek ze sztucznej skóry, mocno już zużyty.

Z gracją baletnicy dręczonej przez podagrę Marianna zeskoczyła z siodełka i demonstrując pełnowymiarowość swej sylwetki, przemaszerowała przez werandę i hol wprost do schowka pod schodami.

— Twarz jaśniejąca, usta jak korale!... — Panicz był bliski wniebowzięcia. – Aniele!...

Jeden anioł, tu i ówdzie mocno opływowy, wbił się w podomkę i powędrował z wiadrem do łazienki, drugi zaś otrzepał ręce z resztek skórki cytrynowej.

— Apsik! – tym razem nie kichnął, tylko odpędził Zmorę dobierającą się do pudełka kakao. – Alleluja, gdzie są biszkopty?

Macka wypełzła zza klapki w drzwiach i podała szeleszczącą paczkę. Panicz tymczasem wzdychał jak zepsuty parowóz, wodząc bawolim wzrokiem za Marianną.

Coś na kształt pomysłu zakiełkowało w umyśle Konrada.

Nie, to było zbyt oczywiste, by mogło zadziałać. Zdecydowanie. Zresztą na pewno któryś z kolejnych właścicieli Lichotki wpadł już na ten pomysł i próbował go wprowadzić w życie. Bezskutecznie, skoro widmowy panicz wciąż się pałętał po domu. Ale z drugiej strony, zastanawiał się dalej Romańczuk, najtrudniej znaleźć najprostsze rozwiązania, a te z kolei sprawdzają się najlepiej, bo niewiele w nich można spieprzyć.

Pomysł zapuścił korzenie sięgające co najmniej jądra Ziemi i wziął się żwawo za wypuszczanie pąków.

Niedawno umyta szyba zdążyła już zaparować od nieustannych westchnień Szczęsnego. Wreszcie odkleił się od niej, by niczym okręt na żaglach wiatrem wzdymanych odżeglować z kuchni do holu, gdzie pasterka z gwiazd sioła,

przez normalnych ludzi zwana Marianną, moczyła i energicznie wyżywała nieokreślonej barwy szmatę.

Całodobowy zakaz wstępu do biblioteki okazał się dla niego bardzo dotkliwą karą, mimo że trwał dopiero od czterech dni; znacznie dotkliwszą niż hasło blokujące dostęp do laptopa oraz skrupulatne racjonowanie papieru. Wskutek tych represji – tak, represji, wszak karze się tylko winowajców – panicz nudził się jak mops. A co gorsza, nudził się zwyczajnie, prozaicznie i absolutnie nie z własnej woli, czyli zupełnie inaczej niż zwykle. Głupiutkie, prostolinijne Licho proponowało grę w bierki albo domino, Krakers podsuwał świeżo upieczone ciasteczka z kawałkami czekolady, jakby pusta zabawa i smakołyki mogły zastąpić utraconą rozkosz czytania. Pośmiertne życie bez książek było niewyobrażalną katuszą.

Aż pojawiła się Ona – przez bardzo duże, okrągłe O.

Duchem w obłokach, ciałem na schodach Szczęsny przyglądał się, jak jego anioł z tęczy i alabastru wdrapuje się po drabinie, by zdjąć brudne klosze z żyrandola.

Z kuchni wyszedł upačkany kremem Konrad. W dłoniach ścisnął kubek parującej kawy.

— Co porabiasz? – zagaił tak niewinnie, jak tylko potrafił.

— Serce bije gwałtownie, oddechem nie władne, iskry czuję w żrenicach, a na twarzy bladnę... — wybełkotał panicz.

— Tak, właśnie widzę. Słuchaj... nie masz czasem wrażenia, że wzywa cię los? Że jakaś siła, najwyższa istota, emanacja... eee... absolutu przygląda się twojemu życiu i... — wyteńczył umysł, nieprzyzwyczajony do snucia bredni – ...wiedziona jakimś nieodgadnionym kaprysem... — o tak, to było dobre – postanawia dać ci jeszcze jedną szansę?

Bardziej łopatologicznie się nie dało, co? – siła wyższa

parsknęła śmiechem. Ech, jak ludzie już coś wymyślą... Za grosz profesjonalizmu.

Ale Szczęsnemu to wystarczyło, nie był zbyt wymagający. Niemalże eksplodując euforią, wlepił roziskrzone ślepią w Konrada.

— Ach, zbawco! – zapał. – Otm odnalazł duszę przed wiekami utraconej kochanki, w ciało nowe a wdzięczne przyobleczoną! Och, łaskawy losie! Nadzieja powróciła do zboląłego serca mego!

— Więc na co jeszcze czekasz? Zasuway na górę, weź sobie parę kartek z sekretarzyka i napisz jakąś odę albo sonecik. Dzisiejsze dziewczyny uwielbiają, gdy się je romantycznie bajeruje. Nie, to jest stanowczo zbyt proste... — mruknął pod nosem, odprowadzając wzrokiem pędzącego po schodach panicza.

Ano – zgodziła się z Konradem siła wyższa. Głupi ma zawsze szczęście.

— Pucu – pucu, chlastu – chlastu, nie mam rączek jedenastu, tylko dwie mam rączki małe, lecz do prania doskonałe – nuciła Marianna, szorując na klęczkach podłogę ciężką, ryżową szczotą. Mop, wymysł leniwiejącej w zastraszającym tempie ludzkości, okazał się bowiem bezradny wobec warstwy narosłego podczas remontu brudu.

Pokoik w wieżyczce lśnił już czystością, podobnie główna sypialnia z przyległościami na piętrze. Jeszcze korytarz i dziewczyna mogła brać się za sprzątanie parteru. Nic nie wskazywało na to, że święty spokój, który miała od paru dni, dobiegał końca.

Nic nie zapowiadało koszmaru.

— Pucu – pucu, chlastu – chlastu – nuciła w kółko, nie

pamiętała, jak to dalej szło. Centymetr za centymetrem cofała się w stronę schodów, a w ślad za nią szurała szczotka, pryskając obficie pianą. Całkiem nieźle szła im ta współpraca, aż do momentu, gdy Marianna uderzyła w coś niestosownie wypiętym kuprem. Odwróciła się.

Najpierw zobaczyła wyglansowane na wysoki połysk laczki, a wokół nich listki, płatki i inne paprochy oraz nieco zeschniętego błočka. Coś w niej, tam, w środku, w duszy bodajże albo w okolicach żołądka, zazgrzytało. Podniosła głowę i spojrzała na niebieskie spodnie z gustownym fraczkiem, żółtą jak fluorescencyjny mazak kamizelkę oraz potężną wiecheć roślinności, której jesienna aura nie zdążyła załatwić.

— Kobieta rodzi się gwiazdom podległa i kwiatom – zagaił panicz, zachęcająco podtykając dziewczynie sypiącą się, kwiatowo – liściastą kompozycję. Sterczała z niej nawet jedna czy dwie pokrzywy.

Marianna zamruwała.

Szczęśny westchnął. Uznał, że powinien wyrazić się nieco jaśniej, bardziej bezpośrednio, wszak dziewczę było dość proste.

— Ledwie cię zobaczył, jużem się zapłonił – oznajmił roznamiętnionym głosem – w nieznanym oku dawnej znajomości pytał.

Marianna znowu zamruwała. Trochę jej było niewygodnie, tak na klęczkach, z tyłkiem w górze i dziwnie wykręconą szyją, ale bała się ruszyć, żeby panicza bardziej nie rozochocić. A bo to wiadomo, co takiemu dziwakowi do łba strzeli? Piany na pysku dostanie albo co? Nie pierwszy raz gościła w Lichotce, ale do tej pory los oszczędził jej bliższych spotkań ze Szczęśnym, który bardzo rzadko opuszczał bibliotekę, chyba że nocą. A matula zawsze powtarzała, że doczeka świeczka wieczoru, i proszę

bardzo, Marianna naprawdę się doczekała, choć nie była świeczką, a na niebie w najlepsze świeciło słońce. Stała z obłąkanym paniczem twarzą w twarz czy raczej twarzą w pośladki.

— Choć w ubraniu... eee... sprzątaczkę, widno, żeś królowa! Pozwól, dziewico łaskawa, bym wyrecytował parę strof, które na tę doniosłą okoliczność ułożyłem. Choć uszu twych niegodne, ze szczerego, kryształowo czystego serca wprost płyną!

Królowa Marianna, dziewica łaskawa, nie mając specjalnie innego wyjścia, wróciła do szorowania – samo się zrobić nie chciało, a wydawało się o niebo bezpieczniejsze niż próby nawiązania dialogu z maniakiem we fraczku. Szczęsny zaś, również nie mając innego wyjścia, po chwili konsternacji wcisnął wiecheć pod pachę, wyszarpnął zza pazuchy gruby zwitek papieru, rozłożył i zaczął odczytywać wiersz za wierszem.

Dziewczyna szorowała, panicz deklamował, wiecheć się kruszyła i tym sposobem powolutku, niespiesznie przebyli cały korytarz, schody, hol i dotarli do kuchni.



Licho nie grzeszyło rozumem. Tak na dobrą sprawę nie grzeszyło też niczym innym, rozum bywał jednak w życiu naziemnym przydatny. W zasadzie dość łatwo dało się przekonać, że Marianna poradzi sobie ze sprzątaniem domu i wcale a wcale nie trzeba jej pomagać. Także bez większych protestów założyło kaloszki i pelerynę przeciwdeszczową, wystarczająco obszerną, by przykryć skrzydła, i polazło z Konradem na długi spacer po okolicznych lasach. Zajęte zbieraniem grzybów oraz pilnowaniem ciekawskiej Zmory, która

postanowiła im towarzyszyć, nie zauważyło, że mężczyzna ciągle się za czymś rozgląda.

Gdzieś po czterech dniach takich spacerów Licho nabrało podejrzeń. Nigdy wcześniej tego nie robiło, nie miało żadnej wprawy, tropiło więc podgrzybki w wielkiej zadumie. Wreszcie zdobyło się na odwagę i postanowiło zadziałać.

— Pan coś, alleluja, kombinuje – rzekło do Konrada, który właśnie wylazł z jakiejś strasznej plątaniny chaszczy. Staralo się zrobić wrażenie bardzo zasmuconego i stanowczego jednocześnie, aczkolwiek nie wzięło pod uwagę faktu, że wygląd trochę mu wchodzi w paradę. Owszem, peleryna świetnie maskowała skrzydła, ale poza tym była zdecydowanie zbyt wielka jak na jedno małe Licho. Przypominało w niej miniaturową, czerwoną parolotnię w kaloszkach, z wiklinowym koszykiem i zdecydowanie za dużym kapturem, bez przerwy opadającym mu aż na nos. Tyle dobrego, że chociaż podwinęło sobie rękawy.

— Dlaczego tak sądzisz? – zdziwił się obłudnie Konrad; próbując uwolnić spodnie z wyjątkowo upartego i spragnionego kontaktu z człowiekiem krzaku jeżyny.

— Pan nie pozwala mi sprzątać, tylko każe snuć się po lesie i zbierać grzyby. – W głosie anioła dominował nieśmiały wyrzut.

— Owszem, bo wychodzę z prostego założenia, że zimą możemy ich już nie znaleźć.

— Ale pan czegoś szuka. Oprócz grzybów, alleluja – dodało. – I ja czuję, że pan mnie robi w balona.

Nagle okłamywanie zasmarkanego Licha wydało się Konradowi szczytem draństwa.

— No dobra – wyrwał nogę z objęć zaborczego krzaka – niech ci będzie. Ale nikomu ani słowa, słyszysz? To będzie taka nasza

tajemnica, obiecaj!

— Obiecuję, apsik.

— Widzisz, drogie Licho, usiłuję odnaleźć grób Szczęsnego.

Anioł podniósł opadający kaptur.

— A po co?

— Eee... kiedyś mu to obiecałem. – Jakby nie patrzeć, mówił prawdę. Nie całą, ale jednak prawdę. – Że znajdę i... zajmę się... jego grobem...

Licho uśmiechnęło się od ucha do ucha.

— Przecież to zupełnie gdzie indziej. O tam – pokazało łapką – kawałek za szosą, między takimi brzózkami. Ja pana zaprowadzę i będziemy mogli wreszcie wziąć się za porządne sprzątanie, alleluja!

Dojście na miejsce zajęło im dużo mniej czasu niż zdjęcie Zmory z drzewa, na które nieopatrznie się wspięła, zapomniawszy, że jest kotem kanapowo – naręcznym, a w pniach nie ma schodów, tylko jakieś dziwne gałęzie. Marne resztki wiejskiego cmentarzyka nie rzucały się w oczy i bez pomocy anioła Konradowi bardzo trudno by było na nie trafić, a do położonej na uboczu, zapadniętej mogiłki nieszczęsnego panicza nie dotarłby zapewne nigdy. Zatartych liter nie dało się już odczytać, w dodatku zaczął padać nieprzyjemny deszcz.

— Apsik. Mam wodę w kaloszkach – poskarżyło się Licho.

Spod jego niedopiętej pelerynki wyrzała kocica. Miauknęła w stanowczym proteście przeciw obrzydlistwu lecącemu z nieba. Rad nierad, Konrad zarządził powrót do domu.



Lichotkę zagrzybiło. Pod okapem wisiały dziesiątki sznurków,

na których suszyły się grzyby. W garnku na kuchence pyrkła cicho potrawka grzybowa z czosnkiem i śmietaną. Stół i szeroki parapet zajmowały słoiczki pełne podgrzybków w marynacie. Kolejny koszyk grzybów sprawił Krakera w nerwowe drżenie macek.

A na obiad znowu była zupa grzybowa.

Zmarznięty anioł przydreptał do kuchni w bamboszkach i flanelowym szlafroku i zabrał się do jedzenia, co rusz kichając.

— Smacznego – skrzywił się Konrad, odsuwając dyskretnie talerz. – Chcesz moją porcję?

Ze spiżarki dobiegł groźny bulgot.

— Wybacz, Krakers. Naprawdę świetnie gotujesz, ale nie mogę już patrzeć na grzybową. Na samą myśl niedobrze mi się robi.

— Przecież sam żeś pan zbierał – zauważył Szymon między jedną łyżką zupy a drugą. Jemu akurat było wszystko jedno, czy je grzybową od tygodnia, czy od dwóch. Wełna, nie wełna, byle gęba pełna.

— Bo zbierać lubię, gorzej z jedzeniem... O, wielkie dzięki. – Macka wręczyła mu miseczkę z czerwonym barszczem z torebki.

Opróżniając drugi talerz, Szymon zerkał spode łba na Licho, które wzięło się za zmywanie. Poczekał, aż anioł skończy i wyjdzie z kuchni, i dopiero wtedy się odezwał.

— Panie Romańczuk, co pan knujesz?

— A czemu niby miałbym knuć? Coście się dzisiaj tak wszyscy uwzięli?

— Nie zgrywaj pan niewiniątka – pogroził mu łyżką. – Ciągasz pan Licho po lasach, mnie wysyłasz do miasteczka po różne pierdoły, byle dzień w dzień Marianna sama w domu zostawała.

— Jaka tam znowu sama! – zachnął się Konrad.

— Ano właśnie! Gorzej niż sama, bo ze Szczęsnym! Widziałeś

pan, jak on za nią łązi?

— No łązi i co z tego? Też mi nowość, chłopak łążący za dziewczyną! Wielkie mecyje! Co on, trędowaty, nie wolno mu czy jak?

— A pan co, Boga w sercu nie masz? Przecież on ją zamęcza! Jakieś durnoty wygaduje, badyle z pól znosi, że o błocie nie... — urwał naraz. Intensywne procesy myślowe odmalowały się na jego spoconej twarzy. — Znowu to samo...

— A co takiego? – zapytała chodząca niewinność, nabożnie posilając się barszczykiem.

Kusy zmarszczył brwi.

— Już pan wiesz, co. Doskonale pan wiesz, panie Romańczuk.

Przez parę minut w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Czując, że coś wisi w powietrzu, Krakers ostrożnie zebrał naczynia ze stołu i ułożył w zlewie, a sam schował się w spizarce między puszkami.

— Szczęsny ma narąbane we łbie jak Cyganka w tobołki – zaczął Konrad. – Celem jego istnienia jest chyba utrudnianie życia wszystkim naokoło, innego powodu nie widzę. Chętnie zamurowałbym go w piwnicy albo utopił w stawie, lecz – rozłożył ręce w geście bezradności – sam pan mówił, widma ukatrupić się nie da. Bardzo nad tym ubolewam.

— Z radością pomógłbym panu ukryć zwłoki, ale co ma do tego Marianna?

— O, bardzo wiele, panie Kusy. Bardzo! Już raz Szczęsny polazł za dziewczyną, ignorując fakt własnej śmierci. Zresztą, tak na marginesie, w ignorowaniu rzeczy oczywistych jest naprawdę świetny, musi mieć naturalny talent. A teraz sądzi, że los daje mu drugą szansę na miłość, o jakiej zawsze marzył. I jeśli uwierzy na tyle mocno, by poleźć za Marianną, by z własnej,

nieprzymuszonej woli opuścić...

— Kocham, ach, kocham, po sto razy wołam! – z okrzykiem na ustach panicz wparował do kuchni i rzucił się Konradowi do kolan. – I tyleż razy dziękować będę niebiosom, że mi ciebie zesłały, pocieszycielu! Ach, to anioł wcielony, nie kobieta! Jakaż ona piękna! – Westchnięcie. – Jakaż skromna! – Kolejne westchnięcie. – Jakiż blask nieziemski od niej bije, gdy kroczy uskrzydłona słowami mej poezji!... — Wywrócenie gałami. – Ach, nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją! Że uciekać i kochać bez nadziei muszę! Ja płonę, w końcu płonę, a tyś ów ogień w duszy mej na nowo rozniecił! O, dzięki ci, dzięki, najmiłszy przyjacielu! – Uścisnął Konrada z całego serca i w te pędy czmychnął z kuchni.

— Cholera, od tej jego hysterii będę miał siniaki...

— Biedna dziewczyna – westchnął Szymon. – Nie zasługuje na to...

— Ale dlaczego biedna? Niech pan tylko pomyśli. Jak wielkiej miłości trzeba, żeby w wiejskim, mrukliwym dziewuszysku z łojotokiem, figurą kręgla i tapetą grubości centymetra na twarzy zobaczyć pięknego, skromnego anioła uskrzydłonego słowami poezji? Bo w tę jasność ani trochę nie wątpię – zastrzegł. – Sam widziałem, jak jej się gęba świeci. Panie Kusy, proszę mi wierzyć, dzisiejsze młode kobiety, takie jak Marianna, pragną mężczyzny romantycznego, wrażliwego, który nie wstydy się łez i pamięta o rocznicy pierwszego pocałunku, zabierze je na spacer przy blasku księżyca, wręczy kwiaty o jakimś tam symbolicznym znaczeniu i przeczyta wzruszający wiersz o miłości. Ale takich mężczyzn nie ma, panie Kusy, już dawno wymarli. A ci, którzy zostali, gonią za pieniędzmi, karierą i zgrabnym tyłkiem w minispódnicze.

Makiawelizm dla ubogich, nic dodać, nic ująć.

— Może i masz pan rację, ale... Ale to przecież Szczęsny, no!

— Ile czasu latał za pierwszą dziewczyną?

— Prawie dwa miesiące.

— No właśnie! A za Marianną snuje się dopiero od tygodnia. Dajmy mu szansę, panie Kusy. A nuż się czegoś przez tych dwieście lat nauczył? Niech pan pamięta – zniżył wymownie głos – że jego szczęście w amorach leży w naszym interesie. I w interesie Lichotki. Zresztą czym pan się martwi? Przecież jeszcze żaden mężczyzna nie umarł z miłości... dwa razy.



Pewnego przedpołudnia w Szczęsnym obudziła się dusza torreadora – postanowił dłużej nie zwlekać i wziąć byka za rogi. Uprzednio zadbawszy o swą powierzchowność, a zwłaszcza o frak, który od dawna wymagał spotkania z żelazkiem, i rozczochrane pukle, zaszył się w łazience na parterze, by dokończyć cykl sonetów wychwalająco – wielbiących. Nowa wiązanka roślinna, tym razem ułożona z różnobarwnych liści, stała na podłodze w słoiku po ogórkach.

Radosna twórczość nie zajęła mu wiele czasu. Tuż przed obiadem, wyposażony w zbiór liryków i bukiet, panicz ruszył na poszukiwanie nadobnej Marianny. Zdybał ją w suszarni, gdy rozwieszała dopiero co wyprane prześcieradła.

— O, moja miła sistro duszy! – zapiał histerycznie.

Dziewczyna z wrażenia upuściła plastikowy koszyk z klamerkami.

— Nie lękaj się, aniele! Pozwól, że rączęta twe ogrzeję pocałunkami miłości żarliwej!

Nawet nie zdążyła zaprotestować, a panicz już przyssał się jej do zimnych, mokrych dłoni i zaczął cmokać jak opętany.

— Tyś źrenicą oczu moich! Tyś promieniem nadziei mrok rozświetlającym! Tyś chwilą wytchnienia w znoju i bólu wszelkim! Ach, strudziłem usta daremnym użyciem! – zakrzyknął i mocno pociągnął dziewczynę, aż padła przed nim na kolana. – Do rzeczy, Marianno!... — szepnął jej płomiennie wprost do ucha. – Kochanko niebiańska... usiądziesz mi na grobie?...

— A pierścionka to ty masz? – odparła krótko i węzłowato.

— Słū... słucham?

— Pierścionka – powtórzyła. – Złotego, z oczkiem, najlepiej czerwonym. Ja tak bez niczego na żadnym grobie nie usiędę. Matula mówi, że trza się cenić, a nie od razu dla byle kogo szargać wianuszek. Bo potem to cała wieś gada i ksiądz z ambony pomstuje.

— Przebóg! – panicz jęknął rozdzierająco. – Tak ciebie oślepiło złoto!...

— A coś ty myślał, że ja głupia jestem i na byle co się dam nawlec? Gołodupcowi bez pracy i mieszkania? – wydeła pogardliwie usta. – Taki Zenek, na przykład, to na budowach robi, kasę trzepie i nawet za granicą raz był, bo on nie lada fachowiec! I bombonierki przynosi, na urodziny kupił mi taką fikuśną haleczkę, drogą, że ho, ho! I na disco jeździmy prawie co sobotę, a w święta może już damy na zapowiedzi. Za to, co mi pan Romańczuk zapłaci, każę krawcowej suknię ślubną uszyć.

Ogłuszony Zenkiem i haleczką panicz wstał, choć nogi mu się trzęsły.

— Przekłęta! – rzucił z goryczą. – Ty wydarłaś ostatnie godziny szczęścia mego na ziemi! A... a bodaj ci nóżka spuchła! – krzyknął

i uciekł, łzy lejąc rześiste.



Wracająca z lasu gromada dzielnych grzybiarzy dostrzegła w oddali telepiącą się na rowerze Mariannę.

— O, na dziś już skończyła? – zdziwił się Konrad. Trochę mu było niewygodnie, może dlatego, że na głowie miał Zmorę, którą wystraszył piekielny stwór ogniem ziejący, wyposażony w zestaw przerażających zębisk i pazurów. Gorliwe zapewnienia, że zające zwykle nikogo nie atakują i trudno je nazwać śmiertcionośnymi lub krwiożerczymi, w przeciwieństwie do chociażby Krakera, jakoś kocicy nie przekonały.

— Najwyraźniej – stęknął Szymon, dźwigający na plecach utrudzone wycieczką Licho.

Mocniejszy powiew wiatru zachwiał rowerzystką, ale nie zdołał jej przewrócić. Parła przed siebie jak czołg i po niespełna minucie zniknęła między drzewami.

Wtedy od strony domu rozległ się huk.

Peleton w te pędy ruszył do Lichotki. Na prowadzenie od razu wysunął się Konrad, broczący krwią ze skroni i czoła, w które z całych sił wpiła się Zmora, by nie spaść. Kawalek za nimi pędził dyszący ciężko i sapiący niczym lokomotywa Szymon, a na końcu truchtało Licho, próbując nie zgubić kaloszków.

W stawie, z dubeltówką w objęciach, siedział panicz z przestrzeloną na wylot głową i kiwał się na boki. Wokół niego kłębiły się wściekłe utopce i żądały bezzwłocznej eksmisji dzikiego lokatora.

— Alleluja, Szczęsny! Wyłaź, bo się na śmierć przeziębisz! – zapiszczało Licho, któremu cudownym sposobem wróciły siły, i

rzuciło się na ratunek. Zaczęło ciągnąć panicza na brzeg, utopce go wypychały i w wodzie zapanowało małe pandemonium. Posypało się pierze.

— Jestem taki nieszczęśliwyyy! – darł się z błogim uśmiechem mokry i podziurawiony Szczęsny. Sądząc po jego minie, więcej do szczęścia nie potrzebował.

— Konrad stanął. Kocica, wytrzęsiona niemiłosiernie, skorzystała z nadarzającej się okazji i związała do domu.

— No i masz pan tę swoją miłość – wydyszał Szymon, trzymając się za serce. – Zadowolony? Zakochany Szczęsny zawsze, ale to zawsze oznacza kłopoty. Cholera, skąd on wytrzasnął dubeltówkę?

— To nie oni są dożywotnikami, prawda? Hę?

— Nie, oczywiście, że nie. Przecież oni nigdy się stąd nie wyniosą, bo nigdy nie umrą – mamrotał otumaniały Konrad. – Ale ja tak. Ja umrę. Na pewno. Kiedyś. Za kilkadziesiąt lat, które spędzę razem z nimi. To jest jak wyrok... dożywotni wyrok... prawdziwe dożycie...

— No. Wreszcie żeś pan załapał. Witamy w Lichotce.

A siła wyższa spoglądała z góry i kwiczała ze śmiechu.

Konrad Romańczuk Oto ja, Konrad Romańczuk. Zazwyczaj opowiadam o sobie tak: Z urodzenia, wychowania i przekonań – warszawiak. Wskutek dramatycznych splotów życiowych odcięty od życiodajnej pępowiny wielkowiejskiej. Obecnie (i z przerażeniem zaczynam się domyślać, że na dłużej) osiadły na jakimś lichym zadupiu, którego dyplomatycznie nie nazywam prowincją, aby nie urazić ludności lokalnej. Introwertyczny frustrat, cichy furiat, choleryk w owczej skórce – jednym słowem, niespełniony dziennikarz. Pozbawiony zgiełku, spalin, niewentylowanych EMPiK—ów, metra, papierosów i kawy piszę, bo co innego mi pozostało...

Konrad Romańczuk WIELKIE, MAGICZNE... HM...

— W iosna... — mruknął Abecedyx z poważną dozą niechęci, po czym dał nura. Potężny kawał ułamanej krokwi – która, poddana olbrzymim naprężeniom, trzasnęła przed sekundą – przefrunął dokładnie przez miejsce, w którym jeszcze przed chwileńką znajdowała się łysa głowa Abecedyxa. Belka wirowała z zawrotną prędkością wokół własnej osi, powietrze zaśpiewało wcale melodyjnie, a na wszystkie strony sypały się drzazgi. To już było naprawdę niebezpieczne. Zresztą kilkanaście minut wcześniej dobitnie przekonał się o tym bednarz, który podszedł o te trzy kroczyki za blisko. Rozmiar błędu uświadomiła mu okienna rama, która wystrzeliła z krzywiącej się ściany niczym zgięta karta do gry pomiędzy palców. Po centralnym trafieniu w czoło bednarz nie miał prawa ustać na nogach. Co więcej, nie miał nawet prawa uchować się świadom. Konieczna była interwencja gwardzistów, którzy w sile dwóch chłopów przyskoczyli, złapali bezwładne ciało za to, co im tam w ręce

wpadło i powlekli nieprzytomnego bednarza po bruku w bliżej nieokreślone miejsce. Najprawdopodobniej do jednego z pobliskich burdeli, bo przybytki te charakteryzowały się między innymi całkiem przyzwoitą opieką medyczną. Ba! Najlepszą w mieście wręcz, bo Hurenburg sławił się przede wszystkim niezwykle ekskluzywną obsługą relaksacyjną, zaś na dobre imię miasta pracował tu w pierwszym rzędzie nad wyraz zadbany, pod każdym względem zdrowy, personel. Gwardziści mogli więc zostawić biednego bednarza w naprawdę profesjonalnych rękach cyrulika i czym prędzej powrócić na miejsce przedstawienia. Kiedy znów zasilili okazały tłum gapiów, Abecedyx stał już z kamienną twarzą na swym posterunku (choć cofnął się o kilka dobrych kroków) i ze stoickim spokojem obserwował rozgrywające się po drugiej stronie ulicy brewerie.

Trzeba przyznać, że już sam widok był straszny. Naprawdę. Ale nie najstraszniejszy. Najgorszy był dźwięk. Potworny trzask naprężanego i pękającego drewna, upiorny chrobot trących o siebie kamieni, a co jakiś czas dochodził do tego wszystkiego głośny łomot wylatujących przez okna sprzętów oraz walących się w środku ścian czy stropów. Pomijając Abecedyxa oraz jego krasnoludzkiego Asystenta, wszystkim gapiom jeżyły się włosy na głowie, a niejednemu dodatkowo trzęsło się to, czy owo. Nawet gwardziści nie czuli się w tej sytuacji zbyt tęgo, ale regulamin na szczęście trzymał ich w ryzach, więc starali się wyglądać tak, jakby nic wielkiego się nie działo. Kapitan patrolu, który pierwszy zabezpieczył teren, podszedł do Abecedyxa i zupełnie otwarcie, a więc niezbyt regulaminowo, otarł ściekający spod błyszczącego kasku pot. Zatrzymał się o pół kroku za ramieniem Abecedyxa, zapatrzył na szaleństwo odbywające się po drugiej stronie ulicy i wyciągnął zupełnie już

nieregulaminowego papierosa.

— Mistrzu – zaczął po pierwszym, odprężającym maszku – widzieliście już coś podobnego?

Abecedyx skrzywił się. Jego chuda, żylasta, wyraźnie niemłoda twarz miała nieustanną tendencję do skrzywień, grymasów, zmarszczeń i nieprzyjemnych uśmiechów. Kapitan, stojąc lekko z boku i za nim, nie mógł dojrzeć tej kalekiej parodii uśmiechu, doleciały go jedynie słowa wypowiedziane głosem wyraźnie oszlifowanym przez zbyt chłodne napitki.

— Cóż... — zaczął Abecedyx – podobnego, pytacie? Wiele razy. Onegdaj przy gościńcu w jednej takiej kępie krzaków dojrzałem waszego kowala posuwającego jakąś dziewczuszkę. A z kolei dziś rano tuż pod oknem mojego pokoju kotek grzmocił kotkę. Innym razem wróbel, wiecie, taki malutki... Skąd to się w takim kurduplu tyle zawziętości bierze? Zresztą nieważne. Jeśli więc pytacie, czy widziałem coś podobnego, to odpowiem, że i owszem, setki razy wręcz. Ale jeśli spytacie, czy kiedykolwiek w życiu widziałem trzypiętrowe kamienice w stylu późnokalezjańskim pieprzące się jak dwa króliczki, to z całą stanowczością odpowiem, że nie. Jak długo żyję, nie widziałem, a żyję długo.

— Znaczy, co, Mistrzu, nie pomożecie tu nic?

— A co tu pomagać, kapitanie? To już ruina, nic z tego nie będzie. Raz, że tej z brązowym dachem i tak nie wstawimy z powrotem w dół, z którego wylazła z całym fundamentem, dwa, że tu już żaden remont nie ma najmniejszego sensu. Ja to bym może nawet coś dał radę zrobić, ale wcześniej, dużo wcześniej, a jak mnie zawołano, to, że tak powiem, już im się nieźle z kominów dymiło. Radziłbym tylko pilnować, żeby nikt nie podchodził i niech się w gruzy zadziubdziają. Będzie mniejszy

kłopot z uprzątnięciem... Bo nawet jeśli, to co? Za późno, żeby cokolwiek uratować, obie konstrukcje, widzi mi się, poważnie naruszone, tylko patrzeć, jak ta z czerwonymi firaneczkami gruchnie... Poczekać, mówię, poczekać.

— Znaczy, przejebane. – Kapitan sprowadził rozmowę na grunt, który wydawał mu się najbardziej swojski. – Dobrze chociaż, że ubezpieczone. Tu, wiecie, niby spokojnie, dobra dzielnica, kli... ehm turyści dyskretni i kulturalni, ale konkurencja duża, oj duża. Zawsze lepiej ubezpieczyć – rozgadał się gwardzista. Abecedyx poki wała uznaniem głową.

— No widzicie. Tym bardziej sensu nie widzę. A zresztą... czy to moja sprawa? Przejazdem byłem, w odwiedzinach...

— W odwiedzinach? – zdziwił się kapitan. – Pierwsze słyszę, żeby ktoś w Hurenburgu miał kogo odwiedzać. – Kapitan spojrzał na Abecedyxa i widząc jego zniesmaczony wzrok, urwał swoje rozważania. – A zresztą – dopowiedział sam sobie – wasza rzecz, kogo i gdzie odwiedzacie. No tak... przejazdem, znaczy.

— Właśnie, kapitanie. W każdym razie, jak wszyscy chętnie popatrzę i wyjeżdżam. Miałbym tylko prośbę, kapitanie.

— Tak, Mistrzu?

— Jak się to przedstawienie skończy, chciałbym tylko jeszcze podejść tam i się rozejrzeć. Wiecie, ciekawość taka zawodowa. I chciałbym, żeby ludzie się za bardzo nie kręcili.

— Mistrzu...

— Tak?

— Wiecie... to jednak niecodziennie się takie rzeczy... Ludzie się mogą niepokoić. Poza tym, prestiż miasta, wiecie. Wyście tego nie widzieli, ale jak oni stamtąd pryskali. I z jednej, tej co się z gruntu zaczęła wyrywać, i z tej drugiej też zaraz, jak już ta pierwsza na tę drugą wlaźła. Wiecie, w takiej chwili, wcześniej

rano było, nie wszyscy jeszcze w przyodziewku. Radca van der Shlapke na przykład... — kapitan zorientował się nagle, że wypowiedział właśnie o cztery słowa za dużo. Przełknął ślinę, odetchnął dwa razy, przetarł twarz szorstką dłonią. — No, w każdym razie dla interesu to nie najlepiej, jak się takie rzeczy dzieją. Trudna sprawa, no wiecie, jakby tam coś było, jakby się dało dowiedzieć, co to za licho... Takie rzeczy na co dzień się nie dzieją — powtórzył nie bardzo wiadomo, czy chcąc się w ten sposób uspokoić, czy raczej próbując się usprawiedliwić przed przyjezdnym. Znaczącym przyjezdnym.

— Rozumiem. — Abecedyx kiwnął głową. — Jeśli się czegoś dowiem, dam znać. Żaden problem. O ile coś znajde, oczywiście.

— Oczywiście.

Tymczasem smutne pandemonium dobiegało końca. Najpierw coś stęknęło głośno i nieomal żałośnie. Potem na ścianie kamienicy znajdującej się pod spodem pojawiła się bardzo wyraźna rysa. A potem wszystko gruchnęło, przez ulicę przetoczył się grzmot, uniósł się tuman kurzu tak wielki, że przez kilka minut nic nie było widać, a dwoje niecodziennych kochanków, w iście romantycznym stylu, znalazło kres związku we wspólnym, miłosnym gruzowisku. Zapadła cisza.

— I chuj — skwitował krasnolud, Asystent Abecedyx a pieczołowicie otrzepujący imponującą brodę z pyłu. Z każdym gwałtownym ruchem wzbudzał tak wielką chmurę kurzu, że zamazywały się kontury jego masywnej postaci. Abecedyx z żalnością popatrzył na swoje ubranie. Skórzana kurtka i spodnie nigdy nie należały do najbardziej reprezentacyjnych sztuk odzienia. Jednak w tej chwili wyglądały jak najzwyklejsze łańchmany. Abecedyx zaczął zastanawiać się, ile czasu będzie musiał poświęcić, aby przywrócić im gustowną i wielce przez

niego poważaną czerń. W okolicach drugiego tygodnia przestał liczyć i westchnął.

— Chodź – mruknął do krasnoluda – skoro już i tak jesteśmy upieprzeni, to nie zaszkodzi nam małe niuchanko w gruzowisku.

Krasnolud wzruszył ramionami i trzepnął się jeszcze kilka razy po brodzie. Ale i tak miał świadomość, że jedyne, co może w ten sposób uzyskać, to złudne poczucie odzyskanej godności. Walka z brudem takimi metodami była z gruntu skazana na porażkę.

— Bądź tak dobry i skocz do bu... zajazdu po instrumenty. A ja się wstępnie rozejrzę. Kapitanie! – Abecedyx odwrócił się w kierunku postaci, która rękawem kaftana, zakurzonym jak wypchany mastodont w miejskim muzeum, próbowała doczyścić niegdyś błyszczący w słońcu kirys. Równie dobrze można by próbować wykąpać świnię w borowinie. – Kapitanie! – powtórzył Abecedyx – powiedzcie ludziom, żeby się tam nie pchali. Potrzebuję kilku minut spokoju i niech nikt mi się tam nie pałęta z Aurą. Muszę mieć czysto w promieniu jakichś, ja wiem... piętnastu, dwudziestu metrów, dobra? Czyli, żeby gwardziści też mi się nie kręcili, bo gównno z tego wyjdzie.

Abecedyx obciągnął kurtkę i ruszył w kierunku gruzowiska.

— Aha! – krzyknął jeszcze do kapitana, który mimo wszystko oprzytomniał i już wydawał swoim gwardzistom rozkazy – tylko przepuścić mi Asystenta, jak wróci, jasne?

— Jak to? – zdziwił się kapitan. – A on Aury nie zakłóca?

Abecedyx stanął zdziwiony. Często zapominał, że nie wszystko, co jest oczywiste dla niego, musi być również wiadome innym. W myślach przeklął sam siebie za odruchową chęć zrugania gwardzisty.

— Nie, nie zakłóca. Przecież to krasnolud. Krasnoludy mają się

do magii jak psia dupa do orderów, nie wiedzieliście?

Wzmiankowany krasnolud, nie psia dupa bynajmniej, powrócił po dobrych trzydziestu minutach. Nie sprawiał wrażenia, jakby się spieszył. Świadczył o tym również wygląd – krasnolud w międzyczasie zdołał doprowadzić się do jako takiego ładu. Wprawdzie w dalszym ciągu szczegóły odzienia, barwa, a nawet fason kryły się pod grubą warstwą kurzu, jednak włosy i broda najwyraźniej zostały bardzo starannie wyszczotkowane. Abecedyx nie miał mu tego za złe. Doskonale znał tryb pracy swojego Asystenta i zgadzał się nań, mając pełną świadomość jego zalet, które z nadwyżką rekompensowały drobne przywary. Wśród nich można by wymienić chociażby tę, że bez najmniejszego stęknienia krasnolud przytachał torbę z podręcznym oprzyrządowaniem Mistrza – solidny kuferek sięgający wagą czterdziestu kilogramów. Poza tym dzięki umiarkowanemu pośpiechowi krasnoluda Abecedyx miał trochę czasu dla siebie, mógł dokonać pierwszych oględzin w absolutnym spokoju. W pierwszej kolejności oczywiście zabrał się za wyniuchiwanie Aury. Wielu Mistrzów na jego miejscu w ogóle by tej czynności poniechało. Cudów nie ma, jeżeli więc dwie pozornie niczym się niewyróżniające kamienice nagle urządzają sobie koitalną zabawę o poranku, to w grę może wchodzić wyłącznie Aura. Abecedyx, w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów po fachu, w pełni sobie na miano Mistrza zasłużył. Gdyby nie łyśca czaszka, przynajmniej skronie miałyby już solidnie siwe, a większość przeżytego czasu poświęcił na szkoleniu się w Sztuce, ale również i na empirycznym badaniu Aury. Poważna część Mistrzów odpuszczała sobie tę drugą dziedzinę, zadowalając się samym opanowaniem zasad Sztuki, Aurę traktując jako bezwolne narzędzie mające spełniać ich

zachcianki. Abecedyx, bazując na doświadczeniu własnym i badaniach jemu podobnych, nielicznych Mistrzów, wiedział, że to właśnie Aura jest siłą nadrzędną, a Sztuka jedynie jednym z jej przejawów. Zrozumienie Aury dawało więc umiejętność o wiele pełniejszego poznania Sztuki, co więcej, czasem pozwalało na dotknięcie dziedzin poza samą Sztukę wykraczających. Dlatego też Abecedyx nigdy nie wyrywał się z wykorzystaniem Sztuki, rozpoznanie Aury poprzedzało wszystkie jego poczynania. Kilkakrotnie zresztą uratowało mu to życie.

Oględziny gruzowiska w pierwszej chwili przyniosły tylko jedną cenną informację. To, co wydarzyło się w tym miejscu kilka godzin wcześniej, nie było dziełem przypadku. Aura nie zgęstniała nagle w tym przypadkowo wybranym miejscu i nie kazała dwóm murowanym chałupom zabawić się jak chłop z babą na sianie. To, co udało się Abecedyxowi ustalić, wskazywało wyraźnie, że miało tu miejsce wykorzystanie Sztuki. Ktoś, w niepojętym dla Mistrza celu, nakazał trzypiętrowym kamienicom w stylu późnokalezjańskim radośnie poswawolić. Abecedyx obracał w palcach pokruszone kamienie, brał w palce drzazgi z połamanego drewna i tropił w Aurze ślady czyjejś obecności. Póki co, wyraźne było jedynie jej istnienie. Charakter, bez dokładniejszych pomiarów nie dawał się określić.

Krasnolud zatrzymał się o kilka kroków od gruzowiska. Nie był typem pyszałka, nie eksponował ich nad miarę i nie podtykał nikomu pod oczy, ale skórę na buty ściągnął ze smoka osobiście. Więc o nie dbał. Bez słowa postawił kufer na ziemi i zaczął rozpinać sprzączki spinających go pasów. Tylko on i Abecedyx mogli dokonać tego bezkarnie. No i oczywiście inne krasnoludy, gdyby któremukolwiek przyszło kiedyś do głowy zainteresować się cudzym bagażem. Historia milczała o takich przypadkach.

Natomiast ci, którzy mimo ostrzegawczych wyładowań, głośnych trzasków i delikatnych kopnięć elektrycznych nadal majstrowaliby przy ekwipunku łysego Mistrza, z pewnością znaleźliby w niej swe miejsce. Może nie w annałach, ale w piwnych opowieściach z całą pewnością.

Kufer krył w sobie wiele cudowności. Na przykład przepięknej urody portret niejakiej Petrunelli z Alberg, której wprawdzie Abecedyx nigdy nie widział osobiście, ale jej podobizny sprzedawały się świetnie. Co ciekawe, wyłącznie wśród tych, którzy jej nie widzieli osobiście. Była też zacna flaszka śliwowicy, kopciuch z tytoniem, bibuły do kręcenia papierosów i szczoteczka do zębów. Oczywiście oprócz tego, całe instrumentarium niezbędne Abecedyxowi do pracy. Mistrz, widząc, że wszystko już z grubsza gotowe, zlazł z kupy gruzów, w którą obróciła się płomienna miłość i zabrał się do dokładnych pomiarów. Duża część gapiów zdążyła się już rozejść, lecz, kilka osób, utrzymywanych na dystans przez sumiennych gwardzistów, wyciągało szyje, aby dostrzec, co też Mistrz będzie robił. Abecedyx w pierwszej kolejności powyciągał wszystkie potrzebne mu rzeczy, ułożył na aksamitnej chuście, którą w tym celu przechowywał złożoną na wierzchu w kufrze i sięgając po kolejne elementy, zaczął składać skomplikowany instrument. Jego główną częścią wydawała się być spora, okrągła tarcza wyposażona w kilka oddzielnych podziałek i odpowiadającą im ilość wskazówek. Jej obudowa, jak i reszta elementów wykonane zostały z miedzi, przez co bezustannie rzucały dokoła żółtawe odblaski. Abecedyx przymocował tarczę do średniej wielkości skrzyneczki, potem umieszczony na długim pręcie jakiś wiatraczek, za nim jeszcze parę części, o których trudno byłoby cokolwiek konkretnego powiedzieć, a na koniec ustawił obok

nieduży kołowrotek. Połączył go ze skrzyneczką kilkoma przekładniami i kiedy cały aparat stał już gotowy do działania, Mistrz wyciągnął za siebie rękę, ani na moment nie unosząc głowy i nie oglądając się. Dla jego Asystenta był to wystarczająco wyraźny sygnał. Krasnolud raz jeszcze sięgnął do kufra i wydobył zeń nieduże, drewniane pudełko, w którym coś szeleściło. Włożył je Mistrzowi w rękę, a ten ostrożnie przeniósł je i powolutku otworzył. W środku siedziała zasnana koszatniczka. Abecedyx uśmiechnął się do gryzonia, powiedział kilka cichych słów, a kiedy zwierzak zaczął energicznie strzyć wąsikami, Mistrz wyjął go z pudełka i umieścił delikatnie w kołowrotku. Koszatniczka ruszyła i wiatraczek nad aparatem zaczął się obracać. Abecedyx pozwolił, by instrument osiągnął właściwe obroty i, tym razem już sam, sięgnął do kufra. Wyciągnął z niego kolejny miedziany przyrząd – tuleję, przywodzącą na myśl lunetę, ale znacznie krótszą i o wiele grubszą. W dodatku zaopatrzoną w drewniany uchwyt. Mistrz w skupieniu zaczął spoglądać przez niby – lunetę na gruzowisko, a równocześnie rzucał okiem na wskazania strzałek na tarczy. Od czasu do czasu regulował coś z boku aparatu za pomocą trzech pokrętełek. Krasnolud w tym czasie stał z boku z rękami założonymi na plecach i kiwał się na piętach. Spoglądający z oddalenia ludzie nie mieli najmniejszych wątpliwości – profesjonaliści. Po kilku minutach Abecedyx odłożył niby – lunetę i spojrzał w kierunku swego asystenta. – Tablice – mruknął cicho.

Krasnolud schylił się niespiesznie i ze specjalnej kieszeni na wieku kufra wyciągnął gruby, oprawny w czerwoną skórę tom formatu przyzwoitego atlasu. Od razu też wyjął równie gruby brulion i węglowy ołówek. Abecedyx znów przejął to wszystko,

nie odwracając się ani na moment od aparatury. Skupienie było widoczne w każdym jego ruchu, sprawiał wrażenie, jakby za jego plecami można było przeprowadzić stado małą z bębenkami, a on i tak niczego by nie zauważył. Na przemian spoglądał na tarczę aparatu, kartkował atlas w poszukiwaniu odpowiednich tablic i gorączkowo, w sposób z pewnością odległy od kaligrafii, zapisywał coś w brulionie. Trwało to wszystko na tyle długo, że resztki gapiów uznały, iż wszystko ciekawe, co miało się tego ranka wydarzyć, już się wydarzyło i teraz trzeba tylko czekać grzecznie na kolejną sensację, która zdoła ożywić ich szarą, mozolną i beznadziejną egzystencję mieszkańców miasta zbudowanego na burdelach, żyjącego burdelami i z burdeli, i w którym nawet burdele kopulują na ulicach... Chwilę potem zwinęła się również część gwardzistów, gdyż nie mieli już kogo powstrzymywać przed zbliżaniem się do miejsca katastrofy budowlanej. Czy też raczej miłosnej. Pozostał jedynie kapitan z grupą mającą zająć się zabezpieczeniem terenu aż do przybycia władz miejskich, które powinny obejrzeć skutki incydentu i podjąć decyzję, co dalej. Ich nieobecność do tej pory mogła być tłumaczona jedynie tym, że większość rajców jeszcze kilka godzin temu, w negliżu nielicującym z powagą ich urzędów, czmychała przez drzwi, a nawet niektóre okna z ruszonych z posad świata budynków. Biorąc pod uwagę fakt, że spora liczba przechodniów miała możliwość dosyć dokładnie pooglądać majtające się tu i ówdzie insygnia władzy, zupełnie nie dziwiła opieszałość i powściągliwość, z jaką rajcy ściągali na miejsce zdarzenia. I całkiem słusznie, jak miała pokazać niedaleka przyszłość w miejscowych knajpach, jako że już samo słowo „rajca” dość zabawnie się rymuje.

Tymczasem Abecedyx dokończył swoje pomiary, wstał,

rozejrzał się nieco nieobecny wzrokiem po okolicy i oszczędnym ruchem ręki przywołał do siebie kapitana gwardii, który właśnie zastanawiał się, czy może sobie pozwolić na oznaki zniecierpliwienia wobec Sztuk Mistrza. Zakończenie prac wybawiło go z rozterki, a być może uchroniło nawet od obrażeń, ponieważ Abecedyx w pewnych kwestiach bywał bezkompromisowy. Kapitan, widząc wyraz twarzy Mistrza, postanowił zrezygnować również z okazywania powagi swojego urzędu i po prostu podbiegł świńskim truchtem, bo tylko na tyle pozwolił mu oficerski ubiór i rapier przy boku.

— No cóż, kapitanie – zaczął Abecedyx zmęczonym głosem, zanim jeszcze tamten się zatrzymał – wieści dobrych nie mam...

Stary gwardzista zmartwiał. Sam nie był pewien, z czyich ust słowa te brzmią mniej zachęcająco – Mistrza, czy starej Cyganki. Na wszelki wypadek nie dopytywał, uznawszy, że Mistrz i tak sam będzie chciał pochwalić się tym, co ustalili. Nie zawiódł się.

— Widzicie, moje możliwości nie są takie małe. Nie będę się przechwalał, bo to nie licuje z powagą mojej profesji. Niemniej stoi przed wami w tej chwili jeden ze zdolniejszych Sztuk Mistrzów chodzących po ziemi. I muszę przyznać, że cały mój kunszt, całe moje doświadczenie i cały mój talent, nie na wiele się tu zdały. Wiecie na pewno sami, że to, co się tu dzisiaj stało, wydarzyć się mogło wyłącznie za sprawą Aury... Ponieważ jest to raczej niemożliwe, aby Aura nagle zgęstniała w jednym miejscu i sama z siebie pchnęła w miłosne objęcia dwa burdele, zachodzi podejrzenie, że użyto tu Sztuki. I to się zgadza, tyle jestem w stanie wyczuć. Oczywiście, Sztuka sama w sobie nie istnieje. Zawsze musi być ktoś, kto jej użył, to nie podlega dyskusji. Każdy Mistrz używa Sztuki w inny, charakterystyczny dla siebie sposób. Osnowa Aury poddaje się do pewnego stopnia jego woli i jego

umysłowi, a ponieważ każdy z nas dysponuje innym umysłem, to i Sztuka będąca połączeniem tych dwóch ezoterycznych pierwiastków – Aury i ludzkiego ducha zachowuje reminiscencje osobowości Mistrza... — Abecedyx dojrzał wyraz twarzy pocziwego gwardzisty i zreflektował się. – Czyli... — zaczął, próbując odzyskać wątek – czyli... jak by to... no, właśnie! Czyli, że każdy Mistrz posługujący się Sztuką zostawia ślady. Dla zwykłego człowieka są one równie widoczne, co kocie szczynty na dachu, ale dla innego Mistrza są dość wyraźne. Taaak... kominiarz na śniegu byłby tu dobrą metaforą. Albo jeszcze lepiej, trzymając się zrozumiałych dla was porównań, jak te same kocie szczynty, ale dla innego kota. Czyli, że wiadomo, kto, kiedy, w którą stronę przechodził, co jadł na śniadanie, ile ma lat, kiedy ostatni raz się mył i ile ma pcheł...

— To Mistrzowie mają pchły?!? – wyrwało się kapitanowi, który natychmiast zdał sobie sprawę z niestosowności swoich słów i jak małe dziecko zasłonił usta dłońmi. Abecedyx popatrzył na niego odrobinę nieprzytomnie.

— Nie – odparł, siląc się na najgłębszy spokój, na jaki było go w tej chwili stać – nie mają. W każdym razie ja na pewno – dodał i sugestywnie przesunął dłońią po swej łysej czaszce. – Tak więc, kapitanie, nie zwracając już sobie i wam dupska metaforami, porównaniami i wszystkimi innymi zbędnymi objaśnieniami, mówię wam wprost: nie wiem, kto to zrobił. Nie wiem i nie mam jak się dowiedzieć. Nie moimi metodami. Czyli, że pozostaje wam zupełnie, absolutnie, najzwyczajniej w świecie, rutynowe śledztwo z wykorzystaniem rutynowych metod. Tak więc życzę miłej zabawy, bo ja stąd wyjeżdżam. Dziś po południu, najpóźniej jutro rano.

Kapitan chciał zaprotestować, powiedzieć coś, dopytać... Już,

już otwierał usta, aby spróbować zatrzymać Mistrza jeszcze na chwilę, ale w tym momencie do dyskusji wtrącił się Asystent, który podszedł do kapitana na odległość kopniaka, spojrzawszy prowokacyjnie w górę, w oczy gwardzisty i uśmiechnął się rozbijająco.

— I chuj – powiedział krasnolud. Potem poszedł spakować ekwipunek Mistrza.



Abecedyx leżał na łóżku i przyglądał się małej, grawerowanej tabliczce, którą obracał od czasu do czasu w zręcznych palcach. Miała przewiercony otworek, przezeń biegł cienki, ale mocny rzemyczek, a ten z kolei przywiązano do latarni powozu. Mistrz znalazł ją, kiedy zajrzał do wozowni, żeby sprawdzić, czy z jego wymuskany gigiem wszystko w porządku. Był w Hurenburgu raptem dwa dni, a zdążył już z różnych części pojazdu odwiązać pięć podobnych wisiorków. Wykonywane różną techniką – ryte, trawione, zwyczajnie malowane; jedna była drewniana, najwyraźniej pośledniejszego gatunku. Nie miała obrazka, sam tekst, w dodatku dość koślawie i z błędami wyrzeźbiony kozikiem. Pozostałe dowodziły znacznie większej inwencji. „Przyczajona Muszelka” i „Pieścidołek” dawały się jeszcze jakoś strawić. „Remiza Markiza” przynajmniej czytelnie informowała o profilu. Drewniana „Smocza Jama”, na szczęście pozbawiona ilustracji raczej nie zachęcała do niczego. Za to trzymane właśnie w rękę przez Abecedyxa „Siedem Palców” sprawiało co najmniej niepokojące wrażenie. Tym bardziej, że grawerowany obrazek przedstawiał jedynie uśmiechniętą tajemniczo niewieścią twarz. Pozostałe tabliczki bez zbędnej i nigdy w tym mieście

niewidzianej pruderii, przedstawiały nader dosłownie wszystko to, czym można się było zajmować w reklamowanych przez nie lokalach. Większość spraw w tym mieście była przerażająco wręcz jednoznaczna. Abecedyx musiał jednak przyznać, że dla przyjeźdnego nie wszystko jest do końca jasne. Zastanawiały go na przykład wszechobecne dopiski : „T rzecia godzina gratis ”. Trzecia godzina czego? – zastanawiał się Sztuk Mistrz. Tego ? Za trzecią godzinę tego powinni raczej wypłacać nagrody... No, przynajmniej w jego wieku. Albo chociażby te plakietki, czy tabliczki. W innych stronach już za same obrazki na nich ryte można by pewnie nieźle zarobić – sprzedając je wynudzonym mężom, albo – jeszcze lepiej – dorastającym młodzieńcom, ot, żakom na przykład.

Hurenburg w ogóle był miejscem trudnym do ogarnięcia. Owszem, pod pewnymi względami przyjemnym, zwłaszcza pod względem spędzania wolnego czasu, niemniej dziwnym. Już choćby przez to, że czystym. Charakter świadczonych tu ochoczo usług sprawiał, że o miasto dbano. Uciechy jako takie dostępne były wszędzie, ale tylko Hurenburg oferował uciechy na tak kulturalnym poziomie. Oczywiście nie tylko czystością Hurenburg zadziwiał przyjezdnych. Dość powiedzieć, że w tym mieście nawet biblioteki wypełnione były jednym. I tylko tu piekarze wypiekali takie fikuśne bułeczki i rogaliki... Albo miejskie fontanny o przyciągających zafascynowane spojrzenia kształtach, te ławki w parkach zaprojektowane i wykonane tak, że człowiek ani pomyślał o siadaniu na nich w samotności, nawet nazwy ulic... W Hurenburgu nie dało się myśleć o niczym innym, zresztą nikt tu nie przyjeżdżał, żeby myśleć o czymkolwiek innym. Więc Abecedyx nawet nie próbował. Sam od czasu do czasu lubił pofolgować cielesności, choć w Hurenburgu był po

raz pierwszy. Zawsze myślał, że aż takie folgowanie mu nie przystoi, ale odkąd zrozumiał, że jeśli nie teraz, to już raczej nigdy, machnął ręką na wstyd i pruderię. Zresztą jego Asystentowi też się co nieco od życia należało, a poza Hurenburgiem trudno było znaleźć miejsce, w którym krasnolud mógłby się poczuć w pełni dopieszczony. No, może jeszcze w domu, u mamy, ale tu akurat chodziło nie tyle o rozkosze podniebienia i rodzinne ciepło, co o ciepło i rozkosze odrobinę bardziej literalne. I właśnie dlatego Abecedyx siedział w pokoju sam, kiedy rozległo się nieśmiałe pukanie. Mistrz przekonany, że domyśla się, kto stoi za drzwiami, odruchowo przeczesał palcami łysinę, jak zwykle zapominając, że materiał do przeczesywania skończył mu się już jakiś czas temu, przyjął pozę niedbałą, a nawet lekko wyzywającą, przykręcił knot w lampce naftowej, chuchnął w dłoń i raz jeszcze omiół wzrokiem pomieszczenie. Na sprzątanie i tak było już za późno, więc wygładził tylko wełnianą narzutę, na której się rozparł. Już miał otworzyć usta, ale zdecydował się na jeszcze odrobinę więcej śmiałości i szybciotko rozpiął kaftan. Wtedy dopiero, przyjmując najbardziej rozanielony wyraz twarzy, na jaki go było stać, rzucił stłumionym głosem: – Prooooooszę...

Drzwi otworzyły się o wiele zbyt zdecydowanie, biorąc pod uwagę nieśmiałość, z jaką w nie pukano. Stał w nich poznany rankiem kapitan. Abecedyx po raz pierwszy w życiu naprawdę, ale to naprawdę pożałował, że nie nauczył się zmieniać ludzi w żaby. Bo taką żabę na ten przykład, dałoby się wzbogacić o słomkę i dwa hausty powietrza, co definitywnie rozwiązałoby kwestię świadków tej, dość przecież krępującej sytuacji. A tymczasem jedyna żaba, z jaką Abecedyx miał w tej chwili do czynienia, to była ta, którą należało jakoś zjeść... Kapitan

wyraźnie się wahał, ale w końcu podjął odważną decyzję. Ostatecznie, dla przyjemności tu nie przyszedł. W każdym razie nie dziś... Odważnie przekroczył próg i nie czekając na żadne zaproszenia, podszedł do łóżka, na którym rozparł się Sztuk Mistrz. Potem trochę tego pożałował, bo w udawanie, że nie dostrzega mokrego pora, musiał włożyć tyle wysiłku, że na kilka sekund włosy przestały mu rosnać. W tym czasie Abecedyx, zapomniawszy, że w dalszym ciągu uśmiecha się cieleco, niczym szczerbaty do sucharów, obmyślał możliwość „zdarzenia się” jakiegoś nieszczęśliwego wypadku.

Jak na złość, pierwsze, co przyszło mu do głowy, czyli śmierć pod kołami rozpędzonego dyliżansu pocztowego, mogłoby być kłopotliwe do wytłumaczenia, gdyby przytrafiło się w pokoju o powierzchni siedemnastu metrów. Na drugim piętrze.

— Mistrzu – wyszeptał kapitan przez ściśnięte gardło i przełknął ślinę. Rozległ się odgłos przypominający ścieranie się gastrolitów w żołądku strusia. – Mistrzu, nie jest dobrze...

Abecedyx zdążył się już nieco rozluźnić i przede wszystkim pozbyć kretyńskiego uśmieszku. W tej chwili nic nie mogło go uczynić szczęśliwszym, niż wieść o pożarze całego miasta. No, może z wyjątkiem kilku najbliższych ulic stąd do rogatek.

— A cóż tam znowu? – mruknął niby niedbale, niby drapiąc się po widocznej spod rozpiętego kaftana klatce piersiowej. – Znowu jakieś sekscesy? – niby zażartował.

— No... trudno powiedzieć – zmieszał się kapitan. Przybiegłem, zanim przyjrzałem się z bliska. Ale to bez znaczenia – dorzucił szybko, widząc rodzącą się dezaprobatę w oczach Mistrza. – To... idzie tutaj. Pomyślałem, że uprzedzę... Rano mówiliście, Mistrzu, że gdyby wcześniej, to coś byście może poradzili. No to właśnie uprzedzam wcześniej. Jak wyjdziemy na dwór zaraz, to

powinniśmy zdążyć. Ja... — obrócił się trochę niezdecydowanie i machnął ręką w kierunku otwartych drzwi – poczekam na dole.

— Dobrze, zaraz tam będę. – Abecedyx ochłonął już trochę. Nie na tyle, żeby zapomnieć o morderczych planach, ale wystarczająco, aby ich realizację odłożyć na później. Kapitan wyszedł z pokoju, nie zapominając o taktownym zamknięciu za sobą drzwi. Abecedyx zmęczonym gestem potarł twarz rękoma. No dobra, legolasie... tfu, lowelasie, mruknął do siebie, nici z miłego wieczoru. A skoro już i tak wszystko diabli wzięli, to równie dobrze możesz obejrzeć, co tam się święci...

Z niechęcią, ale energicznie Sztuk Mistrz zapiął kaftan i wciągnął buty. Na ramiona narzucił jeszcze kurtkę i wyszedł. Na dole rezydowała jedynie pani Boosenhalter, niewiasta o równie zaawansowanym wieku, co i biuście. Jedno i drugie nadawało jej powierzchowności szlachetnego sznytu profesjonalistki. Abecedyx zorientował się już, że za niezwykle ujmującą i przemiłą osobowością krył się prawdziwy demon pedanterii oraz niezmordowany kafar dyscypliny. Toteż nie spodziewał się, że uda mu się przemknąć niezagadniętym. W Hurenburgu praworządność miała równie specyficzny posmak, co Marcepanowe Kulki Dwighta, ze znaczącym uśmiechem sprzedawane w każdej apteczce, a przez personel burdeli zwane fachowo jebostójkami. A to oznaczało, że kapitan, aby wejść mógł zrobić tylko dwie rzeczy. Zdjąć swój błyszczący kask i uiścić opłatę, jak każdy, albo dokładnie wyłuszczyć pani Boosenhalter cel swojej wizyty, która i tak z pewnością najpierw upewniła się wśród dziewcząt, czy przypadkiem żadna nie wykonuje swych płomiennych obowiązków w obecności pana Sztuk Mistrza.

— *Heere Meister! Heere Meister!* – pani Boosenhalter zarezonowała z rozfalowanej głębi swych miseczek D++. Abecedyx aż się zjeżył. *Gdzieniegdzie.*

— *Wees loos, Heere Meister? Czy tshosz zhłego?*

Abecedyx, sam się sobie dziwiąc, po raz kolejny słysząc akcent Fhrehe Boosenhalter oraz spoglądając na dwa pięknie wypiętrzone wzgórza jej autorytetu, pomyślał o trójzębie i rogatym hełmie. Czysty absurd, ale jakoś nie mógł się od tej wizji odpędzić. Czując, że jego wiek może nie znieść zbyt bliskiej obecności Fhrehe Boosenhalter i obu jej towarzyszek, zatrzymał się w pewnej odległości, z nadzieją, że okaże się ona wystarczająca.

— Ależ skąd, Fhrehe Boosenhalter – ukłonił się wytwornie. Jestem absolutnie pewien, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi pani ani też pani, jakże gościnnemu, domowi.

Fhrehe Boosenhalter uśmiechnęła się i wypuściła z ulgą powietrze z płuc, a Abecedyx ze zdziwieniem poczuł, że w hallu zrobiło się jakoś luźniej.

— Z pewnością nic pani nie grozi – dodał jeszcze, dał drapak na dwór i...

...pożałował swoich słów. Kapitan stał tyłem do drzwi i spoglądał w górę ulicy biegnącej do starszej części miasta. Którą płynęło wolno coś dziwnego. Hurenburg ogarniał już zmierzch. Ciemność nie zapadła jeszcze nad miastem, ale zapłonęły już latarnie. W ich świetle połyskiwało coś, co sunęło ulicą wolno i niepowstrzymanie. Abecedyx w pierwszej chwili pomyślał o lawie, którą lata temu widział na własne oczy podczas jednej z podróży na południe. Jednak szybko zorientował się, że ocena była błędna. Po pierwsze, omywane gęstą substancją domy nie stawały w płomieniach. Po drugie, kolor... Lawa żarzyła się czerwienią podczas, gdy to... było, no, raczej... białawe. Ludzie cofali się przed czołem fali, najwyraźniej żywo omawiając pełznący fenomen, jednak bez śladów paniki, czy choćby strachu. Abecedyx spojrział na kapitana. Kapitan spojrział na Abecedyxa.

Obaj wzruszyli bezradnie ramionami. Kapitan podrapał się pytająco po kasku.

— Cóż – westchnął Sztuk Mistrz – chyba lepiej będzie przyjrzeć się temu z bliska.

— Czy to bezpieczne?

— A skądże ja mam wiedzieć? Sprawdzimy, zobaczymy.

Ruszyli rażno przed siebie. Po kilkudziesięciu krokach zbliżyli się na tyle, że wyraźnie słyszeli rozmowy posuwających się w ich kierunku gapiów. Substancja spływająca ulicą dała się stąd już znacznie lepiej obserwować. Abecedyx przystanął i zaczął się bacznie przyglądać. To, co ciekło między domami miało zdecydowanie glutowatą konsystencję. Sprawiało również wrażenie, że jest cholernie lepkie. Maź płynęła mozolnie, choć uparcie do przodu, jednak widać było, że jeszcze parę chwil i się zatrzyma. Nie była popychana przez kolejne fale, spływała tylko dzięki lekkiemu nachyleniu ulicy. Po jej przejściu widać było w świetle latarni lśniący, lepki ślad. Wyobraźnia Abecedyxa zaczęła pracować w kierunku, który w tych okolicznościach nie wydawał się zbyt atrakcyjny. Najchętniej odwróciłby się na pięcie i dał nogę, jednak obecność kapitana wymagała wykazania inicjatywy raczej ofensywnej, niż eskapicznej. Abecedyx, walcząc z ogarniającym go obrzydzeniem, podszedł jeszcze parę kroków bliżej. Znalazł się zaraz za plecami ludzi cofających się przed pełną plugastwem. I doznał szoku. Do jego nozdrzy dotarła woń, której zupełnie się nie spodziewał. Tym bardziej, że nie była to ta woń, której się spodziewał. Przepchnął się między gapiami i podszedł całkiem blisko. Musiał teraz bardzo uważać, żeby glutowata fala nie wpełzła mu na buty. Wciągnął głęboko powietrze. No jak pragnę zakwitnąć, krzyczał do siebie w duchu, wanilia!

Kapitan ruszył wreszcie za nim i pokrzykując na ludzi, żeby nie robili zbiegowiska, przepchnął się do Sztuk Mistrza. Stał obok i niepewnie wpatrywał się w zaskoczone oblicze Abecedyxa.

— Mistrzu... Mistrzu, co to jest?

Abecedyx otrząsnął się, spojrzał na gwardzistę. Rzucił okiem pod nogi, cofnął się o krok. Kapitan, niczym przedrzeźniający go mim, zrobił to samo.

— Cóż, kapitanie – uśmiechnął się Abecedyx. – Pewnie myślicie, że dzięki znajomości Sztuki, zrobię teraz jakiś hokus – pokus i się dowiem, prawda?

Kapitanowi było głupio tak po prostu przytaknąć.

— Niestety, Sztuka, bez długotrwałych analiz i badań na nic nam się nie zda. I dlatego – Abecedyx cofnął się jeszcze o krok – pozostaje tylko jeden sposób.

Sztuk Mistrz cofnął się jeszcze kawałeczek, pochylił i zaczerpnął palcem śluzowatej substancji. Była lepka, śliska i ciepława. Kapitan przypomniał sobie, co jadł na obiad. Znów miał do niego bardzo blisko. Za plecami Mistrza zapadła nagle cisza. Abecedyx uniósł palec i z bliska powąchał substancję. Miała słodki, silnie waniliowy i jakby odrobinę mleczny aromat. Raz kozie wózek, pomyślał i wsadził palec do ust. Kapitan gwardii miejskiej natychmiast pożegnał się z ostatnim posiłkiem. Wnosząc z odgłosów, jakie rozległy się z tyłu również kilka innych obiadów nie zniosło dłuższej niewoli.

— Błeeee! Pfuj! Ohyda!!! Bghłe...! – poniosło się ulicą.

Abecedyx nie zwracał na to wszystko uwagi. Posmakował. Tak jak przypuszczałem, pomyślał i uśmiechnął się szeroko. Zaczerpnął jeszcze raz i wpakował sobie do ust większą porcję. Obrócił się w miejscu. Zdziwiony przyglądał się grupie ludzi

rzygających jak koty, rzuconych przez konwulsje na kolana. Kto zdzierzył i ustał, krzywił się niemiłosiernie, odwracając wzrok. Tych i tak była znaczna mniejszość.

— Alef, moi dfodzy – Abecedyx ciamkał uśmiechnięty – pfetef to jeft bufyń. Bufyń fanifiowy!



Abecedyx siedział bosy w wygodnym fotelu i mokrą ściereczką czyścił buty, na które zdołał wpełznąć budyń. Po jego lewej stronie, w drugim fotelu zasiadł kapitan, zaś naprzeciw, po drugiej stronie stojącego na jednej... hm, nodze, stoliczka znaczną część przestrzeni zajmowała pani Boosenhalter. Fhrehe z rozanielonym uśmiechem na twarzy przysunęła się do blatu na tyle, na ile pozwalały jej na to warunki. Stolik miał odpowiednią wysokość, dzięki czemu na blacie mieściło się również to, co kazało Fhrehe Boosenhalter szeroko rozstawić łokcie, na których się opierała. W dłoniach okrytych delikatnymi jak westchnienie ćmy rękawiczkami trzymała porcelanową salaterkę i łyżeczkę, której rozmiar sugerował, że na co dzień służy do liczenia ziarenek kawioru. Przysłuchując się rozmowie, w sposób niezwykle dystyngowany pałaszowała budyń. Podobna salaterka stała przed Abecedyxem. Kapitan wykręcił się od deseru twierdzeniem, że nie lubi słodczy.

— A to dziwne – odparł Sztuk Mistrz znad lepiącego się obcasa – znałem kiedyś ni mniej, ni więcej, ale właśnie pewnego porucznika straży, który mawiał, że każdy mężczyzna lubi słodczy, tylko nie każdy ma odwagę się do tego przyznać...

Kapitan spuścił wzrok, mając nadzieję, że zostanie mu to poczytane za skromność.

— No dobrze, zostawmy to... W zasadzie, kapitanie, jak was zwa?

— Meenedrufer! – kapitan strzelił pod stołem obcasami, zawadzając nogą o jedną z kulistych podpór stołowej... hm, nogi. Pani Boosenhalter uśmiechnęła się jeszcze szerzej i spojrzała na gwardzistę wzrokiem tak maślanym, że aż w promieniu kilku metrów zrobiło się mdło w powietrzu.

— Proszę mi zatem powiedzieć, Heere Meenedrufer – Abecedyx podniósł wzrok znad obuwia – czemu nikt nie sprawdził, czym w istocie jest ta... ten budyń?

Kapitan chrząknął zmieszany. Odkąd poznał Abecedyxa, zdawał się być zmieszany permanentnie. Przygotowując się do odpowiedzi, sięgnął po papierosa.

— Cóż... Przyznacie chyba, Mistrzu, że to dość niedorzeczne. To znaczy, ten budyń. Ja... myślałem, że to...

— Panie Meenedrufer! Sugeruje pan, że „to” płynące po ulicy byłoby mniej niedorzeczne?

Pani Boosenhalter zachichotała zupełnie nieadekwatnie do swego wieku.

— Jak pan z pewnością widział, do zidentyfikowania budynku nie był nikomu potrzebny Sztuk Mistrz. Bez najmniejszych problemów można to było ustalić organoleptycznie. Do tego, jak sądzę, w zupełności wystarczyłyby miejscowe siły stróżów prawa, czyż nie?

— To prawda – przyznał kapitan – jednak nie zmienia to faktu, iż jego pojawienie się w dalszym ciągu pozostaje nieco, hm, tajemnicze.

— A to już zupełnie inna historia – zgodził się Abecedyx. Choć tym akurat również mogliby zająć się pańscy ludzie.

— Tym akurat zajęli się moi ludzie – oświadczył z dumą

Meenedrufer. – Poleciałem sprawdzić źródło... budyniu. Wiemy już, że wyciek wystąpił na kilkunastu ulicach i postępował na zewnątrz jednego, możliwego do zlokalizowania punktu. Przesłuchujemy świadków oraz prowadzimy dokładne przeszukania w okolicy, niedługo powinien pojawić się ktoś z raportem.

— Doskonale, dobra robota – pochwalił Abecedyx. – Ja ze swej strony mogę powiedzieć tylko to samo, co rano. Obecność Aury była wyraźnie wyczuwalna, jednak bez dającego się określić źródła. Być może ktoś użył Sztuki i to spowodowało wy... wypłynięcie budyniu, jednakże my mieliśmy do czynienia już wyłącznie ze skutkami.

— To znaczy?

— To znaczy, że nikt w pobliżu nie stał i za pomocą Sztuki nie kontrolował fali budyniu. Podobnie miała się rzecz z tymi kamienicami. Otrzymały niezwykle silny impuls, jednak potem... zrobiły już wszystko same.

Abecedyx odłożył but i sięgnął po salaterkę. Przez chwilę przyglądał się smętnie łyżeczce. W końcu, zrezygnowany, zaczął nią wywijać w tempie, które w tym przybytku mogło się skojarzyć wyłącznie z królikiem.

— Niezłe, naprawdę niezłe – pokiwał głową z aprobatą, kiedy zmęczyła mu się ręka. – Fhrehe Boosenhalter – zwrócił się do milczącej damy – czy przed moim jutrzejszym wyjazdem pani wyśmienita kucharka byłaby tak uprzejma ugotować mi jeszcze trochę tak znakomitego budyniu? Ten z ulicy zapewne zostanie niedługo uprzątnięty, w dodatku całkiem już wystygł. Jeśli w tym mieście wszyscy znają recepturę tak oszałamiającego deseru, myślę, że moje drogi będą tu prowadzić znacznie częściej.

Pani Boosenhalter przestała się uśmiechać i spojrzała

znacząco na kapitana Meenedrufera. Kapitan równie znacząco spojrział na panią Boosenhalter. To znaczy, w oczy pani Boosenhalter.

— Heere Meister, u nasz szhe rhaczej nije rhabi legumijene... *U nasz lubimy owhocowa salade, jest bahrzo popularna zindt. Legumijene rhabią autgheebbringe, czo prziehali z Eestelande. Meister nije whie to?*

— Cóż – Abecedyx pokręcił w zamyśleniu głową – w Hurenburgu jestem pierwszy raz... Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Kapitanie Meenedrufer, czy to nie ułatwiłoby poszukiwań?

— To niewykluczone – zgodził się kapitan – jednak skąd pewność, że ma to jakiś związek?

— To rzeczywiście, tylko założenie, ale czuję, że może być trafne. Nawet dla naprawdę zdolnego Mistrza zrobienie czegoś z niczego byłoby olbrzymim wyzwaniem. Jest to możliwe, ale potwornie wręcz trudne i wyczerpujące, podczas gdy przemiana czegoś w coś innego, albo sprawienie, że czegoś, co już jest będzie więcej, albo mniej, jest już dużo bardziej prawdopodobna. Nie przypuszczam, aby którykolwiek z wielkich Mistrzów Sztuki bawił się w waszym pięknym i gościnnym mieście – Abecedyx skłonił się uprzejmie w stronę Fhrehe Boosenhalter – w rozpalanie zmysłów u późnokalezjańskich kamienic oraz wypuszczanie na ulice dzikiego budyniu...

Pani Boosenhalter parsknęła i zakrztusiła się, a Kapitan Meenedrufer upuścił dopalającego papierosa. Abecedyx urwał zaskoczony i powiódł wzrokiem po obojgu.

— *Heere Meister – pani Boosenhalter próbowała stłumić niezręczny chichocik. – Phoszę szhę nije hnewacz. Pan zaagte takhe suowho, czo u nasz... No, ono u nasz... dokończenie wypowiedzi najwyraźniej wymagało przewyciężenia niespotykanego w tym fachu zażenowania. Pani*

Boosenhalter załopotana rżęsami, które śmiało mogłyby posłużyć do zgrabiania jesiennych liści i spojrzała na kapitana. Ten zaczerwienił się, ale chcąc jednak wyjaśnić niezręczną sytuację nachylił się do ucha Abecedyxa i poszeptał coś przez chwilę. Tym razem zmieszał się Sztuk Mistrz. I po raz pierwszy z niesmakiem pomyślał o zawartości salaterki.

— Ojej, państwo najmocniej wybaczą. Nie miałem pojęcia. W każdym razie, myślę, że należałoby zacząć poszukiwania od ludzi, o których wspomniała Fhrehe Boosenhalter.

— Oczywiście, Mistrzu, tylko, że jak już wspomniałem... — kapitan nie dokończył. Drzwi wejściowe otwały się z rozmachem i do hallu wkroczył Asystent. Sprawiał wrażenie najbardziej ucieszonego Asystenta na świecie. W końcu wracał z wychodnego w Hurenburgu. Nie to jednak przykuwało uwagę zebranych. Na krasnoludzie pojawił się nowy element stroju, element, który rzucał się w oczy nawet bardziej, niż kwalifikacje pani Boosenhalter. Krasnolud wmaszerował dumnie w nowiuteńkim kapeluszu. Dzieło to musiało wyjść spod ręki niebanalnego rzemieślnika. Wykonany z brązowego zamszu, fantazyjnie zacieniał twarz krasnoluda szerokim, delikatnie wywiniętym rondem. Z przodu lśniła wielka, prostokątna klamra, a całości dopełniało wetknięte zawadiacko olbrzymie, kolorowe pióro. Z całą pewnością było to nakrycie głowy napawające nosiciela dumą. Asystent aż jaśniał. Fhrehe Boosenhalter westchnęła w zachwycie. Abecedyx ograniczył się do uniesienia brwi. Krasnolud, najwyraźniej w pełni usatysfakcjonowany wywołanym wrażeniem, podszedł do stolika. Spojrzał pytająco na leżące na podłodze buty Abecedyxa.

— Ominęło cię niezłe przedstawienie – rzucił Sztuk Mistrz, leciuteńko tylko zabarwiając ton wypowiedzi sarkastyczną

nutką.

— I chuj – powiedział krasnolud wzruszając ramionami. Pani Boosenhalter spuściła skromnie oczy, ale Abec edyx dałby sobie głowę uciąć, że uśmieszek, który przemknął przez jej pieczołowicie odrestaurowane oblicze, nic ze skromnością wspólnego nie miał. Zadziwiająco tolerancyjne miasto, pomyślał nie bez zazdrości. Dalszą konwersację uniemożliwiło przybycie jeszcze jednego gościa. Do wnętrza zdecydowanym krokiem wmaszerował jeden z gwardzistów. Kapitan Meenedrufer natychmiast przybrał służbowy wyraz twarzy i poderwał się z fotela, aby przyjąć raport. Abecedyx próbował się chwilę przysłuchiwać, ale gwardzista mówił „po tutejszemu”, więc zrezygnował. Aby nie tracić niepotrzebnie czasu, przywołał Asystenta i wciągając buty, zrelacjonował mu wydarzenia ostatnich godzin. Krasnolud wysłuchał wszystkiego cierpliwie, po czym bez słowa komentarza, czy choćby jednego pytania, poszedł na górę po instrumenty. Wykonując zwrot na pięcie, przejechał siedzącemu wciąż Abecedyxowi piórem po nosie. Sztuk Mistrz kichnął. Zły i rozdrażniony dostrzegł uśmieszki na twarzach pani Boosenhalter, kapitana, a nawet gwardzisty. Na Kragujevca, co ja tu robię? – pomyślał z tłumioną wściekłością. Co to w końcu jest, wakacje czy jakieś zlecenie? Czy ja się w to muszę pakować? Coraz bardziej poirytowany atmosferą leniwego popołudnia ogarniającą stolik i zebrane przy nim osoby, poczuł przekorną i nieodpartą chęć działania. Kragujevcu, Mitologu, pomóżcie, niech mam to już za sobą... westchnął. Ponaglająco spojrzął na Meenedrufera. Kapitan ułowił to spojrzenie, pokraśniał i wyprostował się dumnie.

— Mistrzu – zaczął, niedbałym ruchem ręki uciszając swego gwardzistę – już wiemy, skąd to wypłynęło. Dzięki sprawności

moich ludzi udało się określić epicentrum wytry... eee... e – erupcji, a nawet znaleźć świadków.

Abecedyx odetchnął z ulgą, a więc jednak coś drgnęło. Ze zdziwieniem skonstatował, że poprzez spore zniechęcenie dla całej tej sprawy, jakie żywił do tej pory, zaczyna nieśmiało wyzierać zaciekawienie.

— Dobrze, proszę mi więc opowiedzieć, co też pańscy podziwu godni wywiadowcy odkryli.

— A zatem, wy...lew miał miejsce w jednej z mniejszych kamieniczek w dzielnicy Jorgi. Straż zabezpieczyła miejsce, nie wpuszcza nikogo do środka, chwilowo zatrzymała też mieszkającą tam kobietę. Na miejscu czekają świadkowie, będziecie mogli, Mistrzu, porozmawiać z nimi osobiście, jeśli wola.

— I owszem, chętnie. Zaczekajmy tylko chwilę na mojego Asystenta i możemy ruszać.

— Ja też będę jusz poszua – wtrąciła się pani Boosenhalter. – Nie będę panowie pszeszkadzacz.

Fhrehe wstała, prezentując wciąż siedzącemu Abecedyxowi swój wdzięk i powab idealnie na wysokości jego oczu. Sztuk Mistrz, zupełnie bezwiednie przez chwilę w milczeniu wodził wzrokiem od wdzięku do powabu i z powrotem. Fhrehe Boosenhalter, choć przyzwyczajona do takich reakcji bez mała od dziecka, uśmiechnęła się na myśl o prostych zasadach działania mężczyzn. Uśmiechnęłaby się jeszcze szerzej, gdyby wdzięk i powab nie zasłaniały jej tego, co siedzący Abecedyx nieporadnie i nerwowo próbował ukryć, zakładając nogę na nogę. Poruszeni byli również obaj gwardziści, jednak dzięki metalowym elementom służbowego stroju ich wzruszenie nie było aż tak widoczne.

Po chwili na dół wrócił Asystent. Wesoło pogwizdując, tachał ze sobą kuferek Abecedyxa. Oczywiście, z zachowaniem najwyższej ostrożności. Sztuk Mistrz uniósł się wreszcie z fotela,

nerwowo spoglądając w dół. Na szczęście Meenedrufer ze swym gwardzistą ruszyli już do drzwi, a krasnolud pytającym wzrokiem spoglądał w twarz Mistrza. Wszyscy wyszli na ulicę. Wiosenny wieczór powitał ich ciepłym powiewem od czasu do czasu niosącym jeszcze ze sobą delikatną nutę wanilii. Jednak bruk do tej pory został już idealnie uprzątnięty. Abecedyx ponownie zadumał się nad czystością miasta. Ale, jeśli się weźmie pod uwagę, że w Hurenburgu, pomimo tak specyficznego charakteru świadczonych usług, jakoś nigdy nie były popularne niewybredne dowcipy o rybie, człowiek przestawał się dziwić. Ruszyli rażno przed siebie na tyle, na ile pozwalały fizyczne możliwości krasnoluda. Kiedyś, na początku ich znajomości Sztuk Mistrz (który zresztą był wtedy jeszcze głupawym młodzieńcem o ego tak wyrośniętym, że sam mu się czasem kłaniał) przegonił biednego Asystenta przez kawał miasta w takim tempie, aż tamtemu popruły się spodnie. Był to poważny cios dla ich rodzącej się ówczasie, nieokrzepłej jeszcze przyjaźni. Z drugiej strony w przeciągu wielu późniejszych lat współpracy Abecedyx przekonał się, że krasnoludy, choć nie są długodystansowcami, to na krótkich odcinkach bywają zabójcze. Na szczęście również obu gwardzistom nie przyszło do głowy nadmiernie wyciągać nogi. Idąc, mijali oświetlonych latarniami przechodniów, którzy swym zachowaniem sprawiali wrażenie, jakby erupcje budyniu i kopulujące kamienice przytrafiały się w Hurenburgu na co dzień. Abecedyx zastanawiał się, czy tak wolno rozchodzą się tu wieści, czy po prostu miasto i jego mieszkańcy są aż do tego stopnia uporządkowani. Na bazie dotychczasowych obserwacji skłonny był przychylić się do tej drugiej ewentualności. Po czym do głowy przyszła mu jeszcze trzecia możliwość. Przypomnił sobie, co słyszał o uciekających

oknami i w zaawansowanym negliżu rajcach miejskich i innych przedstawicielach śmietanki towarzyskiej Hurenburga. W takim układzie, zbytne ekscytowanie się wydarzeniami poranka mogło wielu mieszkańcom wydać się dalece nieroztropne. Toteż i do wszystkiego, co nastąpiło później lepiej podchodzić z rezerwą. A zresztą, jak się nad tym chwilę zastanowić, no to cóż? Budyń jak budyń...

Zamyślony Abecedyx, prowadzony przez Meenedrufera, dotarł wreszcie na miejsce. Od razu było widać, że to tu. Pomiedzy okazalszymi kamienicami stał niepozorny, piętrowy domek. Świeżo posadzone kwiatki w skrzynkach stojących na parapetach, ładnie odmalowane framugi i okiennice, czyste zasłanki w oknach sprawiały wrażenie domostwa skromnego, ale czystego i zadbanego. Jakoś to Sztuk Mistrza nie zdziwiło. Jednak mimo tego przytulnego, mieszczańskiego wrażenia, jakie domek sprawiał, od razu było wiadomo, że to tu... A to za sprawą dość obscenicznie lśniących resztek budyniu, który ponad wszelką wątpliwość wypłynął – och, jakże by inaczej! – kominem, spłynął po czerwonych dachóweczkach, przelał się przez rynny i niczym już nie zatrzymywany, ruszył w dół ulicy, skręcając w również opadające lekko przecznice po prawej stronie. W środku paliło się światło i przez nie do końca zasłonięte okna Abecedyx dostrzegł siedzącą przy stole jakąś kobiecinę, dwóch gwardzistów i jeszcze kilka osób, prawdopodobnie wzmiankowanych świadków. To by było na tyle, jeśli chodzi o nie wpuszczanie nikogo do środka, pomyślał z goryczą. Kapitanowi Meenedruferowi nie sposób było odmówić doświadczenia i wzorowego przygotowania do służby. Takoz i jego ludziom. Myślenie jednak nie w każdym zawodzie było cnotą, co gwardziści udowadniali regulaminowo.

— To tu – zakomunikował Meenedrufer. – To dom Fhrehe Jelke, Mistrzu. Pilnują jej moi ludzie.

— Tak, zauważyłem – westchnął zrezygnowany Abecedyx. – Pozwólcie, kapitanie, że najpierw rozejrzę się tu na zewnątrz. Odnoszę wrażenie, że przechodziło tędy mniej ludzi, niż siedzi wewnątrz.

Słyszając tę wymianę zdań, krasnolud postawił delikatnie kufer i wziął się za jego otwieranie. Abecedyx powstrzymał go jednak ruchem ręki.

— Daj spokój, przyrządy tu nic nie wykażą.

— I chuj – mruknął krasnolud, odsuwając się od kufra. Splótł ręce za plecami i zaczął bujać się na piętach, pogwizdując. Meenedrufer poczuł się odrobinę zdezorientowany i uznał, że najlepiej, jeśli póki co uda, że go tu nie ma. Drugi gwardzista poszedł w ślady swego przełożonego. Tymczasem Abecedyx zaczął uważnie sondować okolicę. Czasami bywał zawzięty, a najczęściej z przekory, kiedy nic się nie chciało układać po jego myśli. Tym mocniej więc postanowił rozwikłać tę cholerną zagadkę, ale do tego potrzebny mu był trop. I to wyraźniejszy, niż ten poranny z gruzowiska. Staął przed domem, spojrział w górę. Z rynien wciąż jeszcze zwisały białawe gluty. To dawało jakieś nadzieje, ale nie za wielkie, prawdę powiedziawszy. Tak jak przypuszczał, emanacja Aury była zbyt niska, aby cokolwiek sensownego dało się stwierdzić na podstawie wskazań przyrządów. Przy silniejszym polu były nieocenione, ale w tej sytuacji jedyne, na czym Abecedyx mógł polegać, to nos i doświadczenie. Badając lekko już przyschnięte sople, wyczuł podobne emanacje co i rano. Wzruszenie Aury, najprawdopodobniej jakąś ingerencją Sztuki, ale bez jakiegokolwiek wskazania, bez najdrobniejszych chociaż śladów,

jakie pozostawiał przecież każdy Mistrz. I zawsze były to ślady indywidualne dla owego Mistrza. Tymczasem wszystko wskazywało albo na spontaniczny wykwit Aury, albo... Abecedyx chwilę oswajał się z tą myślą, albo Sztuki użył ktoś, kto na Aurę nie oddziałuje. Sztuk Mistrz obejrzał się i spojrzał na wciąż kiwającego się beztrósco Asystenta. Czy to możliwe? – spytał sam siebie w duchu. Czy to możliwe, aby krasnolud posłużył się Sztuką? Chyba nikt tego nigdy nie próbował, ale gdyby spróbować, to kto wie, co mogłoby się stać? Wprawdzie krasnoludy nie przejawiają żadnego zainteresowania Sztuką, ale zawsze musi się zdarzyć jakiś wyjątek. Bo tak naprawdę, kto powiedział, że niewrażliwość na Aurę nie pozwala na opanowanie Sztuki?

Abecedyx stał chwilę oszołomiony wnioskami, do jakich doszedł. Kiedy jednak uświadomił sobie, że wyciągnął je zdecydowanie zbyt pochopnie, otrząsnął się z zamyślenia i gestem przywołał zarówno Asystenta, jak i stojących niecierpliwie opodal gwardzistów.

— Niewiele – zaczął wyjaśniać Meenedruferowi, który pomimo iż bardzo się starał i tak wyglądał jak świeżo upieczony ojciec, który czeka na wiadomość do kogo podobny jest dzieciak. I czy w związku z tym ma się cieszyć, czy jednak złożyć wizytę sąsiadowi. – Niewiele, jak mówię. Aura ledwie trącona, ani śladu czyjejś działalności. Kapitanie, chyba jednak będę musiał oprzeć się na tym, co powie nam pani... pani...

— Jelke – pospieszył z podpowiedzią Meenedrufer. Wyraźnie było widać, jak bardzo jest zawiedziony. Po chwili zorientował się jednak, że to z kolei szansa dla niego, natychmiast więc wprowadził Abecedyxa z Asystentem do wnętrza małego domku. Fhrehe Jelke jak do tej pory najwyraźniej nikt nie wytłumaczył, o

co chodzi. Biedna kobiecina siedziała na kuchennym krześle i ze splecionymi na podołku rękami kiwała się żałośnie, coś tam sobie biadoląc pod nosem. Kiedy Sztuk Mistrz wszedł do środka, nie podniosła nawet wzroku, za to ożywili się świadkowie, póki co również trzymeni w kuchni. Abecedyx nie zwrócił jednak na nich uwagi i od razu podszedł do pani Jelke. Przyklęknął przed nią i uspokajająco położył rękę na jej dłoniach. Kobiecina dopiero teraz uniosła głowę i spojrzała na Mistrza.

— Fhrehe Jelke... — zaczął Abecedyx, ale kobieta natychmiast pokręciła głową.

— Gospodine, ja tudzinka... *Ja ne razumem...*

— Gospodzio Jelke – uśmiechnął się Mistrz, płynnie przechodząc na jej język – *Opovete mi nešto...*

Reszta zebranych osób słuchała tej rozmowy w skupieniu, choć nikt nie rozumiał ani jednego słowa. Meenedrufer był kompletnie zaskoczony, nie spodziewał się, że Abecedyx zdoła się w jakikolwiek sposób porozumieć z Eestelandene autgheebbringe, jaką w rzeczy samej była Fhrehe Jelke. Tymczasem Mistrz wdał się ze starszą panią w swobodną pogawędkę, co więcej widać było, że poprawił jej się humor. Kilka razy uśmiechnęła się, ożywiła i zaczęła opowiadać o czymś zupełnie swobodnie. Abecedyx słuchał jej z uwagą, od czasu do czasu wtrącając tylko jakieś monosylaby. Wreszcie Mistrz powiedział coś, po czym Fhrehe Jelke umilkła i pokiwała tylko głową. Abecedyx wstał.

— Kapitanie – zwrócił się do Meenedrufera – chyba coś mamy. Miałbym jednak prośbę. – Mistrz uśmiechnął się w taki sposób, że gwardzista natychmiast zrozumiał, iż słowo „prośba” zostało użyte wyłącznie w charakterze kurtuazyjnym. – Wszystko panu wyjaśnię, jednak w tej chwili chciałbym, aby zabrał pan stąd

swoich świadków. Raczej nie będą mi potrzebni.

— Cóż, mamy zanotowane ich dane, zresztą wszyscy mieszkają w okolicy, nie będzie problemu, gdybyście, Mistrzu, zechcieli porozmawiać z nimi później. Tak, na wszelką ewentualność, oczywiście.

— Oczywiście. To jednak nie wszystko...

— Tak?

— Potrzebuję, aby zabrał pan stąd również swoich ludzi, a sam udał się wraz z nimi.

— Jak to? Jesteśmy odpowiedzialni za porządek w tym mieście i wszystko, co tego dotyczy, dotyczy również mnie i moich ludzi. Nie mogę spełnić tej prośby.

— Och, może pan, może. Co więcej, sam pan tego zechce, w przeciwnym wypadku wyjdę ja. I będzie to oznaczało koniec mojego zainteresowania tą sprawą. Widzi pan, ja nie jestem tu za nic odpowiedzialny, nie mam żadnego interesu w rozwikłaniu tej zagadki, więc nic nie tracę, pozostawiając ją w takim stanie, w jakim jest.

— Czy to szantaż?

— Cóż to za głupie pytanie! Oczywiście, że nie. Uświadamiam tylko panu, że umożliwienie mi załatwienia wszystkiego w taki sposób, jaki uznam za najlepszy, oszczędzi panu wielu kłopotów i zmartwień o porządek w Hurenburgu. Proszę się zastanowić, co pan zrobi, jeśli wieża ratuszowa zamieni się w coś obscenicznego? Albo wszystkie drzwi w mieście zamiast skrzypieć, zaczną wydawać nieprzystojne westchnienia?

— Jak to, Mistrzu, czy to możliwe?

— Równie możliwe, jak to, że późnokalezjańskie kamieniczki zapalają do siebie żądzą nieprzystojną budynkom, a z komina pani Jelke wytryśnie budyń, jakkolwiek niestosownie by to

zabrzmiało. Pan mnie pyta, kapitanie, czy to możliwe, a ja panu odpowiadam – nie. Ale się zdarzyło. A następny budyń, choć to też niby niemożliwe, może być już całkiem dziki...

Abecedyx umilkł, słysząc tłumione parsknięcia gwardzistów i nieco zdezorientowanych świadków. Kiedy powiódł spojrzeniem wokół, wszyscy natychmiast przypomnieli sobie o istnieniu czubków butów oraz o tkwiących w nich palcach, którymi zaczęli zawzięcie ruszać. Zupełnie, jakby ćwiczyli wspólnie od miesięcy. Wiele krążyło opowieści o Mistrzach, ale jakoś żadna nie wspominała o poczuciu humoru. W niektórych natomiast przewijały się żaby.

— Dobrze – powiedział Abecedyx, zacierając ręce. – Skoro mamy to już ustalone, najwyższy czas, aby wcielić słowa w czyn. Kapitanie, podejrzewam, że czas może mieć niemałe znaczenie, prosiłbym więc o odrobinę pośpiechu.

Meenedrufer bardzo wyraźnie manifestował swoje niezadowolenie. Nie było to wprawdzie paniczne niezadowolenie kury wywołane widokiem pieńka, przejawiało się raczej mruczeniem pod nosem, fukaniem i złymi spojrzeniami, niemniej kapitan spełnił prośbę Abecedyxa. Na kłótnię ze Sztuk Mistrzem nie miał ochoty. Przeczuwał niejasno, że żaba nie jest jeszcze najgorszą rzeczą, jaka może się człowiekowi w życiu przytrafić, a kapitan gwardii miejskiej to w żadnym wypadku niewystarczająca ranga, by powstrzymać Mistrza przed utratą cierpliwości. Kiedy wszyscy wyszli, Abecedyx polecił Asystentowi ukrycie kuferka z instrumentami, a jego samego wysłał przez prowadzące z kuchni drzwi do pilnowania ogródka. Sztuk Mistrz między innymi dlatego dumnie mienił się prawdziwym Mistrzem, iż ze Sztuki korzystał możliwie najrzadziej. Doskonale znał przykłady zbyt ufnych w Sztukę Mistrzów, których kości nie

miały nawet szansy zbieleć. I żył na świecie wystarczająco długo, by wiedzieć, że każdy system działa o wiele lepiej, jeśli posiada odpowiednie zabezpieczenie. A lepszego zabezpieczenia niż Asystent Abecedyx nie znał. Kiedy za krasnoludem zamknęły się drzwi, Abecedyx ustawił sobie krzesło tak, aby dokładnie widzieć drzwi do ogródka oraz wejściowe, samemu nie będąc widzianym przez żadne z okien. A potem rozpoczął pogawędkę z Fhrehe Jelke, aby zarówno sobie jak i jej umilić oczekiwanie. Oczywiście, jak każdą miłą i niezobowiązującą rozmowę zaczęli od życzeń pomyślności dla wszystkich żyjących i nieżyjących członków rodziny. W Hurenburgu z pewnością był to obyczaj kompletnie obcy, jednak Abecedyx doskonale znał zarówno język, jak i zwyczaje panujące w Pogoriczke Krajinie, skąd pani Jelke pochodziła. Zresztą, jak się okazało, w rzeczywistości nie nazywała się Jelke, a Jolkova, jednak po przybyciu do Hurenburga, gdzie przez długie lata prowadziła jedną z najporządniejszych w mieście pralni, zmieniła nazwisko na brzmiące bardziej „ po tutejszemu ”. Było to posunięcie o tyle zadziwiające, że pomijając terminologię potrzebną jej w pracy, pani Jolkova kompletnie nie „*zaagte po naszymu*”, jak posiedziałyby Fhrehe Boosenhalter. I Abecedyx dziękował za to z całych sił Kragujevcowi, bo to uniemożliwiło gwardzistom przesłuchanie biednej starowinki. A co ważniejsze, nikt jej nie wyjaśnił, o co chodzi, przez co Sztuk Mistrz mógł jej powiedzieć dokładnie i tylko tyle, ile uznał za przydatne. Miejscami zresztą odrobinę rozmijając się z prawdą. Pani Jolkova, vel Jelke opowiadała o sobie chętnie, czego Abecedyx wysłuchiwał z wystudiowaną cierpliwością, oraz jeszcze chętniej o utrzymującym ją synu, czego Abecedyx słuchał ze z trudem maskowaną ciekawością. Zoltan Jelke, sądząc z opowieści jego matki, musiał być

wyjątkowo wspaniałym młodzieńcem. Młodzieńcem w trudnym do wywnioskowania wieku, jako że pani Jolkova mówiła o nim, jakby chodziło jej o kilkunastoletnie pacholę, co – biorąc pod uwagę wiek jej samej – wydawało się mało prawdopodobne. Abecedyx obawiał się, że słodki i wszechstronnie uzdolniony Zoltan może w rzeczywistości okazać się starszy od jego kuferka. Co tylko potwierdzało zasadność rozstawienia krasnoluda w ogródku. Tak, na wypadek, gdyby mładić nie chciał na spokojnie wyjaśnić swej roli w całym dzisiejszym zamieszaniu. Póki co jednak, Mistrz został zapewniony o dozgonnej miłości, jaką tamten żywił do swej matuli, o jego złotym sercu, co z pewnością wynikało ze starannie wybranego imienia, o licznych zaletach ducha i umysłu, oraz o nadzwyczajnie dobrym wychowaniu, które pomogło Zoltanowi zachować nieskalaną przyzwoitość w tym, nie całkiem podążającym ścieżkami moralności, mieście. Abecedyx słuchał tego wszystkiego starannie, filtrując każdą napływającą informację. Przed oczami zaczął rysować mu się obraz mężczyzny żyjącego pod jednym dachem ze starą matką w mieście, w którym słowo „cnota” oznaczało tyle co „dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami...”. Być może zakompleksionego. Być może sfrustrowanego. Być może idealnego, spokojnego sąsiada. Do czasu. Abecedyx zaczął delikatnie wypytywać panią Jelke o wydarzenia minionego dnia. Bez większego zaskoczenia przyjął wiadomość o tym, że Zoltan nie czuł się chyba najlepiej. Był rozdrażniony, pół nocy przesiedział w swoim pokoju, zamknął się w nim również po południu. Potem jakoś tak wybiegł z domu, ale pani Jelke nie zwróciła na to baczniejszej uwagi, bo na kuchni właśnie wykpiwał jej budyń, który szykowała synkowi na podwieczorek. Sztuk Mistrz pomyślał, że chętnie obejrzałby sobie pokój Zoltana, ale...

...Ale Zoltan wrócił do domu. Meenedrufer był człowiekiem słownym, nie zostawił w okolicy żadnego widocznego gwardzisty, mładić wszedł więc do domu niczym niezaniepokojony. Od razu okazało się, że faktycznie bliżej mu do kuferka, niż mładicia.

— *Dobar večer* – powiedział Abecedyx, wstając z uśmiechem szerokim jak dekolty pani Boosenhalter. – *Kako si, Zoltane?*

Mężczyzna był mocno zdezorientowany, jednak serdeczny uśmiech jego rodzicielki sugerował, że nie ma powodów do obaw.

— *Dobar, dobar...* – odparł niepewnie i uścisnął wyciągniętą do powitania dłoń obcego, który – nie wiedząc czemu – uśmiechał się jak grabarz do zarazy. Tamten oddał uścisk i nie wypuszczając dłoni Zoltana, poklepał go po ramieniu, robiąc przy tym krok w bok, jakby chciał obrócić ściskanego do światła. Wciąż oszołomiony spotkaniem Zoltan nie zauważył, że obcy ustawił się dokładnie między nim a drzwiami.

— *Zoltane* – zaczął tamten – *Dovol, daprasham. Štoj si pravio denes? Nociu i odpoledne?*

Zoltan natychmiast zrozumiał. I zareagował prawidłowo, zadając jednak kłam zapewnieniom swojej rodzonej matki, o dobrym wychowaniu, jakim to niby miał się kierować. Wiedząc, że nie ma szans na wyrwanie swej ręki, z całej siły nadepnął Abecedyxowi na stopę. Mistrz dłoni Zoltana wprawdzie nie puścił, ale zwolnił swój uścisk na tyle, że tamten mógł się już wyswobodzić. A wtedy rzucił się w kierunku drzwi do ogródka. Abecedyx spokojny o dalszy przebieg wypadków, opanował się jako tako i wolno ruszył za uciekającym. I tu plan się sypnął. Obaj dostrzegli to prawie równocześnie. W oknie wychodzącym na ogródek. Mniej więcej na wysokości parapetu. Opierające się o szybę. Widoczne do bólu. Pióro.

Abecedyx zawył w duchu. Zoltan, nie mając pojęcia, co to w rzeczywistości oznacza, poczuł jednak instynktownie, że śmierdzi to pułapką. Zanim Sztuk Mistrz ochłonął z zalewającej go fali wściekłości Zoltan wykonał błyskawiczny w tył zwrot i rzucił się na zagradzającego mu drogę mężczyznę. Potężnym pchnięciem obu rąk powalił go na podłogę, pani Jelke krzyknęła, a Zoltan, przeskoczywszy nad upadającym, dopadł drzwi na ulicę, szarpnął je i rzucił się na dwór. W każdym razie z pewnością taki miał zamiar. Dopóki jak spod ziemi nie wyrósł przed nim... no, w każdym razie pojawił się... krasnolud z wrednym uśmiechem, którego nawet gęsta broda nie mogła ukryć. A potem Zoltan wrócił do domu. Lotem koszącym ławeczkę i opartą pod ścianą miotłę. Abecedyx, jako ten mniej uszkodzony podniósł się pierwszy. Mocno zdumiony patrzył na wciąż uśmiechniętego Asystenta. Krasnolud wkroczył do środka, zamknął za sobą drzwi, po czym bez słowa przemaszerował przez całą izbę, otworzył drzwi do ogródka i z opartej o ścianę motyki zdjął kapelusz. Zadowolony jak kot w fabryce śmietanki wcisnął go na głowę.

— Nie odmawiam ci skuteczności – wychrypiał Abecedyx – ale mogłeś mnie uprzedzić. Mogliśmy to lepiej rozegrać.

— I chuj – powiedział krasnolud, czując już, że na więcej pochwał nie ma co liczyć.

Abecedyx ruszył w kierunku pojękującego na podłodze Zoltana, ale z zaskakującą zwawością wyprzedziła go pani Jelke. Oczywiście, biadolili przy tym okrutnie.

— *Ništo ne se szui – spróbował ją uspokoić Mistrz – ima maiku vrtoglavica, da poleži spokojno pet minuta.*

Roztrzęsiona staruszka nie była jednak w stanie tak po prostu uspokoić się zaraz po tym, jak ktoś skrzywdził jej syneczka.

Abecedyx uznał więc, że najlepszym wyjściem będzie poczekać. Zoltan i tak nie był chwilowo zdolny do ucieczki. A jak już się ocknie, będzie mógł dokładnie go o wszystko wypytać. Dał znak Asystentowi, aby miał baczenie na tę dwójkę, a sam poszedł wreszcie na piętro pomyszkować sobie spokojnie w pokoju Zoltana.



— Zoltan Jelke? – Meenedrufer najchętniej wybuchnąłby śmiechem. Oczywiście, gdyby nie oznaczało to wybuchania śmiechem w twarz Sztuk Mistrza. A kapitanem gwardii w Hurenburgu nigdy nie zostawało się poprzez zamięłowanie do ryzykanctwa i balansowanie na granicy utraty cielesności. – To głupek! W mieście wszyscy go znają, niegroźny facet.

— Ja wcale nie twierdzę, że jest groźny. Proszę posłuchać, myślę, że pan zrozumie, a pani z pewnością tym bardziej. – Abecedyx skłonił swą błyszczącą głowę w stronę pani Boosenhalter. Cała trójka siedziała przy tym samym stoliczku, co kilka godzin wcześniej. Fhrehe postarała się o wyborną herbatę, Meenedrufer przyniósł dwa przedniej jakości cygara. Spotkanie miało charakter nieformalny, nawet kapitan był tu już niemalże prywatnie. Skończył służbę, następny dzień miał wolny. Abecedyx chciał wyruszyć z miasta rankiem, więc Meenedrufer delikatnie nagiął procedurę, aby nie zatrzymywać Sztuk Mistrza do złożenia wyjaśnień. Spotkali się przy cygarze, a Meenedrufer obiecał, że sam już sporządzi raport. Wiele nie ryzykował, w końcu, kto by wątpił w słowa Sztuk Mistrza?

— Pani Jolkova przybyła do Hurenburga przed laty, to państwo wiedzą – zaczął wyjaśnienia Abecedyx. – Wyjechała z

ojczystego kraju na skutek pewnych tragicznych wydarzeń, o których nie będziemy tu teraz mówić. Dość powiedzieć, że w ich wyniku była kobietą samotną, obarczoną kilkumiesięcznym dzieckiem. Miotana różnymi podmuchami losu trafiła do Hurenburga, tu osiadła i tu dorastał jej syn. Wyrosłej w zgoła innej kulturze nie do końca przypadły do gustu hurenburskie obyczaje, co odbiło się dość znacząco na wychowaniu syna, które stało się dla niego ni mniej ni więcej, a nieznośnym ciężarem. Jak do tej pory wszystko jasne, mam nadzieję? Dobrze.

Zoltan to naprawdę miły i zdolny człowiek. Myślę, że większość pochwał, jakie pani Jolkova wygłosiła pod jego adresem, może nawet być prawdą. Niestety, poza zaletami ma również poważnie nurtujący go problem. Otóż, co zdaje się jest jasne, z racji tego, co już powiedziałem, Zoltan nie ma za grosz śmiałości do kobiet. W wielu innych miejscach na ziemi nie byłoby to aż tak bardzo męczące, ale tu? W takim mieście? W jego pokoju znalazłem dowody naprawdę ogromnej frustracji – Abecedyx pomyślał o ukradkiem przejętej i naprawdę imponującej kolekcji grawerowanych tabliczek. Zoltan musiał je zbierać latami. Mistrz miał tylko nadzieję, że krasnolud nie zaprotestuje przeciwko dodatkowym kilogramom w kufunku. Tym bardziej, że oprócz tabliczek wylądowało w nim coś znacznie cięższego. W dodatku o wiele, wiele cenniejszego. – Nie będę jednak ujawniać zbyt wiele – kontynuował Mistrz – dyskrecja jest jedną z największych cnót mieszkańców tego miasta, co i ja chętnie uszanuję. W każdym razie, nietrudno się domyślić, że w końcu musiało dojść do, hm... nazwijmy to – kulminacji. Zoltan, jak wielu ludzi na wiosnę, zapalał wielką, płomienną miłością. Niestety, jako że wielkie uczucia nie wybierają, pech chciał, iż umiłowaną jest jedna z piękniejszych,

ale i najbardziej zapracowanych dziewcząt w tym mieście. Zoltan miał świadomość dwóch rzeczy: po pierwsze, że ktoś tak adorowany, piękny i kochany nigdy nie zwróci na niego uwagi i po drugie, że nawet gdyby stał się taki cud, jego matka nigdy nie pogodziłaby się z taką narzeczoną. Miłość nie takie problemy potrafi ponoć zwyciężyć, więc Zoltan umyślił sobie, że sprowadzi dziewczynę na dobrą drogę. Jednak w tym celu musiał ją w sobie rozkochać. Oceniając swoje szanse w konwencjonalnym starciu na równe zero, postanowił użyć miłosnego zaklęcia. O ile udało mi się dowiedzieć, kosztowało go to wiele trudu, niemniej w jakiś sposób udało mu się odpowiednie zaklęcie opanować...

— Myślałem, że to niemożliwe! – przerwał Meenedrufer. – Przecież trzeba być Mistrzem, aby...

— Tak, tak, jasne – machnął niecierpliwie ręką Abecedyx. – Tak samo, jak trzeba być gwardzistą, żeby patrolować ulice, prawda? Tylko, czy pan, kapitanie, urodził się w swym błyszczącym kasku i kirysie? Ze swym dumnym rapierem przytroczonym do różowiotkich bioderek? Bo ja, na przykład urodziłem się z włosami, a jak byłem mały, to chciałem zostać marynarzem. Reszta przyszła później. Oczywiście, Sztuka jest potężną panią i trzeba być Mistrzem, aby ją rozumieć i aby móc z niej korzystać umiejętnie. Ale nie trzeba być strategiem prowadzącym wojny, aby nauczyć się strzelać z kuszy... Tak więc Zoltan opanował zaklęcie. A w każdym razie myślał, że opanował. Nawiasem mówiąc, jego przykład pokazuje wyraźnie, dlaczego Sztuki należy używać rozważnie. Zaklęcie, którego użył jest dość potężne, rzucające przez osobę niedoświadczoną bardzo łatwo może wymknąć się spod kontroli. Efekty widzieliśmy. Dodam tylko, że próbował dwa razy...

Zarówno kapitan Meenedrufer, jak i pani Boosenhalter szybko

dodali dwa do czterech. Fhrehe, w miłosnych bojach i uniesieniach doświadczona jak mało kto, uśmiechała się tylko. Kapitan głośno wciągnął powietrze, po czym z przeciągłym sykiem wypuścił je przez zęby.

— A więc to tak... to dlatego. To huncwot! – wykrzyknął, podobnie jak pani Jelke zapominając, że mowa o czterdziestoletnim mężczyźnie. – Nie wyjdzie, oj nie wyjdzie on z haaltenkeller za szybko. Odechce mu się miłostek, niewydymkowi jednemu!

Abecedyx spojrział w oczy pani Boosenhalter. Oboje zgodnie pokręcili głowami z dezaprobatą. Smutnawy uśmiech Fhrehe sugerował prośbę, której nie było potrzeby wyrażania na głos.

— Właściwie, kapitanie, jakie zarzuty miejska gwardia zamierza postawić Zoltanowi?

Kapitan nerwowo zamachał cygarem, rozsiewając wokół paprochy popiołu.

— Jak to? To przecież wandal i niszczyciel! Jest winien zawalenia się dwóch kamienic, zanieczyszczenia kilku ulic oraz poważnego zaburzenia porządku miejskiego. U nas, w Hurenburgu, dbamy o porządek, takie rzeczy nie mogą nikomu ujść płazem!

— Ale jak rozumiem, główny problem leży w stratach materialnych, prawda?

— No, oczywiście! Przecież takie późnokalezjańskie kamienice, to nie jakieś tam szopy z patyków. To majątek.

— No dobrze... A przypuśćmy, kapitanie, że szkody materialne zostałyby pokryte. Choćby i przez kogoś innego. Co wtedy?

— Wtedy? No... zostałoby naruszenie porządku publicznego.

— Co za to grozi?

— W najlepszym wypadku grzywna, w najgorszym...

— Najgorsze wypadki nas nie interesują. Przypuśćmy, że stać mnie będzie na zapłacenie grzywny, pokrycie odszkodowania i złożę poręczenie za Zoltana...

Pani Boosenhalter głośno westchnęła. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią. Oczy mocno jej błyszczały. Speszona, wyciągnęła z rękawa sukni przepięknie haftowaną chusteczkę wielkości niewielkiej cygarniczki i zaczęła osuszać kąciki oczu. Dopiero widząc tę scenę, Meenedrufer zrozumiał, o co chodzi.

— No tak. Hm... no tak... cóż... Ehm, w takiej, eee... sytuacji, myślę, że sprawę udałoby się załatwić z uwzględnieniem wszelkich okoliczności łagodzących. Oczywiście, odszkodowanie jest sprawą bezdyskusyjną, chyba żeby właściciele domów nie wnieśli skargi. Na to chyba jednak nie możemy liczyć...

— Ja również na to nie liczę – przyznał spokojnie Sztuk Mistrz.

— Natomiast co do grzywny... to bywały przypadki zastosowania surowego pouczenia. Tak, myślę, że przypominam sobie takie precedensy.

— Jest pan, kapitanie, człowiekiem niedoścignionej wiedzy, nieskalanego honoru i wielkiego serca – uśmiechnął się Abecedyx.

Meenedrufer zamilkł, był człowiekiem, który nie wiedziałby, co począć z komplementem nawet gdyby go dostał na talerzu z dołączoną dokładną instrukcją spożywania.

— Ale to chyba nie koniec naszej sprawy – Sztuk Mistrz zwrócił się z kolei do Fhrehe Boosenhalter. – Miałbym również prośbę do pani. Pomimo iż wiem, że jest pani osobą wyjątkowej szlachetności, nie chciałbym narażać pani samej, ani jej gościnnego domu na wydatki. Pozwolę więc sobie zostawić u pani małą zaliczkę, w zamian za którą prosiłbym o przygarnięcie Zoltana raz na jakiś czas. Oczywiście dyskretnie, nie chcemy

przecież zadzierać z panią Jelke, prawda? Zdaję sobie sprawę z tego, że nie załatamy w ten sposób kwestii pękniętego serca, niemniej Zoltan jest już wystarczająco dojrzałym mężczyzną, aby umożliwić mu mniej bolesne sposoby walki z trądzikiem. Myślę, że dzięki temu nie będzie więcej zagrażał spokojowi miasta.

Pani Boosenhalter nie odpowiedziała. Po raz kolejny jednak uśmiechnęła się, od którego to uśmiechu Abecedyxowi zrobiło się tu i ówdzie miękko, a gdzie indziej wręcz przeciwnie. Bo był to uśmiech, przy którym wdzięk i urok pani Boosenhalter bladły niczym płomyk świecy w pełnym słońcu, i przy którym każdy mężczyzna zapominał, że kobieta może się składać z czegoś więcej niż tylko z uśmiechu. Abecedyx pomyślał, że raczej jednak nie wyjedzie z samego rana.



Słońce stało już dość wysoko, kiedy niewielki, dwukonny gig wytoczył się na trakt pozostawiający Hurenburg za plecami. Na koźle siedział łyсы mężczyzna w czarnym stroju, a obok niego krasnolud w kapeluszu z fantazyjnym piórem. Krasnolud majtał nogami i pogwizdywał. A z tyłu, przytroczony skórzanymi pasami jechał podróżny kuferek Sztuk Mistrza. W kufierku spała koszatniczka, pobrzękiwały grawerowane tabliczki. I spoczywała Księga. Jedyna Księga z zaklęciami, jaką Abecedyx kiedykolwiek widział i o jakiej kiedykolwiek słyszał. Księga, którą Zoltan Jolkov odziedziczył po swym ojcu, którego nigdy nie poznał. Księga, którą Zoltan Jolkov nie bez bólu, ale jednak oddał w ręce Abecedyxa jako zadośćuczynienie za wyrządzone miłosnym zaklęciem szkody.

Wiktoria Semrau Urodziłam się jakiś czas temu, na prowincji, gdzie mieszkam do dzisiaj. O sobie pisać nie lubię, zdaję sobie jednak sprawę, że należy się przedstawić. Na co dzień jestem mamą, zadowoloną właścicielką dwóch kotów, niezmiennie zakochaną w życiowym partnerze i, jak to się mówi, osobą na stanowisku. Piszę rzadko, za to czytam nieustannie, Fahrenheita już od dziesięciu lat. Wysyłek redaktorów cenię bardzo wysoko i co więcej rozumiem – sama bowiem cierpię na ataki altruizmu. Zapewne dlatego zawsze uważałam, że jeśli debiutować to właśnie na stronach Fahrenheita.

Wiktoria Semrau TYLKO MNIE KOCHAJ

— Pieprzeni fantaści – mruknął, poruszając myszką tak, by na ekranie widoczny był kolejny fragment artykułu. – Ciekawe co oni żrą, że mają takie odpały...

Znów zatonął w lekturze, jednak tym razem na krótko. Myśl o żarciu, choć pozornie mało kulinarna, w jakiś sposób musiała pobudzić żołądek, bo zaburczało w nim rozpaczliwie. Trzeba by było zejść na śniadanie. Choć właściwie to raczej obiad o tej godzinie. Cóż, status wolnego strzelca miał swoje zalety, pozwalał wstawać o dowolnej porze i przesiadywać godzinami przed komputerem, nie do końca dawało się to jednak pogodzić z regularnymi posiłkami.

Znowu zaburczało mu w brzuchu. Gdzieś wśród śmietnika na biurku powinien być jeszcze kubek z resztką kawy. Niewątpliwie zimną już od wieków, ale może kilka łyków pozwoli oszukać głód. Choć na chwilę. Nie opłaca się przecież na pół godziny

przed obiadem szykować sobie śniadania.

Roztargnionym spojrzeniem obrzucił blat biurka, starając się odnaleźć kubek pomiędzy stertami rzeczy niezbędnych, mniej niezbędnych i zaledwie okazjonalnie potrzebnych, które piętrzyły się w chwiejnych kolumnach i malowniczych stosach. Dostrzegł niebieskie ucho wystające pod zgrabnym zadaszaniem, jakie stworzyła okładka pisma dla wędkarzy. Przechylił się. Sięgnął.

Nie zdołał zatrzymać gestu, nie zdołał cofnąć ręki, ani oderwać wzroku od własnych palców. Półprzezroczysta, niematerialna dłoń prześlizgnęła się przez fotografię wędkarza, kubek, popielniczkę pełną petów, stos książek i blat biurka.

Straciwszy równowagę, wylądował ciężko na podłodze.

— Paweł?! – dobiegło z dołu pytanie Ewy. – Paweł? Wszystko w porządku?!

Nie odpowiedział. Nie mógł. Z wysiłkiem zwilżył językiem nagle wyschnięte wargi. Pod palcami obu dłoni czuł nieco nierówną twardość deski. Absolutnie namacalną i realną. A jednak ów fakt go nie uspokajał. Wręcz przeciwnie budził lęk.

Pięty Ewy załomotały na schodach.

— Paweł? Co się stało? – Wpadła do pokoju, niemal wyrywając drzwi. Widok męża siedzącego bezradnie na podłodze wyraźnie ją zdenerwował.

— Spadłem... — wydusił wreszcie.

— Z fotela?! – zdumiała się, przykucając przy nim. Dotknęła jego czoła, delikatne palce zebrały krople potu. – Dobrze się czujesz?

— Tak... chyba tak. Nie wiem, chyba zrobiło mi się słabo. Ale już mi lepiej – zapewnił ją niewyraźnie.

— Słabo? To przez ten dym, palisz jak komin i nawet okna nie

otworzysz – zganiła go, prostując się. Przez chwilę mocowała się z oporną klamką, aż wreszcie udało jej się wpuścić do pokoju letni wietrzyk. – Pod dachem jest duszno – przypomniała. – Szczególnie latem. I szczególnie wtedy, gdy ktoś pali jednego za drugim. Wykończysz się kiedyś.

— Widok ciebie w szortach przywraca mnie do życia – uśmiechnął się blado. Nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Kiedy wychodziła z pokoju, skojarzył, że tą uwagą naprawdę ją zaniepokoił.



Myśl o porannym, a raczej przedobiadowym wydarzeniu, prześladowała go cały dzień. Najłatwiej było uznać, że to przewidzenie. Ot, lekki omam wzrokowy. Faktycznie od dymu, od duchoty, od lata, od migracji komarów, od czegokolwiek, cholera. Od wpływu gwiazd na układ trawienny. Tylko, że nie potrafił sam siebie przekonać do żadnego wyjaśnienia. Widok własnej dłoni nurkującej w bałagan na biurku, niknącej w przepełnionej petami popielniczce, a potem w solidnym drewnianym blacie, zdawał się być trwale zakodowany gdzieś w głębi czaszki i odtwarzał się raz po raz. Do tego ten upadek. O wiele łatwiej byłoby uwierzyć w omamy, gdyby nie wylądował na podłodze. W normalnych okolicznościach nie mógłby wypaść z fotela. A skoro wypadł, okoliczności najwyraźniej nie były normalne.

I jeszcze ta uwaga o szortach.

Jasne, lubił kiedy Ewa wkładała krótkie spodnie. Który facet by nie lubił? Szczególnie, że miała całkiem zgrabny tyłek i nogi też niezłe. Lubiał. To normalne. Mniej normalne natomiast było to, że

jej coś takiego powiedział. I wcale nie chodziło o to, że sama Ewa miała dość paskudne zdanie na temat swojej prezencji od pasa w dół i najczęściej szczelnie okrywała te części, a to portkami, a to spódnicami, które nawet jak sięgały kostek były w jej odczuciu za krótkie. Nie chodziło też o to, że irytowała ją każda wzmianka w stylu : „Niezłe nogi ”, bo albo dopatrywała się sarkazmu, albo uprzejmości ponad miarę. Chodziło o to, że takich komplementów nie czynił z założenia. Żadnych komplementów. Nie były w jego stylu. Pieszczotliwe zdrobnienia, hasła „ mój misiu ” należały tylko do repertuaru Ewy. Pod tym względem panował między nimi ścisły podział obowiązków. Nie umiał mówić takich rzeczy. Nie był w stanie. Coś gdzieś w środku natychmiast dławilo, dusiło, zaciskało gardło, innymi słowy, jakaś część jego samego protestowała gwałtownie przeciwko obnażaniu emocji w równie bezwstydnym sposobie. Po prostu nie i już. A jednak powiedział...

Natarczywy dzwonek telefonu przerwał mu rozmyślenia, zrezygnowany sięgnął po słuchawkę.

— Paweł? – głos w słuchawce wibrował lękiem i przerażeniem.

— Maria? – bardziej zgadł niż poznał.

— Paweł... Paweł – powtórzyła bezradnie.

— Maria, wszystko w porządku? – zaniepokoił się.

— Nie jest w porządku. Bardzo nie w porządku. Paweł, ja chyba wariuję...

To jest nas dwoje, pomyślał.

— Nie dramatyzuj, powiedz mi na spokojnie co się stało.

— Nie wiem! Nie wiem co się stało! Zupełnie nie pamiętam! – Była na granicy hysterii.

— Więc skąd wiesz, że stało się cokolwiek?

— Bo obudziłam się pod łóżkiem... a obudziłam się, bo było tak ciasno, że nie mogłam oddychać – wykrztusiła.



Leżąca na łóżku postać zdawała się być jedynie dodatkiem do aparatury ustawionej wokół, która błyskała kolorami, to popiskiwała, to buczała cicho. Monitory, rurki, butelki, stojaki, przewody sprawiały wrażenie całości. Bliżej nieokreślonej wielofunkcyjnej stwory, mechanicznej i niezawodnej, dla której ów ochłap ludzkiego mięsa był jedynie pretekstem do zaprezentowania własnych możliwości.

Lena wzdrygnęła się.

— Pani jest siostrą?

Dopiero po chwili zorientowała się, że to pytanie najwyraźniej kierowane jest do niej. Młody lekarz sprawiał wrażenie kogoś, kto nie jest w stanie obciąć sobie paznokci u nóg, nie powodując krwotoku. Nerwowym gestem raz po raz poprawiał okulary w grubej plastikowej oprawie i przełykał nerwowo ślinę.

— Przyjaciółką. Ona nie ma rodziny, panie doktorze. Nikogo. – Wyjaśniła Lena, siląc się na spokój.

— Jak to nikogo? – zdziwił się naiwnie specjalista.

Smarkacz, pomyślała.

— Nikogo. Takie rzeczy się zdarzają. – Skrzywiła się w imitacji smutnego uśmiechu.

— A tak, prawda. – Młodzieniec przybrał poważną minę i zerknął w trzymane w dłoniach papieryska.

Słuchała, wysilając się na zrozumienie. Guz, wylew, ośrodki... Młody doktor był o wiele bardziej kompetentny niż sugerował to jego wygląd. Przerazająco kompetentny. Przygnębiająco i

przytłaczająco kompetentny. Od nadmiaru jego kompetencji Lenie zakręciło się w głowie. Wreszcie zdołała wychwycić choć jedną zrozumiale brzmiącą frazę.

— Jak to nie mówi?

— Uszkodzenie struktur mózgu spowodowało afazję motoryczno – aferentną...

— Panie doktorze – przerwała mu zniecierpliwiona – jestem specjalistą od marketingu, nie od mózgu. Nie od ośrodków w tym mózgu. Ucisków, krwotoków, guzów. Proszę przynajmniej próbować mówić do mnie językiem, który rozumiem.

Lekarz popatrzył na nią spłoszony. Jest tak zaskakująco młody, pomyślała, tak młody, że pewnie nie wie, jak to się robi... dotarło do niej w nagłym przebiegu.

— Ona umrze prawda? – zapytała cicho.

— Tak.

— Ile zostało jej jeszcze czasu?

— Godziny. Może dni. W najlepszym przypadku.

— Dziękuję. – Lena skinęła głową.



Rurka, która łączyła dłoń z kroplówką popęzła po pościeli. Jak robak, przemknęło Lenie przez głowę, jak przerośnięta pijawka... Przez chwilę wpatrywała się tępo w dren zanim dotarło do niej, że poruszyły go blade palce i teraz wskazują niewielką szpitalną szafkę.

— Szafka? Podać ci coś? – zapytała prędko.

Kilka klepnięć.

— Co mam ci podać? – Już w chwili, gdy wypowiadała te słowa poczuła, że robi się jej głupio. Przecież nie może być żadnej

odpowiedzi.

— Czekaj... mam gdzieś notes... i chyba długopis. – Zaczęła przeszukiwać torebkę. – Napiszesz mi?

Lekarz nic nie mówił o pisaniu, a może mówił, tylko nie zrozumiała. No nic, przynajmniej spróbuje. Podsunęła notes pod bezkrwistą niemalże dłoń, ostrożnie wsunęła długopis w palce.

Kreska, koślawca ledwie widoczna. Druga. Trzecia. Ludzik. Lepsze rysują nawet przedszkolaki. Bazgroł, w miejsce włosów i głowy.

— Rozumiem, to ja. Uderzające podobieństwo – stwierdziła, odruchowo poprawiając gęste, czarne loki, związane na karku rzemykiem. – To ja. Już wiem.

Kolejna kreska.

Złapała się na tym, że wstrzymuje oddech.

— Strzałka. Pewnie mam zastrzelić lekarza. Trzeba było narysować bombę, od razu z pielęgniarkami by się załatwiło... — W zasadzie mówiła, by mówić. Jej głos, choć brzmiał jakoś ochryple i obco, przynajmniej na chwilę zagłuszał popiskiwanie aparatury. Jeszcze bardziej obce. Nieludzkie.

Kreska. Błada dłoń z wyraźnym wysiłkiem przesuwa długopis po papierze.

— Dom... Mam iść do domu? Nie chcesz, żebym tu była? – próbowała zgadywać, wpatrując się w kartkę.

Znowu niemrawy gest w kierunku szafki. Nieco zrezygnowana Lena kucnęła przy łóżku.

— Nic tu nie ma – mruknęła, zerknąwszy na półeczkę pod blatem. Otworzyła drzwiczki. Wewnątrz była torebka. Zapewne któraś z pielęgniarek wiedzona solidarnością jajników przyniosła pacjentce rzecz, bez której sama nie mogła się obyć.

— Torebka... po co mi twoja torebka – zastanowiła się Lena

głośno. – Co ty takiego możesz mieć w torebce... Klucze. No tak. Idiotka ze mnie. Mam iść do twojego domu. I nawet wiem, po co.



Mieszkanie było strasznie puste. Nie po prostu puste, ale właśnie strasznie. Lena miała wrażenie, że wkroczyła do martwej strefy. W prześwietlonym promieniami słońca powietrzu nie było drobin kurzu. Nic. Dlatego pojawienie się Kiltera niemalże przyprawiło ją o atak serca.

Ten przeciągnął się, ziewnął i miauknął nagłaco.

— Od wczoraj nie schudłeś – burknęła Lena, zła na siebie, na kota. Podskoczyła z wrażenia, jak smarkacz, któremu ktoś nagle wrzaśnie nad uchem : „B uu! ”. Właściwie powinna czuć się usprawiedliwiona. Od chwili gdy dotarła do szpitala poziom stresu stał się nie do zniesienia. Biedną panią Alę, tę samą, która ją zawiadomiła o wszystkim, a przed chwilą usiłowała nieporadnie dowiedzieć się o stan zdrowia sąsiadki, Lena o mało co nie zepchnęła ze schodów, w bezsilnym ataku złości. Jednak to nie stres sprawił, że wystraszyła się dziko kocura. To atmosfera. Nieokreślone przeczucie czegoś paskudnego, nieuchronnego. Przeczucie, które pojawiło się paradoksalnie dopiero wtedy, kiedy Lena wyszła ze szpitala i któremu z całych sił starała się nie dawać wiary. W chwili gdy weszła do mieszkania przyjaciółki ów nieokreślony cień nadciągającej katastrofy niemalże pozbawił ją tchu. Nie, nie cień, ale lęk jaki budził.

— Sensatka – mruknęła samokrytycznie, nakładając Kilerowi hojną porcję whiskasa. Nie mogła nie zauważyć, jak bardzo trzęsą się jej ręce.

Czyżby do tego stopnia bała się śmierci?

Nie, to nie mógł być żaden freudowski czy jungowski pierwotny lęk. Tak naprawdę to wszystko było tak nagłe i nieoczekiwane, że jeszcze nie do końca w to wierzyła. Ciało przymocowane do aparatury medycznej wcale nie kojarzyło się z osobą drogiej przyjaciółki, absolutnie fachowy bełkot lekarza też nie bardzo przypominał wyrok, jakim w rzeczywistości był. Owszem, Lena niewątpliwie była zmęczona, zdenerwowana, zestresowana, ale jednocześnie oszołomiona. A jednak miała miękkie kolana.

Dlaczego? Skąd to przerażenie?

Na drżących nogach przeszła do pokoju i usiadła w fotelu. Musiała się uspokoić.

Kiler dołączył do niej po chwili, jednak nie okazywał chęci bliższego kontaktu, choć zazwyczaj bezceremonialnie łądował się na kolana, domagając się pieśczoć. Teraz jednak przeszedł przez pokój, powoli i majestatycznie, jakby chciał się upewnić, że Lena go widzi. Wskoczył na telewizor, potem zgrabnie na półeczkę wyżej i zakręciwszy się, zniknął pomiędzy poustawianymi na niej książeczkami. Zupełnie jakby zdołał wcisnąć się pomiędzy przylegające do siebie grzbiety.

— Kiler? – Lena poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. – Kiler? – powtórzyła słabo. Żadnej odpowiedzi, żadnego miauknięcia, czy choćby skrobania pazurami.

Chociaż...? Jedno cichutkie szurnięcie, a może raczej szelest, dobiegający od strony półki.

Lena poderwała się z fotela. To nie były książki, tylko zeszyty, notesy w twardej oprawie poustawiane jeden obok drugiego. Kot musiał wleźć za nie. Uchwyciła palcami grzbiety. Wystarczyło wyciągnąć kilka, by reszta poprzewracała się niczym kostki domina. Za zeszytami była jedynie biała gładkość ściany. Kota

nie było.

Lena, poczuła narastająca falę mdłości. Wciąż przyciskając do siebie wyciągnięte z półki notesy zawróciła w stronę fotela. Musi usiąść. Gładkie okładki wysunęły się z drżących dłoni, upadły.

Równiutkie rzędy liter.

Schyliła się by podnieść upuszczony notes.



Ewa spała. Jedną ręką wciąż przytrzymywała książkę, druga spoczywała bezwładnie na poduszce. Światło lampy wydłużyło jej cień, zmieniając smukłe palce w zakrzywione szpony. Krótко ostrzyżone włosy zmieniły się na ścianie w długie igły.

Paweł uśmiechnął się do siebie.

— Dawaj tę książkę Edziu Nożycoręki – szepnął, pochylając się nad żoną. – Bo jeszcze potniesz okładkę.

Westchnęła tylko.

Z czułością wpatrywał się w jej zarumienioną snem twarz. Wystrzyżone włosy sterczały zawadiacko nad wysokim czołem, cień zamienił rzęsy w dwie rozmazane linie i miękko ułożył się na policzkach. Wyglądała bezbronne i zaskakująco młodo, jak dziecko. Kochał ją tak bardzo, że myśl o tym była niemal bolesna. I przerażająca. Nie umiałby żyć bez Ewy, bez jej kojącej obecności. Nie umiałby przetrwać ani jednego dnia. Gdyby ją stracił, straciłby wszystko. Tak naprawdę to nigdy nie chciał nikogo kochać tak bardzo, w ogóle nie chciał nikogo kochać. Na uczucia stać jedynie ludzi silnych, tak kiedyś uważał, a on sam był zbyt słaby by się tak przed kimś odsłonić, uczynić do tego stopnia bezbronnym. A jednak mimo całej tej wypracowanej filozofii, mimo murów jakimi starał się odgradzić od uczuć, Ewa

zdobyła jego serce. Wygrała na całej linii.

Kocham cię, pomyślał, kocham. I jestem starym cynicznym głupcem, zbyt cynicznym, żeby ci to mówić. I zbyt starym by się tego nauczyć.

Dzwonek telefonu był dźwiękiem tak nieoczekiwanym, że Paweł podskoczył nerwowo.

Sięgnął po słuchawkę licząc, że zdąży odebrać zanim Ewa się obudzi. Zupełnie bezsensownie czuł się przyłapany na czymś zakazanym, wstydliwym.

— Słucham? – zawarczał.

— Paweł?

— Lena, czy ty kobieto wiesz, która jest godzina? – wysyczał wściekle i w tej samej chwili zorientował się, że Ewa nie śpi. Spod ściągniętych brwi wpatrywały się w niego czujnie niebieskie oczy.

— Myszę zabrali do szpitala – poinformowała go Lena jakimś dziwnym tonem.

— Kiedy?

— Rano, dzisiaj... Nie, wczoraj rano – uściśliła z roztargnieniem? Tak, był pewien, z roztargnieniem, zupełnie jakby musiała sobie przypominać jakieś mało znaczące fakty, bzdury sprzed lat. – Chyba gdzieś szła, zabrali ją z klatki schodowej. Straciła przytomność na schodach...

— Czekaj – przerwał – jak to wczoraj rano? Kiedy się dowiedziałaś?!

— Też wczoraj, sąsiadka do mnie zadzwoniła. Jej sąsiadka. Pracuje w mojej firmie. Byłam nawet w szpitalu...

— I dopiero teraz do mnie dzwonisz?!

— Bo dopiero teraz zorientowałam się, że to koszmar... Paweł, to nie jest rozmowa na telefon, nie wychodź z domu, proszę.

Czekaj na mnie, już zaraz wsiadam w samochód i jadę do was. Nigdzie nie wychodź. Zawiadom Marię, musi też przyjechać...

— Lena, co się dzieje?!

Cisza. Przedłużająca się cisza w słuchawce. Słyszał oddech Leny. Nabierała powietrza z trudem, jakby się dusiła.

— Lena, kurwa mać! Co się dzieje?! Co z Myszą?! – wykrzyczał.

— Jeszcze żyje...



Nie zasnął już. Od rozmowy z Leną chodził wkoło jak tygrys w klatce. Narastający niepokój nie pozwolił mu nawet usiąść, tylko pchał od ściany do ściany, a potem na dół, do salonu, do okna, z którego widać było drogę i podjazd. Wiedział, że to bez sensu, że Lena musi przecież dojechać, ale zdrowy rozsądek nie miał do niego przystępu. Poza jedną krótką chwilą, kiedy namówił Ewę, by została w łóżku. Czekanie we dwojkę byłoby już zupełnie niedorzecznym pomysłem, a tak przynajmniej jedno z nich miało widoki na przytomność za dnia. Trzeba by pojechać do tego szpitala, po nieprzespanej nocy nie uśmiechało mu się siadanie za kierownicę, a jeśli Ewa się wyśpi, będzie mogła prowadzić.

Narastający warkot silnika pchnął go do drzwi.

Lena zaparkowała krzywo, przez chwilę zbierała się do wysiadania, gromadząc w ramionach jakieś książeczki, notatniki.

Po co jej te papierzyska? – przemknęło mu przez głowę i wtedy zobaczył jej twarz. Otoczoną ponurą aureolą potarganych włosów, spuchniętą, pokrytą ceglastymi plamami, zapłakaną.



— Co to ma znaczyć?! – Paweł podniósł wzrok znad zapisanych kartek. Wyglądał jakby miał się za chwilę udusić. – Kiedy ona to napisała?!

— Są daty – głos Leny brzmiał głucho. Od chwili gdy zaczęła czytać, nawet się nie poruszyła. Oparłszy głowę o ramę okienną przyglądała się niebu. Nadciągała burza.

— Niemożliwe... Lena, myśmy się wtedy nie znali, nie spotkałem jej jeszcze. Nie mogła wiedzieć...

— Ale najwyraźniej wiedziała.

— Nie mogła, przecież ci mówię, nie mogła. – Gwałtownie przewrócił kilka kartek. – Ten pożar... nigdy nikomu nie opowiadałem tego z takimi szczegółami! Nawet sam tego tak dokładnie nie pamiętam i nigdy nie chciałem sobie przypominać!

— Nie pamiętasz – powtórzyła Lena cicho. – Nie pamiętasz... a co Ty w ogóle pamiętasz? Nie, nie mów mi. – Uciszyła go gwałtownym gestem odwracając się od okna. – Przeczytałam dziesiątki tych jej zeszytów. Ty byłeś pierwszy... Nie, Maria była pierwsza. Nasza kochana Mary, dziecko szczęścia. Tylko Maryśka dojrzewała sobie gdzieś w kokonie podświadomości. Ciebie Mysza zrobiła pierwszego.

— To bzdura! – wrzasnął, do końca tracąc panowanie nad sobą.

— Czyżby? Wiesz co ja pamiętam najlepiej? Drogę. Poranione stopy i tego kierowcę ciężarówki, który miał tyle refleksu, żeby mnie nie rozmazać po asfalcie i tyle serca, żeby podrzucić do miasta. Zamiast zadusić idiotkę, która mu wyskoczyła z krzaków prawie pod koła. Uciekałam jak stałam, w jednej sukience, bez butów nawet... Byłam dalej od tego piekła – zamilkła na chwilę, spoglądając gdzieś przez niego. – W mieście nie miałam dokąd pójść... Dobrze chociaż, że było lato. Może i kogo dziwił widok

baby bez butów, ale nie dziwił przesadnie. Błąkałam się kilka godzin. Głodna... I wtedy w parku Mysza podeszła do mnie, z tym swoim przeprasającym uśmiechem i zapytała czy może w czymś pomóc... Szlag – nagle podniosła głos, zacisnęła pięści w geście bezsilnej wściekłości. – Wiedziała doskonale, wiedziała o wszystkim. Wiesz, co napisała w tym swoim pierdolonym pamiętniczku?! „ Dzisiaj wreszcie zobaczyłam Lenkę, wygląda dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażałam ” ! Dokładnie, tak, rozumiesz? Kurwa, Paweł, rozumiesz?! – Jeszcze przed chwilą pełna złości teraz jakby skłęsała w sobie skuliła się, ramionami wstrząsnął nieopanowany szloch. – Nigdy nie wróciłam, nie pojechałam do tamtego domu, z którego uciekłam nocą... W jednej sukience. Nigdy – chlipnęła. – Nawet nie wiem czy on tam jest... I dom. I on, zły mąż. Teściowa... Czy te wszystkie sińce, mokra ciemna piwnica, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę... Nawet nie wiem...



— Zastanów się choć przez chwilę. Odłóż na moment ten pierdolony sceptycyzm!

— Lena...

— Nie uspokajaj mnie! Nie uspokajaj! – krzyknęła i przycisnęła palce do ust, uświadomiwszy sobie jak histerycznie brzmi jej własny głos. Nabrała głęboko powietrza, raz i drugi. – Nie uspokajaj – powtórzyła cicho. – Nie trzeba.

Skrzyżowała ręce na piersi, kurczowo przytrzymując rękawy swetra. Paweł zauważył pobielale kostki jej dłoni.

— Zanim się spotkaliśmy, opisywała wszystko w najdokładniejszych szczegółach. Najpierw ciebie. Przez lata...

Wszystko. Pożar też. Musiała. Biedna Myszka. Nie umiała wymyślić ci rodziny. Sama tego nie miała, nie wiedziała jak to jest. Dostałeś garść wspomnień i to takich od których sam uciekasz. Tyle wiedziała, ile jej powiedziały inne dzieciaki. A co mogła od nich usłyszeć? Ile jest szczęśliwych dzieci w domu dziecka? Takich, które miały normalny dom?

Paweł milczał, po plecach ściekała mu strużka zimnego potu. Wbrew jego chęciom, wbrew rozsądkowi, wbrew całej pierdolonej rzeczywistości, to co mówiła Lena miało sens. Pasowało do jego wspomnień i przeżyć jak brakujący kawałek układanki. Nie umiał temu zaprzeczyć, nie mógł. Nie potrafił też głośno przyznać racji. Milczał i czuł, jak wnętrzności skręca mu potworny strach.

— Potem, kiedy już się spotykaliście, kiedy byliście przyjaciółmi, co przyszło tak łatwo... Łatwo, prawda? – Popatrzyła na niego z cieniem ironii w spojrzeniu. Jednak nie oczekiwała odpowiedzi, westchnąwszy podjęła monolog. – Wymagałeś. Wiem, czytałam. Wymagałeś, żeby coś zrobiła z tym swoim życiem. Zmuszałeś ją do walki o jakiś sukces i wtedy przypomniła sobie o Marii. Maryśka... Zauważyłeś, jak do niej nie pasują żadne zdrobnienia? No może Mary. Panna Mary najlepiej.

— Nie lubisz jej – odezwał się Paweł, bo Lena zamilkła nagle, jakby zasłuchała się we własne myśli, a cisza była jeszcze gorsza, niż ta tyrada, chaotyczna i nierzeczywista, wygłaszana ochrypłym od łez głosem. Z dwojga złego, wolał już, żeby Lena mówiła, niż milczała. W milczeniu bał się jeszcze bardziej.

— Nie lubię? Nie, dlaczego? – Popatrzyła na niego, jakby ją właśnie obudził. – Lubię. Ale jej zazdroszczę. Teraz... dzisiaj, nawet bardziej niż dotąd. Panna Mary dziecko szczęścia.

Powinna mieć na imię Lucky. Ma świetną pracę, pieniędzy tyle, ile może wydać, stanowisko, sukcesy. Nawet prezencję ma, nasza złota blondyneczka. Jej nikt nie trzymał zamkniętej w piwnicy, nikt jej nie katował, nie bił, nie głodził... Same śliczności. I pewność siebie... Tylko Maria potrafi spojrzeć na człowieka tak, jakby był robactwem i kalał powietrze swoim istnieniem. Ja się boję ludzi... — Potrząsnęła głową. — Tej pewności siebie zazdrościłam jej bardziej niż tego męża, o którym bez przerwy mówi. Andrzejek to, Andrzejek tamto... Nieważne... Teraz już wiem, że Maria to alter ego Myszy. Ta lepsza szczęśliwsza część, ta, której się udało. Dlatego wiem, że Maria była pierwsza. Była z Myszą od zawsze. Mam chyba żal... żal do Myszy, że wymyśliła to w ten sposób, choć chyba na Marię nic nie mogła poradzić... Maria to jej marzenie o lepszym życiu... Marzenie podrzutka, bo to podrzutek, któremu się udało. Wiesz, że tydzień temu dowiedziała się, że jest adoptowanym dzieckiem?

Paweł tylko skinął głową. Nie mógł wydusić z siebie nawet słowa.

— No właśnie. Już wynajęła prywatnego detektywa... Nasza złota dziewczynka. Ma środki. Ale ja i bez tego mogę się spokojnie założyć, o dowolną sumę, że Maria jest siostrą Myszy. Rodzoną. I wygram...

— Lena, to bez sensu, zupełnie... To było dobre w Krainie Chichów ! Jak niby zwyczajny człowiek miałby tego dokonać? Jak? Skąd taka moc sprawcza?!

— Z miłości... — szepnęła Lena, patrząc mu poważnie w oczy.



— Sądzę, że tylko ja jestem wynikiem świadomego działania.

Wszystko na to wskazuje. – Nieoczekiwanie delikatnym gestem Lena pogładziła okładkę jednego z zeszytów. – I ty i Maria jesteście do pewnego stopnia dziełem przypadku. Rezultatem ucieczki w marzenia. Samotny porzucony dzieciak, bez rodziny, bez przeszłości, bez wspomnień innych niż te z domu dziecka. Była taka samotna, tak rozpaczliwie samotna, że wymyśliła sobie kogoś, kogo mogłaby kochać... Tajemniczy Opiekun, Nieskalany Rycerz, Idealny Projekt na Starszego Brata. Pisała o tobie z tęsknoty za miłością, za odrobiną ciepła, za ludzkim słowem może? Tak strasznie cię potrzebowała. – Głos Leny załamał się nagle, po twarzy popłynęły łzy.

Paweł też miał ochotę się rozplakać. Pozwolić, by emocje wypłynęły wraz ze łzami, przestały gnieść serce, dławić w gardle ogromną, twardą kulą. Nie potrafił. Patrzył tylko jak Lena płacze nad losem opuszczonego dziecka, a może nad własnym, który nie był wiele lepszy?

— Kiedy cię spotkała – podjęła Lena, ocierając łzy skrajem rękawa – kiedy cię poznała naprawdę, przywołanie Marii było w zasadzie drobnostką. Maria była przecież w niej od zawsze, kochała ją od zawsze. Wystarczyło zapragnąć, by ukochana siostrzyczka znalazła się bliżej. I Mysza pragnęła, kochała i pragnęła z całych sił. A kiedy już wiedziała... Kiedy nauczyła się siły własnych pragnień, zamarzyła o przyjaciółce od serca...

— A ja? – odezwała się nagle Ewa ze szczytu schodów. – A ja? Jestem prawdziwa?

— Myślałam, że cię nie ma. – Spłoszyła się nagle Lena.

— Myślałem, że śpisz – powiedział równocześnie Paweł.

— Jestem i nie śpię. Wszystko słyszałam. – Ewa zeszła na dół, twarz miała kredowo bladą, ale spokojną. Tylko oczy spuchnięte od płaczu.

— A ja? – powtórzyła.

Lena skuliła się, zgarbiła, jakby chciała wciągnąć głowę w ramiona.

— Ty jesteś prawdziwa, tylko wyszłaś za mąż za wytwór cudzej wyobraźni – odpowiedziała cicho.



Maria zacisnęła dłonie na kubku z kawą, jakby bała się, że naczynie wyslizgnie się, ucieknie.

— Powiedz mi, że zwariowałam z przepracowania – głos jej drżał. – Powiedz mi, że za dużo czytam tych fantastycznych bzdur i własna wyobraźnia płata mi figle. Powiedz cokolwiek...

— Co mam ci powiedzieć?! – parsknął zły, wściekły wręcz. Nie wiedział, ile godzin spędzili we czworo nad zawałonym zeszytami stołem. Wiedział natomiast, że nigdy w życiu nie czuł się tak przerażony i tak bezsilny. Ta bezsilność doprowadzała go do pasji. To siadał, to podrywał się i spacerował nerwowo wokół pokoju, po to tylko by po chwili znów przysiąść i znów się zerwać w kolejnej próbie znalezienia ujścia dla nagromadzonych emocji. Lena przeciwnie, od chwili gdy dołączyła do nich Maria, wykazywała się niezmaconym spokojem. Przestała płakać, złościć się, mówiła spokojnie, sucho, zupełnie jakby składała raport szefostwu na okoliczność wyników sprzedaży kolejnego bubla. Niewytłumaczalnie ten spokój irytował Pawła jeszcze bardziej.

— Lenka? – błagalne spojrzenie Marii przywarło do twarzy przyjaciółki.

Lena wzruszyła ramionami.

— Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia. Możesz

nie wierzyć. Możesz starać się zaprzeczyć faktom, bo te notatki, moja droga, to fakt – przesunęła kilka zeszytów w stronę Marii. – Widziałas, czytałas, co napisała o tobie. O mnie. O nas. Innego wytłumaczenia nie ma.

— A jeśli się mylisz? Jeśli...

— Nie myślę się. – Lena spojrzała jej głęboko w oczy. – Gdybym się myliła, gdyby była szansa, że się mylę – powiedziała powoli – to ani ty, ani Paweł nie mielibyście niewytłumaczalnych doznań o poranku. Nie obudziłabyś się wciśnięta pod własne łóżko, z dziurą w pamięci. Paweł nie spadłby z fotela, bo mu ręką przeleciała przez blat. Nie zaczęlibyście znikać – zakończyła twardo. Nikt nie zaprzeczył. Nikt się nie odezwał. Paweł ukrył twarz w dłoniach. Maria i Ewa wpatrywały się w Lenę szeroko otwartymi oczami. W szaroniebieskim spojrzeniu Ewy lśnił smutek. W błękitnym Marii – paniczny strach. Lena westchnęła.

— Myszą umiera. Jej mózg nie funkcjonuje jak dotąd. Nie ma tyle sił, żeby nadal nas kochać, żeby w nas wierzyć – powiedziała spokojnie.



Lena rozłączyła rozmowę i jeszcze przez chwilę wpatrywała się w wygasły już ekranik komórki.

— To ten smarkaty doktorek – wyjaśniła w przestrzeń. – Zostawiłam mu swój numer... — Zamilkła, szukając najwłaściwszych słów, by im o tym powiedzieć. Nie znalazła. Podniosła więc głowę i popatrzyła najpierw na Pawła, potem Marię. – To koniec. W najlepszym razie dożyje do rana – oznajmiła ze spokojną rezygnacją.

Brzęknął talerzyk upuszczony przez Ewę. Kilka zeszytów

kłapnęło o podłogę, gdy Paweł poderwał się od stołu, jakby w odruchu panicznej ucieczki. Maria ze świstem wciągnęła powietrze.

— I co teraz, co teraz będzie?! – zapytała, nawet nie starając się opanować hysterii, która dzwoniła w jej głosie.

Lena poczuła, jak w miejsce rezygnacji zalewa ją wściekłość.

— Wielkie nic! – prychnęła ze złością. – Koniec! Nie uciekniesz przed tym, nikomu nie zapłacisz, by to od ciebie odsunął! Koniec! Rozumiesz?! – Nagle powodowana jakimś nie do końca dla siebie zrozumiałym impulsem podeszła do Marii i pochyliła się nad nią tak, że ich nosy niemalże się dotykały. – A skoro tak się boisz, to zastanów się lepiej, czy twój Andrzej kocha cię na tyle, by utrzymać cię przy życiu. Bo to może być twoja jedyna szansa – wysyczała.

Maria szarpnęła się w tył, obronnym gestem wyciągnęła przed siebie dłonie, a potem znieruchomiała, zupełnie jakby do niej dotarło, że nie ma dokąd uciec.

— Andrzej... Ostatnio... ja i Andrzej – próbowała wykrztusić.

Lena zmrużyła oczy, w jej spojrzeniu lśniła czysta furia.

— Co, nie układa wam się? No proszę! Tobie się znudziło nim pomiatać? Czy może do niego dotarło nagle, że stać go na kobietę, która go doceni chociażby na okoliczność Gwiazdki? Co? – zapytała jadowicie.

Na twarz Marii wypełzł brzydki, ceglasty rumieniec.

— Ja... — zaczęła, ale Lena nie pozwoliła jej dokończyć.

— Co ty?! Co ty?! Nawet nie próbuj się bronić! Dobrze ci tak! Właśnie, bardzo ci dobrze. Naśmiewałaś się z niego, traktowałaś jak niedorozwiniętego gówniarza. Wytykałaś mu wszystkie możliwe błędy, a jak się trafiła okazja to i publicznie. Kim on dla ciebie był? Zabaweczką? Czy może oznaką dostatku. Masz teraz

to swoje poczucie wyższości, głupia! To jedno co ci zostało! – wrzeszczała. – I teraz idź, idź go przeproszać, może uwierzy, że zacznasz w nim widzieć męża! Może cię tu zatrzyma. A jak nie? To przynajmniej odpadnie ci problem, w co się wystroić do trumny! Pogrzebu nie będzie!

— Przestań! – ryknął Paweł, podrywając się z krzesła. – Milcz!

Lena ochłonęła natychmiast. Furia minęła, pozostał tylko żal, straszny żal i uczucie pustki. Chwyliła torebkę i komórkę.

— Pojadę do szpitala – oznajmiła w przestrzeń. – Ktoś powinien przy niej być, a ja... — głos jej się załamał. – A tylko na mnie nikt nie czeka.

Trzaśnięciu drzwi towarzyszył głośny rozpaczliwy szloch Marii.



Za Marią drzwi zamknęły się już jakiś czas temu. Uspokoila się i odjechała, zaciskając usta w wyrazie determinacji. Może pojechała starać się o swoją szansę? Paweł nie pytał. Bo i po co? I tak nie mógłby jej pomóc. Sam potrzebował w tym względzie pomocy.

Patrzył jak Ewa sprząta ze stołu, układa równo porozrzucone zeszyty z zapiskami Myszy, zbiera kubki. Chciał jej przerwać, chwycić za rękę i zapytać... Nie, nie zapytać, prosić. Błagać by go kochała. Ale nie był w stanie.

A może po prostu nie wiedział co jej powiedzieć? Po tylu latach milczenia, wyśmiewania emocji i чуłostek, jak miał to teraz zrobić?

Kochanie, wyobraź sobie, że tylko twoja miłość może mnie utrzymać przy życiu, dlatego chciałem ci powiedzieć, że bardzo

cię kocham i proszę o wzajemność.

Miał ochotę samemu sobie dać po pysku. Jakim był głupcem! Skończonym, nieuleczalnym idiotą! Tyle miał okazji, tyle razy mógł jej powiedzieć o swoich uczuciach, to nie, wstyd mu było. Głupio... idiota. Palant! Żeby chociaż jej to okazywał, żeby był dobrym mężem. To nie. Wykręcał się od czego mógł. Zasłaniał pracą, koniecznością spędzenia kolejnej godziny przed komputerem, albo złym samopoczuciem. Albo czymkolwiek innym. A ona sprzątała, gotowała, dbała o dom, czasem nawet rąbała drewno, bo był zajęty. Donosiła mu kawę, przynosiła czyste gacie jak były potrzebne, dbała, dogadzała, troszczyła się. A jego nie było nawet stać żeby odwdzińczyć się dobrym słowem. I teraz stoi tu, kretyn, i znowu nie potrafi się odezwać. A musi, bo nagle się okazało, że jego życie, jego istnienie, cały świat, zależy właśnie od jej miłości. Od tego czy pokochała takiego cynika, lenia i prawdę mówiąc durnia...

— Ewa... — wykrztusił. Popatrzyła na niego, ciągle jeszcze blada, ale niezmiennie spokojna. Popatrzyła w milczeniu. W źrenicach barwy pochmurnego nieba Paweł nagle odnalazł spokój.



Lena delikatnie zacisnęła palce wokół bladej, bezwładnej dłoni.

— Zdaje się, że będziemy musiały przejść przez to razem, Myszko – szepnęła. – Jeszcze przed chwilą wydawało mi się, że cię nienawidzę, wiesz? Ale to nieprawda. Kocham cię. I dziękuję ci za te lata. Za wszystkie moje lata tutaj. Obok ciebie. Za twoją miłość, Myszo. Nie wiedziałam, że to najcenniejsze co mam. Ale

już wiem.

Przytuliła policzek do trzymanej w rękach dłoni, ostrożnie, tak żeby nie naruszyć wystających z niej rurek.

— Przepraszam. Za wszystkie krzywe miny i ostre słowa. Przepraszam, że miałam żal, za wspomnienia i za przeszłość. A najbardziej przepraszam za to, że nie umiałam cię kochać na tyle mocno, żebyś tu nie trafiła... Tak bardzo cię przepraszam, Myszko... Lena zamknęła oczy.

Niemal słyszała kolejne krople kapiące w kroplówce, w rytmie wpływających sekund. Ostatnich sekund. Nie mogła uciec od myśli o nadchodzącym końcu. Przecież nie miała szans. Była tego świadoma. Bolesnie. Nikt jej nie kochał, poza Myszą. Myszą podłączoną do aparatury, znieruchomiałą na szpitalnym łóżku, owiniętą prześcieradłem na podobieństwo mumii. Umierającą.

Pod zaciśniętymi powiekami Lena zobaczyła nagle roześmianą twarz Myszy. Takiej jaką była dawniej, jeszcze przed kilkoma dniami. Rozjaśnioną pełnym miłości uśmiechem. A potem wykrzywioną radośnie, wąsatą gębę Pawła, naznaczony poczuciem własnej wartości uśmieszek Marii.

Może im się uda?

Niebo na wschodzie poróżwiało. Nadchodził świt.